

IRENA WÓJTOWICZ

W OBRONIE WŁASNEJ

Prószyński i s-ka

2003

Wszelkie podobieństwo do osób, zdarzeń i wypadków rzeczywistych jest absolutnie przypadkowe.

Wtorek - dzień pierwszy

Leciałem na wschód.

Jak zwykle przepowiadałem sobie życiorys. Tym razem jednak mój własny.

Nazywam się Antoni Komecki. Mama mówi Toni.

Jestem Polakiem. Nie. Jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia.

Matka jest Włoszką. Mój ojciec jest Polakiem. Inaczej. Mój ojciec też jest Amerykaninem, ale polskiego pochodzenia.

Szmer głosów. Pasażerowie mówili po polsku. Dlatego wybrałem ten samolot. Muszę nauczyć się nowych słów, aktualnych skrótów i idiomów. Gdy wysiądę z samolotu i schowam paszport, nie będę już amerykańskim turystą. Wtopię się w tłum.

Robiłem to już. Poprzednio był to jednak tłum włoski, francuski albo - najczęściej - południowoamerykański.

Mój dziadek jest Polakiem.

Ma obywatelstwo amerykańskie, ale urodził się w Polsce. Teraz ma również polski paszport. Lecę do niego. Do Polski. W zasadzie na urlop.

- Wie pan - zażywny, siwy mężczyzna siedzący przy oknie mówił do mnie - od wojny, choć byłem dzieckiem, marzyłem, żeby pojechać do Ameryki. No i proszę, jednak poleciałem. A teraz wracam. Pan też wraca do domu?

- Nie, ja z wizytą do dziadka.

- A pan stale w Stanach?

- Tak, mieszkam w Chicago.

- Kiedy pan wyjechał? Chyba po osiemdziesiątym dziewiątym?

Nie chciałem odpowiadać na jego pytania. Nawet nie powinienem.

Musiałem go czymś zająć. Chciał mówić - niech mówi.

- A panu podobało się w Stanach? - spytałem. - Był pan w Chicago? Kiedy pan wyjechał z Polski?

W odpowiedzi usłyszałem rozwlekłą opowieść o dwumiesięcznej wędrówce po krewnych i znajomych, którzy przekazywali go sobie z rąk do rąk. Tak zwiedził trzy stany, za nic nie płacąc i naprzykrzając się każdej rodzinie nie więcej niż tydzień. Był zadowolony. Zwiedził, jak sam mówił, „kawał świata”, a kosztował go tylko samolot.

- Ale mieszkać tam, żyć, to bym nie mógł - zakończył.

- Dość dawno nie byłem w kraju. Co się tam teraz dzieje?

- Nic dobrego. Mnie się właściwie udało. Przeszedłem na emeryturę, jak likwidowali fabrykę. Trochę wcześniej, niż należało, ale jakoś daje się żyć. Teraz już żadnej pracy bym nie znalazł.

Mój rozmówca wyraźnie posmutniał i melancholijnie zapatrzył się w różowiejące za oknem obłoki. Wstawał świt.

Osiem lat temu leciałem do Polski pierwszy raz. Byłem zupełnie zielony. Dopiero co skończyłem szkolenie, choć w Firmie pracowałem już drugi rok. Wiedziałem sporo, ale była to tylko teoria. Ktoś wypadł z gry i padło na mnie, bo mówiłem po polsku.

Po tamtej mojej podróży dziadek przeniósł się do Polski, a teraz lecę, aby mu pomóc. W zasadzie tylko z tej przyczyny.

Taka praca - zawsze mam zadanie do wykonania i zawsze „w zasadzie” tylko to mam do zrobienia. Zawsze też Firma daje mi przy okazji kilka drobnych zleceń. Ale rozliczyć się muszę ze wszystkiego. Czasem po powrocie okazuje się, że ważniejsze były te drobne zadania.

Stewardesa podała śniadanie.

Wymieniliśmy z sąsiadem kilka uwag o jedzeniu i nowym porcie lotniczym na Okęciu. Taka nieobowiązująca rozmowa przypadkowych znajomych w podróży.

Samolot przebił warstwy pierzastych chmur; podchodził do lądowania.

Wylądowaliśmy punktualnie co do minuty.

Nowe Okęcie mi się spodobało. Niezbyt duże, ale podobne do innych portów lotniczych. Ot, Europa. Żadnych polskich akcentów, żadnej specyfiki. Wylądowałem gdzieś w Europie, przypadkowo była to Polska.

Gdy wysiedliśmy z autobusu przed odprawą, towarzyszący mi dotąd sąsiad na pożegnanie się przedstawił:

- Jestem Stanisław Buczyński, inżynier włókiennik, teraz na emeryturze, z Łodzi, mieszkam na Piłsudskiego. Jakby był pan w Łodzi, zapraszam. Adres znajdzie pan w książce telefonicznej.

Musiałem poczekać, aż przejdzie przez odprawę. Nie powinien widzieć mojego amerykańskiego paszportu. Przepuściłem małżeństwo pięćdziesięciolatek. Łysawy, okrągły, niewysoki facecik i tleniona blondynka. Polacy. Jedna walizka podręcznego bagażu. Też pewnie wracali z turystycznej wyprawy do Stanów. Uśmiechnięci, rozluźnieni, przerzucając się żartobliwymi uwagami o czekającej ich podróży do domu, podali równocześnie ze mną paszporty celnikom.

Raptem pojawiło się kilkanaście zamaskowanych postaci w kominiarkach. Pistolety maszynowe. Palce na spuście. Kuloodporne kamizelki.

Zostaliśmy otoczeni. Z przodu, przy wyjściu, dostrzegłem mundury.

A więc polskie władze przestały lubić pracowników Firmy. Będą kłopoty.

Powinienem się wywinąć, chyba że spotkam kogoś sprzed ośmiu lat.

Lufami popchnęli nas do przodu, do Polski. W nagłej ciszy słychać było skrzypienie wózków z bagażami. Jakaś kobieta przenikliwie krzyknęła.

Wokół mnie czterech zamaskowanych mężczyzn. Sześciu przy tamtej parze.

- Panie Komecki, w jakim celu przyjechał pan do Polski?

Pytanie zadał najstarszy z celników. Trzyma w ręce mój paszport. Paszporty wyprzedzającego mnie małżeństwa ma jeden z zamaskowanych.

- Jestem przedstawicielem handlowym. Przyleciałem w interesach - odpowiedziałem po angielsku.

Koło mnie zrobiło się pusto. Grupa przede mną błyskawicznie przemieściła się do przodu. Otaczający mnie zamaskowani zniknęli. Teraz kotłowało się przy wyjściu.

Zamaskowani otaczali szczelnie mężczyznę, jego żona krzyczała, chciała rozmawiać z mężem, przerwać otaczający go krąg. Wokół nich pojawiły się mundury. Policja.

W sali przylotów gwałtownie podniosła się wrzawa. Wszyscy mówili do wszystkich, zdziwieni, niespokojni. Celnik podał mi paszport. Pozornie obojętna mina. Pozorny brak zainteresowania tym, co dzieje się przy wyjściu. Demonstracyjne zainteresowanie oczekującymi na odprawę.

- Co to było? - zapytałem, tym razem po polsku.

- Proszę iść do wyjścia. To pana nie dotyczy. Życzę przyjemnego pobytu.

Powoli podchodziłem do platformy z bagażami. Gdyby w Chicago tak demonstracyjnie aresztowano przestępcę, ktoś by go rozpoznał, rzucił nazwisko. Tutaj ludzie byli zdumieni, zaszokowani, przestraszeni, nikt nie rozpoznawał zatrzymanego, nikt nie snuł żadnych przypuszczeń.

Mężczyzna nie wyglądał na zbrodniarza. Musiał być z mafii. Szef albo ktoś blisko szczytu. Niemożliwe, żeby taki ważny mafioso podróżował sam i żeby nikt na niego nie czekał. Nie dostrzegłem jednak żadnej obstawy, ani przedtem przy wyjściu, ani w trakcie odprawy. Zastanawiające było jeszcze jedno. Ten zatrzymany i jego żona musieli mieć jakieś bagaże oprócz podręcznego. Nieprawdopodobne, aby przylecieli ze Stanów tylko z paszportami, ale nikt tym się nie zainteresował. To by znaczyło, że nie chodzi też o przemyt.

Nie narkotyki i nie brudne pieniądze. Więc co?

Zabrałem walizki i niby szukając kogoś, odwróciłem się do kolejki przed celnikami. Żaden ze stojących tam mężczyzn nie wyglądał na ochroniarza. Wszyscy idący do wyjścia też zachowywali się naturalnie - witali się z oczekującymi, odbierali bagaże, biegli do taksówek.

Postanowiłem pojechać do śródmieścia autobusem linii lotniczych. Miałem własne sprawy do załatwienia, w końcu co mnie to obchodzi.

Bagażę zostawiłem w recepcji hotelu Forum. Zadzwoiłem do Waltera i usadowiłem się w hotelowej kawiarni. Potrzebowałem kawy i nowych dokumentów.

- Witaj w kraju swoich przodków, kimkolwiek byli.

Wąska twarz, blisko osadzone oczy i przylegające do czaszki ciemne, rzadkie włosy, misternie ułożone za pomocą lakieru - widziałem Billego, zanim jeszcze odwróciłem się w jego stronę. Jak ja nie znosiłem tego faceta!

Był chłopcem na posyłki Waltera, nad czym nieustannie bolał. Elegancki garnitur i wytworne w jego mniemaniu maniery ogłaszały światu, że ma do czynienia z amerykańskim dyplomatą. Fajka, której nigdy nie palił, ale często trzymał w ręce lub przygryzał ustnik, dawała do zrozumienia, że należy do amerykańskiej elity, potomków tej setki zbuntowanych Anglików, którzy przyłynęli do nowej kolonii, co akurat prawdą nie było. Z tej samej przyczyny częściej, niż by wypadało, podkreślał niewłaściwe - jego zdaniem - pochodzenie ludzi, z którymi musiał pracować. Bill wiedział, że w 1939 roku mój dziadek - siedemnastoletni wówczas - wyszedł z Polski razem z wojskiem, że szybko został przerzucony do Francji, gdzie się zakochał, ożenił i wspólnie z żoną walczył we francuskim ruchu oporu. Po wojnie oboje wyjechali do USA. Ja w ten sposób zyskałem francuską babkę, ojca urodzonego we Francji i znajomość tego języka od dziecka.

Była to jedna z licznych bolączek Billa i przyczyna nieustającej pretensji do losu w ogóle, a do mnie w szczególności. Języki. Polski wyniosłem z domu za sprawą dziadka i ojca, którzy zawsze czuli się Polakami. Francuska babka, która nigdy nie nauczyła się polskiego, rozmawiała ze mną częściej po francusku niż po angielsku, a włoska matka zadbała o znajomość włoskiego. Od dziecka mówiłem więc trzema językami, nie licząc rodowitego dla mnie angielskiego. Na żądanie Firmy nauczyłem się bez kłopotów hiszpańskiego i portugalskiego. Dlatego Europa i Ameryka Południowa były moim terenem.

Bill nie zdołał opanować żadnego języka poza angielskim. Tym samym nie mógł być agentem operacyjnym. Nie mógł też awansować w dyplomacji.

- Jego wysokość ambasador nic o tobie nie wie i tak ma pozostać - ogłosił, sadowiąc się naprzeciwko.

- To twoja decyzja czy Waltera?

- Wielki Walter tak postanowił.

Bili zajął się zamawianiem kawy i czynił to z namaszczeniem, niczym dyplomata na party u królowej.

- Jakie dokumenty mi przyniosłeś i co ze wsparciem? - zapytałem po odejściu kelnerki.

- To twoja prywatna impreza. Firma może ci pomóc tylko w ograniczonym zakresie. W tej teczce masz broń i polskie dokumenty. Na twoje własne nazwisko. Jako wnuk Komeckiego nazywasz się Komecki. Przyniosłem dowód osobisty, prawo jazdy i trochę innych śmieci, łącznie z aktem urodzenia tutaj. Mieszkasz w naszym mieszkaniu kontaktowym w Warszawie. Legalnie, nawet jesteś tam zameldowany od lat. Walter załatwił ci też tutejsze pozwolenie na broń.

- Nasz wydział legalizacji dobrze się spisał?

- To niespodzianka - zaszczał Bili. - Dokumenty są autentyczne, polskie. Mamy tu przecież przyjaciół. Trzy dni temu, jeśli się nie mylę, Polsce przybył jeden całkiem dorosły obywatel, z nowym i nieużywanym życiorysem. Życiorys i papiery do niego też masz w teczce. Jest standardowy, jakbyś ubiegał się o pracę. Nie musisz go niszczyć.

- Pracuję?

- Tak. Jesteś polskim przedstawicielem firmy Holder SA z Chicago. Masz dużo czasu i możesz jeździć wszędzie. Dużo zarabiasz, przynajmniej jak na tutejsze warunki.

- Potrzebuję samochodu.

- Przypominam, że to prywatna impreza. Gdyby ode mnie zależało, nic byś nie dostał.

- Ale nie zależy od ciebie. Co z samochodem?

- Walter dał ci pieniądze. Kupisz sobie samochód. Na swoje nazwisko, prywatnie. Potem zostawisz go nam. Pieniądze w teczce.

- Mogę tu kupić samochód tak od ręki?

- Teraz w Polsce wszystko jest możliwe - konfidencyjnym tonem zwierzył mi wieloznaczną tajemnicę.

- To wszystko?

- Jeszcze tylko parę uwag. Pamiętaj, że masz dwa tygodnie urlopu, w tym dwa dni na aklimatyzację. Mieszkasz przy ulicy Kubusia Puchatka - dziwaczni są ci Polacy - numer domu siedem, numer mieszkania trzydzieści cztery, trzecie piętro, bez windy. Tu masz klucze - podał mi cztery skomplikowane klucze.

- Te uwagi są od ciebie?

- Gdzieżbym śmiał. Od szefa. Zadzwoń do niego i zapłać za kawę - powiedział, podnosząc się.

Bill zawsze robił drobne oszczędności na innych i bezczelnie wstawiał takie wydatki do swoich kosztów.

Na Kubusia Puchatka pojechałem taksówką z bagażami i pozostawioną przez Billego teczką. Musiałem obejrzeć jej zawartość w bezpiecznym miejscu. Potem podejmę decyzje.

Mieszkanie trzypokojowe, skromne, standardowe umeblowanie, dwie sypialnie, living-room z telewizorem, skromnie wyposażona niewielka kuchnia, podobnie łazienka. Przy wejściu klawiatura alarmowa z zielonym światelkiem - alarm wyłączony.

Przez okna nikt nie zajrzy. Dobrze usytuowany budynek.

W mieszkaniu cicho, żadnych odgłosów z sąsiedztwa, a więc zabezpieczenie i izolacja pod nieciekawymi tapetami. Drzwi metalowe, oklejone, z korytarza wyglądają zwyczajnie, dwa niestandardowe zamki również zwyczajnie wyglądające od zewnątrz. Dwa aparaty telefoniczne - w przedpokoju normalny, w sypialni bezpieczny. Na pewno również kamery i mikrofony, chociaż ich nie zauważyłem. Wiedziałem, że są, ale nie wiedziałem, czy są włączone. Stały podsłuch, a może i podgląd - taka praca.

W kuchni znalazłem liptona. Lubię herbatę, mocną herbatę wolę od kawy.

Zaparzyłem dwie torebki w dużym kubku. Lubię pić herbatę w kubku. Przy kuchennym stole otworzyłem teczkę Billa. W papierowej torbie znalazłem polskie złotówki. Odłożyłem, policzę później.

Dowód osobisty, zezwolenie na broń, prawo jazdy i metryka urodzenia spięte razem. Wszystko zgodne z rzeczywistością, tylko jako miejsce urodzenia wpisano mi Lublin. No i w dowodzie figuruje zameldowanie na Kubusia Puchatka. Mieszkam tutaj od trzech lat. Jeszcze notes, z wyglądu używany od lat, może znajdę w nim potrzebne adresy i telefony. Kilka pocztówek od nieznanymi mi osób, kilka fotografii z różnymi kobietami i mężczyznami ze znanymi polskimi zabytkami w tle.

W tekturowej teczce życiorys, dyplom ukończenia prawa na Uniwersytecie Lubelskim, zaświadczenia, że pracowałem jako referent prawny w nieistniejących już - mam nadzieję - urzędach i przedsiębiorstwach. Trochę kłopotliwe. Jestem co prawda prawnikiem, ale polskiego prawa nie znam. Jeżeli tu dłużej zostanę, będę musiał kupić i przeczytać polskie kodeksy. Lublina nauczę się, dziadek jest przecież w Lublinie.

Muszę poprosić Waltera o listę profesorów i wykładowców z okresu, gdy „studiowałem”. Może kilka anegdot. Wszędzie na świecie ulubionym zajęciem absolwentów tej samej uczelni jest snucie wspomnień. W Lublinie na pewno spotkam absolwentów prawa tamtejszego uniwersytetu. Kłopotliwy jest ten dyplom.

Na samym dnie znalazłem pistolet, bez zapasowych magazynków. Pod nim oprawne w przezroczystą folię zaświadczenie z Holder SA i pełnomocnictwo.

Jeszcze tylko telefon, kąpiel i będę mógł odpocząć, pozbyć się piasku pod powiekami. Przeszedłem do sypialni, do bezpiecznego telefonu.

- Proszę wewnętrzny trzy - powiedziałem.

- Wewnętrzny trzy - zgłosił się Walter.

- Dostałem bardzo duże narzędzie, trudno je nosić przy sobie. I żadnych części zapasowych - powiedziałem po wymianie haseł identyfikacyjnych.

- Tutaj nie używa się tych narzędzi, dostałeś je, bo prosiłeś, ale moim zdaniem nie będą potrzebne.

- Mimo wszystko proszę o pięć części zapasowych i tłumik, na wszelki wypadek.

- Jesteś u przyjaciół, w pokojowych zamiarach, i to nie jest nasza akcja - oświadczył twardo Walter.

- Jestem wrogiem narzędzi bezużytecznych. Nie przewiduję użycia, ale jak już je mam, niech się nadają do użytku - obstawałem przy swoim.

- Dobrze, co jeszcze?

Poprosiłem o polski paszport i informacje z Uniwersytetu Lubelskiego - na wczoraj.

- Wystarczy ci pieniędzy? Pamiętaj, że musisz podpisać pokwitowanie.

- Nie wiem, jeszcze nie liczyłem i nie znam tutejszych cen. Powiem ci jutro.

- Jutro o dziewiątej rano w kawiarni hotelu Sokołowski. Schowaj rzeczy do sejfu, jest w sypialni, masz klucz - zakończył rozmowę Walter.

Usłyszałem ciągły sygnał.

Rozpakowałem jedną walizkę, wykąpałem się i położyłem. Wybrałem sypialnię z bezpiecznym telefonem. Jeżeli to nie jest akcja Firmy, to dlaczego ładują w nią pieniądze? - pomyślałem. Byłem jednak zbyt zmęczony, by zastanawiać się również nad tym, dlaczego zorganizowali mi pełny kamuflaż.

Zapadłem w sen.

Środa - dzień drugi

Szesnaście godzin snu pomogło przezwyciężyć dolegliwości zmiany strefy czasowej. Obudziłem się o szóstej rano. Zaparzyłem herbatę w ulubionym już dużym kubku i zacząłem dzień od liczenia pieniędzy. W papierowej torbie było sto tysięcy złotych. Miałem za to kupić samochód, mieć na wydatki i nieprzewidziane koszty.

W czasie poprzedniego mojego pobytu tutaj sto tysięcy złotych nie było dużą kwotą, ale w ubiegłym roku była wymiana pieniędzy. Zupełnie nie wiem, co można za to kupić.

Przełożyłem do portfela dziesięć tysięcy i moje aktualne dokumenty. Aklimatyzację postanowiłem rozpocząć od wizyty w widocznym z okien mieszkania pawilonie sklepowym. Musiałem kupić coś do jedzenia - śniadanie, a może nawet kolację, zjem przecież w Warszawie.

Sklep samoobsługowy dostarczył mi wystarczającej wiedzy o cenach i wartości otrzymanych pieniędzy. Całkiem spora suma. Kupiłem też gazety - z nagłówek wynikało, że wczoraj była akcja policji na lotnisku.

W sklepie na przysyłających grzejniki konstrukcjach przysiedli dwaj - jak tutaj mówią - żule. Nieświeży oddech, nieświeże ubrania, chytry wzrok. Nie zaczepiali nikogo. Kiedy wychodziłem, jeden z nich powłókł się za mną, ale potem tylko wzrokiem odprowadził do drzwi budynku.

Przy śniadaniu przeczytałem, że na Okęciu aresztowano adwokata. Prokuratura twierdzi, że jest adwokatem mafii. Chorzy ludzie. Po co była ta demonstracja siły i kominiarki? Czyżby adwokat mógł ich zastrzelić słowem? Może miał jadowitą ślinę i bali się oplucia? Wszystko wskazuje, że sprawa dziadka też jest chora. W moim kraju prokuratorami nie zostają ludzie nienormalni, ale tutaj? Bill powiedział, że teraz w Polsce wszystko jest możliwe. Dupek, ale idiotą nie jest.

Na spotkanie z Walterem pojechałem taksówką. Jego szpakowatą czuprynę i rumiane policzki zobaczyłem za śniadaniowym stolikiem.

- *Good morning* - powiedział, kiedy podszedłem. - Jemy śniadanie wliczone w koszty twojego pokoju.

- Ja tu nie mieszkam.

- Ależ mieszkasz, i to od chwili przylotu.

- Nigdy tu nie byłem.

- Dlatego jemy tu śniadanie. To nasza część operacji. Ambasada zamówiła ci tu pokój i tutaj nocowałeś. Mieszkaś w pokoju sto osiem - podaś mi kartę-klucz.

- Rozdwoiłem się?

- Tak. Przez cały czas będziemy mieli dwóch Antonich Komeckich. Jeden jest Polakiem i te dokumenty otrzymałeś. Drugi jest Amerykaninem, to ważny negocjator biznesowy. Na twoim paszporcie. Ten jest pod naszą ochroną. Będzie często bywał w ambasadzie i tam też będą rozmowy. Jako attache handlowy ja je organizuję.

- Po co ten cyrk? Przyleciałem ratować dziadka.

- Wiesz, że przy okazji masz drobne zlecenia od Firmy.

- Jestem na urlopie.

- No więc powiedzmy, że status tej podróży trochę się zmienił. Urlop został cofnięty. Sprawy dziadka możesz załatwić przy okazji. Masz na to zgodę.

- Gdyby nie dziadek, nie byłoby mnie tu.

- Ale jesteś. - Walter z apetytem zajadał jajecznicę. - Przypadkowo we właściwym czasie i właściwym miejscu. Po śniadaniu pojedziemy do ambasady. Potem możesz robić, co chcesz.

- Nie wierzę w przypadki.

- Polak „ratuje dziadka”, jak mówisz. Polak kupi samochód. Musisz tylko uwzględnić terminy, które ci podam w ambasadzie. Na te spotkania stawisz się osobiście. Resztę spotkań i wizyt oficjalnych załatwi za ciebie mój człowiek. Będziesz dostawał informacje, gdzie byłeś i co robiłeś. - Walter kończył śniadanie, zapalając papierosa do drugiej filiżanki kawy. - W ambasadzie dostaniesz informacje, o które prosiłeś. Jutro będzie paszport. Byłem przeciwny przekazaniu narzędzi, ale też je dostaniesz. Nie moja decyzja.

- Dlaczego paszport dopiero jutro?

- Też będzie autentyczny, polski. Dostaniemy go jutro. Reszta już na ciebie czeka. Teraz idź do pokoju i zabierz teczkę. Poczekam tutaj, ale nie dłużej niż kwadrans.

- Jeszcze jedno: w mieszkaniu na Kubusia Puchatka jest zainstalowany system alarmowy. Nie znam kodu.

- Nie ma takiej potrzeby, system podlega włączeniu i wyłączeniu po przekręceniu w zamku klucza, działa automatycznie.

Poszedłem do pokoju.

Wysokie sufity, dywany, skórzane fotele wokół stolików, świeże kwiaty w okazałych wazonach - recepcja najwyraźniej miała robić za wizytówkę luksusowego hotelu. Ostatecznie jednak wszystkie wełniane dywany są podobne, skóra też jest tylko skóra. O klasie hotelu, jak

mnie nauczyło doświadczenie, decydują dwie rzeczy: wygoda pokoi i jakość obsługi. Tutaj obsługa, o czym przekonałem się przy śniadaniu, była średnia. Nawet jeśli pokoje będą luksusowymi apartamentami, hotel pozostanie średni.

Obsłudze brak tej trudnej do określenia mieszanki godności i bystrej usłużności, umiejętności rozpoznania rodzaju i klasy gościa od pierwszego rzutu oka i natychmiastowego przystosowania się do jego poziomu. Kelnerzy albo płaszczyli się, albo byli arogancy. Nie ma w tym kraju perfekcjonistów. Są tylko niewłaściwi ludzie na niewłaściwych miejscach - z tego, co wiedziałem, nie tylko w hotelach.

Szerokimi schodami, pokrytymi grubą wykładziną dobrej jakości, wszedłem na pierwsze piętro. Pokój był duży. Rozrzucona pościel na podwójnym łóżku, w którym niewątpliwie ktoś niedawno spał, piżama na fotelu obok. Pusta butelka po wodzie mineralnej, używana szklanka z reszką wody, w szafie dwa garnitury, jakie sam bym kupił, czarny tradycyjny smoking, kilka koszul szytych na zamówienie, trzy pary angielskich butów mojego rozmiaru - w hotelowym wydaniu byłem zamożnym Amerykaninem. Obejrzałem buty i w jednej z par znalazłem w czubkach chusteczki higieniczne. Mój dubler miał stopy o pół numeru mniejsze, dlatego wypychał je higienicznymi chusteczkami.

Łazienka też była duża. Wanna, kabina prysznicowa, umywalka i sedes logicznie rozmieszczone, na środku można było jeszcze zatańczyć. Cóż za marnotrawstwo miejsca w centrum stolicy!

Wróciłem do pokoju i rozejrzałem się za teczką. Nigdzie na wierzchu jej nie było. Zajrzałem do szafy - nic. Jedna pusta walizka, w drugiej pozostawiono bieliznę i skarpetki. Żadnych teczek. Przeszukałem pokój, podnosząc nawet materac łóżka; niczego, co by przypominało teczkę.

Zszedłem do Waltera.

- Żadnej teczki w pokoju nie ma.

Walter rzucił mi ostre spojrzenie i zgasił papierosa. Niespiesznie wstając, zwrócił się do stojącego przy drzwiach kawiarni portiera:

- Proszę sprowadzić mój samochód.

Odwrócił się do mnie.

- Musimy jechać do pracy, Mr Komecki.

Nie było przejścia do garażu, w każdym razie nikt go nam nie wskazał.

Razem wyszliśmy na ulicę. Samochód ambasady pojawił się przed nami i zatamował ruch na skrzyżowaniu. Jeszcze jedna polska specjalność - hotel na samym skrzyżowaniu, bez podziemnego garażu.

Jechaliśmy w milczeniu. Patrzyłem na zatłoczone samochodami ulice. Lubię ten kraj, nie rozumiem jednak, dlaczego dziadek tu wrócił.

Bramę wjazdową ambasady otwarto, ledwie się przed nią znaleźliśmy, toteż kierowca wjechał na dziedziniec płynnie, nie zatrzymując samochodu. W milczeniu poszliśmy do gabinetu Waltera. Nie wchodziliśmy przez sekretariat, ale bezpośrednio z korytarza. Przez intercom Walter powiedział sekretarce, że teraz czeka na Scotta, tak jakby dziś nie wychodził z gabinetu.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast; Scott musiał czekać w sekretariacie. To oczywiste, że był podobny do mnie - atletyczna sylwetka, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jasnobrązowe włosy uczesane z przedziałką na lewą stronę, identycznie jak moje, podobny szary garnitur - z daleka każdy mógł go pomylić ze mną.

- Poznajcie się - powiedział Walter. - Toni, to jest Scott, który będzie cię tutaj zastępował, a czasami nie tylko tutaj. Dzisiejszej nocy zastępował cię w hotelu. Ma twój paszport, a w każdym razie identyczny. - Zwracając się bezpośrednio do Scotta, zapytał: - Co się stało z teczką? Nie było jej w hotelu.

- Mam ją przy sobie. Wiem, że miałem ją zostawić w hotelu, ale nie mówiłeś tego z naciskiem, więc zabrałem ze sobą. Co to za biznesmen bez teczki - zażartował Scott. Mówił pośpiesznie, pryskając śliną.

Jego głos mi się nie podobał, był zbyt wysoki. On sam też mi się nie podobał. Moje doświadczenia z ludźmi o cofniętej brodzie i chytrych oczkach były zniechęcające.

- Nie sądzę, żeby ktoś mógł go z bliska pomylić ze mną - powiedziałem do Waltera. Zignorował moją uwagę.

- Oddaj Toniemu teczkę - zwrócił się do Scotta. - Na razie dziękuję, wracaj do swoich zajęć. Po pracy jedziesz do hotelu i mieszkasz tam do odwołania. I nie zawieraj żadnych znajomości. Przed wyjściem zgłoś się jeszcze. A teraz poproś tu Babs.

Scott podał mi teczkę. Widać było, że jest rozczarowany, ale nie śmiał oponować.

- No to odmeldowuję się - powiedział do Waltera z niewyraźnym uśmiechem. - Do zobaczenia, bliźniaku - rzucił do mnie, otwierając drzwi.

Słyszałem, jak mówił do Babs, że Walter na nią czeka.

Babs przyniosła drugą, nieco grubszą teczkę, też z cyfrowym zamkiem, i postawiła ją na biurku. Skinęła mi głową na powitanie.

Była interesującą blondynką z długimi nogami, figurę miała kształną. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Piękne, duże oczy, inteligentna twarz z charakterem. Ona też była

pracownikiem Firmy. Widziałem i czułem to. Podobała mi się. Uznałem, że można na nią liczyć.

- Klucze są w sejfie - powiedziała do Waltera.

- Dobrze. Toni już wychodzi, a ja na jakiś czas pójdę do szyfrów. Na razie mnie nie ma. Jakby było coś pilnego, wiesz, co robić. Zamknij za sobą drzwi - powitał i pożegnał ją Walter.

Kiedy Babs zamknęła drzwi gabinetu, Walter odwrócił się do sejfu, wyjął z niego dwa komplety kluczy i schował je do kieszeni. Sięgnął po teczkę i zwracając się do mnie powiedział:

- Wyjdziemy, jak przyszlismy. Idziemy do czarnej dziury.

Ludzie różnie nazywali to miejsce; niektórzy czarną dziurą. W każdej naszej ambasadzie jest takie pomieszczenie: całkowicie izolowane, nie można podsłuchać tego, co dzieje się wewnątrz, i nie słychać nic, co dzieje się na zewnątrz. Używa się go przy tajnych rozmowach, najtajniejszych instrukcjach i zawsze wtedy, gdy treść rozmowy ma być znana tylko tym, którzy są w środku.

Instrukcje, które Walter miał mi przekazać, były bardzo tajne, a więc i operacja, którą realizowałem, należała do najtajniejszych. I ja się tutaj znalazłem przypadkiem?!

Jednak nie poszliśmy od razu do czarnej dziury. Po drodze Walter wstąpił do sekcji techników, pozostawiając mnie na korytarzu. Na jego powrót czekałem prawie godzinę. Mogłem korzystać ze stojących na wyłożonym seledynową wykładziną korytarzu seledynowych foteli i czarnej kawy w kuchence. Przez cały czas byłem pod obserwacją dyskretnie pilnującego piętra pracownika ochrony, gotowego zastrzelić mnie w razie niewłaściwego ruchu.

Dopiero w porze lunchu zeszliśmy do czarnej dziury, gdzie przez następną godzinę Walter przekazywał mi informacje o operacji. Na zakończenie tej supertajnej konferencji powiedział:

- Wiesz już, o co chodzi. Mam jednak dla ciebie niespodziankę. Technicy stwierdzili, że w teczce, którą miał Scott, zainstalowano sygnalizator, a w aparacie, który miałeś dostać, dodatkowy przekaźnik. Mam nadzieję, że to przyjaciele, których interesuje przebieg operacji, ale sam rozumiesz. Trzeba zdecydować, czy zostawić te instalacje, czy je usunąć. Co o tym myślisz?

- Dla kogo była ta teczka? Dla mnie czy Scotta? I kto miał korzystać z tego telefonu?

- Co do teczki, to nikt nie wiedział; jeszcze nie zdecydowałem. Telefon był dla ciebie.

- Zostaw Scottowi jedno i drugie. Nie można było założyć tych instalacji bez jego wiedzy. Niezależnie od tego, czy to nasi przyjaciele czy nie, niczego to nie zmieni, bo on i tak będzie ich informował o wszystkim.

- W takim razie telefon komórkowy dostaniesz jutro. Trzeba przy nim trochę pogrzebać.

Odebrałem zapasowe magazynki i tłumik. Informacje i anegdoty z Uniwersytetu Lubelskiego znalazłem w teczce, którą przyniosła Babs. Taksówką pojechałem na Kubusia Puchatka.

Za drzwiami wejściowymi klatki schodowej stał jeden z żuli, których widziałem rano, oparty plecami o grzejnik. Otwierając drzwi, przez chwilę zastanawiałem się, który z kluczy wyłącza alarm.

Znalazłem sejf, prozaicznie schowany w jednej z szafek nocnych przy łóżku. Pasował do niego jeden z dwóch kluczy złączonych z kluczami do mieszkania.

Nieznane pozostało przeznaczenie ostatniego. Włożyłem do sejfu teczkę od Waltera, pistolet i amerykański paszport. Anegdoty z uniwersytetu zostawiłem na wierzchu; miałem zamiar przejrzeć je w wolnej chwili.

Zaświadczenia o pracy, życiorys, notes, pocztówki i fotografie włożyłem do małego biurka w living roomie. W teczce Billa umieściłem pieniądze razem z papierową torbą - musiałem kupić samochód.

Zadziwiające, że Walter zapomniał o pokwitowaniu.

Z telefonu w korytarzu zadzwoniłem po taksówkę. Upewniłem się, że sejf jest zamknięty, i wyszedłem, starannie zamykając drzwi. Żuł nadal podpieriał kaloryfer.

Zadysponowałem kurs do salonu Forda. Jeszcze rano postanowiłem, że kupię auto najlepiej znanej Amerykanom marki - samochód i mieszkanie miałem pozostawić Firmie.

Ostatecznie z salonu wyszedłem bez samochodu; dopiero jutro po południu miał być zarejestrowany i gotów do odbioru. Trwało to wszystko długo, zbyt długo - nadszedł czas późnego obiadu lub wczesnej kolacji, i znowu byłem zdany na taksówki.

Postanowiłem zjeść w Wilanowie. Zanim zająłem miejsce przy stoliku, zadzwoniłem do hotelu Sokołowski i przypomniałem Scottowi, że ma siedzieć w pokoju i nie wychodzić nawet na kolację. Miałem przy sobie teczkę lżejszą o kilkadziesiąt tysięcy, ale jeszcze nie zdecydowałem, czy wrócę stąd prosto na Kubusia Puchatka, i nie chciałem, aby dwóch Komeckich plątało się w tym samym czasie po miejskich restauracjach.

Jedzenie było dobre. Na deser wypilem kawę i dużą lampkę bisquita. Przeczytałem też anegdoty i opowieści o moich studiach na Uniwersytecie Lubelskim. Byłem ociężały i nie chciało mi się myśleć o zadaniu. Miałem jeszcze kilka dni. Zdązę przemyśleć całość i zaplanować swoje posunięcia. Jutro odbiorę samochód i pojedę od razu do Lublina. Dziadek nie powinien dłużej czekać. Zmęczenie dało znać o sobie, postanowiłem wracać na Kubusia Puchatka. Znowu taksówka.

Taksówkarz nie mógł podjechać do wejścia. Drogę blokowały dwa jaskrawoczerwone wozy strażackie i dwa błyskające kogutami radiowozy. Pożar najwyraźniej dawno został ugaszony, bo strażacy nie przejawiali zbytniego pośpiechu; zwijali węże, chodząc po zalanym wodą asfalcie. W drugim wozie dwóch strażaków kręciło korbą, składając drabinę. Wysiadłem. Na trzecim piętrze dostrzegłem wybite szyby. Moje mieszkanie, chyba moje.

Wokół kręciło się kilka osób, ale wszyscy wyglądali na mieszkańców okolicznych budynków. Podeszedłem do najbliższego policjanta.

- Co tu się stało? Mieszkam w tym budynku.

- Pan Komecki może?

Potwierdziłem. Policjant zmienił wyraz twarzy; był teraz surowym przedstawicielem prawa. Sucho powiedział:

- Proszę o dokumenty. Musiał pan zostawić w mieszkaniu coś, co spowodowało pożar.

Podąłem mu dowód osobisty. Z dokumentem w ręce policjant podeszedł do strażaka i cywila, rozmawiających w drzwiach wejściowych. Stojąc do mnie tyłem, mówił coś, pokazując stronicę dowodu. Przeszukałem portfel. Nie pamiętałem, czy mam przy sobie zezwolenie na broń. Musiałem sprawdzić, czy zginął pistolet. Powiniennem jak najszybciej dostać się do mieszkania, sprawdzić sejf, zobaczyć, czy dodatkowe instalacje zostały ujawnione, a jeżeli tak - wymyślić wiarygodne tłumaczenie. Zezwolenie na broń miałem.

Teraz powiniennem dostać się do mieszkania. Ruszyłem w stronę policjantów i strażaka. Mundurowy machnął ręką do cywila, który chciał zastąpić mi drogę.

- Chcielibyśmy, żeby najpierw zobaczył pan mieszkanie, potem pojedziemy na komendę i spisujemy protokół. Strażacy podobno znaleźli coś ciekawego.

Weszliśmy do zalanej wodą klatki schodowej. Poręcze na drugim i trzecim piętrze były wyłamane, drzwi do mojego mieszkania też. W miejscu zamków widniały dwie pokaźne dziury. Strażacy mogli wyłamać drzwi, ale żeby wysadzali zamki?! Zatrzymałem się, patrząc na drzwi. Cywil obserwował mnie uważnie.

- Właśnie, wszyscy to zauważyliśmy. Te zamki zostały usunięte przed pożarem, można powiedzieć, że w oryginalny sposób. Co pan o tym myśli?

Nie miałem zamiaru dzielić się z nim swoimi przemyśleniami. A miałem o czym myśleć. Usunięcie zamków w ten sposób powinno spowodować alarm w ambasadzie, a przynajmniej w tym miejscu, gdzie dochodził sygnał, ja jednak nie widziałem nikogo z ochrony. Gaszenie pożaru musiało trwać jakiś czas, powinni tu być, mieli wystarczająco dużo czasu.

Zastanawiające. Miałem głupawą i oszołomioną minę, gdy odpowiadałem cywilowi:

- Nie przypuszczałem, że można palnikiem usunąć zamki tak, żeby nikt niczego nie usłyszał ani nie zobaczył.

- Jeszcze nie wiemy, czy nikt nie słyszał, ale zamki nie zostały usunięte palnikiem - oznajmił cywil. - Proszę obejrzeć mieszkanie.

Przepuścili mnie przodem. Korytarz był osmalony, aparat telefoniczny rozbity, drzwi do living-roomu w szczątkach, prawie całkowicie spalone, wewnątrz pokoju również, łącznie z parkietem i dywanem.

Podobnie wyglądała bezpieczna sypialnia. Z tą tylko różnicą, że w ścianach na wprost drzwi na wysokości metra, może trochę wyżej, widniał rząd dziurek, tak samo w ścianie na wprost okien. Nie ulegało wątpliwości - ktoś przestebnował te ściany z automatu, może przed otwarciem drzwi, może po. To było polowanie na mnie. Dobrze, że reszta wycieczki stała za mną. Zrobiłem odpowiednio głupią minę i podszedłem do szczątków nocnej szafki z sejfem. Była otwarta; sądząc po skutkach, tą samą metodą jak drzwi wejściowe. Bezpieczny telefon zniknął - rozejrzałem się, ale nigdzie nie dostrzegłem aparatu. Czyżby wzięli go ze sobą? Sejf był pusty. Zabrali wszystko, paszport i pistolet też.

- Z tego sejfu zginęły dokumenty mojej firmy i moje, i jeszcze mój pistolet. - Sięgnąłem do portfela. - Proszę, mam zezwolenie. I trochę gotówki.

Kimkolwiek byli podpalacze, postanowiłem podłożyć im świnię. Niech się tłumaczą z tych pieniędzy. Oczywiście nie wspomniałem o dziurkach w ścianach. Nie musiałem się na tym znać, nawet nie powinienem; mogłem ich nie zauważyć. Z głupawą miną obejrzałem jeszcze czarny od sadzy sufit - żadne instalacje tu nie wystawały, podobnie jak w living-roomie. Przynajmniej z tego nie będę musiał się tłumaczyć.

- Niech pan obejrzy resztę mieszkania - spokojnie powiedział cywil.

Mundurowy, który dotychczas pozostawał w przedpokoju, pojawił się w wypalonej framudze, mówiąc:

- Ekipa przyjechała, mogą wejść?

- Chce pan coś stąd zabrać? - zapytał strażak.

Wzruszyłem ramionami. W tych dwóch pokojach nie było jednej rzeczy nadającej się do zabrania. Powinienem jednak zapobiec odkryciu instalacji. Musiałem spytać:

- Czy nie musicie mieć zezwolenia, żeby tu grzebać?

- Okoliczności wskazują, że mamy podpalenie, a więc przestępstwo. Nie potrzebujemy żadnego zezwolenia. Czy pan protestuje?!

Nie mogłem protestować, to oczywiste. Dwóch mężczyzn w cywilu z pękatymi metalowymi walizkami weszło i zajęło nasze miejsca w living-roomie.

W trójkę zwiedziliśmy jeszcze kuchnię i łazienkę, w których zniszczenia były niewielkie, jeżeli nie liczyć zalania obu, prawdopodobnie przez strażaków. Drzwi z przedpokoju do nieużywanej sypialni pozbawione zostały szyby, ale nie były nadpalone, w przeciwieństwie do łóżka. Wyglądało na to, że pożar rozpoczął się na łóżku i nie zdążył ogarnąć całego pokoju. Oczywiście podpalenie.

Ze zdumieniem odwróciłem się do cywila.

- To rzeczywiście wygląda na podpalenie. Ale dlaczego, dlaczego ja?!

- Jeżeli pan tego nie wie, to może dojdziemy do czegoś razem w komendzie. Zaraz tam pojedziemy - cywil przejmował inicjatywę. - Tutaj nie może pan pozostać, mieszkanie zostanie zabezpieczone. Gdzie się pan zatrzyma?

- Nie wiem, chyba w jakimś hotelu. - Powiniennem być bezradny, oszołomiony i ogłupiały. I byłem.

Muszę jak najszybciej powiadomić Waltera. Chyba mogę to zrobić oficjalnie, z policyjnego telefonu. Jest mało prawdopodobne, aby pozwolili mi teraz gdzieś pojechać.

Poza tym był to lokal kontaktowy Firmy i teraz został ujawniony.

Pozwoliłem zawieźć się na komisariat wraz z teczką. Poprosiłem o zgodę na wykonanie telefonu. Był już wieczór i z jednego telefonu zrobiło się kilka, zanim przebiełem się do Waltera przez upartego służbistę dyżurującego przy centrali. Z policji nie mogłem przecież dzwonić na specjalny numer. W skrócie powiadomiłem Waltera o podpaleniu, kładąc nacisk na zaginięcie dokumentów spółki Holder z Chicago. Wspomniałem o zaginięciu również moich dokumentów, pistoletu i teczki. Walter upewniał się dwukrotnie, czy to rzeczywiście podpalenie. Umówiliśmy się, że jutro o jedenastej wpadnę służbowo do ambasady.

Cywil okazał się podkomisarzem; nazywał się Bogdan Kępiński. W czasie moich rozmów wchodził i wychodził, organizował śledztwo, przyniósł magnetofon, potem jakieś formularze i długopisy, na końcu zaś dwie kawy. Swoją krzątaninę tłumaczył tym, że nie jest u siebie.

Zanim złożyłem zeznania do magnetofonu, zrobiła się północ. Wykonałem jeszcze jeden telefon, aby zarezerwować sobie pokój w hotelu. Miejsce znalazłem w Bristolu. Dopiero wtedy podkomisarz umówił się ze mną na dziewiątą rano w hotelu. Wypuścił mnie po dokładnym spisaniu dowodu; zezwolenie na broń zatrzymał - oczywiście za pokwitowaniem.

Kępiński robił wrażenie bystrego facecika. Pytał po kilka razy o to samo, za każdym razem inaczej. Zastawiał pułapki i naprawdę musiałem się napocić, aby utrzymać się w roli nieustannie zdumionego półgłówka. Nie miałem wątpliwości, że rozmawia ze mną zawodowiec. Wiedział, o co pytać, i wiedział, jak stawiać pytania.

Byłem zmęczony. W hotelu zamówiłem budzenie na siódmą i powlokłem się do pokoju. Sił starczyło mi na dokładne zamknięcie pokoju od środka i podstawienie krzesła pod drzwi. Żałosne środki bezpieczeństwa. Jeśli dobrze widziałem, za moją taksówką do hotelu nikt nie jechał. Walter też nie pytał, gdzie będę nocował.

Istniała duża szansa, iż ani wrogowie, ani przyjaciele nie wiedzą, gdzie będę tej nocy. Padłem na łóżko bez kąpieli. Zasnąłem, jednak na krótko.

Czwartek - dzień trzeci

Chyba o trzeciej obudziłem się w pełni przytomny. Początkowo myślałem, że obudził mnie jakiś hałas, ale było cicho, żadnych ruchów na korytarzu ani też w sąsiednich pokojach. Obudziłem się sam. Byłem wystarczająco wypoczęty, by przemyśleć zaistniałą sytuację.

Nie znam wrogów, więc zajmę się przyjaciółmi. Wiedzą o mnie wszystko - kiedy przyleciałem, gdzie mieszkam i co robię... Nie wiedzą, gdzie mieszkałem.

Wiedzą, co mi dostarczono. Znają moje zadanie tutaj. Stop. Na początek przyjmę, że zadanie zna tylko Walter - mówił mi przecież o nim w czarnej dziurze. Sygnalizator w przeznaczonej dla mnie teczce i dodatkowy przekaźnik w telefonie komórkowym wskazują, że chcieli wiedzieć, gdzie będę, z kim i o czym będę rozmawiał.

Przez chwilę pomyślałem o tutejszych przyjaciółach, ale szybko ich wyeliminowałem. Po pierwsze - dali mi oryginalne dokumenty i mogli w nich umieścić nierozpoznawalny dla mnie sygnalizator. Po drugie - już kiedyś wymusili na telefonii komórkowej instalację stałego podsłuchu wszystkich połączeń; jest więcej niż prawdopodobne, że kontynuują te praktyki. Wykluczam - miejscowi w tej zabawie nie brali udziału. Możliwe, że do niej wejdą, ale na razie nie mam się o co martwić.

Źródło znajduje się w naszej ambasadzie. Zdziwiające jest to, że na miejscu nie pojawiła się ochrona, a więc, wbrew zapewnieniom Waltera, alarm nie działał. Niemożliwe, aby rezydent CIA nie został powiadomiony przez ochronę o alarmie, a Walter rzeczywiście o nim nie wiedział. Chyba że miałem nie żyć - nie bez przyczyny strzelano w sypialni, żaden zawodowiec bez uzasadnionej przyczyny nie pozostawia takich śladów. To jednak nie wyklucza Waltera. Może nie mógł posłużyć się zawodowcami i stąd te błędy. Nie mogę wykluczyć Waltera. Ale muszę uzyskać od niego duplikat paszportu. I to koniecznie duplikat, nie oryginał.

Miałem już plan na najbliższe dwadzieścia godzin. Nie powiem, że kupiłem samochód, podtrzymam informację o zaginięciu pieniędzy. Ktokolwiek włamał się do sejfu, nie powie o pieniądzach, bo ich nie wziął. Nic nie plami tak agenta operacyjnego w oczach zwierzchników, jak kradzież pieniędzy Firmy. Ten, kto to zrobił, będzie miał gorąco. Może uzyskam dzięki temu trochę czasu. Bardzo potrzebuję tego czasu dla dziadka.

Zacząłem zapadać w spokojny sen, gdy zadzwonił telefon z budzeniem. Byłem niewyspany i wstawałem zmęczony. Pod prysznicem poprawił mi się humor, gdy ponownie przeanalizowałem plany na dzisiaj i nie znalazłem w nich błędu.

Wstawałem od śniadania, gdy pojawił się podkomisarz Kępiński. Zaprosiłem go do stolika na kawę. Teczkę miałem przy sobie, rachunek zapłaciłem i byłem gotów do opuszczenia hotelu natychmiast. W obecnej sytuacji rozmowy w zamkniętych pomieszczeniach mogły mi nie służyć.

Podkomisarz przyjął zaproszenie na kawę i nie oponował przeciwko kontynuowaniu rozmowy w pustoszejącej hotelowej kawiarni. Na początek dał mi do przeczytania protokół z zeznań do magnetofonu. Musiałem podpisać na każdej stronie. Podpisałem. W protokole nie było nic, czego bym nie powiedział. Następny krok stanowiły dalsze wyjaśnienia, też do magnetofonu.

- Czy mieszkanie było ubezpieczone?

- Nie pamiętam, czy przedłużyłem polisę. Dokumenty były w biurku w living-roomie... To znaczy dużym pokoju - poprawiłem się. Pamiętałem, że spłonęło doszczętnie, ale było w nim wystarczająco dużo różnych papierów, by jeden z nich uznano za polisę.

- Kiedy pan wrócił?

- Poprzedniego dnia rano, byłem w podróży służbowej. Miejsce jest objęte tajemnicą handlową.

Chociaż w tym zakresie status przedstawiciela handlowego mi się przydał. Odmówiłem snucia wspomnień z ostatnich trzech lat, uparcie twierdząc, że nie ma to nic wspólnego z podpaleniem. Czas płynął; musiałem pojechać do ambasady.

Kępiński nie protestował. Żegnając się ze mną powiedział, że będzie musiał mnie jeszcze niepokoić. Ja myślę - nawet się nie zająknął o kulach znalezionych w ścianach sypialni. Widocznie przyjął, iż pozostanę w Bristolu, a ja nie wyprowadzałem go z błędu.

Taksówką do ambasady. Otwarte tylko jedno wejście, zablokowane kolejką Polaków. Cała ambasada otoczona płotem odległym od budynku na tyle, żeby żadne krzyki nie dotarły do okien. Musiałem przebijać się przez długą kolejkę ubiegających się o wizę. Osiem lat temu było podobnie, tylko ludzie byli grzeczniejsi. Za każdym razem mówiłem, że jestem amerykańskim biznesmenem, ale i tak zatrzymywała mnie co trzecia osoba i musiałem zaczynać od początku. Ten cholerny dupek przy drzwiach też mnie potrzymał kilka minut. Krzyczałem, że jestem umówiony z Walterem Bronsonem, ale on był głuchy i ślepy. Dopiero gdy otworzył drzwi, wypuszczając uszczęśliwionych interesantów, udało mi się wdrzeć do środka.

Byłem wściekły, spóźniony bity kwadrans, w śmierdzącym spalenizną wymiętym garniturze i równie śmierdzącej wczorajszej koszuli. Mój ryk musieli usłyszeć na pierwszym piętrze, gdyż pojawiła się spłoszona Babs i zabrała mnie z holu. Przez całą drogę uspokajała mnie, potakując, kiedy warczałem, iż pracują w tej ambasadzie zupełnie do chrzanu i taką samą mają organizację, jeżeli żaden interesant nie może się przedrzeć przez kolejkę ubiegających się o wizę. W sekretariacie zaproponowała mi wodę, herbatę i kawę, błyskawicznie ustawiła przede mną trzy kubeczki z napojami, prawie siłą posadziła w fotelu i dopiero wówczas, mówiąc głośno, powoli i wyraźnie, wyrecytowała:

- Mr Bronson przepraszam, jest w tej chwili zajęty. Od kwadransa rozmawia z Waszyngtonem. Oczekiwał pana, ta rozmowa jest niespodziewana. Musi pan trochę ze mną poczekać - zakończyła i uśmiechnęła się promiennie.

Uśmiech w jej oczach, nie tylko na ustach, uprzytomnił mi, jak wyglądam i jak się wydzieram.

- Przepraszam, Babs... Mogę tak do ciebie mówić? Od wczoraj nieustannie przeżywam niespodzianki, i to niemiłe. Przedzianie się przez tę kolejkę mnie rozwścieczyło, wybacz - powiedziałem, wyciągając rękę na zgodę.

Podowała mi swoją dłoń. Delikatna, ale nie bezsilna. Moim zdaniem uścisk dłoni świadczy o człowieku; jej uścisk świadczył o niej dobrze. Utwierdziłem się w przekonaniu, że jest człowiekiem, na którego można liczyć. Potrzebowałem tutaj kogoś, na kogo mógłbym liczyć.

Wypiłem wodę, spróbowałem obrzydliwej herbaty i pozostałem przy okropnej amerykańskiej kawie, której smak bezskutecznie próbowałem zmienić cukrem i śmietanką. Rozmawialiśmy o pogodzie i kolejce przed ambasadą. Babs uważała, że chętnych do wyjazdu jest teraz więcej.

Walter otworzył drzwi po kilku minutach.

- Przepraszam, że musiałeś czekać, ale rozmawiałem z Waszyngtonem na interesujący cię temat.

Postanowiłem bezczelnie wykorzystać okazję.

- Czekam tu sto lat, a co najmniej od trzech kwadransów - kłamałem. - Przepraszam nie wystarczą, jesteś mi winien przysługę.

- Na jaką przysługę chcesz mnie namówić? Dostajesz ode mnie wszystko, co chcesz.

- Wypełniasz tylko obowiązki. Dziś jednak potrzebuję przysługi. Jak wiesz, wszystko, co miałem, spłonęło. Śmierdzą spalenizną. Muszę szybko kupić nowe ubrania.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Nie, potrzebuję pomocy. Nie wiem, gdzie i co można kupić w Warszawie. Chciałbym zaprosić Babs na lunch i przy okazji prosić o pomoc w zakupach. Twoja przysługa polega na tym, że zwolnisz zaraz Babs z dalszych obowiązków.

- Co ty na to, Babs? - spytał Walter z niewyraźnym uśmiechem.

Ten uśmiech nie podobał mi się, Walter nie był zadowolony z propozycji.

Babs uśmiechnęła się z dystansem.

- Nie mam dzisiaj żadnych pilnych zadań. Chętnie pomogę Toniemu, jeśli się zgodzisz.

- No to załatwione. Masz moją przysługę. Musimy jednak wcześniej pogadać, nie wyjdiesz przed lunchem. - Walter zagarnął mnie ramieniem do gabinetu i starannie zamknął drzwi.

Popchnął mnie w kierunku fotela i usiadł naprzeciwko. Ku mojemu zdumieniu włączył stojący na biurku emiter szumów.

- Opowiedz mi wszystko, co się zdarzyło od chwili, gdy stąd wyszedłeś. Co robiłeś, kogo widziałeś, gdzie byłeś i co wiesz o pożarze - zarządził.

Dość szybko zrelacjonowałem mu wczorajszy wieczór, wspomniałem o wizycie w salonie samochodowym, ale o kupieniu samochodu - nie.

Szczegółowo opowiedziałem natomiast o zniknięciu aparatu telefonicznego linii specjalnej, o śladach kul i dowodach świadczących o podpaleniu. Wyliczyłem, co zginęło z sejfów, dodając trzydzieści tysięcy złotych jako sumę, którą postanowiłem zatrzymać na wydatki po zakupie samochodu. Zadawał mi pytania, uściślając szczegóły, dwa razy powtarzałem, co powiedziałem policji. To przesłuchanie było jednak znacznie mniej dokładne niż te, które zwykle przechodziłem po akcji. Kiedy skończył, ja przystąpiłem do przemyślanego ataku.

- Pamiętasz, w hotelu pytałem cię o system bezpieczeństwa mieszkania. Dlaczego nie zadziałał? Jak rozumiem, nikt cię nie zawiadomił, że mieszkanie jest spalone. Kto chciał mnie zabić i dlaczego? Wiesz albo się domyślasz. Nie mogę wykonywać zadania, jeżeli polują na mnie nasi! Muszę dostać duplikat paszportu. Podkreślam: duplikat, i te ma być w nim napisane. W tej chwili mamy dwa oryginały, jeden nie wiadomo gdzie. Nie chcę zostać zatrzymany jako fałszerz albo podejrzany.

Gdy wygłaszałem swoją tyradę, Walter siedział w skupieniu, z rękami złożonymi przy ustach. Teraz sięgnął do interkomu.

- Babs, musimy wystawić Toniemu duplikat, powtarzam, duplikat paszportu. W uzasadnieniu decyzji trzeba napisać, że oryginał się spalił. I załatw to osobiście. Zamknij pokój, jak będziesz wychodzić, poczekamy na ciebie.

Nie podzieliłem się z Walterem swoimi wątpliwościami co do niego i innych rezydentów ambasady. Miał wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, jak podejrzanie to wszystko wygląda. Mnie w tej grze potrzebny był każdy atut. Jeżeli był przeciwnikiem, była mi potrzebna jego niewiedza - mógł się domyślać, ale nie miał pewności i to musiało mi wystarczyć.

- Masz rację, system nie zadziałał, nikt mnie nie powiadomił o spaleniu mieszkania - powiedział. - Zbadam to. - Leżącą przed sobą pustą kartkę ozdobił dużą jedyką. - Nie wiem, kto chciał cię zabić i czy w ogóle chciał. Te strzały mogły być ostrzeżeniem. Kiedy zobaczyli, że cię tam nie ma, postanowili zostawić ci tą drogą jasną wiadomość. Chyba domyślałam się, o co chodzi, sprawdzę to. - Kartkę ozdobiła duża dwójka. - Jesteś pewien, że ten policjant nie zauważył śladów kul?

- Nie, jestem pewien, że nie rozmawiał ze mną na ten temat. Facet jest bystry, a tych śladów nie można było nie zauważyć. Powiedzmy, że ja w stresie mogłem ich nie zauważyć. Poza tym byli tam policyjni technicy, gdyby oni tego nie zauważyli, to byłoby nadzwyczajne szczęście. Raczej bym na nie nie liczył.

- Zabrali teczkę i pistolet. Pistolet może znajdzie tutejsza policja. Teczki my poszukamy - powiedział do siebie Walter, stawiając dużą trójkę. - A w ogóle to skąd masz teczkę, tę, z którą tu przyszedłeś? - zainteresował się nagle.

- Dostałem ją od Billa. Nie mogłem w kawiarni przekładać do kieszeni pistoletu i nosić pieniędzy w papierowej torbie. Rozumiem, że teczka, którą zabrali, też miała sygnalizator, tyle że założony przez ciebie. Jeżeli twoi ludzie siedzieli na dupie i pilnowali teczki, to musieli widzieć, kto podpalił mieszkanie.

- Jeszcze niczego nie ustaliłem. Rano posadziłem wszystkich do pisania zeznań, a potem miałem rozmowę z Waszyngtonem. Teraz rozmawiam z tobą. - Na kartce pojawiła się duża czwórka. - Musisz kontynuować zadanie. Czego potrzebujesz?

- Po pierwsze, pistoletu i teraz siedmiu magazynków... Dwa tłumiki. Ma być luger. Po drugie, dwóch bezpiecznych numerów telefonu, żeby nie musiał się przedzierać przez półgłówka w centrali.

- Dobrze, sam przyniosę ci broń - powiedział Walter, odruchowo sprawdzając zamknięcie sejfu i wyjmując klucz z kieszeni. - Zostań, im mniej ludzi cię widzi, tym lepiej.

Wyszedł nie przez sekretariat, ale bezpośrednio na korytarz i zamknął drzwi od zewnątrz.

Mam więc kontynuować zadanie. Do wyznaczonych terminów jest jeszcze kilka dni, ale mnogość nieplanowanych wydarzeń nie dawała mi spokoju. O tym, że nie wezmę stąd nic

poza bronią, powiem Walterowi, gdy przekaże mi bezpieczne numery. Niech zachowa swoje znaczone zabawki dla siebie. Są zdradliwe, a mogą być jadowite. Mniej więcej od połowy rozmowy z Walterem męczyło mnie coś, teraz sobie przypomniałem. Z restauracji w Wilanowie zadzwoniłem do Scotta i mówiłem o dwóch Komeckich w tutejszych knajpach. Mógł pomyśleć, że jestem poza mieszkaniem albo że się gdzieś wybieram.

Czekałem ponad pół godziny. Gdy tylko Walter zamknął za sobą drzwi, strzeliłem w niego tą informacją. Wysłuchał jej bez komentarza i pytań. Otworzył kolejną teczkę i wyjął z niej zamówioną broń, którą od razu schowałem do swojej, a właściwie Billa, teczki. Położył też na biurku telefon komórkowy. Nie miałem zamiaru go brać. Wyglądało na to, że Walter też nie będzie się upierał. Na małej karteczce zapisał dwa numery i podał mi ją.

- Zapamiętaj. Ten pierwszy jest do mnie i jest bezpieczny. Ten drugi to zwyczajny miejski telefon do Babs. Ufam jej. Nie dam ci tego - wskazał ręką na telefon - przynajmniej do czasu, aż zakończę dochodzenie. Komórkę sobie kup, ale gdybyś dzwonił, to raczej z automatów.

Babs wsunęła głowę przez drzwi.

- Przyniosłam paszport i jestem głodna.

- Dobrze. Dziś jest czwartek. We wtorek masz spotkanie, tutaj. Czekam na sygnał od ciebie w poniedziałek wieczorem. Znikajcie. - Walter podał mi na pożegnanie rękę, mrużąc pod nosem: - Powodzenia.

Okazało się, że Babs załatwiła dla nas samochód ambasady. Na początek pojechaliśmy do restauracji, gdzie Babs opowiadała mi ploteczki o tutejszej elicie. Kilka razy przewinęły się nazwiska osób, z którymi miałem się spotkać.

Umiała wprowadzić swobodny, bezpośredni nastrój; odprężyłem się nieco.

Potem wyruszyliśmy na zakupy. Jej polski był bezbłędny. Gdyby nie towarzyszący nam samochód na dyplomatycznych numerach, byłibyśmy nie do odróżnienia od tysięcy polskich par. Technikę miałem już przemyślaną. Na początek kupiłem dwie walizki, takie, by jedna wchodziła w drugą. Do środka włożyłem teczkę i miałem tylko jeden bagaż. Kupiliśmy dwa garnitury, kilka koszul i trzy krawaty. Mniejsza walizka była już pełna, ale nie chciałem zostawiać jej w bagażniku. Wszedłem na chwilę do mijanej kawiarni i oddałem ją do szatni. Nikt nie powinien zauważyć, że pozbyłem się części bagażu. Kupiliśmy bieliznę, ręczniki, skarpetki i czarny dres oraz czarne sportowe buty. W tym samym sklepie kupiłem jeszcze jeansy i trzy T-shirty. Miałem już wszystko, musiałem przed szóstą odebrać z salonu swój samochód, no i wcześniej pozbyć się Babs. Była miła, rozumieliśmy się nie tylko w kwestii ubrania, ale nie powinna wiedzieć więcej niż to, co konieczne.

U ulicznej kwiaciarki kupiłem długą czerwoną różę. Dziękując za pomoc w zakupach, zaprosiłem Babs na kolację w poniedziałek lub wtorek. Zadzwońię.

Pożegnałem się z Babs w polskim stylu, całując podaną mi na pożegnanie dłoń, której nie wyrwała, i patrząc głęboko w oczy, co odwzajemniła. Pachniała indian summer. Kolacja zapowiadała się interesująco.

Zdążyłem odebrać samochód. Wybierałem się do Lublina, więc pojechałem do Kielc. Zatrzymałem się w absurdalnie drogim pensjonacie. Niewiele pokoi, wewnętrzny parking, wokół budynku ogrodzony park, względnie bezpiecznie. W hotelowym sejfie umieściłem teczkę i po namyśle dołożyłem duplikat paszportu. W Lublinie nie będzie mi to potrzebne. Zleciłem upranie „pożarowego” garnituru. Zamówiłem budzenie na szóstą. Wczesna kolacja i spać. Musiałem wreszcie odpocząć.

Piątek - dzień czwarty

Czwarty dzień w Polsce rozpocząłem wcześniej. Portiera powiadomiłem, że mogę nie wrócić na noc, ale pokój zatrzymuję. Spakowałem kilka rzeczy i wystartowałem do Lublina. Niewiele wiedziałem o sprawie dziadka. Jego najmłodszy brat zadzwonił do rodziców, że obaj mają kłopoty, ale dziadek większe. Kłopoty musiały być duże, bo brat dziadka wręcz rozpaczliwie żądał przyjazdu kogoś z rodziny. Padło na mnie.

Dziadek był już emerytem i wdowcem, gdy w Polsce obalono komunizm. Pojechał do rodziny i postanowił zostać. Rok temu napisał, że organizuje warsztat razem z najmłodszym bratem i jego rodziną. Dziadek miał już siedemdziesiąt sześć lat, ale był sprawny, czuł się dobrze i rozumiem, że znudziło mu się życie emeryta w prowincjonalnym amerykańskim miasteczku.

Warsztat miał być kopią tego, od którego zaczęło się dorabianie rodziny w Stanach.

Nie wiem, gdzie i kiedy dziadek nauczył się mechaniki samochodowej, ale był w tym dobry. Była to dla niego nie tylko praca, ale również hobby i przyjemność. „Podrasowywał” samochody, a czasem remontował stare modele. Wzmacniał zawieszenie, instalował turbosprężarki, dorabiał jakieś części i z niepozornego samochodu robił prawdziwą wyścigówkę. Czasami miesiącami odnawiał taki stary samochód. Niektóre miały koła ze szprychami i wychodziły z warsztatu jak nowe, błyszczące niklem i chromem, wyposażone w skórzaną tapicerkę i wszystkie elementy, które można zobaczyć na starych zdjęciach, a niekiedy w muzeach.

Oczywiście, za takie cacko trzeba było dużo zapłacić, ale nie pamiętam, by dziadek narzekał na brak chętnych. Zarabiał dobrze. Kupił dwa domy, opłacił studia ojca i - jak słyszałem - po sprzedaniu warsztatu odłożył sobie blisko milion na starość. Część oszczędności postanowił zainwestować w warsztat w Polsce.

Przypomniałem sobie jeszcze, że jego młodszy o piętnaście lat brat miał pod Lublinem dom i kawałek ziemi. Tam zamierzali postawić warsztat. Musiałem zacząć od niego.

Bolesław Komecki - mój stryjeczny dziadek - mieszkał między Lublinem a Nałęczowem, bliżej Lublina.

Przejechałem przez Nałęczów, podobno znane przedwojenne uzdrowisko. Dziś też musiało to być uzdrowisko. Po cichych, wysadzanych starymi drzewami ulicach snuli się

kuracjusze z ręcznikami i torbami. Powietrze przesycone słońcem, zapachem kwitnących kwiatów i nagrzaną trawą rozleniwiało i odurzało.

Kilkanaście minut jazdy dzieliło Nałęczów od siedziby stryjecznego dziadka. Zatrzymałem się przed nieotynkowanym, dużym budynkiem z szarych bloczków. Dokładnie ogrodzony teren, brama z dużym szyldem „Komecki i s-ka”, utwardzony podjazd.

Nie miałem gdzie się schować. Pusta droga wśród płaskich pól. Otwarty wjazd do warsztatu, obok oddalonego od drogi o kilkadziesiąt metrów budynku otwarta wiatra na kilka samochodów, duży pusty plac. Za wiatą betonowy bunkier z odchodzącymi w kilku kierunkach przewodami elektrycznymi. Stacja trafo. Widocznie maszyny dziadka potrzebowały dużo energii.

Światło w budynku i otwarty wjazd wskazywały, że warsztat jest czynny. Na sąsiedniej parceli stał piętrowy budynek mieszkalny. Ogrodzenie z solidnych metalowych prętów z zamkniętą bramą, za nią dwa mniejsze budynki, może garaże. Pusto.

Samochód wstawiłem pod wiatę, niech robi wrażenie czekającego na naprawę.

Pistolet schowałem za pasek z tyłu, przykryłem luźną koszulką; wysiadając, zabrałem teczkę. Ruszyłem w kierunku warsztatu.

Podchodziłem już do budynku, gdy uchyliły się stalowe wierzaje i wyszedł przez nie niewysoki mężczyzna ubrany w szary, poplamiony kombinezon. Wycierał pakułami ręce zabrudzone smarem. Miał około czterdziestu lat, choć znużona twarz sugerowała, że może być starszy. Popatrzył na mnie.

- Coś nawaliło? Jeszcze nie było otwarcia, dopiero ustawiamy maszyny.

Postarałem się o sympatyczny uśmiech.

- Nie, ja do pana Komeckiego.

- A pan kto? I do którego Komeckiego?

Ani ton, ani sposób, w jaki mężczyzna zadał mi te pytania, nie robiły wrażenia gościnnego powitania.

- Jestem Antoni Komecki i przyjechałem do mojego dziadka, Andrzeja Komeckiego. Dzwonił do nas mój stryjeczny dziadek, Bolesław Komecki. Jak rozumiem, to ich warsztat.

- Dobra. Wjedzie pan tym samochodem do środka - powiedział i szerzej otworzył odrzwia - potem pójdziemy do Bolesława. No, rusz się pan - ponaglił, gdyż stałem, czekając, aż ktoś z rodziny wyjdzie mi na spotkanie.

Wjechałem ffordem do środka. Przy zamykaniu drzwi mężczyzna rozejrzał się, uważnie badając pustą w obu kierunkach drogę

- Zaraz wrócę, pan tu poczeka - powiedział i niespiesznym krokiem ruszył do bramy wjazdowej.

Przyglądałem się, jak dokładnie zamyka bramę i wraca do mnie. Dwoma potężnymi sztabami umocnił zamknięcie bramy garażu, założył skoble i dopiero wówczas odwrócił się do mnie.

- Idziemy - zarządził, gasząc światło.

W warsztacie zapadł mrok. Przez zabezpieczone grubymi prętami okna wpadało niewiele światła, wystarczało go jednak, by swobodnie się w środku poruszać. Przy ścianie najbliższej budynku mieszkalnego zauważyłem niewielki kantorek - mój towarzysz zmierzał w tym właśnie kierunku. Poszedłem za nim. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie spotkanie ze swoją polską rodziną. Nie oczekiwałem orkiestry powitalnej i girland z biało-czerwonych kwiatów, ale to w ogóle trudno nazwać powitaniem.

Szedłem za mechanikiem, wymijając ustawione na betonowych podestach maszyny.

Rozróżniłem wśród nich prasę i obrabiarkę numeryczną. O takiej maszynie dziadek mówił wiele razy - jak przyspieszy pracę w warsztacie i jak jest potrzebna. No i że dużo kosztuje. Konsultował się z ojcem, czy kupić trochę starszą polską, czy bardzo nowoczesną japońską. Jeśli dobrze pamiętam, stanęło na zakupie polskiej, i tak bardzo drogiej.

W kantorku stało biurko, trzy proste krzesła i dwie metalowe szafy. Powierzchni tyle, że dwie osoby robiły tłok. Usiadłem na podsunętym mi nogą krześle. Mechanik przeszedł za biurko, podniósł leżące na nim walkie-talkie i uruchomił nadajnik. Przy odbiorniku ktoś powiedział: „Słucham?”.

- W warsztacie mam faceta, który mówi, że się nazywa Antoni Komecki. Chce rozmawiać z Andrzejem albo z Bolesławem - wychrypiął do aparatu mój towarzysz.

- Idę - usłyszałem.

- Czekamy na Bola - zwrócił się do mnie mechanik. Spod biurka wyjął duży klucz i zaczął uderzać nim równomiernie w drugą dłoń. Nie miałem wątpliwości, że to demonstracja siły.

Usłyszałem odgłos otwierających się drzwi i zobaczyłem blask światła w kącie pomieszczenia pomiędzy ścianą zewnętrzną a kantorkiem - znajdowało się tam najwyraźniej wejście do warsztatu od tyłu, niedostrzegalne, bo zasłonięte ścianami kantorka. Blask światła rozjaśnił wnętrze warsztatu, drzwi nie zostały zamknięte. W progu pojawił się dziadek Andrzej w trochę mniejszym i dużo młodszym wydaniu. W ręku trzymał dubeltówkę.

Wstałem, mój towarzysz zza biurka również. Przybyły przyglądał mi się badawczo przez długą chwilę.

- Chyba jesteś rzeczywiście Antoni. Witamy w domu. - Podał mi rękę, przekładając do drugiej broń. - Nietypowe powitanie jak na nas, ale zaraz wszystko wytłumaczę, chodźmy do domu - kontynuował, ściskając mi dłoń.

Wyszliśmy na zewnątrz drzwiami, które mój krewniak pozostawił otwarte. Ich zamykaniem zajął się mechanik, a my dwaj poszliśmy w kierunku domu mieszkalnego. Spojrzałem na wciąż pustą szosę. Usytuowanie budynków uniemożliwiało dostrzeżenie z drogi przejścia w ogrodzeniu, z którego korzystaliśmy. Kiedy wcześniej patrzyłem od tamtej strony, wydawało mi się, że pomiędzy budynkami nie ma żadnej bezpośredniej komunikacji, a nawet że stoją w dużej od siebie odległości. Jednak po kilku ledwie krokach weszliśmy do domu. Gospodarz odstawił w kąt przy drzwiach dubeltówkę i poprowadził mnie do jasnego pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec.

- To ja jestem Bolesław Komecki - powiedział i wyciągnął ponownie rękę na powitanie.
- Jesteś podobny do Andrzeja, ale na wszelki wypadek powiedz, jak ma na imię twój ojciec i z kim rozmawiałem, jak do was dzwoniłem. Możesz mówić do mnie dziadku, wiesz przecież, że jesteś moim stryjecznym wnukiem.

- Witam, dziadku. Jestem synem Jules'a, po polsku Juliana. Rozmawiałeś z moją młodszą siostrą Ann. Co tu się dzieje?

- Od razu powiem, że jest źle. Tutaj jesteśmy tylko my, to znaczy ja i mój zięć Marek, którego poznałeś. No i teraz jeszcze ty. Czekaliśmy tu na ciebie, bo to jedyny adres, jaki znasz. Reszta jest w Lublinie.

- Dziadek jest w Lublinie?

Marek wszedł i starannie zamknął wszystkie zamki. Skinął mi głową i poszedł dalej. Wyglądało na to, że nie jest towarzyski ani też rozmowny.

- Andrzej jest w Lublinie. W więzieniu. Dlatego dzwoniłem. Marek przygotuje coś do jedzenia, a ja ci wszystko opowiem. Potem zastanowimy się, co zrobić. Musimy tu siedzieć, pilnować warsztatu. Zaraz zrozumiesz, dlaczego.

Kiedy dziadkowie postanowili założyć warsztat, Bolesław wydzielił notarialnie działkę ze swojej parceli i zbudował halę. Andrzej kupił za sto tysięcy dolarów maszyny. Pewnie nie chciał ruszać lokat, gdyż dalsze dwieście tysięcy postanowili pożyczyć w banku. Sporządzili biznesplan, wymagany przez polski bank, i otrzymali pożyczkę. Amerykański bank dziadka Andrzeja udzielił gwarancji. Kupili resztę maszyn, zapłacili za reklamy, głównie w Niemczech i Holandii, bo tam ściągano stare samochody z różnych stron świata. Chcieli nastawić się na ich remont. Byli gotowi; oczekiwali tylko na przywiezienie z Niemiec dwóch starych mercedesów.

Zasiedliśmy za stołem nakrytym przez Marka. Byłem głodny, oni chyba też.

- Jestem inżynierem mechanikiem. Pod Lublinem jest fabryka. Robią, a raczej robili tam helikoptery. Pracowałem w biurze projektów - włączył się Marek. - Rok temu straciłem pracę. Andrzej nawet się ucieszył. Miałem pracować tutaj.

- I rozumiesz - podjął Bolesław - wszystko szło dobrze. Byliśmy w terminie, wszystko kupione i gotowe. Wtedy aresztowano Andrzeja.

- Ale za co?! - nieomal wykrzyknąłem.

- To jest właśnie najdziwniejsze. Powiedzieli, że wyłudził z banku kredyt.

- Jak to wyłudził? I z jakiego banku? Z polskiego?

- No, tak napisał prokurator. Dlatego nie wiem - Bolesław zawahał się - czy Andrzej faktycznie nie miał tej amerykańskiej gwarancji? Czy nie miał tych pieniędzy, o których mówił? On mówi, że ma, ale ja już nie wiem.

- Ma te pieniądze, nawet dużo więcej - powiedziałem, oburzony tym, że nie wierzą dziadkowi.

- Nie gniewaj się, ale zrozum: to przecież bank twierdzi, że pieniądze zostały wyłudzone. Bank, nie żaden tam oszust - powiedział przepraszająco Bolesław.

- Zaraz, po kolei. Dostaliście pożyczkę. Kupiliście maszyny. Otworzyliście warsztat. Zgadza się?

- Tak. Mam tu te wszystkie papiery z banku, możesz zobaczyć, specjalnie trzymam.

Bolesław odłonił narzutę na fotelu, na którym poprzednio siedział, i wyjął tekturową teczkę stanowiącą dotychczas jego dodatkowe oparcie. Podał mi ją.

Przejrzałem pobieżnie dokumenty. Wszystko było tak, jak mówił. Umowa z bankiem przewidywała, że kredyt zaczną spłacać rok po uruchomieniu warsztatu. Gwarancja amerykańskiego banku była według mojej wiedzy prawidłowa, a poręczenie wyższe, niż żądał polski bank, bo wystawione na pół miliona dolarów.

- Czy to wszystkie papiery bankowe? Polskie i amerykańskie? Dziadek nie dostał ze Stanów żadnych więcej pism? Nic z banku?

- Do Andrzeja nic więcej nie przyszło. Tylko do mnie wczoraj przysłali, że wypowiadają kredyt. O, masz. - Bolesław wyjął z kieszeni jeszcze jeden papierek.

Standardowe zawiadomienie o wypowiedzeniu kredytu i żądanie natychmiastowej spłaty w miejscu przewidzianym na podanie przyczyny. Podpis i stempel dyrektora. Pieczęć banku. Przedwczorajsza data.

- Kiedy dokładnie dziadek został aresztowany?

- Dzisiaj minie równo dwa tygodnie. Stąd go zabrali.

- Ma adwokata?

- No jakże! Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy do adwokata. Od razu powiedział, że dwa dni mogą go trzymać bez sankcji, znaczy, od prokuratora - odparł Bolesław. - Mówił, że muszą go zwolnić, ale nie zwolnili - zakończył szeptem.

- No więc jak, Tolek, możesz mu pomóc? Możesz nam pomóc? - zapytał Marek.

- Oczywiście. Przede wszystkim muszę porozmawiać z adwokatem.

- Dobrze. To ja teraz zadzwonię po Marcysia, przyjedzie po ciebie i razem pojedziecie do tego adwokata. My z Markiem musimy tu zostać. Bo widzisz, jak tylko zabrali Andrzeja, to tu się zaczęli kręcić różni tacy, takie, rozumiesz, łachudry. Wyglądało tak, jakby chcieli okraść albo podpalić, albo co jeszcze innego - kontynuował Bolesław. - Teraz tu wszystkiego pilnujemy i chowamy się, bo podjeżdżają, wymyślają, grubym słowem rzucają, jak kogo zobaczą, a czasem kamieniami, i zawsze ich kilku.

Z relacji Marka wynikało, że w różnych porach pojawiają się samochody z tymi „łachudrami” i raz nawet podjechali ciężarówką po obrabiarkę.

Chcieli ją zabrać - za długi, jak mówili. Pokazywali jakieś papiery, rzekomo z banku, że maszyny teraz należą do niego.

Wszystko to wyglądało i dziwnie, i niebezpiecznie. Postanowiłem poprosić o pomoc ambasadę. W końcu dziadek był obywatelem amerykańskim.

Zadzwoniłem do Waltera. Niech i on trochę popracuje jako attache. Opowiedziałem mu o sytuacji, prosząc, aby przede wszystkim sprawdził, czy ambasada została powiadomiona o aresztowaniu obywatela USA. Sprawdził natychmiast, dość przejęty moją relacją. Albo moim wzburzeniem. Ambasady o aresztowaniu Andrzeja Komeckiego nikt nie powiadomił.

Zażądałem, aby natychmiast złożył notę protestacyjną i przesłał mi ją kurierem na adres warsztatu wraz z potwierdzeniem. Powiedziałem mu też, że będę musiał korzystać tutaj z amerykańskiego paszportu, więc aby odwołał do wtorku zajęcia Scotta. Rozdwojenie nie wchodziło w grę. Musiałem naciskać, mówiąc, że nie ruszę się z Lublina i nie będę załatwiał żadnych spraw, dopóki nie wydobanę dziadka z więzienia. Stanęło na tym, że nie rzucam pracy w Firmie, jeżeli jutro rano dostanę do ręki odpis noty wraz z potwierdzeniem, że została złożona polskim władzom.

Trochę to trwało i gdy skończyłem przetargi z Walterem, pod dom zajechał biały opel. Bolesław powiedział, że przyjechał jego syn Marcelli.

Pojechałem z nim do miasta.

Marcelli był urzędnikiem miejskim. Średniego wzrostu, średniej tuszy, miał mysie włosy, szare oczy za okularami i milczący sposób bycia. Zdawał się przytłoczony osobowością ojca. Po rozstaniu z Bolesławem to wrażenie pozostało, jak gdyby Marcelli zabierał ze sobą

wszędzie część ojcowskiej osobowości i dawał się nią przytłaczać w każdym miejscu i czasie, choć na mnie Bolesław nie zrobił wrażenia człowieka przytłaczającego.

To Marceli był odpowiedzialny za kontakty z adwokatem. Nie wyglądał na człowieka, który zapyta po raz drugi nawet wówczas, gdy otrzyma nedorzeczną odpowiedź. Może dlatego działania adwokata nie były efektywne. Pojechaliśmy do adwokata.

Po kilku schodkach weszliśmy do położonej na parterze poczekalni; w głębi, przy otwartych drzwiach, oczekiwał na nas w gabinecie obrońca mojego dziadka. Zbliżający się do sześćdziesiątki duży, dobrze zakonserwowany mężczyzna w eleganckim granatowym garniturze wyszedł nam naprzeciw zza imponującego brązowego biurka. Na pierwszy rzut oka zarówno poczekalnia, jak i gabinet urządzone były w stylu angielskich przedwojennych gabinetów prawniczych, ze sztychami przedstawiającymi sceny z polowań na ścianach włącznie. Podejrzewam, że nie tylko ja, ale i nasz gospodarz, znaliśmy takie gabinety głównie z filmów i literatury. Wystrój miał sprawiać wrażenie zamożności, a także wzbudzać zaufanie. Do zamożności zostałem przekonany. Po niezbędnych formalnościach związanych z przedstawianiem usiedliśmy w nieco już zużytych, pokrytych skórą fotelach naprzeciw adwokata.

Mecenas Zdrojewski miał głęboki głos, który umiejętnie modulował, przez co kierowane do nas zdania nabierały wagi dogmatu.

- Przykro mi, że pański dziadek znajduje się w areszcie, ale doprawdy nie jestem w stanie nic na to poradzić. Prokuratura otrzymała z banku wnioski o ściganie i podjęła czynności. Zgodne z prawem. Niestety.

- Nie bardzo rozumiem. Dziadek Bolesław dopiero wczoraj otrzymał informację o wypowiedzeniu kredytu, zresztą bez podania przyczyn. Na czym więc ma polegać przestępstwo, którego dopuścił się mój dziadek?

- No jak to. Chyba wie pan już, że chodzi o wyłudzenie kredytu. To bardzo poważne, bo i kwota też jest niebagatelna. Oczywiście, że przy takim zarzucie prokurator stosuje areszt.

- Na razie nie wnikajmy, czy prokurator działa zgodnie z prawem. Proszę mi wyjaśnić, co w polskim prawie znaczy „wyłudzenie” - starałem się spokojnie ustalić, o co chodzi.

- To chyba proste. - Adwokat rozparł się swoim fotelu, niecierpliwie bębniąc palcami o blat biurka. - Gdyby bank znał prawdę, pański dziadek nigdy nie otrzymałby tego kredytu.

- Jaką prawdę miał znać bank? Na czym polega to przestępstwo?

- Na tym, że bank został wprowadzony w błąd, inaczej kredytu by nie było - sapnął, zniecierpliwiony moim uporem.

- Przeglądałem wspólnie z Bolesławem dokumenty kredytowe. Nie zauważyłem, aby w najmniejszej części stwierdzono nieprawdę. Proszę mi wyjaśnić, na czym konkretnie ma polegać to wprowadzenie w błąd. Jaka okoliczność decydująca o przyznaniu tego kredytu jest lub była nieprawdziwa - upierałem się przy skonkretyzowaniu zarzutów.

- No więc oczywiście obaj pańscy dziadkowie chcieli założyć warsztat. Wzięli pieniądze i tego warsztatu nie ma! - z triumfem wykrzyknął zniecierpliwiony adwokat.

- Warsztat jest, sam go widziałem nie dalej jak godzinę temu.

- Ale nie działa albo nie ma w nim maszyn, albo nie ma zezwolenia na działalność, albo coś w tym rodzaju.

- Od której z tych okoliczności zależało przyznanie kredytu? - Byłem już wściekły, choć dalej pytałem spokojnie. - Kredyt został przyznany na zakup maszyn, a więc w momencie przyznania kredytu maszyn nie było, nawet nie powinno być. Warsztat nie działał w chwili przyznawania kredytu, bo miał zacząć działać, jak kupię maszyny za kredyt - i na zakup tych właśnie maszyn kredyt został przyznany. Żaden z moich dziadków nie twierdził, że warsztat działa i ubiegają się o kredyt na działające przedsiębiorstwo - to wynika z dokumentów bankowych. Proszę mi wyjaśnić, na czym polegało wyłudzenie kredytu - ponowiłem pytanie.

- Prokuratura na dobrą sprawę jeszcze nie sprecyzowała, na czym polegało wyłudzenie, ale jeżeli bank twierdzi, że było wyłudzenie, to było wyłudzenie. - Tym razem usłyszałem już podniesiony głos. Zacerwieniona twarz adwokata wskazywała, że denerwuje go zarówno mój upór, jak i przejawiana tępota umysłowa. Kątem oka dostrzegłem, że siedzący obok Marceli skulił się, jakby miał zamiar wejść pod fotel i tam zniknąć.

- Czy prokurator zapoznał się z dokumentami bankowymi i czy pan je zna? - zapytałem łagodnie, aby nie rozdrażniać adwokata jeszcze bardziej.

- Ja nie mam teraz dostępu do akt. To jest zgodne z polską procedurą. Ale prokurator, oczywiście, zna wszystkie fakty. Niewątpliwie bank dostarczył mu dokumenty.

- My też mamy te dokumenty. Możemy je panu dostarczyć. Czy podejmie się pan dyskusji ze stanowiskiem prokuratora, jeśli je pan otrzyma i zapozna się z nimi? - pytałem dalej z łagodnością baranka.

- Uważam to za przedwczesne. Gdy sprawa znajdzie się w sądzie, będziemy o tym rozmawiać. Jak i o zasadności wszystkich zarzutów - oznajmił, podnosząc się z oczywistym zamiarem pozbycia się nas. Nawet nie drgnąłem.

- Chciałbym zobaczyć się z dziadkiem. Czy to możliwe?

- Zgoda na widzenie zależy od prokuratora. Mogę się do niego zwrócić z taką prośbą, ale nie wcześniej niż w poniedziałek. Młodzieńcze, sam pan rozumie: dzisiaj jest piątek. U nas też jest weekend - zarechotał.

- Czy mogę razem z panem pójść na tę rozmowę do prokuratora w poniedziałek?

- W zasadzie - zawiesił głos - nie ma przeciwwskazań. Choć tego się nie praktykuje. Okrążył biurko. Siedziałem dalej.

- Rozumie pan, że przyleciałem specjalnie ze Stanów, żeby zobaczyć się z dziadkiem? - pytałem dalej bardzo łagodnie.

- No tak, to może być argument. W takim razie umówmy się w poniedziałek o dziewiątej przed budynkiem prokuratury, to jest przy ulicy Okopowej, Pan Marcelec wskaże panu. No, ale mój czas już się skończył, panowie wybaczą. - Zrobił krok w kierunku drzwi z wyraźnym zamiarem wyproszenia nas.

- Ostatnie pytanie... - Podniosłem się. - Mój dziadek jest obywatelem amerykańskim. Dlaczego ambasada nie została powiadomiona o aresztowaniu? Czy coś pan zrobił w tej sprawie?

- Młody człowieku, pański dziadek jest również polskim obywatelem i podlega polskiej jurysdykcji. Nie ma powodu, aby wciągać w to ambasadę. To pospolite przestępstwo kryminalne. - Otworzył drzwi, oczekując, iż natychmiast opuścimy gabinet.

Tak więc wyszliśmy z niczym. Byłem zły, ale również mocno zaniepokojony. Ten palant nawet nie pomyślał, że dziadek może być niewinny. Od początku założył, że prokuratura ma rację. Nie wygląda również, by podjął jakiegokolwiek starania o zwolnienie staruszka z aresztu. Sprawa go nie obchodziła, wyłącznie honorarium. Może to i dobry adwokat, ale szansę na to, że pomoże dziadkowi, widziałem niewielkie.

- Skąd wzięłeś tego adwokata? - spytałem Marcelego.

- Sprawę twojego dziadka prowadzi pani prokurator. Bardzo sympatyczna. Ona powiedziała, żeby iść do mecenasa Zdrojewskiego. Gdzie chcesz teraz jechać?

Chciałem kupić aparat fotograficzny, taki z datownikiem i lampą błyskową. Znaleźliśmy go w sklepiku dwa domy dalej. Potem wróciliśmy do Bolesława i warsztatu. Marcelec pożegnał się ze mną przed bramą. Nie będę za nim tęsknił.

Musiałem wrócić do Kielc po paszport.

Swoją opinią o wynajętym adwokacie podzieliłem się z Bolesławem i Markiem. Nie byli uszczęśliwieni. Przypomniałem, że jutro przyjedzie kurier z notą z ambasady i nie mogą go przegapić. Umówiliśmy się, że wrócę jutro rano, a wieczór i niedzielę poświęcimy na spotkania rodzinne. Jeszcze tylko sfotografowałem kartka po kartce dokumenty bankowe.

Niestety, z chicagowskim bankiem będę mógł rozmawiać dopiero w poniedziałek wieczorem. Zażądałem maksymalnej iluminacji hali warsztatu i sfotografowałem wszystkie maszyny i każdą z osobna; tam, gdzie się dało, z numerami fabrycznymi.

Zabrałem papiery dotyczące pożyczki. Muszę z każdego dokumentu zrobić kilka kserokopii.

Pomimo minorowych nastrojów moja aktywność wzbudziła w nich pewien optymizm i energię. Z zapalem pomagali mi przy fotografowaniu, pogodnie pożegnali się, oczekując następnych dni, które miały być lepsze. Życzyliśmy sobie szczęścia.

Okazało się, że wszystkim nam jest ono bardzo potrzebne.

Odjechałem fordem w kierunku Lublina. Do czwartej znalazłem niezły hotel i pozostawiłem tam walizkę, zrobiłem kserokopie dokumentów bankowych i umieściłem w sejfie hotelowym. Jeden komplet pozostawiłem dla siebie i zasiadłem przy telefonie, chcąc znaleźć odpowiedniego prawnika. Przez prawie dwie godziny obdzwaniałem adwokatów z książki telefonicznej. Prawie wszyscy deklarowali gotowość przyjęcia sprawy dziadka, ale z telefonicznej rozmowy nie wynikało, aby chcieli podjąć jakieś działania już jutro, a choćby w ciągu najbliższych trzech dni. Jedynie dwoje z nich rozumiało, jak istotne w sprawie są dokumenty bankowe. Z tymi postanowiłem rozmawiać osobiście.

Ulica Sukiennicza - w bok od Krakowskiego Przedmieścia, wejście z bramy.

Poczekalnia to zwyczajny pokój z kilkoma krzesłami i obdrapanym stolikiem, na którym leżały nieaktualne gazety i sfatygowane magazyny. W gabinecie jedynym wartościowym meblem okazał się komputer. Adwokat Mirosława Bury. Ciemnowłosa, na pewno po czterdziestce, szczupła, niewysoka, zgrabne długie nogi, szarozielone oczy, inteligentna twarz i sensowne pytania. Pozostawiłem jej dokumenty, podpisałem pełnomocnictwo.

Zrezygnowałem z wizyty u drugiego wytypowanego prawnika. Mecenasa Bury niechętnie umówiła się na dziesiątą następnego dnia.

Było po siódmej, gdy ruszyłem do Kielc. Ledwie wyjechałem poza Lublin, poczułem głód. Szukałem przydrożnego lokalu. Prawie po godzinie jazdy zaparkowałem przed zajazdem. Na dużym parkingu stały tylko trzy samochody, miałem więc szansę na szybki posiłek. Odruchowo wsunąłem za pasek z tyłu pistolet. Teczki zostawiłem w bagażniku.

Restauracja była prawie pusta. Dwa pierwsze stoliki od wejścia zajmowało sześciu mężczyzn. Rozmawiali głośno po rosyjsku lub białorusku. Może po ukraińsku. Sąsiedzi zza wschodniej granicy w drodze; jechali do Niemiec, a może wracali stamtąd. Podróżni, jak ja.

Kolację otrzymałem szybko i szybko ją zjadłem. Nie miałem czasu, ale dodatkowo poganiał mnie uwierający w plecy pistolet. Mężczyźni wyszli wraz ze mną. Otwierałem samochód, gdy trzech z nich podeszło do mnie.

- Dawaj - powiedział jeden z mężczyzn. Podniosłem wzrok. Trzymał w ręce pistolet. Zrobił krok do przodu, kierując jego lufę w moją stronę. - Nu, dawaj - powtórzył. Chcieli mi zabrać wóz!

Rzuciłem kluczyki na siedzenie i odstałem krok od samochodu. Stali przede mną, w półkolu. Swobodne pozy, żadnego napięcia. Pistolet kiwał się lekko z prawa w lewo. Najwyraźniej dotychczas ofiary nie stawiały im oporu. Po mnie też nie spodziewali się tego.

Nie mogłem sobie pozwolić na utratę samochodu. Wyjmując pistolet zza paska, kopnąłem jednocześnie w rękę napastnika, wytrącając mu broń. Tego z prawej uderzyłem kolbą w twarz. Osunął się po masce samochodu. Drugiego kopnąłem w krocze - natychmiast złamał się wpół. Trzeci sięgał do kieszeni. Z całej siły uderzyłem go kolbą w nadgarstek. Usłyszałem trzask. Mam nadzieję, że złamałem mu rękę. Przełożyłem pistolet do lewej ręki, cofnąłem się, wymacałem kluczyki na siedzeniu.

Ruszając, spojrzałem na pozostałych. Biegli w moją stronę, dwóch z nich miało w rękach pistolety. Cofnąłem, otwierając jednocześnie prawe okno. Wystrzeliłem dwukrotnie w kierunku nadbiegających. W sekundę byłem na drodze. Od razu ostro przyspieszyłem. Po dziesięciu minutach nie widziałem w lusterku pościgu. Nie gonili mnie. Mogłem spokojnie dojechać do Kielc.

Wymeldowałem się z hotelu, zabrałem teczkę z hotelowego sejfów i umieściłem na siedzeniu pasażera. Walizkę wrzuciłem do bagażnika. Byłem gotów do powrotu do Lublina.

Zmierzchało, gdy wyjeżdżałem z hotelowego parku. Na krótkiej, obrzeżonej trawniczkami uliczce prowadzącej do głównej drogi, zobaczyłem w światłach dwa samochody. Jeden stał w poprzek, zastawiając przejazd. Zahamowałem. Z prawej strony na trawniku rosły drzewa. Zza stojących samochodów wyszli moi znajomi zza wschodniej granicy. Dogonili mnie i odnaleźli.

Sześciu. Przez całą szerokość jezdni. Każdy z pistoletem. Za nimi oświetlona ulica, z przodu oświetlani ich reflektorami samochodu. Za mną ciemno, nie widzą mnie za przyciemnionymi szybami.

Uciekać mogłem tylko lewą stroną, po chodniku i trawnikach. Mogłem zabić dwóch, najwyżej trzech. Zacząć muszę od przywódcy. To ten, który mnie zaczepił na parkingu. Najwyższy. Trzeci od lewej.

Samochód ustawiłem skośnie, prawym bokiem do napastników; czekał na biegu. Otworzyłem okno. Włączyłem długie światła. Starannie wymierzyłem do przywódcy. Strzał. Trafiony. Następny w lewo. Strzał. Ostro do przodu, strzał do ostatniego z lewej. Zatoczył się w kierunku samochodu, uderzyłem go bokiem, straciłem lusterko.

Tamte samochody są już z tyłu, za mną wybucha bezładna strzelanina.

Wydostałem się! Do Lublina. Szybko.

Po kilku minutach udało mi się ochłonąć. Wymieniłem magazynek. Nikt mnie nie widział. Ci bandyci chyba nie zgłoszą strzelaniny na policję. Nie powinni też szukać mnie w tym kierunku.

Rzadko się zdarza, by ktoś jeździł w tę i z powrotem po tej samej drodze. Muszę tylko unikać zajazdu.

Na hotelowy parking wjechałem o północy. Uszkodzenia, jeżeli są, obejrzę jutro. Może uda mi się wmówić mechanikowi, że powstały na parkingu.

Musiałem trochę pospać.

Budzenie znowu na szóstą.

Krzesło pod klamkę, na wszelki wypadek.

Sobota - dzień piąty

Obudziłem się niechętnie. Słońce było wczorajszym wspomnieniem. Z pochmurnego nieba siąpił leniwie drobny deszczyk. Do jeansów włożyłem na T-shirt kurtkę od dresu. Bardziej pasowała niż marynarka, a nic innego nie miałem.

Postanowiłem, że na spotkanie z adwokatką włożę garnitur. Przed śniadaniem zbędne dokumenty włożyłem do hotelowego sejf. Zabrałem dodatkowy magazynek, pistolet wetknąłem za pasek z tyłu, do kieszeni włożyłem tłumik - ojczyzna moich przodków dostarczała mi sporo nieprzewidzianych rozrywek.

Śniadanie zamówiłem wysokokaloryczne; przy tym tempie wydarzeń potrzebowałem dużo kalorii. Drugą kawę skończyłem kilka minut po siódmej.

Samochód nie miał poważniejszych uszkodzeń, tylko wyłamane lustro i kilka zadrapań.

Jadąc do warsztatu Bolka, kupiłem po drodze nowe lustro. Zanim wysiadłem z samochodu, zobaczyłem Marka idącego w stronę bramy wjazdowej - machał ręką, żebym wjechał do środka. Przeczekałem otwieranie i zamykanie bramy, a potem drzwi wjazdowych do warsztatu. Wysiadłem dopiero w środku. W ciągu kilku minut założyliśmy nowe lustro. Marek zamknął warsztat równie starannie jak wczoraj, tyle że nie zakładał dodatkowych sztab.

- Mieliliśmy wczoraj gości - powiedział na przywitanie. - Tuż po zmroku, koło dziesiątej, znowu pojawiło się tu kilku łobuzów. Chyba przymierzali się do stacji trafo, ale Bolek strzelił dwa razy w niebo i dali spokój.

- Kuriera jeszcze nie było? - spytałem.

- Nie było. Od świtu pilnuję, Bolek po śniadaniu jeszcze się położył. Mało spaliśmy w nocy. Teraz go zbudziłem, jak nadjechałeś. Na wszelki wypadek, gdyby któryś czaił się w rowie.

Zrezygnowałem z opowiadania im o moich przygodach. Nie powinni wiedzieć, że mam broń. Uważali, że przyjechałem do Polski ratować dziadka, bo jestem dobrym wnukiem. Tak powinno pozostać.

Bolek przywitał mnie radośnie.

- Mów, co chcesz, ale lepiej mi, kiedy cię widzę. Od razu czuję się pewniej. Zawsze jest nas trzech - zaśmiał się.

Potem nieco rozwlekłe opowiedział o wydarzeniach poprzedniego wieczora.

Siedzieliśmy przy stole jak wczoraj, ja z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach. Czekaliśmy. Bolesław sprawdził, czy załadował dubeltówkę śrutem. Odgrażał się, że następnym razem „zrobi z nich sito”. Przekomarzał się z Markiem, że teraz będzie strzelał do celu, a nie w powietrze. Marek poważnie tłumaczył, że zezwolenie na broń nie obejmuje strzelania do ludzi.

- No to wystąpię o zezwolenie na odstrzał wilków - grzmiał Bolesław - a potem ubiję chociaż jednego dwunożnego.

Było już kwadrans po dziewiątej. Marek w warsztacie zacierał zadrapania na samochodzie pastą polerską, a ja zastanawiałem się właśnie, czy zadzwonić do adwokatkę i przesunąć spotkanie, gdy przed furtką zatrzymał się motocyklista. Kurier.

Wyszedłem do niego. Nie chciałem żadnej ochrony, ale na ścieżce stanął Bolesław z dubeltówką. Pokwitowałem odbiór i wróciliśmy do domu. Otworzyłem przesyłkę - miałem w rękach notę protestacyjną naszego ambasadora i pokwitowanie polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Walter dotrzymał słowa. Załatwił sprawę w ekspresowym tempie. Musiało im bardzo zależeć na moim udziale w realizowanych tu zadaniach.

Wyjechałem pośpiesznie, obiecując powrót z wiadomościami po południu.

Samochód zostawiłem na strzeżonym parkingu przy hotelu. Przebrałem się błyskawicznie. Zabrałem dokumenty w teczce. Przez chwilę rozważałem, czy wziąć broń. Ostatecznie zostawiłem pistolet w zamkniętej na klucz walizce. Lepsze takie zabezpieczenie niż żadne.

Chciałem rozmawiać z prokuratorem, byłoby niedobrze, gdyby zrewidowali mnie i znaleźli broń, na którą nie mam zezwolenia i której w ogóle nie powinienem mieć. Zabrałem klucz do pokoju; recepcjonistce powiedziałem, że zaraz wracam. Pokój został już sprzątnięty w czasie mojej nieobecności, obsługa nie miała powodu, by tam wchodzić.

Adwokatkę czekała na mnie. Jak się spodziewałem, ona też nie znalazła w umowie kredytowej niczego, na czym można by oprzeć zarzut oszustwa.

- Jedyną okolicznością, moim zdaniem, którą można podważyć, jest poręczenie amerykańskiego banku - zakończyła podsumowanie.

- Ale to poręczenie jest prawdziwe i nie zostało wycofane - powiedziałem. - Poza tym kwota poręczenia dwukrotnie przekracza wartość pożyczki. Najpóźniej w środę będę miał potwierdzenie tego poręczenia.

- W takim razie ja też nie rozumiem, dlaczego pański dziadek został aresztowany. Bank zabezpieczył tę pożyczkę również na działce i budynku warsztatu. Nie widziałam tej

nieruchomości, ale jestem pewna, że co najmniej połowa pożyczki jest do odzyskania po przejęciu warsztatu z działką.

- Czy to zabezpieczenie obejmuje też maszyny i urządzenia warsztatu? Pytam, bo podobno ktoś się zgłaszał, aby zabrać maszyny.

- Nie. Z dokumentów wynika, że zabezpieczenie pożyczki jest podwójne. Jednym jest gwarancja bankowa, drugim działka z budynkami. O maszynach i urządzeniach nic tam nie ma, a więc nie stanowią zastawu pożyczki. Chyba że była jeszcze umowa ustanowienia zastawu na tych maszynach. Musiałaby zawierać opis tych maszyn i ich numery. Wie pan coś o tym?

- Nie. Dziadek Bolesław dał mi wszystkie dokumenty. Takiej umowy tam nie ma. Wczoraj została złożona przez ambasadora nota protestacyjna. - Podałem jej dokumenty. - Uważam, że to może pomóc. Chciałbym zobaczyć się z dziadkiem i porozmawiać z prokuratorem.

- Przypadkowo wiem, że dzisiaj w Prokuraturze Wojewódzkiej ma dyżur kierownik sekcji nadzoru śledczego. Chodźmy do niego. - Zgarnęła dokumenty do teczki. - Niczym nie ryzykujemy.

Wyszliśmy na Krakowskie Przedmieście. Kilkadziesiąt kroków w prawo, dwie ulice dalej, skręciliśmy do prokuratury. Mecenas Bury pokazała mi budynek sądu. Był nieomal na wprost wylotu ulicy, przy której mieściła się prokuratura. W połowie drogi mżawka ustała. Na chwilę pojawiło się nawet słońce, ale szybko zasłoniły je nabrzmiałe wodą chmury.

W Lublinie wszystko mieści się przy Krakowskim Przedmieściu, a w najgorszym wypadku przy sąsiednich ulicach. Wysokie drzwi budynku, który kiedyś był czymś pałacykiem, otworzył nam portier po krótkim dobijaniu się. Musiał znać adwokatkę, bo nie pytał, do kogo ani po co wchodzimy. Po prostu nas wpuścił, zamknął drzwi i usiadł w dyżurce.

Szerokie marmurowe schody prowadziły na pierwsze piętro. Troskliwie zachowano stylowe wnętrze, kinkiety na schodach i korytarzach, parkietowe posadzki, stiuki na sufitach. Jedynie tabliczki umocowane przy lakierowanych dębowych drzwiach wskazywały, że jest tu urząd. Weszliśmy do sekretariatu. W sąsiednim pokoju przy otwartych drzwiach siedział czterdziestoparoletni łysiejący brunet. Nad blat biurka wystawała mu tylko głowa. Był mikrogo wzrostu.

Sekretarka spojrzała na nas i wróciła do wykonywanej pracy. Skierowaliśmy się do sąsiedniego pokoju - jak się domyśliłem - do prokuratora. W połowie długości sekretariatu adwokatka zaczęła:

- Dzień dobry. Przyszliśmy w niecierpiącej zwłoki sprawie. Mój klient, Andrzej Komecki, jest obywatelem amerykańskim i został bezzasadnie zatrzymany. Ambasada wczoraj złożyła notę protestacyjną.

Staliśmy już za biurkiem.

- Siadajcie państwo - powiedział mężczyzna i zwrócił się do Bury: - Kiedy został zatrzymany pani klient?

- Dwa tygodnie temu. Nazywa się Andrzej Komecki. A to jest jego wnuk - wskazała na mnie - Antoni Komecki.

- Pani Basiu! - prokurator nieco podniósł głos.

- Już szukam - usłyszałem sekretarkę.

- Proszę, to ustanowienie się obrońcy, mój wniosek o uchylenie aresztu, wniosek o zezwolenie na widzenie, nota protestacyjna ambasady i potwierdzenie wpływu z MSZ-u - adwokatka kolejno wyjmowała z teczki dokumenty, kładąc je na biurku.

Prokurator zajął się czytaniem doręczonych papierów. Czekaliśmy w milczeniu.

Biurko stało na dywanie na środku pokoju, przodem do drzwi, bokiem do okien wychodzących na ulicę. Za nim była pusta przestrzeń. Puste ściany. Za nami dwie szafy, jedna metalowa, druga stylowa, biblioteczna, wypełniona książkami.

Wydawało się, iż brunet za biurkiem wprowadził się do tego pokoju przed chwilą i tylko na moment.

Prawie skończył czytać, gdy sekretarka położyła na biurku akta. Brązowoszara teczka z czerwonym pasem przez środek. Czarny napis „Areszt” u góry po prawej, po lewej litery „Ds” i numer łamany przez rok. Na środku nazwisko „Andrzej Komecki”.

- Ta sprawa jest w referacie prokurator Tarasewicz - dobitnie powiedziała sekretarka, wychodząc z gabinetu.

Teraz mężczyzna zaczął przeglądać akta. Niektóre karty czytał, inne tylko przewracał. Zobaczyłem przypięty do tekturki amerykański paszport, z pewnością dziadka.

- Podejrzany ma już obrońcę mecenasa Zdrojewskiego - odezwał się prokurator i wyczekująco popatrzył na adwokatkę.

- Nie ma przeszkód w ustanowieniu kilku obrońców - odparła mecenas Bury.

Prokurator zwrócił się teraz do mnie.

- Pański dziadek nie mówił, że jest obywatelem amerykańskim.

- Nie wiem, czy ktoś go pytał, ale macie w aktach jego amerykański paszport, to chyba wystarczy, żeby wiedzieć, że ma amerykańskie obywatelstwo. O ile wiem, paszport stanowi własność Stanów Zjednoczonych. Żadne władze nie mogą go przetrzymywać. Przepisy

wymagają, żeby w takiej sytuacji przekazać paszport do ambasady, zresztą razem z informacją o jego posiadaczu.

- A jeżeli paszport jest fałszywy? To mogłoby być przestępstwo. Widzę, że pani prokurator Tarasewicz ma takie podejrzenie.

- Nie jesteście uprawnieni do ustalania, czy paszport jest fałszywy. Jak pan widzi, jest prawdziwy, skoro ambasador złożył notę protestacyjną.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- A skąd mam wiedzieć, że ta nota jest prawdziwa?

- Z faktu, że wpłynęła do waszego MSZ-u. Jest na niej potwierdzenie tego ministerstwa.

- Kim pan w ogóle jest? - zaciekał się.

- Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych i wnukiem Andrzeja Komeckiego. Również obywatela Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej - powiedziałem wolno i dobitnie.

- Powiedzmy. Mówi pan bardzo dobrze po polsku - zawiesił głos.

Milczałem, czekając na pytanie.

- Co pan robi w Stanach?

- Jestem prawnikiem - odparłem. Taką odpowiedź uznałem za wystarczającą.

Popatrzył na mnie chytrze.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pan rzeczywiście wnukiem podejrzanego?

- Bo nazywam się Komecki. Bo tu przyszedłem. Bo otrzymałem z ambasady notę i tu ją przyniosłem.

Postanowiłem, że nie dam się wyprowadzić z równowagi. Musiałem uwolnić dziadka.

- Proszę mi pokazać paszport - zażądał po chwili namysłu. Dałem mu paszport. Zaczął mozolnie spisywać dane. Trwało to dłuższą chwilę. Następnie ponownie przekartkował paszport.

- Ma pan duplikat, czy to nie interesujące? I to wydany w dwa dni po przylocie. Zgubił pan paszport w Polsce?

- Nie, zostałem okradziony.

- I wydali panu paszport tak od ręki? Nie musieli nic sprawdzać?

- Nie musieli. Niektórzy pracownicy ambasady znają mnie osobiście i wiedzieli, że przyleciałem.

- Ale ja będę musiał pana sprawdzić.

- Nie widzę przeszkód.

- Załóżmy, że jest pan z mafii, a pański, założmy, dziadek - wymówił to słowo z przekąsem - przyjechał tu prac brudne pieniądze. To może być bardzo podejrzana sytuacja.

- O ile mi wiadomo, pranie pieniędzy nie polega na zaciąganiu pożyczek w obcych bankach.

- Chciałabym wrócić do zarzutu stawianego mojemu klientowi - wtrąciła adwokatka. - Nie rozumiem, na czym jest oparty. Jakie informacje świadczą o wyłudzeniu pożyczki lub jego zamiarze? Jestem w posiadaniu dokumentów bankowych pożyczki i nie widzę ani jednego faktu, który wspierałby postawiony panu Komeckiemu zarzut.

- Dobrze pani wie, że za wcześnie rozmawiać o dowodach - zwrócił się do niej, nie wypuszczając swojego paszportu z ręki. - Dostaliśmy zawiadomienie o przestępstwie. Bank czuje się oszukany, dla nas to wystarczy.

- Może pan nas zapoznać z treścią tego zawiadomienia? - zapytała mecenas Bury.

- No cóż - sięgnął do akt, wciąż trzymając swój paszport - zawiadomienie jest ogólne. Bank zawiadamia o wyłudzeniu kredytu.

- Rozumiem, że nie zostało wskazane, na czym wyłudzenie miało polegać? Nie wskazano, jakie okoliczności podane przez pana Komeckiego są nieprawdziwe?

Ponownie zerknął na otwartą stronę.

- Nie, nic takiego tu nie widzę. Wiem natomiast, że pani jest w posiadaniu dowodów i ma obowiązek wydać je prokuraturze.

- O jakich dowodach pan mówi?

- Te umowy bankowe. Powinny być w aktach, a nie u pani.

- Każda ze stron jest w posiadaniu egzemplarza umowy. Bank też ją ma i powinien dołączyć do wniosku o ściganie. To jego obowiązek. Chciałabym wiedzieć, co prokuratura zrobiła przez dwa tygodnie w tej sprawie, jeżeli nie ma nawet umowy - zaatakowała.

- Nie muszę pani tłumaczyć, pani mecenas, że prokuratura ma bardzo dużo pracy. Musi pani wydać te dokumenty. Należą do banku.

- Nie, dokumenty, które posiadam, należą do mojego klienta. Mogę zostawić kserokopie, wyłącznie dla przyspieszenia sprawy. - Sięgnęła do teczki i podała mu je przez biurko.

Aby je odebrać, musiał odłożyć swój paszport, co wykorzystałem, spokojnie chowając go do kieszeni.

- Jak pan zobaczy, w jednym z ostatnich punktów umowy zapisano, że umowę w jednym egzemplarzu otrzymuje kredytobiorca, czyli pan Komecki. To właśnie mój egzemplarz.

- Pewnie będzie pani chciała potwierdzenia, że te dokumenty wpłynęły. - Zgarnął luźne kartki z biurka. - Proszę do sekretariatu.

- A co z moimi wnioskami? - nie ustępowała.

- Decyzję podejmie prokurator prowadzący sprawę. Ja nie mogę. Trzeba jeszcze bardzo wiele rzeczy sprawdzić. Może pani przyjść w poniedziałek, ale myślę, że to za wcześnie - zakończył, odkładając akta na brzeg biurka.

Wstaliśmy w milczeniu. Pani Basia postawiła stosowne pieczętki na kopiach złożonych dokumentów. Wyszliśmy. Dopiero na ulicy, w mżawce, za zamkniętymi już przez portiera drzwiami, mecenas Bury powiedziała:

- Jak pan widzi, sprawa nie jest ani łatwa, ani prosta. Nie rozumiem dlaczego. Wracamy.

Byłem wściekły. Woda z nieba, choć w niewielkich ilościach, przywróciła mi zdolność spokojnego rozumowania. W milczeniu wróciliśmy do zajmowanego przez nią gabinetu. Bez słowa zajęliśmy miejsca po obu stronach biurka.

- Nie rozumiem, co tu się dzieje - zacząłem.

- Gorzej, że ja też nie. I to nie rozumiem znacznie więcej niż pan - odpowiedziała zasepiona.

- Zróbmy podsumowanie.

- Po pierwsze, jak rozumiem, i pan chyba też, nie ma zarzutów. Jest fotomontaż, do którego prokuratura się dostosowuje. Uważam, że to potwierdzenie z amerykańskiego banku będzie konieczne. Byłoby dobrze, gdyby potwierdziła je też ambasada, może wówczas nie zapragną potwierdzać tego sami, bo to przedłuży sprawę. - Spojrzała na mnie pytająco.

- Oczywiście, mogę to załatwić, ale moim zdaniem chodzi właśnie o przedłużanie całej tej sprawy. Nie wiem tylko po co. Ani dlaczego.

- Wrócimy do tego. Na razie rozważmy kwestie prawne. Przy załatwianiu kredytu nie widzę żadnych nieprawidłowości. Sprawdzimy to jeszcze raz. - Sięgnęła po cienką broszurę. - Obecnie o odpowiedzialności za wyłudzenie kredytu można mówić tylko w zakresie artykułu pierwszego tak zwanej ustawy o ochronie obrotu gospodarczego. Przepis przewiduje odpowiedzialność karną tego, kto - zaczęła czytać - „przedkłada fałszywe lub stwierdzające nieprawdę dokumenty albo nierzetelne, pisemne oświadczenia dotyczące okoliczności mających istotne znaczenie dla uzyskania takiego kredytu”. Dalej pan twierdzi, że wszystko jest w porządku?

- Dalej twierdzą, że nie było żadnych okoliczności ani dokumentów, „fałszywych lub stwierdzających nieprawdę”. Mam jeszcze jeden argument, teraz przyszło mi to na myśl -

widziała pani, że ta gwarancja bankowa jest odpowiedzią na pismo z polskiego banku, nawet nie była adresowana do dziadka. Niech pani zobaczy. - Wyjąłem z teczki kserokopię umowy i położyłem na biurku.

Oboje spojrzeliśmy jeszcze raz na dokument. Zaczynał się od słów: „W odpowiedzi na Wasze pismo z dnia...”.

- Rzeczywiście, to jest pismo stanowiące odpowiedź, skierowane do polskiego banku. Zachodzi zatem tylko jeszcze jedna możliwość: jeden z paragrafów tego przepisu, który czytałam, mówi o odpowiedzialności za - zerknęła do broszury - „udzielenie korzyści majątkowej osobie przyznającej kredyt”, czyli po polsku łapówkę.

- Wtedy chyba mówilibyśmy o łapówce, a nie wyłudzeniu kredytu. I zawsze muszą być dwie osoby: jedna daje, druga bierze. Jakoś nie słyszałem o żadnej drugiej osobie.

- Nic więcej nie wiem. Nie umiem nic panu doradzić. Myślę jednak, że należy zabezpieczyć wszystkie dokumenty dotyczące warsztatu: dowody własności, zakupu, umowy. W ogóle wszystko. Jeżeli będą chcieli, damy im kserokopie, w najgorszym wypadku dokumenty potwierdzone przez notariusza; żadnych oryginałów.

- Mam pytania, ale natury ogólnej. Mieszkam w Chicago i tam się wychowałem. Z pewnością wie pani, że tam jest znacznie więcej przestępców niż tutaj. U nas jednak nie spotyka się takiej podejrzliwości, jaką prezentował ten prokurator. Czy to u niego normalne?

- Nie. Tak podejrzliwy był przy mnie po raz pierwszy.

- To dlatego, że jestem Amerykaninem czy też z powodu mojego związku z dziadkiem?

- Na moje wyczucie, w pierwszej kolejności chodzi o pańskie związki rodzinne. Możliwe, że obywatelstwo ma tu też coś do rzeczy.

- A więc sprawa kredytu to tylko pretekst. Chodzi o coś innego.

- Tak. - Zastanawiała się przez chwilę. - To prawdopodobne. Ten zarzut, jak widać, nie ma żadnego oparcia w faktach.

- Macie w Polsce takie coś, co nazywamy domniemaniem niewinności? - pytałem dalej.

- Mamy. Tylko funkcjonuje inaczej niż w Stanach. Po pierwsze, stosuje je prokurator, przynajmniej na tym etapie, i to prokurator ocenia, czy dowody są wystarczające. Widzi pan, w naszym prawie pojawiły się pewne nowe trendy. Jako prawnik wie pan, że prawo, szczególnie w krajach demokratycznych, obowiązuje bezwzględnie, to znaczy bez względu na osobę i okoliczności. Tymczasem niedawno, może rok temu, jeden z warszawskich profesorów prawa, powiedzmy, że nie pamiętam w tej chwili nazwiska, tak jakoś na ef, na żądanie naszego pierwszego po przemianach prezydenta jako autorytet naukowy sporządził uzasadnienie, że prawo ma charakter względny! Sama widziałam to wystąpienie w telewizji! Niewiarygodne,

ale tak było! Oczywiście skończył się w oczach środowisk prawniczych. Ale to zupełnie nikomu nie przeszkadza! Politycy powołują się na tę „opinię naukową” - podkreśliła cudzysłów, krzywiąc się ze wstrętem - a dziennikarze dalej tego człowieka przywołują jako „autorytet naukowy”!

- Zmienimy taktykę - powiedziałem. - Pójdzie pani w poniedziałek do prokuratury. Myślę, że ten kredyt to tylko pretekst. Proszę ustalić, o co chodzi w rzeczywistości.

Zostawiłem jej pięć tysięcy zaliczki na honorarium i kserokopię umowy. Mieliśmy się spotkać w poniedziałek wieczorem. Wyjaśniłem jeszcze, że to nie ja wybierałem Zdrojewskiego, ale zobaczę się z nim w poniedziałek rano. Może on coś zdiagnozuje, może coś się do poniedziałku wyjaśni. Dalej chcę zobaczyć się z dziadkiem; jeżeli nie dadzą zgody, niech idzie na rozmowę sama.

Było już po pierwszej. Wróciłem do hotelu. Po drodze znowu złapała mnie mżawka. Oddałem wilgotny garnitur do odprasowania. Pistoletu nikt nie ruszał, przełożyłem go wraz z tłumikiem do sportowego ubioru. W restauracji na dole zamówiłem lunch. Mogłem liczyć na gościnność Bolesława, ale chciałem jeszcze raz spokojnie przemyśleć sytuację.

Nic sensownego jednak nie wymyśliłem. Wysłałem tylko do banku do Chicago faks. Prosiłem o potwierdzenie, że gwarancja jest aktualna, i odpowiedź na dwa adresy: do mnie do hotelu i do ambasady na ręce Waltera Bronsona. Sprawę mogło ułatwić to, że miałem konto w tym samym banku.

Przed trzecią byłem u Bolka. Tym razem zostawiłem samochód przed domem. Wszedłem do środka i poprosiłem, by zebrali wszystkie dokumenty dotyczące sprawy. Bolesław zadzwonił po Marcysia, który miał go zastąpić w pilnowaniu, potem zaczął zbierać dokumenty. Robił to niezbyt chętnie. Uważał, że chronił je dobrze do tej pory i nie ma potrzeby gdzieś ich przenosić. Z trudem udało mi się go przekonać, że trzeba zrobić ich kserokopie, a więc zabrać z warsztatu. Papierów nazbierało się sporo, cała duża, wypchana teczka. Zamknąłem ją w bagażniku.

Nadjechał Marceli. Zanim odjechaliśmy, Marek zamknął w warsztacie jego białego opla.

W drodze opowiedziałem o wizycie u prokuratora. Bolesław posmutniał. Bardzo liczył na to, że nota protestacyjna ambasady odniesie natychmiastowy skutek. Gwoli prawdy ja też na to liczyłem. Byłem pewny, że z Lublina wrócę do nich z uwolnionym już dziadkiem.

Nie udało się.

Zatrzymaliśmy się przed niewielkim domkiem prawie w centrum miasta. Dookoła wznosiły się okropne wielopiętrowe bloki. Cicha uliczka w centrum dużego osiedla mogła kiedyś leżeć na skraju miasta, ale musiało to być dawno temu.

- Ten dom należy teraz do Marcysia. Przeprowadziliśmy się z Alą, znaczy moją żoną, do tego mniejszego przy warsztacie już z piętnaście lat temu. Tu został Marceł z rodziną - wyjaśnił Bolesław, wysiadając.

Poznałem Hanię, żonę Marka, córkę Bolesława. Zażywna, roześmiana czterdziestolatka z szopą kręconych brązowych włosów. Była tak różna od poważnego i stale zasępionego Marka, że chyba uzupełniali się przez kontrast. Ich dzieci, dwoje nastolatków, po przywitaniu zniknęły w głębi domu. Nie zapamiętałem ani ich, ani ich imion.

Żona Marcysia była jego damskim wydaniem. Tleniona blondynka, zaszuszone, bezbarwna, z przyklepionym na stałe ugrzecznionym uśmiechem, w nieokreślonym wieku. Istniała niezauważalnie. Poza paroma słowami powitania nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Babcia Alicja. Od razu tak się kazała nazywać. Wyższa od pozostałych kobiet, szczupła, ciemne szpakowate włosy zwinięte w kok, patrzyła na świat szeroko otwartymi niebieskoszarymi oczami. Była urodziwa mimo wieku, jednak pierwszym określeniem, które nasuwało się na jej widok, było słowo „szlachetna”. Po chwili doszedłem do wniosku, że jeżeli mogę którąś ze znanych mi kobiet obdarzyć mianem „matrona”, to jest nią tylko babcia Alicja - matrona polska. Bez trudu można było sobie wyobrazić, jak ukrywa powstańców, lecz rannych, walczy cicho, uparcie i nieustępliwie z okupantem.

Weszliśmy do jadalni. Duży stół uginał się pod różnorodnymi zimnymi zakąskami.

- Nie będziemy czekać na Basię, naszą najmłodszą - zwrócił się do mnie Bolesław. - Siadamy do stołu. Basia obiecała, że przyjedzie na szóstą, ale z nią nigdy nic nie wiadomo. - Odsunął dla mnie krzesło po swojej prawej stronie.

Rozmowy przy stole zdominował problem dziadka Andrzeja. Opowiedziałem o wizycie w prokuraturze i rozmowach z adwokatami. Wypiliśmy za zdrowie dziadka Andrzeja i jego szybki powrót do domu znakomitą wytrawną nalewką Bolesława. Przy okazji wysłuchałem, jak sporządzić taką nalewkę na korzeniu dzięgiela.

- A jak Andrzej do nas wróci, to popróbujecie i innych moich nalewek - obiecał rozochocony Bolesław.

Babcia Alicja przyniosła czerwony barszczyk w filiżankach. Wybiła siódma i w tym momencie w drzwiach jadalni stanęła śliczna ciemnowłosa dziewczyna. Dużo młodsze wydanie babci Alicji. Ta sama szlachetność w wyglądzie, ale nic z matrony. Krótkie ciemne

włosy, dyskretny makijaż, takie same szeroko otwarte niebieskoszare oczy. Kremowy kostium z jedwabnej surówki podkreślał delikatną brzoskwiniową opaleniznę.

Bizneswoman. Wniosła ze sobą dyskretny zapach perfum Obsesion.

Mój entuzjazm na widok ślicznej kuzynki wzmocniły trzy kieliszki wypitej nalewki. Udało mi się ją wyciąłować, ale podjęciu rozmowy przeszkodził dzwonek telefonu. Marek zawiadamiał, że pojawiła się policja z nakazem rewizji.

Pojechaliśmy we trójkę czerwoną corsą Basi. Bolesław był w wojowniczym nastroju. Każde z nas po kolei czytało uważnie postanowienie prokuratora o przeszukaniu, którego celem miało być znalezienie dowodów przestępstwa. Na moje pytanie, czego faktycznie szukają, dowodzący odparł, że dokumentów.

Policjantów było z dziesięciu, może więcej. Kilku w mundurach, reszta w cywilu. Dobrze, że było nas pięcioro i mogliśmy im wszystkim patrzeć na ręce. Zaczęli od wezwania Bolesława do wydania dowodów przestępstwa.

- Żadnych przestępstw nie popełniłem i nie popełniam, to i żadnych takich dowodów nie ma - buńczucznie ogłosił dziadek.

Rewizję zrobili bardzo szczegółową - nie było półki, której zawartości by nie przewrócili, szuflady, z której wszystkiego nie wysypali, szafy, do której nie zajrzeli. Szukali w kieszeniach ubrań i płaszczy, pod meblami i za nimi, wszędzie, gdzie można by ukryć choć skrawek papieru. Zebrali na stole w jadalni jakieś dokumenty, przy których spisywaniu pozostawiliśmy Basię. Teraz wszyscy przeszliśmy do warsztatu.

Biały opel Marcysia wzbudził emocje policjantów. Chyba mieli nadzieję, że jest kradziony. Każdy z nich po kolei oglądał z niedowierzaniem dowód rejestracyjny samochodu. Zdenerwowany Bolesław powiedział, że syn może trzymać samochód, gdzie mu się podoba, choćby i na dachu.

Rewizję skończyli o drugiej w nocy, ale jeszcze przez godzinę musieliśmy się użerać, żeby nie plombowali domu, bo jest zamieszkanym, warsztatu, bo jest używany, i nie zabierali samochodu do sprawdzenia, bo jest potrzebny.

Ostatecznie stanęło na tym, że zalepili paskiem papieru wrota warsztatu po wyprowadzeniu z niego samochodu Marcysia. Najwyraźniej nie uznali za konieczne plombowania drzwi z tyłu, z czego wywnioskowałem, że chodziło raczej o zabezpieczenie maszyn, których dane wpisali przedtem do protokołu, a nie o uniemożliwienie dostępu do nich.

Basia odstawiła mnie do hotelu przed czwartą rano. Zostałem na chodniku, z kartką, na której zapisała lubelski adres, gdzie zostawiłem samochód, i numer telefonu Marcelego. Nie zamawiałem budzenia. Postanowiłem się wyspać.

Niedziela - dzień szósty

Wyspałem się. Słońce znowu świeciło, powietrze było rześkie.

Przy obfitym angielskim śniadaniu zastanawiałem się nad tym, co mnie spotkało w Polsce. Przypomniałem sobie, że nie wiem, co z kieleckich wydarzeń przeniknęło do prasy. Zagarnąłem z recepcji wszystkie dostępne gazety i przejrzałem je przy porannej kawie. Żadnych informacji o strzelaninie w Kielcach ani zdarzeniach z udziałem sąsiadów zza wschodniej granicy. Moi przyjaciele nie ujawnili się.

Pojechałem taksówką po samochód. Stał, jak go pozostawiłem. Nie dostrzegłem ruchu wewnątrz domu, postanowiłem zajrzeć tu później. Na pewno wszyscy poszli spać dopiero rano.

Wróciłem do hotelu i poprosiłem o uruchomienie kserokopiarki. Zrobiłem kopie wszystkich dokumentów, potem teczkę z oryginałami umieściłem w hotelowym sejfie. Nie miałem ochoty na lunch. Pojechałem do Bolesława.

W domu była również babcia Alicja. Sprzątała po rewizji i wyglądała tak, jak gdyby przez całą noc usuwała jej skutki. Bolesław jeszcze spał, Marek też. Mieli pilnować warsztatu w nocy.

Babcia Alicja zrobiła nam dobrej, mocnej herbaty. Porozmawialiśmy przez kilkanaście minut o historii rodziny. Żadne z nas nie chciało mówić o ostatnich dniach, o dziadku i rewizji. Zostawiłem jeden komplet kopii zrobionych w hotelu, zapowiadając powrót nazajutrz, po wizycie w prokuraturze. Wróciłem do hotelu.

Poniedziałek - dzień siódmy

W poniedziałek za pięć dziewięta w eleganckim garniturze tkwiłem przed otwartymi drzwiami pałacyku prokuratury, czekając na adwokata Zdrojewskiego. Błękitne niebo upstrzone białymi obłoczkami zapowiadało pogodny dzień.

Zdrojewski spóźnił się nieznacznie. Podałem mu kopię noty. W milczeniu poszliśmy znanymi mi już schodami, tym razem na drugie piętro. Lakierowane drzwi z tabliczką obok. Weszliśmy. Niewielki gabinet. Biurko zwrócone bokiem do okna i przodem do drzwi, na blacie kilka tomów akt. Za biurkiem siedziała kobieta - matowe, mysiego koloru włosy w wypracowanych skrętach okalały mocno wymalowaną twarz i opadały na ramiona okryte ażurową bluzką, spod której prześwitywał brudnobiały biustonosz. W powietrzu unosił się mocny, duszący zapach tanich perfum.

Widok i zapach zatrzymały mnie w drzwiach.

Pachnący luksusową wodą po goleniu, wystrojony w świeżutką białą koszulę i kremowe spodnie mecenas Zdrojewski w lansadach zbliżał się do biurka.

- Widok pani prokurator w poniedziałek rano zapewnia mi szczęśliwy tydzień - rozpoczął.

Kobieta wyciągnęła przez biurko dłoń ozdobioną zjadliwie czerwonymi paznokciami, do której Zdrojewski natychmiast się przyssał. Rozległ się brzęk wielu plastikowych bransoletek. Pani prokurator zatrzepotała rzęsami, krwistoczerwone wargi obnażyły w uśmiechu żółtawe zęby. Uśmiech miał być zabójczy i zniewalający. Podniosła na mnie bure oczy.

- Pani prokurator pozwoli sobie przedstawić: Antoni Komecki, prosto ze Stanów - pospieszył z wyjaśnieniem mecenas. - Przyleciał specjalnie w sprawie tego nieszczęsnego staruszka.

Głęboki wdech pomógł mi opanować wrażenie. Skłoniłem głowę. Otwarte drzwi zapewniały przeciąg i pozwalały oddychać w pokoju wypełnionym zapachem jej perfum i kosmetyków.

- Naprawdę?

Przeciągłe „aaa”, kolejny „zniewalający” uśmiech.

- Naprawdę. Poza tym nasz ambasador złożył notę protestacyjną w związku z aresztowaniem.

- Naprawdę?!

Tym razem przeciągłe „aaa” zawierało ślady zdziwienia.

- Tak. Mecenas Zdrojewski ma te dokumenty. Łącznie z potwierdzeniem, że nota wpłynęła do ministerstwa.

- Doprawdy, po co to zamieszanie.

Wstała zza biurka. Spódniczka była wąskim paskiem materiału, rozciętym na wysokości kości biodrowej. Odór perfum nabrał intensywności.

- Mieliśmy rano telefon z ministerstwa. Mówiłam mecenasowi Zdrojewskiemu, że wystarczy kilka tysięcy dolarów. - Tym razem na obliczu pani prokurator rozkwitł szeroki, „promienny” uśmiech. - Przygotowałam już postanowienie o uchyleniu aresztu. Chodźmy do sekretariatu.

Cofnąłem się na korytarz. Znacznie więcej powietrza, i to świeżego.

Wyszła za mną, Zdrojewski na końcu. Wyprzedzili mnie, adwokat wciąż pochylał się w jej stronę, rozmawiali półgłosem. Zeszliśmy do sekretariatu, ja jednak pozostałem przy schodach. Po kilkunastu minutach oczekiwania z sekretariatu wyszedł Zdrojewski. Podał mi dokument i wyjaśnił, że na jego podstawie dziadek zostanie zwolniony z aresztu natychmiast, muszę tam tylko po niego pojechać. Na pożegnanie powiedział:

- Jest mi pan winien za te czynności dzisiaj. To zamieszanie było rzeczywiście niepotrzebne. Gdyby pański dziadek wyasygnował kilka tysięcy dolarów, nie byłoby aresztu. Czekam po szóstej w gabinecie.

Postanowiłem pozostawić te kwestie do wyjaśnienia na później. Teraz musiałem pojechać po dziadka. Kupiłem plan miasta i bez problemu trafiłem do miejskiego więzienia. Czekałem na zwolnienie dziadka prawie trzy godziny.

Objąłem go w milczeniu, gdy tylko pojawił się w drzwiach. Byłem szczęśliwy.

Dziadek też był szczęśliwy. Wszelkie wyjaśnienia odłożyliśmy na później, w gronie rodzinnym. Teraz napawaliśmy się swoją obecnością w skupionym, spokojnym milczeniu. Tak dojechaliśmy do warsztatu. Dochodziła druga.

Nasz wspólny przyjazd wywołał oczywiście dużo radości i pytań, na które nikt nie oczekiwał odpowiedzi. Dziadek oznajmił, że najpierw musi się wykapać, i poszedł do swojego pokoju. Usiedliśmy przy stole w kuchni, gdzie krzątała się babcia Alicja, pragnąc koniecznie przygotować Andrzejkowi „coś smacznego”. Rozmowa toczyła się bezładnie. Bolesław przerzucał się z Markiem strzępami znanych tylko im wspomnień. Od czasu do czasu kilka słów dorzucała babcia. Przed każdym z nas stała szklanica znakomitego, chłodnego piwa. Gasilem pragnienie w milczeniu.

Dziadek zszedł wkrótce i też zażądał piwa. Przyniósł swoje „więzienne” ubranie do wyrzucenia. Od razu powiedział, że było nieprzyjemnie, ale nikt się go w areszcie nie czepiał.

Przez cały ten czas nie rozmawiał ani z policjantami, ani z prokuratorem.

Codziennie domagał się takiej rozmowy i codziennie nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, jak gdyby zapomniano o nim. Dopiero trzeciego dnia jeden jedyny raz rozmawiał ze Zdrojewskim, który zaproponował, żeby dziadek przeniósł do polskiego banku cały majątek. Miało to zapobiec kłopotom z gwarancją bankową. Wtedy też podpisał mu pełnomocnictwo.

Przypomniałem, że musimy zadzwonić jeszcze dziś do chicagowskiego banku. Osiem godzin wyprzedzenia powodowało, że musieliśmy to zrobić o piątej po południu. Potem wizyta u adwokata - było parę kwestii do wyjaśnienia, a my nie mieliśmy czasu. W każdym razie ja nie miałem czasu. Jeszcze dziś powinienem skontaktować się z Walterem, a jutro miałem umówione spotkanie w Warszawie.

Szybko zjedliśmy znakomity obiad. W kuchni, co babcia Alicja uznała za warunki polowe. Potem pojechaliśmy do hotelu.

Tym razem to dziadek zasiadł przy konferencyjnym aparacie telefonicznym i przez łącza satelitarne błyskawicznie dostał połączenie z dyrektorem banku. Głośno mówiący aparat umożliwiał nam obu rozmowę z dyrektorem i słuchanie jego wypowiedzi.

Zaczął się od pretensji dyrektora, nazywanego przez dziadka Charlesem, że do zlecenia nie załączył uzgodnionego kodu. Przez chwilę miałem wrażenie, że dziadek Andrzej nie wie, o jakie zlecenie chodzi. W końcu ustalono, że dziadek zlecił przelew do Polski 500 000 dolarów, ale miał je w papierach wartościowych i nie nakazał ich sprzedaży.

Zarówno zlecenie, jak i podpis potwierdził polski bank. Tylko że dziadek nie dołączył uzgodnionego kodu - dlatego bank Charlesa zlecenia nie wykonał.

- Nigdy nie wydałem takiego zlecenia - stanowczo oznajmił dziadek - i cieszę się, że go nie wykonałeś.

- Ulżyło mi. Byłem pewien, że dzwonisz z pretensjami. Rozumiesz jednak, jesteśmy bankiem i te wszystkie zabezpieczenia mają swój sens.

- A możesz podać mi numer konta, na które miałem zadysponować ten przelew?

- Przyślę ci za chwilę faksem całą twoją dyspozycję, tam będzie numer konta. Mam nadzieję, że to nie skleroza.

- Prosimy jednak o potwierdzenie tej gwarancji. To ważne - wtrąciłem się.

- Wysyłam potwierdzenie dzisiejszą pocztą, udało mi się załatwić przesyłkę dyplomatyczną na Mr Bronsona. My, bankierzy, mamy swoje sposoby. Teraz mogę przesłać wam to potwierdzenie.

Stojący obok faks już drukował dokumenty z Chicago. Dziadek poprosił o chwilę przerwy i zaczął wydobywać z portfela różne karteczki. Jedną z nich porównał z przesłaną już w całości dyspozycją. Poczerwieniał ze wzburzenia.

- Numer konta, na które miałeś przysłać pieniądze, to nie moje konto - bardziej krzyknął, niż powiedział. - To nie jest również konto Bolesława.

- Miałem przesłać pieniądze dla kogoś innego?! Dla kogo? Oni ci chcieli ukraść te pieniądze?! - wykrzykiwał Charles. - Przecież potwierdził to bank, polski, ale bank! Jesteś pewien, że to nie skleroza?!

- Przez ostatnich kilkanaście dni nie miałem szansy nabawić się sklerozy! Chyba przylecę do Stanów po ten dokument - uciął dyskusję dziadek.

Rozmowa zakończyła się już spokojniej, choć obaj rozmówcy nie uspokoili się jeszcze całkowicie. Opuściliśmy salę konferencyjną, zabierając przesłane fakсы.

Wzburzony dziadek Andrzej zażądał podwójnej whisky i usiadł z nią w barku, badając nieprzerwanie przesłaną faksem dyspozycję. Towarzyszyłem mu milcząco w tym wzburzeniu; też chciałem dokładnie obejrzeć faks. Miałem swoje podejrzenia.

Podwójny scotch popity wodą mineralną złagodził wzburzenie dziadka. Mogłem ponownie obejrzeć dyspozycję.

- Przypomnij sobie. Kiedy i co podpisywałeś w ciągu ostatnich kilkunastu dni, powiedzmy na dwa dni przed aresztowaniem i później - zadałem pierwsze pytanie.

- Cały czas coś podpisywałem, to znaczy, jak mnie aresztowali. Każdą kartkę podpisywałem - burknął.

- Ale te kartki były zapisane. Chodzi mi o to, czy podpisałeś pustą kartkę papieru - kontynuowałem.

- Tylko temu adwokatowi podpisałem pustą kartkę. Jak był u mnie w więzieniu. Miał na niej wypisać pełnomocnictwo, żeby mnie bronić. Palcem mi pokazał, gdzie mam podpisać.

Ponownie obejrzałem faks dyspozycji.

- Widzisz, ta twoja dyspozycja składa się z dwóch kartek. Pierwsza - pokazałem na faks - to druk wypełniony na maszynie: numery kont, nazwy i numery banków. Twój podpis jest na drugiej kartce, pod konkretnym poleceniem. Ta druga kartka to nie jest część druku. Ona była czysta, pusta. Zawiera tylko twoje polecenie z twoim podpisem oraz pieczętkę tutejszego banku z jakimś podpisem. Dyspozycja została wypisana na maszynie.

Dochodziła siódma; zbliżała się pora kolacji. Dziadek chciał wrócić do Bolesława, ja jednak musiałem wcześniej zadzwonić do Waltera. Zobowiązał mnie do stawienia się rano w

ambasadzie. Przez kilka najbliższych dni miałem obowiązki zawodowe. Uzgodniliśmy, że wrócę dziś w nocy i będę spał w hotelu Sokołowski.

Scott do końca tygodnia z tych obowiązków został zwolniony.

Jeszcze tylko telefon do Zdrojewskiego, że nie mogę się z nim spotkać, i telefon do Bury. Wiedziała, że dziadek został zwolniony i nawet była już w banku. Nie chcieli z nią rozmawiać. Umówiłem ją z dziadkiem na jutro. Musieli razem iść do banku z faksem potwierdzenia gwarancji. Uważała, że to wystarczy do wycofania przez bank zawiadomienia o rzekomym wyłudzeniu kredytu, co powinno zakończyć sprawę dziadka.

Zatrzymałem pokój w hotelu i zabrałem bagaże. W hotelowym sejfie zostawiłem dokumenty. Odwiozłem dziadka do Bolesława i zjadłem z nimi szybką kolację. Znowu nie miałem czasu. Obiecałem, że przyjadę w końcu tygodnia.

Po północy odbierałem w warszawskim hotelu kartę-klucz do pokoju. Przed wejściem kręciło się kilka kobiet wiadomej profesji, w cieniu stali ich opiekunowie. Wyglądało na to, że kilkanaście metrów, które przeszedłem z walizką ze strzeżonego parkingu do hotelu, były w Warszawie równie niebezpieczne jak w gorszych dzielnicach Chicago.

Hotelowy bar był obłożony, nie miałem co marzyć o herbacie; z trudem udało mi się kupić dwie butelki wody mineralnej. Barman preferował inny rodzaj drinków. Nawet w holu recepcji dwóch ciemnowłosych mężczyzn rozmawiało nad szklankami z alkoholem.

Drzwi pokoju zamknąłem starannie na wewnętrzną zasuwkę i łańcuch. Dodatkowo podstawiłem krzesło pod kłamkę. Dopiero potem zdecydowałem się skorzystać z prysznica, ale zabrałem ze sobą odbezpieczony pistolet, który umieściłem pod ręcznikiem w zasięgu ręki. Walter nie powiedział mi, czy coś wyjaśnił w sprawie wydarzeń na Kubusia Puchatka, a ja pamiętałem o pozostawionych tam śladach kul.

Nikt nie atakował Scotta, ale to nie znaczyło, że nie zaatakuje mnie, szczególnie jeżeli wiedział, że Scott mnie zastępuje. Niewielkie rozmiary przedpokoju oraz fakt, iż drzwi do łazienki otwierały się na zewnątrz, umożliwiły wzmocnienie krzesła otwartymi drzwiami łazienki, które podparłem drugim krzesłem, zaklinowanym w drzwiach łazienki. Ciche otwarcie, a nawet uchYLENIE drzwi stało się niemożliwe.

Tej nocy zasypiałem z pistoletem pod poduszką. Nad ranem ktoś próbował otworzyć drzwi. Hałas obudził mnie i najwyraźniej spłoszył jego sprawcę. Kilkanaście minut siedziałem z pistoletem w ręce, nikt jednak nie ponowił próby wejścia do pokoju, przespałem więc względnie spokojnie pozostałe do siódmej dwie godziny.

Wtorek - dzień ósmy

Do ambasady pojechałem taksówką. Postanowiłem jak najdłużej trzymać w tajemnicy fakt, że mam swój samochód. Z informacji udzielonych przez recepcjonistę wynikało, że wypożyczenie samochodu było tu skomplikowane i wymagało bardzo wielu formalności, co umożliwiało szybkie i bezbłędne namierzenie takiego pojazdu.

Tym razem wszedłem przez bramę wjazdową. Nie musiałem przedzierać się przez tłum interesantów. Babs przywitała mnie życzliwym uśmiechem i natychmiast otworzyła drzwi gabinetu Waltera. Nie dała mi szansy wspomnienia o umówionej kolacji. Dopiero w obecności Waltera zapytała, czy przynieść mi kawę. Jej szef zaakceptował propozycję w moim imieniu, a zwracając się do mnie powiedział:

- Czekaj nas kilka godzin pracy. Trochę kofeiny obu nam nie zaszkodzi.

Czekając na kawę, opowiedziałem o perypetiach z dziadkiem. Na końcu w kilku zdaniach zdałem też relację ze spotkania i potyczki z zagranicznymi podróżnikami. Walter dwukrotnie upewniał się, że było to spotkanie przypadkowe. Na końcu powiadomiłem go, że w nocy ktoś próbował dostać się dyskretnie do mojego pokoju. Tę informację Walter przyjął w milczeniu.

Zaplanowane dla mnie na dzisiaj zajęcia nie były specjalnie absorbujące, ale wykluczały kolację z Babs. Jutro natomiast miałem zajęty cały dzień i zależnie od jego przebiegu musiałem planować następne posunięcia.

Dzisiaj miałem otwarcie wystawy w stojącym w centrum Warszawy rosyjskim torcie, który nazywano Pałacem Kultury. Reprezentowałem Holder SA, która produkowała niewielkie podzespoły, montowane w telewizorach i monitorach. Walter wręczył mi rozszerzony opis produktu. Musiałem się tego nauczyć i zrozumieć, żeby umieć odpowiadać na ewentualne pytania.

Kierownikiem naszego stoiska był Scott, specjalista w tej dziedzinie - w razie potrzeby mógł się wdać w szczegółowe wyjaśnienia techniczne. Do niego miałem odsyłać zarówno maniaków technicznych, jak i ewentualnych klientów. Ja zajmowałem się rozmowami handlowymi i do pomocy dostałem Babs jako asystentkę.

- Otwarcie wystawy nastąpi o drugiej po południu. Scott teraz - Walter spojrzął na zegarek - kończy organizowanie stoiska. Na otwarcie pójdziesz z Babs. Wysłuchacie przemówień i wypijecie po kieliszku szampana. - Wręczył mi plakietkę identyfikacyjną. - Potem musisz pozostać przy stoisku, aż zgłosi się do ciebie człowiek z hasłem.

Jako część hasła otrzymałem połówkę wymyślnie przeciętej karty kredytowej.

- Jesteś normalnym handlowcem i prowadzisz rozmowy handlowe - kontynuował Walter. - Traktuj to poważnie. Sprzedajesz według cennika, który dostałeś. Ceny na ten rynek są nieco wysokie, nie martw się, jak nic nie sprzedasz. To tylko takie rozeznanie.

- A jeżeli trafię na upartego kontrahenta i będzie chciał kupić? - zapytałem.

- To mu sprzedasz. Spółka się nie zmartwi, faktycznie produkuje te części. Jakbyś miał, w co wątpię, rzeczywiście kogoś zainteresowanego, to odroczysz rozmowy. Przyślą kogoś.

- Jak długo mam siedzieć w tym pałacu?

- Wystawa trwa trzy dni, no, właściwie dwa i pół. Ty siedzisz tam tylko do czasu, aż zgłosi się łącznik. Potem wszystko poprowadzi Scott. On słabo mówi po polsku. - Walter się uśmiechnął. - To będzie zniechęcać.

- Wyjaśniłeś, co z tym systemem bezpieczeństwa na Kubusia Puchatka? Na wystawie będą mogli do mnie strzelać jak do kaczki.

- Nie martw się. To wystawa amerykańskich producentów. Całość zabezpieczają nasi ludzie. Za plecami będziesz miał zresztą Scotta. No i Babs - dodał po chwili. - O siódmej masz koktajl w ambasadzie. Zaraz po spotkaniu z łącznikiem jedziesz do hotelu przebrać się w smoking. Przyjdzie człowiek, którego poznałeś tu kilka lat temu. My też się tu spotkamy.

- Co ustaliłeś w sprawie systemu bezpieczeństwa? - nie ustępowałem.

- Nic nie ustaliłem - odpowiedział ze zniecierpliwieniem. - To mógł być przypadek. Kilka dni przed twoim przyjazdem był tam elektryk, bo coś wysiadło. Poplątał kable i do nas cały czas dochodził zielony sygnał.

- Nie wierzę w takie przypadki - warknąłem. - Odpowiedz mi na dwa pytania. Po pierwsze, ile dokładnie dni przed moim przyjazdem zdarzyła się ta awaria, i po drugie, od kiedy wiedziałeś, że przylecę, no i kto jeszcze o tym wiedział.

- To trzy pytania - zauważył Walter. - Poczekaj - sięgnął do najniższej szuflady - zrobiłem tu takie podsumowanie.

Kilka kartek wypełnionych jego drobnym pismem wylądowało na blacie biurka.

- Ustaliłem, że wszystkie kolejne ekipy widziały to samo. Twój system bezpieczeństwa miał stały zielony sygnał. Informacja, czy drzwi są otwierane, czy zamykane, też działała. Wiedzieli, kiedy mieszkanie jest puste. Uważam, że mówią prawdę. To są kilkuosobowe ekipy i mają nadzór nie tylko nad tym mieszkaniem. Nie jest możliwe, żeby wszyscy kłamali albo byli w zmowie. Poza tym zmiany działają w różnych składach osobowych. Nie mieli z tym nic wspólnego.

- Rozumiem, że wykluczyłeś tych kilkadziesiąt osób z ochrony - powiedziałem zachęcająco. - Co dalej?

- Awaria elektryczna była - zaczął szukać w notatkach - trzy dni przed twoim przylotem. O tym, że przylecisz, ja już wiedziałem i nasi ludzie też. Musieliśmy przygotować kilka rzeczy.

- Kto wezwał elektryka?

- Scott. To mieszkanie kontaktowe, nie używaliśmy go stale. Wysłałem go wtedy, żeby sprawdził, jak wygląda - z namysłem odpowiedział Walter. - Stwierdził, że coś tam w elektryczności nie działa.

- I wezwał naszego elektryka?

- Nie, zawiadomił kierownika technicznego ambasady.

Teraz Walter już zdecydowanie niechętnie odpowiadał na moje pytania.

- To w końcu kto wezwał tego elektryka?

Mój rozmówca wyraźnie nie chciał lub nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Zajrzał do notatek, kilkakrotnie przełożył je, szukając jakiegoś zapisu.

- Scott powiadomił kierownika technicznego i mnie. Techniczny powiedział, że wyśle tam kogoś następnego dnia. Ja sobie o tym przypomniałem tuż przed wyjściem z biura. Rozmawiałem z zastępcą i też mi powiedział, że wyśle tam kogoś nazajutrz. Obaj zanotowali nasze zamówienia w książce dyżurów. Z zapisów wynika, że byli tam dwaj różni elektrycy, ale niczego nie naprawiali, bo żadnej awarii nie było. - Walter zawiesił głos. - Scott natomiast mówi, że elektryk był przy nim i coś tam naprawiał.

- To wszystko? - Postarałem się, by pytanie zabrzmiało jadownicie.

- Tak. Nawet nie mamy pewności, że to poplątanie z kablami było wtedy. Po prostu pożar to ujawnił. Możesz jeszcze porozmawiać ze Scottem. Będziesz miał okazję. Nie mogę też wykluczyć, że to któryś z naszych spieprzył i teraz nie chce się przyznać.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza. Szybki lunch i do roboty. Walter też spojrzał na zegarek i podniósł się.

- Życzę powodzenia. Jedziesz z Babs naszym samochodem. Potem możesz go sobie zatrzymać. Do zobaczenia.

Zjedliśmy z Babs w stołówce ambasady - po amerykańsku - średnio smacznie i niezbyt wykwintnie, ale dzień, który miałem przed sobą, nie zapowiadał czasu na obiad. Na otwarciu do musującego wina nazywanego tutaj szampanem może dołożą trochę krakersów. Koktajl w ambasadzie to głównie drinki, a jak będę miał szczęście, to wywalczę kilka maciupkich tartinek. Trudno przeżyć na takiej diecie.

Babs prezentowała się bardzo elegancko w granatowej letniej garsonce i jasnoniebieskiej bluzce. Jej szare oczy zabarwiły się błękitem. Dyskretny makijaż i świetna

fryzura uzupełniały obraz kobiety pięknej i wytwornej. Dziś również pachniała indian summer. Zamiast torebki niosła elegancką teczkę z granatowej skóry. Idealny obraz kobiety interesu. Przy wsiadaniu do samochodu zauważyłem, że luźny zakiet przykrywa przypiętą na biodrze kaburę. Byliśmy przygotowani na wszystko.

Wysiedliśmy z samochodu na parkingu zarezerwowanym dla uczestników wystawy. Schowałem do kieszeni kluczyki i dokumenty samochodu. Zamocowaliśmy identyfikatory. Babs prowadziła, byłem tu pierwszy raz. Przy wejściu do sal wystawowych sprawdzano identyfikatory i listę zaproszonych. Te środki bezpieczeństwa mogły powstrzymać wyłącznie amatorów darmowego szampana. Za dwie godziny do tych sal mógł wejść każdy.

Stoisko Holder SA nie wyróżniało się niczym. Na blacie leżało kilka elektronicznych części, które oferowaliśmy, i trochę kolorowych folderów. W głębi stały trzy telewizory i kilka monitorów; dwa podłączono do kamer - jedna skierowana była na wejście do sali, druga na zbliżających się do stoiska. Zakład, że filmowały wszystkich, do późniejszego użytku w Firmie, no i oczywiście udokumentowania wydatków.

Obok stoiska stał Scott w szarym garniturze, o ton jaśniejszym od mojego.

Przywitaliśmy się bez serdeczności z obu stron. Pokazując przyniesione od Waltera papiery, powiedziałem:

- Chciałbym się z tym zapoznać. Potem wytłumaczysz mi to, czego nie zrozumiałem.

Babs wprowadziła mnie za stoisko. Ogrodowy stół i cztery plastikowe foteliki, obok na podłodze soki i napoje. Tylna ścianka regału, na którym stały telewizory, z tej strony też była regałem. Stało na nim kilka szklanek i dwie paczki ciasteczek.

- Niebogato, ale my raczej niczego nie będziemy sprzedawać. Weź sobie soku. Zawołam, jak będzie zbiórka na otwarcie - powiedziała sucho Babs, stawiając pod ścianą swoją teczkę.

Była nieprzyjazna. Pewnie denerwowała się w roli mojego ochroniarza.

Usiadłem w niewygodnym foteliku.

Informacje o produkcie były dla mnie mało zrozumiałe. Holder SA produkowała coś, co było niezbędne, aby telewizor działał. To coś było niewielką płytką z kolorowymi okrągłymi i podłużnymi elementami. Uznałem, że do sprzedawania tych płytek nie musiałem o nich wiedzieć nic więcej, tym bardziej że szanse na kontrahentów były niewielkie. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Postanowiłem jednak pozostać na zapleczu i czekać na wezwanie Babs.

Wróciłem myślami do wyjaśnień Waltera. Wszystko mogło być przypadkiem.

Zastanawiała tylko zbieżność czasowa. O moim przylocie wiedziało wielu ludzi. Kto jednak wiedział, gdzie Walter mnie umieści? Na pewno Scott i prawdopodobnie Babs.

Nie wiem, czy Walter to sprawdzał. Istniała też inna możliwość. Walter mógł w tym samym czasie prowadzić również inną operację, w której wykorzystywał mieszkanie kontaktowe. Faktem jest, że ktoś odkrył i odciął instalacje.

Na otwarcie przyjechało dwóch wiceministrów. Na szczęście żaden nie miał oratorskich ambicji. Kilka zdań z lampką musującego wina, sakramentalne „Wystawę uważam za otwartą” i wszyscy rozeszli się do stoisk. Szybkie przejście oficjeli wzdłuż stoisk. Śpieszyli się na kolejne otwarcie, a może kończyli już urzędowanie. W każdym razie okazali się niekłopotliwi. Zabrali ze sobą połowę kręcących się po wystawie ochroniarzy. Pozostał tylko nasz personel, dyskretnie ustawiony na wprost stoisk, częściowo przesłonięty sztucznymi drzewkami, ustawionymi na wystawie w wielkiej obfitości. Za kilkanaście minut zaczęła wpuszczać ciekawskich.

Scott krzątał się, poprawiał ustawienie kamer, rozkładał dodatkowe foldery, starał się wyglądać na zajętego. Poprosiłem go na zaplecze.

- Pamiętasz, co szwankowało w mieszkaniu na Kubusia Puchatka? - zagadnąłem.

- Nie pamiętam, jakiś drobiazg. Chyba coś w kuchni, nie działała lodówka - odpowiedział, uważnie przyglądając się trzymanym w ręku prospektom.

Zajrzała do nas Babs.

- Scott, jest tu przedstawiciel firmy, która interesuje się naszymi podzespołami.

Musieliśmy wyjść na salę. Ja, by czekać na kontakt, Scott, aby udzielać informacji. Rozpiąłem guzik marynarki. Wziąłem do ręki plik folderów i rozdawałem przechodzącym. Starałem się dyskretnie obserwować wszystko. Gdyby ktoś chciał do mnie strzelać, wolałem widzieć go wcześniej. To, że kamery Scotta wszystko zarejestrują, zupełnie mnie nie pocieszało. Możliwość oglądania nagrań wideo w życiu pozagrobowym zawsze uważałem za mało prawdopodobną.

Babs widocznie wyczuła mój niepokój, gdyż wyszła ze swoimi folderami przed stoisko, zasłaniając mnie od tej strony, z której nadchodzili zwiedzający. Scott łamaną polszczyzną tłumaczył techniczne szczegóły naszemu pierwszemu gościowi. Zwiedzający zatrzymywali się czasem przy nich, chwilę słuchali, odchodzili. Wszyscy sięgali po prospekty. Olbrzymi, zwalisty mężczyzna mojego wzrostu, cięższy jednak co najmniej o dwadzieścia kilogramów, też przez chwilę słuchał wywodów Scotta, ale zwrócił się do mnie łamaną angielszczyzną:

- Po ile sprzedajecie te swoje produkty? I jak byłoby z dostawą? Jaki termin?

Brzuchem wypchnął mnie poza stoisko. Nie wyglądał na kupca. Czarny przepocony T-shirt, też czarne, pogniecione i powypychane spodnie, tenisówki na bosych stopach. Zdecydowanie popychał mnie brzuchem w kierunku sztucznych drzewek. Z bliska poczułem zapach potu i przetrawionego piwa. Ubranie rozmówcy wykluczało posiadanie broni, chyba że on sam był bronią. Babs stała plecami do mnie, zajęta rozmową.

Odwróciłem się do zielonej dekoracji, przekładając prospekty do lewej ręki. Byłem gotów - na spotkanie z łącznikiem albo strzelcem.

- Możemy rozmawiać po polsku, moja rodzina pochodzi z Polski - poinformowałem grubego, zatrzymując się zdecydowanie metr od drzewek.

- To dobrze. Taki jeden chce z panem porozmawiać. Ja tylko obstawa - powiedział twardo i powoli.

Zza gałązek dobiegł mnie głos mówiący po angielsku z obcym akcentem:

- Mr Toni. Jestem od Mohammeda. Ma zielony sztandar - wypowiedział to idiotyczne, ustalone przez nich hasło.

Odpowiedziałem jego drugą częścią. Nie widziałem twarzy mężczyzny, który mówił. Był chyba niewysoki, głos dobiegał z dołu. Spośród liści wysunęła się ciemna, drobna ręka; lewa ręka.

- Daj kartę.

Podąłem wymyślnie przeciętą kartę kredytową. Ręka zniknęła.

- W porządku. Jutro o dziesiątej zabierzemy cię z twojego hotelu. Jesteście podobni. Myślałem, że to ten drugi. Znał hasło, ale nie miał karty. Do jutra.

Gruby złapał mnie za łokieć i odwrócił twarzą do stoiska. Trzymał mnie mocno, abym nie mógł się odwrócić. Podeszliśmy do Babs. Wówczas puścił mnie i nagle odszedł. Powiedziałem Babs, że jadę do hotelu i spotkamy się w ambasadzie. Kiwnęła głową. Stanowczo była dziś mało komunikatywna.

Jeden z nadchodzących od wejścia mężczyzn zmierzał z uśmiechem wyraźnie w moim kierunku. Przez chwilę w popłochu usiłowałem przypomnieć sobie, kim jest.

Oczywiście, podkomisarz Bogdan Kępiński. Ten cholerny pożar!

- Byłem pewien, że zastanę tu pana. Pańska firma jest wystawcą. Zginął mi pan.

Mówił do mnie, ale patrzył na Babs.

Musiałem ich przedstawić. Powiedziałem, że dziewczyna pomaga mi w imieniu amerykańskiej ambasady. Obdarzył Babs kilkoma komplementami i wręczając mi swoją wizytówkę, zobowiązał do skontaktowania się z nim jeszcze w tym tygodniu. Znowu miałem napięty plan zajęć.

Z parkingu pod pałacem odjechałem spokojnie, ale przez cały czas starałem się zachować czujność. Czas pozwalał mi na zjedzenie obiadu. Skorzystałem z tego. Przed koktajlem ponownie się ogoliłem. W końcu reprezentowałem poważny biznes i dobra prezencja była moim obowiązkiem. Po namyśle zabrałem pistolet, postanawiając nie zapinać marynarki smokingowej.

Uciążliwy rytuał powitań, zawodowe uśmiechy organizatorów. Bronson, witający gości, musiał tkwić przy drzwiach co najmniej pół godziny.

Pierwszą osobą, na którą natknąłem się po przywitaniu, był Bill. W tradycyjnie czarnym smokingu, ozdobionym jakąś kolorową atłasową szarfą, sugerującą posiadanie europejskich odznaczeń, kręcił się za plecami Waltera, samozwańczo odgrywając rolę mistrza ceremonii. Tym razem zamiast fajki trzymał w lewej ręce kieliszek szampana i szczyrzył zęby do każdego wchodzącego. Ruchliwe, blisko osadzone oczka i drobne zęby w wąskiej twarzy czyniły go bardziej podobnym do gryzonia niż uśmiechniętego dyplomaty. Uznałem, że tym niby uśmiechem zostałem obdarzony przez pomyłkę i przeszedłem dalej, kiwając mu tylko z daleka na powitanie.

Krążąc z drinkiem w dłoni wśród gości, natknąłem się na Babs w jedwabnej zielonej sukni. Musiała mieć trochę czasu przed party - makijaż był mocniejszy, wieczorowy. Do zapachu indiańskiego lata dodała jeszcze jakiś, nieco cięższy. Była uśmiechnięta i rozluźniona.

- Nie dałaś mi dzisiaj szansy na przeprosiny i przełożenie kolacji - zacząłem ją.

- Przeproszać można zawsze, na to nie ma niewłaściwej chwili.

Uśmiechnęła się zalotnie znad kieliszka. Kolor sukni sprawił, że jej oczy zaśniły zielono.

- To znaczy, że zmieściłem się w terminie. Jeszcze raz przepraszam.

- I co z tą kolacją?

- Zaproszenie jest aktualne. Przez kilka najbliższych dni będę jednak zajęty. Może sobota?

- Niestety. Na weekend wyjeżdżam z przyjaciółmi nad tutejszy zalew. Wrócę dopiero w poniedziałek.

- W takim razie umówimy się później. Nie wiem, co Mr Bronson dla mnie zaplanował, ale na pewno będę częstym gościem w ambasadzie - zakończyłem rozmowę, widząc zmierzającego w naszą stronę Waltera. Jego masywna postać zasłaniała idącego za nim niewysokiego mężczyznę.

Jurek był znacznie grubszy niż przed ośmiu laty. Były suwnicowy poznał mnie jednak; pamiętał nasze pierwsze spotkanie. Wtedy był szczupły, a wytarte jeansy i flanelowa koszula w

kratę stanowiły jego strój wyjściowy. Dziś, w eleganckim smokingu, sprawiał wrażenie przebranego. Wrażenie pogłębiała sztuczna swoboda, z jaką rozglądał się po sali. Szeroka, krótkopalca dłoń trzymała kruchą szklankę, druga klepała mnie przyjaźnie po plecach.

- Kopę lat! Miło zobaczyć cię w nowej rzeczywistości - przywitał mnie o wiele za głośno.

- Też się cieszę - odparłem z uśmiechem i zwracając się do Waltera, zapytałem: - Znajdziesz dla nas jakiś kąt, żeby powspominać stare dzieje?

- Oczywiście. Zaprowadzę was do biblioteki i przyślę tam trochę zakąsek.

W zacisznym wnętrzu biblioteki czekały na nas klubowe fotele. Klimatyzacja cicho szumiała. Zaciągnięte zasłony i dwie zapalone stojące lampy sprawiały, że pokój robił wrażenie przytulnego i bezpiecznego.

Między dwoma fotelami w kącie przy drzwiach tarasowych stał niewielki stolik, do którego skierował się Walter z naszymi drinkami. Po chwili kelner przyniósł tacę tartinek. Otwarty barek z kilkoma rzędami oświetlonych butelek prezentował się całkiem, całkiem.

- Teraz zostawiam was samych. Jak się nagadacie, zamknijcie barek - powiedział Walter i wyszedł.

Mój towarzysz z westchnieniem ulgi opadł na fotel, odstawił pustą szklankę i natychmiast złapał pełną, którą przygotował Walter. Z uśmiechem na wpół pogardy, na wpół wyższości spojrzał na mój gin z dużą ilością toniku i lodu.

- Lubię was, Amerykanów, ale tych waszych drinków nigdy nie zrozumieję. Jak facet z jajami może pić coś takiego - prychnął. - Prawdziwy mężczyzna może wypić kielicha albo dwa wódki, no, ewentualnie whisky lub brandy, ale bez tych amerykańskich dodatków. To tylko psuje smak. Twoje zdrowie - wznosił szklankę do ust i pochłonął jednym haustem połowę.

Odwzajemniłem się, wznosząc swoje naczynie. Ginu akurat nie lubiłem i specjalnie prosiłem o niego, trudno bowiem zasmakować w trunku, którego się nie lubi. Jurek miał w swojej szklance prawie połowę butelki rzeczywiście dobrej polskiej wódki, z niezrozumiałych dla mnie powodów ochrzczonej imieniem kompozytora mazurków i nokturnów. Przez mgnienie zastanawiałem się, czy kolejne polskie wódki zostaną nazwane Kopernik i Curie-Skłodowska; to też w końcu znani powszechnie Polacy. Zajrzałem do barku, upewniając się, czy przy tym tempie nie zabraknie nam trunków. W barku, poza napoczętą butelką, stały jeszcze dwa chopiny. Powinno wystarczyć.

- Powiedz, chłopie, o co chodzi. Podobno macie jakiś interes - kontynuował Jurek.

- Tak, rzeczywiście chciałem prosić cię o pomoc w ważnej sprawie. Macie tutaj fabrykę, która produkuje kałasznikowy oraz wasze własne karabinki Beryl i pistolety Glauberyt - rozpocząłem.

- Jest taka, w Radomiu. To świetne miasto. Tam wszyscy walczyli z komuną, przez wiele lat, ba! przez kilka dziesięcioleci. A te nasze konstrukcje znakomite, światowy poziom!

- W tej fabryce produkują jeszcze maszyny do szycia i pisania, żeby ukryć tajną produkcję - kontynuowałem.

- Jaka tam tajna. Teraz mamy demokrację. Wszystko jest jawne. Za demokrację! - wznosił toast, opróżniając szklankę.

Dolałem mu wódki, a sobie toniku. Piliśmy prawie równo.

- No więc wy tę broń sprzedajecie każdemu, kto chce kupić - przyspieszyłem tempo rozmowy w trosce o trzeźwość rozmówcy.

Na Jurku jednak wypita wódka nie robiła wrażenia. Pochłonął tartinkę i wznosił ponownie szklankę do toastu.

- Sprzedawanie broni każdemu bez wyboru nie służy utrzymaniu pokoju światowego - powiedziałem, chcąc wyprzedzić następny toast.

- Za pokój światowy!

Wypiliśmy, każdy połowę swego drinka. Jurek pochłonął następną tartinkę.

- Wiemy, że broń z tej fabryki idzie przede wszystkim do komunistycznych band, które walczą ze swoimi rządami W Afryce i Ameryce Południowej. Kupują ją również Arabowie.

- Nie lubię kolorowych. Asfalty niech wracają do Afryki, a Arabowie to brudaszy; zgadzasz się ze mną? - zapytał poważnie, badawczo patrząc mi w oczy.

Przytaknąłem z całym przekonaniem, na jakie było mnie stać.

- No to na pohybel czerwonym - wznosił kolejny toast, opróżniając szklankę.

Powtórzyłem operację, sięgając do zapasowej butelki, aby uzupełnić szklankę Jurka. Zaczynałem mieć wątpliwości co do sensu prowadzenia rozmowy w tych warunkach.

- Masz rację. Nasza religia nie pozwala zabijać. W ogóle sprzedaż broni jest sprzeczna z nauką Kościoła. Zabijanie to grzech. To niezgodne z etyką katolicką. Nie powinniśmy sprzedawać jej brudasom i czerwonym - zadeklarował, wyciągając w moim kierunku krzepko trzymaną pełną szklankę. - Wypijmy za przyjaźń polsko-amerykańską.

Wypiliśmy.

- Więc rozumiesz, chodzi o to, aby w interesie pokoju światowego zatrzymać sprzedaż broni z tej waszej fabryki. Jak nie będą mieli czym walczyć, to nie będzie wojen, szczególnie tych domowych, które wyniszczają różne kraje. Rozpoczynają je głównie czerwoni.

- Rozumiem, to rzeczywiście poważny światowy problem. - Z rozwąga skinął trzykrotnie głową, przegryzając wypowiedź tartinką. - Czego wasz prezydent ode mnie oczekuje?

Przez chwilę pomyślał, iż jestem osobistym wysłannikiem prezydenta Stanów Zjednoczonych do Jurka, wydał mi się żartem. Na szczęście zanim pozwoliłem sobie na śmiech, spojrzałem w twarz rozmówcy. On to mówił poważnie! Spęczniał i zdostojniał w swoim fotelu, przybierając pozę jak do fotografii. Ręka z drinkiem na oparciu, druga swobodnie leżąca na kolanie, skupione spojrzenie - polityk w prywatnym zaciszu.

- Chodzi o to, by tę sprzedaż powstrzymać. Nie wiem, czy ty, czy wy możecie coś w tej sprawie zrobić.

- Dlaczego uważasz, że nie mogę tego powstrzymać? No, może trzeba będzie do tego kilku, ale oczywiście, że możemy. - Znowu trzykrotne skinienie głową. - To, że te czerwone popłuczyny mają teraz większość, nic nie znaczy. Obsadziliśmy swoimi ludźmi właściwe stanowiska. Głupi ludzie zagłosowali na czerwonych, ale rozumieją swój błąd. W następnej kadencji odzyskamy władzę. I już jej nie oddamy.

- Cieszę się, że rozumiesz, jak bardzo poważny jest to problem. Chciałbym wiedzieć, chociaż w ogólnych zarysach, jak chcesz to zorganizować - powiedziałem ostrożnie.

- No to teraz przystępujemy do interesów. - Odstawił szklankę na stolik. - Zamów dla nas kawę! - polecił.

Zamówiłem i nawet sam ją przyniosłem, pozostawiając rozmówcy chwilę do namysłu. Pokój wypełnił aromatyczny zapach kawy.

Szklanka Jurka była znów pełna, moja też. Obsłużył się sam. Spróbowałem. Mój drink też został uzupełniony wódką. Uznałem, że mogę sobie pozwolić na łyk alkoholu. Najtrudniejsze było już za mną.

- Powiesz panu prezydentowi, że to będzie kosztowało Stany jakieś dwa, trzy miliony dolarów. Chyba warto zapłacić takie małe pieniądze za pokój światowy - powiedział rzeczowo.

- Nie rozumiem - pozwoliłem sobie na niewielkie zdziwienie.

- Stany to wielki i bogaty kraj. W Polsce wprowadziliśmy kapitalizm, ale jesteśmy ubodzy. Ot, choćby ja; co mam za te lata walki? Nędzne kilkanaście tysięcy miesięcznie. Kapitalizm jest dla kapitalistów. Walczyłem dla nich, więc należy się, żebym też został kapitalistą.

- Ty te pieniądze chcesz dla siebie?

- No, niedokładnie. Będą koszty i sam nie dam rady. Trzeba się podzielić. Dlatego mówię około trzech.

- Nie mogę podejmować w tej sprawie decyzji. Przekażę twoje stanowisko. Tylko chciałbym więcej szczegółów. Rozumiesz, to za duże pieniądze do stracenia bez gwarancji.

- Jasne. Musimy się umówić za kilka dni, wtedy powiem, co i jak. Zadzwońię do Waltera. Teraz wracajmy na to party. Rozchodniaczka. - Jurek podniósł szklankę i opróżnił ją do dna, popił filiżanką kawy. - Do zobaczenia.

Pozostałem w bibliotece, kończąc drinka. Zamknąłem barek, co było sygnałem, że można zakończyć nagrywanie. Analizowałem rozmowę, popijając znakomitą, zupełnie nie amerykańską kawę.

Na salony wróciłem, gdy Walter, znów stojąc przy drzwiach, zęgnął swoich gości. Musiałem poczekać. Wróciłem do biblioteki.

Walter przyszedł z technikiem, który włączył na wideo nagranie przeprowadzonej z Jurkiem rozmowy. Obejrzeliśmy je przy przyzwoitych drinkach. Walter wybrał doskonałego ballantaina, ja ulubionego bisquita.

Zacząłem od kwestii, która mnie zastanawiała.

- Powiedz, czy te kilkanaście tysięcy miesięcznie to tutaj duże czy małe zarobki? - zapytałem.

- Jak na tutejsze warunki bardzo duże. Średnia pensja to kilkaset złotych. Kilkanaście tysięcy to mały samochód. No i trochę dużo chce za tę przysługę. Twój Jurek zrobił się pazerny - podsumował Walter.

- Uważasz, że on rzeczywiście może powstrzymać sprzedaż broni z Polski?

- Wszystko możliwe. Teraz wszystko jest tu możliwe. Nie ma żadnych reguł. No i nie wysłaliby cię tutaj, gdyby nie było możliwe. Ktoś to u nas analizował. Czy nasze zbrojeniowe lobby może dać te pieniądze?

- Owszem. Dali mi wolną rękę do pięciu milionów. Miałem się konsultować, gdyby chcieli więcej - powiedziałem.

- No to czekamy na przedstawienie planu. Mam tylko nadzieję, że nie wyprowadzisz go z błędu co do prezydenta.

- Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Rozumiesz przecież, że ta jego konfabulacja w niczym nie przeszkadza. To mu wzmacnia motywację. Zastanawiam się tylko, czy rzeczywiście musimy mu tyle płacić; może się potargować?

- Chyba, niestety, trzeba płacić. Nie widzę innej metody.

- Może by wykorzystać to, że współpracuje z nami od lat? Mamy przecież dowody, choćby z mojej poprzedniej wizyty tutaj. Potem też dostawał parę razy pieniądze i kwitował je - zaproponowałem.

- Niestety. Warunki uległy zmianie. Może za parę lat to nagranie i cała reszta okażą się użyteczne. Teraz nie mógłbyś mu zrobić większej przyjemności.

- Nie rozumiem.

- Nie znasz sprawy Kuklińskiego? - zapytał Walter z rozbawieniem.

- Coś słyszałem, ale opowiedz.

- W latach osiemdziesiątych mieliśmy tu agenta w wojsku. Nieźle opłacanego. Zajmował dość wysoką pozycję w strukturach Paktu Warszawskiego. Facet nie wytrzymał i zaczął wydawać te pieniądze - willa, jacht, samochody. W socjalistycznej ojczyźnie nawet oficera wysokiej rangi nie było na to stać. Od razu go namierzyli. Uciekł do nas. Miał zasługi i Firma pomogła wyjechać mu z całą rodziną. Tutaj oczywiście zrobili mu proces, skazali na karę śmierci za zdradę i zarekwirowali wszystko, co zostawił.

- Do tej pory norma - skwitowałem. - Zdrada główna, w każdym kraju jest taka sama kara.

- No i w tym miejscu zaczyna się polska specyfika. - Zachichotał. - Oni z tego Kuklińskiego zrobili teraz bohatera. Nasz szpieg został w Polsce bohaterem narodowym dlatego, że był naszym szpiegiem!

- Poważnie mówisz?

- Najpoważniej. Dlatego nie mógłbyś zrobić temu swojemu Jurkowi większej przyjemności niż ujawnić, że współpracował z nami. Zostałby następnym bohaterem narodowym. Jak mi nie wierzysz, pokażę gazety. Prawie w każdej pisali najzupełniej poważnie o bohaterstwie Kuklińskiego. Jakiś głupek chciał mu nawet postawić pomnik.

- Faktycznie, trochę to porąbane.

- Cały świat zwariował, ale Polska niekiedy wyprzedza resztę świata.

- Trudno. Trzeba będzie mu zapłacić. Kontakt jest przez ciebie. Musisz mnie tylko tak umawiać, żeby nie było kolizji - zamknąłem temat.

- Wiesz, że po ostatnich zmianach w Firmie mamy kilku emerytów - podjął Walter. - Wyobraź sobie, że na dostępnym tu kanale Discovery był program o działaniach Firmy w różnych krajach. Występowali ci emeryci i kajali się za nasze działania w Afganistanie. Nieomal sami siebie bili po pysku, że tak się dali zrobić muzułmanom: uczyli, szkolili, zaopatrzyli w broń, a ci się na nas wypięli, chociaż pomagaliśmy im wypędzić Rosjan. Pewnie teraz będą chcieli gwarancji, że jak komu pomożemy, to przez najbliższe tysiąclecie będzie nas uwielbiał.

Wróciliśmy do pracy. Opowiedziałem o nawiązaniu kontaktu na wystawie.

- Uważam, że to był tylko łącznik. Nie chcieli ryzykować. Są w głębokiej konspiracji. Na jutrzejszym spotkaniu z nimi o dziesiątej musicie mnie ubezpieczać. Chcę też kilka najmniejszych sygnalizatorów i żeby mnie pilnowali z daleka. Dwa zespoły. Potrzebuję trzech małych nadajników, jeden dla mnie. Na pewno zabiorą mnie z hotelu własnym samochodem. Wcisnę im jeden nadajnik. Będziemy mieli nasłuch. Może też uda mi się zostawić sygnalizator. Chcę mieć jeszcze nóż do zamocowania na rękę i pistolet w kaburze na kostkę. Na pewno mi zabiorą, ale powinni coś przeoczyć.

- Czas relaksu się skończył. - Walter odstawił szklaneczkę. - Trzeba trochę popracować. Zostań tu, ja muszę iść do siebie, żeby to wszystko załatwić. Zostawili nam mało czasu.

Ponad godzinę siedziałem w bibliotece, oglądając nieciekawe programy telewizyjne. Walter pojawił się ze zwyczajną reklamówką Ballantina w rękę i wysypał z niej na biurko wszystkie żądane przez mnie przedmioty. Przeglądałem je, gdy mówił:

- Będzie wyglądało, że dostałeś ode mnie butelkę. Ochronę na jutro zorganizowałem. W jednym zespole jedzie Babs. W twoim hotelu jest już dwóch naszych, jako ochrona na noc. Piją w barze, w razie czego będą w holu recepcyjnym. Widzieli cię tu dzisiaj, poznają. Możliwe, że ty ich też. Śpij bezpiecznie - powiedział, podając mi rękę na pożegnanie.

- Do jutra. Wolałbym, żebyś mi życzył bezpiecznego powrotu.

Znowu dochodziła dwunasta. Gdy zamawiałem w recepcji budzenie na siódmą, w holu siedziały przy drinkach dwie grupy i samotny mężczyzna nudzący się nad szklanką soku pomarańczowego. Jedna grupa składała się ze śniadoliczych dżentelmenów. Niewykluczone, że to moi jutrzejsi rozmówcy.

Operację zabezpieczenia drzwi przeprowadziłem z większą niż wczoraj wprawą. Ekwipunek otrzymany od Waltera schowałem pod materac. Pistolet znowu pod poduszkę.

Tej nocy nikt mnie nie zbudził.

Środa - dzień dziewiąty

Rano trochę czasu zajęło mi umocowanie noża wysoko na ręce, i takie przypięcie kabury nad kostką, aby nie uwierała i pozwoliła swobodnie chodzić. Jeden nadajnik w znaczkach z flagą USA wpiąłem w klapę marynarki. Trzy pozostałe rozmieściłem w kieszeniach, podobnie jak sygnalizatory; czwarty, przygotowany dla mnie, umieściłem w kieszonce koszuli. Pistolet, który mieli mi zabrać, zatknąłem z tyłu za paskiem. Byłem gotów.

Na śniadanie zszedłem o ósmej. Kilka minut później pojawił się przy moim stoliku podkomisarz Bogdan Kępiński. Grzecznie przeprosił za zakłócenie spokoju przy śniadaniu, przyjął zaproszenie na kawę. Podczas jedzenia rozmawialiśmy o pogodzie. Nie pytałem go, po co przyszedł ani czego chce. Postanowiłem wyczekać. Nie spytałem też, jak mnie tu znalazł. Podkomisarz rozpoczął, gdy skończyłem śniadanie.

- Wie pan, że w pańskim mieszkaniu znaleźliśmy kule. Ktoś ostrzelał pańską sypialnię z broni maszynowej - oznajmił. - Ma pan dwa obywatelstwa i zapewne jest jakaś przyczyna, dla której mieszkał pan równocześnie tutaj i w tamtym mieszkaniu. Chciałbym poznać tę przyczynę.

Znowu musiałem robić za głupka.

- Jakie kule?! Nie rozumiem! Dlaczego ktoś tam strzelał? Dlaczego ktokolwiek miałby do mnie strzelać?! - Wzburzenie w tej sytuacji uznałem za konieczne i chyba nie przesadziłem z jego okazywaniem. - Nie rozumiem! To pan musi wszystko wyjaśnić i wytłumaczyć! Najpierw podpalenie, a teraz jakieś kule! - Podniesionym głosem i treścią okrzyków zainteresowałem co najmniej połowę obecnych.

- Proszę się uspokoić. Rozumiem pańskie wzburzenie. Możemy zapewnić panu ochronę - perswadował ściszym głosem.

Uspokoilem się. Okazane zdenerwowanie powinno wystarczyć. Nie potrzebowałem żadnej ochrony, a już na pewno ochrony tutejszej policji. Moje dalsze zdenerwowanie mogło ich sprowokować. Najwyraźniej uznali, że ukrywałem się i dlatego miałem dwa miejsca zamieszkania. Musiałem go szybko wyprowadzić z błędu.

- Umówiłem się z jednym z potencjalnych kontrahentów na kontakt w tym hotelu. Klient jest z Federacji Rosyjskiej i jeszcze nie dojechał, dlatego tu czekam. A właśnie, kiedy będę mógł zająć się swoim mieszkaniem?

- Jest do pańskiej dyspozycji. Wszystko, co trzeba, zostało zrobione. Żadnych badań już nie będziemy prowadzić. Drzwi prowizorycznie zabezpieczyliśmy.

- Dziękuję. Na razie nie mogę tam wrócić, muszę zrobić remont.

Dochodziła dziewiąta. Musiałem się go pozbyć jak najszybciej. Zapadłem w ponure milczenie.

- Więc nie wie pan, kto mógł strzelać? Nie ma pan wrogów? - pytał uparcie podkomisarz.

- Może i mam, ale nie takich, żeby do mnie strzelali. Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić. Pewnie pomyłka. Na drzwiach nie było wizytówki.

- Miał pan pozwolenie na broń. Dlaczego ubiegał się pan o pozwolenie?

- To chyba nic nadzwyczajnego. Pełno bandytów. Chciałem się zabezpieczyć. Mieszkam sam, jeżdżę po całej Polsce, też zwykle sam.

Miałem nadzieję, że moja taktyka go zniechęci. Dalej demonstrowałem ponure zamyślenie.

- Czyli nie wie pan, kto mógł strzelać w pańskim mieszkaniu ani kto je podpalił. I nie domyśla się pan, kto to mógł zrobić - podsumował Kępiński.

- Oczywiście że nie wiem! - wykrzyknąłem z oburzeniem.

- To na dzisiaj wszystko. Będę pana wzywał do komendy. Do zobaczenia - pożegnał mnie chłodno.

Odetchnąłem z ulgą. Zdążę jeszcze zadzwonić do Waltera. Przypomniałem sobie o oczekiwanym potwierdzeniu z chicagowskiego banku, powinno jak najszybciej dotrzeć do Lublina. Zadzwoiłem z hotelowego automatu, prosząc o zrobienie kopii i przesłanie dokumentów kurierem do Lublina, od razu do adwokat Bury. Zawiadomiłem też, że mieszkanie można już remontować. Przy okazji poprosiłem Waltera, aby ustalił dni i godziny, w jakich elektrycy byli w mieszkaniu, oraz kiedy dokładnie Scott wpuszczał tam elektryka.

Kupiłem wszystkie poranne gazety i usiadłem w holu, żeby poczekać na kontakt. Czytanie prasy było dobrym pretekstem do przebywania tutaj; nie miałem ochoty spotykać się z nimi w zamkniętym i izolowanym pomieszczeniu. Poza tym byłoby nieźle, gdyby zobaczyła ich moja ochrona. Jeżeli tylko będzie na to szansa, sfotografują ich. Nie zobowiązali mnie do siedzenia w pokoju, mieli mnie zabrać z hotelu, więc jestem.

Oczekiwanie przedłużało się.

Do jedenastej zdążyłem przejrzeć wszystkie gazety. U przechodzącej kelnerki zamówiłem herbatę i ciastko. Należność postanowiłem zapłacić tuż przed wyjściem, zawsze to

trochę dodatkowego czasu dla ochrony. Czekałem. Kilka minut po jedenastej musiałem skorzystać z toalety.

Sygnalizowałem to, przechodząc kilkakrotnie przed jej drzwiami. Miałem nadzieję, że ochrona wejdzie tam przede mną. Niebezpieczne miejsce, łatwo zaskoczyć faceta z siusiakiem w rękę. Nawet największy bohater jest w takiej sytuacji bezradny. W końcu poszedłem.

Przy umywalce stał facet, którego mogłem widzieć w ambasadzie. W smokingu większość mężczyzn wygląda inaczej niż w sportowych ciuchach. Twarzom się wtedy specjalnie nie przyglądałem. Nie zdążyłem przyjrzeć mu się dokładniej i teraz, gdyż zaraz za mną wszedł drobny, śniadolicy mężczyzna. Stał przy pisuarze obok i po angielsku cicho powiedział:

- Wyjdiesz za mną.

Facet skończył mycie rąk i wyszedł. Może usłyszał, ale niekoniecznie, szum wody był głośny, mógł zagłuszyć słowa małego. Przedłużałem pobyt w toalecie, metodycznie myjąc ręce i równie długo je wycierając. Śniadolicy jednak nie odezwał się więcej. Przeczekał wszystkie moje manewry, poprawiając fryzurę. Wyszedł, a ja za nim. Podszedłem do kelnerki zapłacić za herbatę i ciastko. Zatrzymał się, oglądając wystawioną w gablocie biżuterię. W tym samym szyku wyszliśmy na ulicę. Podjechała taksówka. Za kierownicą siedział wczoraj poznany gruby. Śniadolicy usiadł przy kierowcy, ja z tyłu.

- Jak się wczoraj spotkaliśmy, nie przypuszczałem, że jest pan taksówkarzem - powiedziałem na użytek nadajnika.

- To pożyczona bryka. Nie jestem taksówkarzem - odpowiedział.

Milczeliśmy. Nie miało sensu zostawianie w taksówce sygnalizatora i nadajnika. Czekałem na lepszą okazję. Wyjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu w kierunku Katowic. Gruby wysadził nas przed dużym zajazdem ze stacją benzynową i odjechał. Weszliśmy do restauracji na piętrze, ciągle w tym samym szyku: on przodem, ja za nim.

W restauracji siedzieli już dwaj znajomi z hotelu. Dwa ostatnie wieczory spędzili w holu nad drinkami. Zapamiętałem ich. Mały odsunął krzesło dla mnie. Usiadłem.

- Możemy rozmawiać po polsku albo po angielsku - odezwał się jeden z oczekujących.

- Mnie jest wszystko jedno. Rosyjskiego nie znam - odpowiedziałem.

- Lepiej mówimy po polsku. Jakby coś było niezrozumiałe, Jussuf - wskazał na małego - przetłumaczy na angielski. Miałeś czekać w pokoju. Utrudniasz.

Ten, który mówił, miał na małym palcu prawej ręki sygnet, poza tym, jak Jussuf, złotą bransoletę z grubych ogniw.

- Nie, miałem być w hotelu i byłem. Nikt mi nie mówił, żeby czekać w pokoju.

- Dobrze. Teraz stąd pojedziemy. Po drodze będzie przesiadka.

Wyszliśmy. Mały z przodu, ja za nim, obaj z hotelu za mną.

Wsiedliśmy do czarnego oriona na polskich numerach - mały za kierownicą, my w trójkę z tyłu; ja w środku. Samochód był dość drogi, uznałem, że go raczej nie porzucą.

Postanowiłem więc poświęcić jeden sygnalizator, a jeżeli się uda, zostawić w nim też nadajnik. Kiedy odjeżdżaliśmy z parkingu przy motelu, dyskretnie rozejrzałem się za obstawą. Na stacji benzynowej stała taksówka, kierowca pucował szyby w mercedesie.

Dwa niewielkie samochody tankowały. Płaski teren, pusta z obu stron droga, widoczność na kilka kilometrów. Facet z sygnetem obserwował drogę równie uważnie jak ja, drugi oglądał się na parking przed zajazdem.

Udało mi się umieścić sygnalizator między poduszkami kanapy wystarczająco głęboko, by nie został znaleziony przy pierwszym sprzątaniu. Zawróciliśmy w kierunku Warszawy. Nikt za nami nie ruszył ani z parkingu, ani ze stacji benzynowej. Po kilkuset metrach skręciliśmy w prawo. Zaraz za zakrętem minęliśmy stojącego na naszym pasie forda. Pasażer i kierowca musieli ulżyć pęcherzom, stali odwróceny do nas tyłem. Uznałem, że to moja obstawa, sprytnie ustawiona, przypadkowo w dobrym kierunku. Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne, powinni jechać za nami.

Moi współpasażerowie nie byli rozmowni. Możliwe, że trzeci z nich, dotychczas milczący, nie znał żadnego z języków, którymi się porozumiewaliśmy. Podszuchanie ich miało jednak olbrzymie zalety, a Firma znajdzie tłumacza z każdego języka. Zacząłem się kręcić i rozpychać, aby wyczuli moje zniecierpliwienie i niewygodę. Mały przyspieszył. Spojrzałem w lusterko. Wyminęty przed chwilą ford chciał nas wyprzedzić. Moi ludzie. Mały przyspieszał, zajeżdżając im drogę. Zmuszał ich do jazdy za nami. Lepiej być nie mogło. Z kieszeni fotela kierowcy wyjąłem mapę, dyskretnie wrzucając do niej nadajnik. Facet z sygnetem bez słowa odebrał mi mapę. W tym samochodzie zrobiłem wszystko. Mogli słyszeć, co się dzieje, wiedzieli, gdzie jestem.

Jussuf powiedział po angielsku:

- Zaraz będziemy się przesiadać.

Dojechaliśmy do drogi oznaczonej jako Warszawa-Kraków i znowu skręciliśmy w kierunku Warszawy. Ford pojechał prosto. Przejechaliśmy jeszcze kilkaset metrów i stanęliśmy za srebrnym mercedesem z kierowcą. Przy zmianie samochodu zrewidowali mnie pospiesznie i, jak przewidziałem, zabrali pistolet umieszczony z tyłu za paskiem. Mały opuścił miejsce za kierownicą oriona i usiadł z przodu, ten z sygnetem wraz ze mną z tyłu. Trzeci, dotychczas

milczący, odjechał przed nami orionem. Nikt mnie nie pilnował. Znowu sygnalizator głęboko między siedzenie i oparcie.

Nadajnik wrzuciłem dyskretnie do kieszeni za siedzeniem pasażera. Rozluźniłem się. Mogłem już tylko czekać. Droga była mało uczęszczana, wyprzedziła nas tylko jadąca z dużą szybkością taksówka, też mercedes. Żadnych innych samochodów za nami.

Ulicami Warszawy jeździliśmy jeszcze pół godziny. Zatrzymaliśmy się na małej uliczce w śródmieściu. Wsiadł tylko Jussuf, żądając, abym szedł za nim. Nie spodziewali się po mnie żadnych niemiłych niespodzianek. Środki ostrożności dotyczyły innych. Zawiałą drogą przez kilka podwórek, ulicę, znowu kilka podwórek dotarliśmy do mieszkania w starym budynku na pierwszym piętrze. Szerokie marmurowe schody i wymyślna metalowa balustrada wskazywały na świetność budynku, brudne ściany pomazane olejną farbą - że to odległy czas przeszły.

Drzwi, aczkolwiek obskurne i obite blachą, otworzyły się normalnie, po drugim dzwonku. Na własnym terenie nie oczekiwali żadnych niespodzianek. Jussuf znowu wszedł pierwszy.

W przedpokoju stał mężczyzna średniego wzrostu, z prawą ręką w gipsowym opatrunku. Wyprostowany jak struna Jussuf mówił coś w ich języku, najwyraźniej składał meldunek. Nowy warknął kilkakrotnie, prawdopodobnie zadając pytania. Patrzył na mnie z nieukrywaną wrogością.

Rozejrzałem się swobodnie. W głębi, pod drzwiami, stało dwóch z pistoletami w rękach. Mała demonstracja siły.

Poszliśmy do pokoju w końcu korytarza. Duże, puste pomieszczenie, tylko okrągły stół i kilka krzeseł. Żadnych dywanów. Ściany pomalowane na biało, w oknach zielone zasłonki. Dwoje drzwi. Jednymi weszliśmy z korytarza, drugie musiały prowadzić w głąb mieszkania. Tylko Jussuf, ja i ten z ręką w gipsie. Strażnicy pozostali za drzwiami.

- Niech pan oprze ręce o ścianę i rozstawi nogi - zwrócił się do mnie Jussuf. - Mohammed Ali musi pana zrewidować.

Tą metodą zostaliśmy sobie przedstawieni.

Zrewidował mnie lewą ręką w najlepszym stylu amerykańskich filmów. W ten sposób nie mógł nic znaleźć i nie znalazł. Odwróciłem się. Na stole leżał mój pistolet i wymyślnie przecięta karta kredytowa, której połówkę wczoraj oddałem. Zobaczyli się więc dopiero dzisiaj, cała operacja była uzgodniona wcześniej i nie mieli bezpośredniego kontaktu.

Mohammed Ali schował mój pistolet do kieszeni i warknął kilka razy. Mały spytał, czy chcę kawy. Chciałem. Miałem nadzieję, że moi podjechali dość blisko, by nagrać to warczenie. Zostaliśmy sami z Jussufem.

Czekaliśmy. Swobodnie przeszedłem się kilka razy po pokoju, spojrzałem przez okno na nieciekawe podwórko. Niewielka szansa, że uda mi się później zidentyfikować ten dom, chyba że zostawię tu sygnalizator. Tylko gdzie? Przechadzałem się nadal, badając, czy zamontowali kamery lub mikrofony. Żadnych dostrzegalnych śladów. Możliwe, że technika jeszcze ich przerastała.

Czekaliśmy znacznie dłużej, niż potrzeba na zaparzenie kawy.

Po upływie półgodziny jeden ze strażników wniósł tacę z kilkoma miedzianymi naczyniami, filiżankami i szklaneczkami. Serwowali kawę po arabsku. Z wodą anyżową do popijania. Filiżanek było pięć.

Drugie drzwi otworzyły się natychmiast, gdy tylko wyszedł strażnik. Mężczyzna w galabiji, szczupły, gładko ogolony, około trzydziestki, nie więcej niż 175 centymetrów wzrostu. Bystre spojrzenie brązowych oczu. Odpowiedziałem na ceremonialny ukłon.

Znowu warczenie, ale w przyjaznej tonacji.

- Arishan Khan wita pana w swoich progach, skrawku ojczystej Czeczenii - tłumaczył Jussuf. - W rozmowach będzie brał udział również Ahmed Gul, nasz doradca polityczny.

W drzwiach pojawił się okrągłutki mężczyzna wzrostu tłumacza. Elegancki garnitur, europejskie rysy, jasna cera, żadnych zewnętrznych śladów przynależności do Czeczenów. Następne ukłony.

Arishan usiadł, wskazując mi miejsce na wprost. Jussuf rozlał kawę do filiżanek i skulił się z mojej prawej strony. Po lewej siedział Ahmed Gul, naprzeciw niego Mohammed Ali.

Posadzili mnie przodem do okna i tyłem do drzwi. Pozycja najgorsza z możliwych.

Drobnymi łyżkami popijałem kawę. Czekałem.

- Spotkaliśmy się dziś w związku z zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, iż pomoże nam w walce z Rosjanami - rozpoczął Arishan.

- Deklaracja nasza była jedynie deklaracją solidarności z narodem czeczeńskim i potępieniem rosyjskich działań - sprostowałem.

- Czy to oznacza, że nie udzielicie nam pomocy? - zapytał Gul. - Wspomagaliście przez wiele lat naszych islamskich braci w Afganistanie w podobnej wojnie z Rosjanami.

- To nie jest analogiczna sytuacja. Afganistan był zawsze odrębnym państwem, gdy Rosjanie zostali wezwani na pomoc przez jedną frakcję polityczną, my zadeklarowaliśmy udzielenie pomocy jej przeciwnikom. Czeczenia nigdy nie miała odrębnej państwowości, była i

jest częścią Federacji Rosyjskiej. Udzielenie w oficjalny sposób pomocy narodowi czeczeńskiemu w walce o niepodległość byłoby wtrącaniem się w wewnętrzne sprawy Federacji. Nasz Departament Stanu nigdy nie zaakceptuje takiej oficjalnej pomocy, bo jest to wejście w otwarty i jawny konflikt z Federacją Rosyjską - wyjaśniałem, zarysowując płaszczyznę, na której możemy szukać porozumienia.

- Mamy rozumieć, że jeżeli chodzi o oficjalną pomoc, możemy oczekiwać od Stanów wyłącznie deklaracji dyplomatycznych? - uściślał Ahmed.

- Tak. Departament Stanu deklaruje poparcie dla Czeczenii wyłącznie na płaszczyźnie dyplomatycznej.

- Spotkaliśmy się, aby rozmawiać o pomocy faktycznej, a nie o deklaracjach - wtrącił Arishan.

- Rzeczywiście. Dlatego też ja nie jestem przedstawicielem Departamentu Stanu. Zostałem jednak upoważniony do przekazania oficjalnego stanowiska Departamentu.

Zapadło milczenie. Ahmed Gul zamyślił się. Arishan siedział nieporuszony.

Mohammed Ali wydał z siebie kilka warknięć skierowanych do Jussufa. Ten rozpoczął tłumaczenie naszej rozmowy, wydając serię długich dźwięków w spokojnej tonacji.

Mohammed Ali nagle wstał, wywracając krzesło. Wyjął mój pistolet i wycelował we mnie. Warczał przy tym, wyraźnie wzburzony, odbezpieczył pistolet. Arishan warknął rozkazująco. Jussuf wstał, zasłaniając mnie swoim ciałem.

Siedziałem spokojnie. Przeżyłem to już kilka razy. Mohammed Ali reprezentował walczących. Nie był politykiem. Umiejętność rozróżnienia subtelności politycznych sformułowań była mu niedostępna. Nie rozumiał, że jeżeli tu jestem i przyjechałem na rozmowy, to oficjalne odcinanie się od pomocy przez Departament Stanu nie jest równoznaczne z odmową takiej pomocy. W Gwatemali bojówkarze chcieli mnie przy takiej rozmowie rozstrzelać. Tutaj na szczęście było dwóch polityków. Miałem też nadzieję, że moja ochrona to wszystko słyszy, wątpiłem jednak, by ktoś z nich rozumiał te warkoty.

- Jeżeli on nie odłoży tego pistoletu, żadnych rozmów nie będzie - zwróciłem się spokojnie do Arishana. - Jeżeli mnie zabijecie, pożegnacie się nie tylko z pomocą, ale nawet z poparciem dyplomatycznym - dodałem, zawiadamiając w ten sposób moją ochronę o tym, co się dzieje.

Ahmed Gul wydał z siebie serię pojednawczo brzmiących warkotów. Mohammed Ali uspokoił się równie szybko, jak poprzednio uległ podnieceniu. Odłożył na stół nadal odbezpieczony pistolet, podniósł krzesło i spokojnie usiadł. Konflikt został zażegnany.

Znowu zapadło milczenie. Arishan badał w skupieniu fusy w swojej filiżance. Ahmed Gul zastygł w krześle ze spojrzeniem skierowanym w dal. Mohammed Ali wiercił się, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, nadal gotów sięgnąć po leżący pod ręką pistolet i zakończyć rozmowy ze mną. Siedziałem bez ruchu. Musieli przetrwać uzyskane informacje. Milczenie trwało długo. Gdy Ahmed wrócił spojrzeniem do rzeczywistości i otwierał usta, by się odezwać, zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Mohammed Ali gwałtownie zerwał się i wyszedł, zabierając pistolet.

Usłyszeliśmy głosy - jeden, niewątpliwie kobiecy, domagał się czegoś. To mogła być Babs.

- Cieszę się, że nastroje uległy uspokojeniu i będziemy mogli kontynuować rozmowy - podjąłem, zawiadamiając ochronę, że na razie mnie nie zatłukli.

- Jeżeli dobrze rozumiem, możecie nam udzielić jedynie nieoficjalnej pomocy - bardziej stwierdził, niż zapytał Ahmed Gul.

Skinąłem głową. Drzwi zatrzaśnięto. Usłyszałem kroki Mohammeda Alego. Wszedł, wydając kilka gniewnych warknięć. Uznałem, że mogę zapytać.

- Co to było? Ktoś przyszedł? - zwróciłem się do Jussufa.

- Jakaś kobieta szukała poprzedniego właściciela mieszkania. Upierała się, żeby tu wejść. Wszystko w porządku.

- Rozumiem też - kontynuował Ahmed Gul - że nie ma mowy o doradcach wojskowych i politycznych.

- Doradcy polityczni są absolutnie wykluczeni. Doradcy wojskowi, posiadający formalnie taki status, też nie wchodzi w grę. Można jednak znaleźć ludzi, którzy będą doradcami wojskowymi pod warunkiem, że wydadzą im taki status.

- Przewidywaliśmy nieco inny przebieg rozmów. Będziemy musieli z Arishanem przedyskutować to w cztery oczy. Prosimy o przerwę - zwrócił się do mnie Ahmed Gul z uprzejmym uśmiechem. - W czasie przerwy zapraszamy na kawę, Mohammed Ali tym się zajmie - powiedział, patrząc na Arishana, który natychmiast podniósł się zza stołu.

Obaj wyszli z pokoju i udali się w głąb mieszkania. Pierwszy szedł Arishan, Gul otwierał i zamykał drzwi. Dopiero gdy zniknęli za zamkniętymi drzwiami, z krzesła zerwał się Mohammed Ali. Wybiegł za nimi, gwałtownie otwierając drzwi i zamykając je z hukiem.

Nasz wojowniczy przyjaciel niewątpliwie miał zamiar zrobić rodakom awanturę. Moje przypuszczenia potwierdziły dobiegające zza drzwi głośnie warkoty.

Miałem szansę, by na chwilę zostać w pokoju samemu. Zwróciłem się do Jussufa z prośbą o kawę. Wszedł, obiecując, że sporządzi ją osobiście. Wyjąłem z kieszeni ostatni

nadajnik i usunąłem zeń gwiazdzistą flagę. Pod spodem był matowy i jasnożółty. Wbiłem go od spodu w blat stołu, tuż przy krawędzi. Odbiór pewnie nie będzie doskonały, ale coś da się usłyszeć, a jeżeli była tu Babs, mieszkanie mieliśmy już zlokalizowane.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał warkot rozmowy w różnych tonacjach. Mogli się kłócić, ale równie dobrze uzgadniać szczegóły postępowania.

Wrócił Jussuf z kawą na tacy. Poprosiłem o możliwość skorzystania z toalety. Natychmiast zaprowadził mnie do łazienki, która znajdowała się po drugiej stronie korytarza, na wprost pokoju, w którym rozmawialiśmy. Wartownicy nadal stali pod drzwiami.

Wszedłem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Miałem jeszcze jeden sygnalizator. Na wszelki wypadek postanowiłem umieścić go tutaj.

W łazience nie było żadnych mebli. Zdecydowałem się na kolanko przy umywalce. Musiało być nieruszane od lat i jego odkręcenie bez narzędzi wymagało sporo wysiłku, ale przynajmniej nikt tam nie zajrzy przez kilka następnych lat.

Usiadłem nad świeżą kawą.

Drzwi otworzyły się. Tym razem otwierał i zamykał je przed dwoma pozostałymi Mohammed Ali. Pierwszy, jak poprzednio, wchodził Arishan. Był więc politycznym przywódcą, a kolejność, w jakiej wchodził, dyktowała hierarchia pozycji.

Wymieniliśmy ponownie ceremonialne ukłony, usiedli. Głos zabrał Ahmed Gul:

- Z pańskich wypowiedzi wnioskujemy, że możemy otrzymać wasze wsparcie militarne i finansowe. Nie będziecie się jednak angażować w działania polityczne i nie udzielicie nam formalnego poparcia. Czy dobrze się rozumiemy?

- Tak, można tak podsumować nasze stanowisko - odpowiedziałem.

- Nie mamy jednak pieniędzy i nie możemy zapłacić za broń - kontynuował.

- Nie jesteście tacy biedni. Macie w Moskwie Ziję Bażajewa, on daje wam swoje pieniądze i obraca waszymi. Za uwolnienie córki naszego ambasadora dostaliście niedawno trzy miliony dolarów. Dwa miliony zapłacono wam kilka dni temu za uwolnienie porwanego przez was francuskiego fotografa. Wiemy też o okupach za pozostałych, wcześniej porwanych. Porywacie też dla okupu Rosjan.

Tym razem głos zabrał Arishan.

- Z pańskiego tonu wnioskuję, że nie akceptujecie naszego sposobu zdobywania pieniędzy na walkę - powiedział.

- Porwania dla okupu są w Stanach Zjednoczonych bardzo poważną zbrodnią, w większości stanów karaną śmiercią. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że agenda rządowa

udziela jakiegokolwiek pomocy ludziom dokonującym porwań dla okupu, zostaniemy rozszarpani na strzępy.

- Nie rozumiem tych obaw. Chyba możecie zapewnić sobie dyskrecję? - Arishan był wyraźnie zdumiony.

- W krajach demokratycznych nie jest to takie proste. Działalność CIA nadzorują komisje senackie i co najmniej dwie z nich mają prawo wglądu do aktualnie prowadzonych operacji. Nie musimy uzyskiwać ich zgody na prowadzenie operacji, ale musimy udzielać odpowiedzi na postawione pytania - wyjaśniłem.

- Rozumiem, że jest to ograniczenie niezależne od was. Czy mógłby pan bliżej wyjaśnić, na czym to polega? - zapytał Ahmed Gul.

Usłyszałem warknięcie Mohammeda Alego i szmer tłumaczenia Jussufa.

- Zasady są takie, iż my nie udzielamy sami z siebie informacji ani o operacjach, które prowadzimy, ani o wydatkowanych na nie środkach. Natomiast na każde postawione pytanie musimy odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Przebieg takiego procesu zależy od trafności stawianych przez komisje pytań. Jeżeli postawią złe pytanie, uzyskują prawdziwą odpowiedź, która nie wyjaśnia celu, założeń i przebiegu operacji. Jeśli poprzestaną na niej, nic się nie dzieje. My prowadzimy operację dalej, oni uzyskali prawdziwą odpowiedź. Jednak jeżeli stawiają prawidłowe pytania, mogą zgromadzić informacje, które uzasadnią przeprowadzenie w Senacie przesłuchania naszego dyrektora bądź wskazanej przez komisję osoby odpowiedzialnej za daną operację. W czasie takiego przesłuchania komisja ma dostęp do wszystkich dokumentów, a przesłuchiwany musi mówić prawdę. Udzielanie kłamliwych odpowiedzi w czasie takiego przesłuchania kończy się z reguły nie tylko złamaniem kariery, ale również wyrokiem sądowym.

- Kiedy ta wasza komisja może doprowadzić do przesłuchania i kto o nim decyduje? - zapytał Ahmed Gul z pogardliwym uśmiechem.

- Kiedy na podstawie uzyskanych odpowiedzi komisja może wykazać, że zachodzi prawdopodobieństwo, iż prowadzona operacja jest sprzeczna z konstytucją Stanów Zjednoczonych. Decyzję podejmuje Senat po wysłuchaniu stanowiska i argumentów komisji. W praktyce nie znam przypadku, aby Senat odmówił. Te przesłuchania nie zawsze są jawne, ale ich temat jest powszechnie znany, tak samo jak osoba poddana przesłuchaniu. To zawsze prowadzi do ujawnienia operacji.

- Bywają jednak supertajne działania, do których nikt nie ma dostępu, ale my nie możemy liczyć na takie utajnienie? - drążył Gul.

- Ma pan rację. Jawność życia publicznego w Stanach Zjednoczonych powoduje, że takie utajnienie jest absolutnym wyjątkiem i w tym wypadku nie wchodzi w grę. Wyniki wyborów zarówno do Senatu, Izby Reprezentantów, jak i prezydenckich zależą od opinii publicznej. Tę opinię kształtują telewizja i prasa. Jeżeli ktokolwiek poprze działalność negatywnie ocenianą przez ludzi, nie może liczyć na głosy wyborców. Dlatego stanowisko mojej Firmy jest właśnie takie. Jeżeli nie skończycie z podkładaniem bomb i porwaniami dla okupu, nie możemy deklarować nawet nieoficjalnego poparcia.

- Nie dokonujemy żadnych porwań - spokojnie i stanowczo oznajmił Gul.

- Pozwolę sobie przypomnieć najślawniejsze w świecie - rozpocząłem z ironiczną kurtuazją - porwanie, długotrwałe więzienie i wreszcie zabicie po odmowie zapłacenia okupu czterech Anglików, pracowników kompanii telekomunikacyjnej, porwanie, długotrwałe więzienie i uwolnienie po wypłaceniu okupu francuskiego fotoreportera i wreszcie porwanie córki naszego ambasadora i uwolnienie jej po wypłaceniu okupu. To są udokumentowane fakty. Znamy ich więcej, ale opinii publicznej wystarczy przypomnienie tych trzech, szczególnie że zakładnicy byli traktowani brutalnie i więzieni razem z bydłem. Niektórzy byli też torturowani.

- Ale to nie my, nie my - gorączkowo zaprzeczał Gul.

- Mam rozumieć, że tych porwań nie dokonali Czeczeni i że to rosyjska propaganda? Wątpię, by moi zwierzchnicy i Departament Stanu uwierzyli w wasze zaprzeczenia.

- Czy jest możliwe uzyskanie poparcia prasy i telewizji dla czeczeńskiej walki o wolność? - Tym razem pytanie zadał Arishan. - Przypuszczam, że wówczas naród amerykański udzieli nam moralnego poparcia, a więc wasza pomoc uzyska akceptację opinii publicznej, a tym samym Senatu.

Nie był głupi. Chciał uzyskać od nas wsparcie bez rezygnowania z dotychczasowych źródeł dochodu.

- Owszem, można podjąć taką próbę. Z reguły wykorzystujemy do tego organizacje charytatywne, najczęściej międzynarodowe, niekiedy działające pod sztandarami ONZ. Takie działania musiałyby jednak uzyskać aprobatę jednego z naszych dyrektorów. Oczywiście musielibyście dostarczyć nam materiały. Możemy negocjować również podjęcie przez nas takich operacji, ale dopiero w dalszej części rozmów.

Nadszedł czas, by ustalić, kogo Arishan reprezentuje i kto go w Czeczenii popiera. Mieliśmy słabe rozeznanie, gdyż każdy obcy był w Czeczenii narażony na porwanie, a nie udało nam się zwerbować nikogo z miejscowych. Infiltracja istniejących struktur bez udziału

tubylców nie była możliwa, każdy był tam czyimś kuzynem i tylko takie rekomendacje gwarantowały skuteczność.

Zebrane informacje wskazywały, że Czeczeni żyją w strukturach klanowo-plemiennych, które udzielały poparcia swoim przywódcom. Było ich kilku i to, że zgadzali się oni na formalne reprezentowanie przez urzędującego premiera Ahmada Basajewa, nic nie oznaczało. Realizowali swoje interesy niezależnie od Basajewa i w każdej chwili mogli cofnąć mu swoje poparcie. Sens miało zjednoczenie przez kogoś, kto przemieni te klany w państwo. Postanowiłem zagrać twardo.

- Jestem tylko wysłannikiem i chciałbym to podkreślić. Przysłano mnie, abym poznał wasze oczekiwania i potrzeby, a ich realizacja nie będzie ode mnie zależała. Przekażę je dalej. Muszę też uzyskać informację, kogo reprezentujecie i kto was popiera. Dopiero wówczas zostanie podjęta decyzja, czy i w jakiej mierze wasze oczekiwania zostaną spełnione.

Szmer głosu Jussufa trwał. Nagle Mohammed Ali zerwał się i gestykulując wyjętym pistoletem, wywarczał całe przemówienie. Wszyscy patrzyliśmy na niego, ale tylko ja nie rozumiałem treści tego wystąpienia. Na zakończenie Mohammed Ali, wciąż stojąc, skierował na mnie pistolet. Poprosiłem Jussufa o tłumaczenie. Ten, ignorując mnie, zwrócił się do Arishana. W odpowiedzi uzyskał kilka warknięć, do których swoje dorzucił agresywnie Mohammed Ali. Jussuf zaczął tłumaczyć. Po kulawej składni zorientowałem się, iż pomija obraźliwe określenia, którymi ja, moja Firma i mój kraj zostaliśmy obdarzeni.

W skrócie chodziło o dwie rzeczy. Po pierwsze, zdaniem Mohammeda Alego jestem podstawiony po to, by oni się ujawnili i abym mógł ich zabić na zlecenie wrogiego klanu, określonego krótkim warknięciem. Po drugie, jestem zabójcą, o czym on sam się przekonał, gdyż zabiłem trzech jego wojowników. Domyśliłem się, iż konkluzją przemówienia było żądanie zabicia mnie, a Mohammed Ali demonstrował właśnie gotowość wykonania wyroku, co już nie zostało przetłumaczone. Wszyscy obecni uważnie mnie obserwowali. Przez chwilę nie mogłem sobie uświadomić, o jakich wojownikach mówił Jussuf, i nasunęło mi się, że ktoś tu zwariował. Patrzyłem na Mohammeda Alego i dopiero w tym momencie skojarzyłem jego uszkodzoną prawą rękę.

- Po pierwsze - z oburzeniem odsunąłem się od stołu, aby ułatwić sobie sięgnięcie po pistolet nad kostką - był to ordynarny rozbój. To, że jestem tu dzisiaj, wynika wyłącznie z tego, iż zdołałem obronić się przed sześcioma bandytami, którzy chcieli pozbawić mnie życia. Wojownik to określenie człowieka walczącego o szlachetny cel, a ja miałem do czynienia z rabusiami. Gdyby Mohammed Ali zrealizował swój cel, do dzisiejszego spotkania by nie doszło. Po drugie - podniosłem głos, rozpinając zamocowania noża na ręce - skrajnym

idiotyzmem jest dokonywanie takich napadów w drodze na tajne spotkanie, gdy przypadek może spowodować ujawnienie tak ściśle chronionych tajemnic. Po trzecie, zostałem przysłany na rozmowy z poważnymi ludźmi - sięgnąłem po pistolecik, przytrzymując się za kostkę przy zakładaniu nogi na nogę - wyznającymi szlachetny ideał walki o wolność, a nie z drogowymi rabusiami.

Odsunąłem krzesło od stołu, kryjąc hałasem szczęk odbezpieczanego pistoletu. Byłem gotów. Arishan mógł mieć broń i był drugi w kolejce po Mohammedzie Alim. Sztuka polegała na tym, żeby strzelić pierwszemu, i miałem zamiar to zrobić.

Ku mojemu zdumieniu Ahmed Gul podjął negocjacyjny tonem:

- Wierzmy panu, ale wyjaśnijmy sobie, o co chodzi z tym rabunkiem i ludźmi Mohammeda Alego. Jussuf, każ mu usiąść i schować broń.

Jussuf spokojnie i krótko zawarczał. Musiało to być polecenie Gula, gdyż Mohammed Ali zaprotestował, zwracając się do Arishana. Ten najwyraźniej je potwierdził, gdyż mój antagonista z nieskrywaną wściekłością usiadł, odkładając na stół pistolet.

Krótko opowiedziałem, co mnie spotkało na drodze z Lublina. Podkreśliłem, że gdyby nie występ Mohammeda Alego i jego uszkodzona ręka, nigdy nie skojarzylibym ich z tym napadem. Gul upewniał się, że to ja uszkodziłem mu rękę.

- Nie pamiętani Mohammeda Alego z tego zdarzenia. Zwracałem uwagę przede wszystkim na tych, którzy mieli broń. Wiem, że uszkodziłem rękę człowieka, który sięgał po broń, ale nawet na niego wówczas nie spojrzałem - wyjaśniłem.

Rozmowa toczyła się w języku niezrozumiałym dla Mohammeda Alego i najwyraźniej Jussuf wiedział, że nie powinien tego tłumaczyć, gdyż nie reagował na jego warknięcia.

Nadal siedziałem w korzystnej do ataku pozycji i nie zamierzałem jej zmieniać.

Ahmed Gul po krótkim namyśle podjął rozmowy, ignorując incydent.

- Rzeczywiście, nie są to nasze prawdziwe imiona. Dokładniej, imiona, które pan poznał, nie figurują w naszych dokumentach. Gdy oświeciła nas prawda Koranu, przyjęliśmy te imiona i od tej chwili są one naszymi prawdziwymi imionami. Mahomet jest jedynym prorokiem! - wykrzyknął. - Ja jestem tylko doradcą. Niewątpliwie zorientował się pan, że Arishan reprezentuje siły polityczne, a Mohammed Ali wojskowe. Fakt, iż doszło między wami do konfrontacji, jest dla nas bardzo niekorzystny. Musi pan zrozumieć. Mohammed Ali uważa, że poniósł porażkę w starciu z panem i czuje się tym upokorzony, tym bardziej iż był pan sam. Według jego pojęć jedynie krew może to zmazać. W tej chwili nie możemy kontynuować rozmów. Mohammed Ali musi zmienić swoją postawę. Potrzebujemy na to czasu; kilku dni,

możliwe, że tylko kilku godzin. Potem podejmiemy rozmowy. Naszym łącznikiem, jak dotychczas, będzie Jussuf.

- Czyli wracam do hotelu i czekam na Jussufa? - upewniłem się.

- Tak, to w tej chwili jedyne rozwiązanie - potwierdził Gul.

- Oczywiście powiadomię swoich zwierzchników, że zawieszenie rozmów nastąpiło z waszej winy. Żądam zwrotu mojego pistoletu - powiedziałem, nie zmieniając pozycji.

Arishan wydał kilka warknięć, Mohammed Ali nie chciał ulec, ale gdy do Arishana przyłączył się Ahmed Gul, rzucił pistolet w moją stronę. Rozmowy uznałem za zakończone. Może tylko na dzisiaj, może w ogóle. Wstałem; natychmiast poderwał się też Jussuf. Zrobiłem kilka kroków tyłem w kierunku drzwi z pistoletem w ręce. Wolałam nie prowokować strzału w plecy. Dopiero gdy trzymałem za klamkę, wykonałem pożegnalny ukłon i zniknąłem za drzwiami. Zaraz za mną szedł Jussuf.

Otworzyłem drzwi wejściowe. Nikt nie protestował. Schowałem za pasek zabezpieczony pistolet. Ponownie przeszliśmy przez kilka bram i podwórek.

Szedłem ostrożnie i powoli, aby nie zgubić pistoletu przy kostce. Po drodze udało mi się niepostrzeżenie unieruchomić nóż. Jussuf doprowadził mnie do Marszałkowskiej i tam pozostawił, upewniwszy się, że trafię do hotelu. Korzystając z najbliższej bramy, zamocowałem pistolet przy kostce.

Jezdnie były zatłoczone, ludzie zaczęli wracać z pracy do domu. Musiałem jeszcze dzisiaj spotkać się z Walterem, ale wcześniej postanowiłem coś zjeść. Usiadłem w pierwszej napotkanej restauracji z widokiem na Pałac Kultury.

Zanim zdążyłem zdecydować, na co mam ochotę, przy moim stoliku niespodziewanie usiadła Babs. Znowu pachniała indian summer. Dziś również miała na sobie luźny żakiet, tym razem jasnobłękitny do białej spódniczki i takiej samej bluzki z głębokim dekoltem. Wyglądała bardzo atrakcyjnie, jednak akurat w tej chwili wolałbym być sam. Zamówiliśmy obiad.

- Wszystkie twoje pluskwy działają, sygnalizatory też - zameldowała. - Były chwile, że bałam się o ciebie.

- Świetnie, chociaż nie wiem, czy będziemy mieli z tego pożytek. Im wcale nie zależało na ukryciu się przed nami. Chodziło o kogoś zupełnie innego.

- O kogo? Nie mówiłeś, że już ich spotkałeś.

- Nie wiem o kogo, chociaż mam pewne podejrzenia. Może tłumaczenie tego ich warkotu coś wyjaśni. A o zajściu mówiłem Walterowi. Nie wiedziałem, że to oni - zamknąłem temat.

Nie miałem ochoty ani na omawianie spotkania, ani na wspomnianie wcześniejszych wydarzeń. Najchętniej pomilczałbym w inteligentnym, czyli swoim towarzystwie. Obecność Babs wymagała ode mnie wysiłku i uwagi, a po pierwszych kęsach poczułem zmęczenie. Widocznie domyśliła się, że nie mam ochoty na rozmowy, gdyż podjęła opowieść o wystawie, nie oczekując ode mnie komentarzy. Oboje zamówiliśmy kawę na zakończenie obiadu. Musiałem się do niej odezwać.

- W takich operacjach najbardziej męczące jest to, że nie wiem, gdzie jesteście i czy mnie słyszycie. Od kiedy skręciliśmy w tę krakowską drogę, nikogo nie widziałem. Gdybyście mnie zgubili, to te wszystkie wystąpienia na użytek nagrań byłyby bez sensu.

- Nie zgubiliśmy cię. Weszłam tam nawet, bo sytuacja wydała mi się groźna. Słyszałeś?

- Tak. Domyśliłem się, że to ty, ale nie byłem pewny. Pokój, w którym rozmawialiśmy, był na końcu korytarza.

- Widziałam tam dwóch facetów. Stali w korytarzu absolutnie bez sensu. Pomyślałam, że pilnują drzwi pokoju, w którym jesteście. Tego dnia zdarzyło się coś jeszcze bez sensu - powiedziała, odstawiając filiżankę. - Właśnie dlatego nas nie widziałeś. Na tych drogach wokół Warszawy śledziła was taksówka. Mercedes, zapisałam numery. Potem w mieście były jeszcze dwa nieoznakowane samochody.

- Widziałaś kierowców?

- Taksówki i jednego samochodu. Na moje oko byli Polakami. Mogli oczywiście pracować dla kogoś, ale nie wydaje mi się, żeby to byli Rosjanie.

- Dlaczego?

- Nie umiem odpowiedzieć. To coś nieuchwytnego. Dwa lata pracowałam w Moskwie. Umiem ich rozpoznać, a pracowników tutejszej ambasady znam, choćby z widzenia. Walter od czasu do czasu urządza nam szkolenia i każe oglądać ich fotografie. To nikt od nich.

- Zawsze mogła to być praca zlecona. Nic więcej nie ustaliliście?

- Nie dało się. Przede wszystkim mieliśmy pilnować ciebie. Jak wasz samochód stanął, oni byli tuż za wami. Musieliśmy poczekać, to mała uliczka, gdybyśmy tam jeszcze my wjechali, zrobiłby się tłok.

- Nie oczekiwałem zagrożenia z zewnątrz. Czeczeni jednak czegoś się bali i wcale nie chodziło im o nas.

Chwilę pomilczeliśmy, zgodnie zastanawiając się nad tą zagadką. Babs jednak nie miała nastroju do refleksji i poganiała mnie przy płaceniu rachunku. Nagle zapragnęła znaleźć się w ambasadzie. Pojechaliśmy jej samochodem, który pozostawiła na sąsiedniej uliczce.

Walter powitał nas wymówkami, że zaginęliśmy. Zdażył już przesłuchać nagrania rozmów i niecierpliwie oczekiwał na moje wrażenia i komentarze. Nie wątpiłem, że przygotował też setki pytań. Bezwłocznie kazał Babs zająć miejsce w sekretariacie i mówić wszystkim, że jest zajęty i nieosiągalny. Ku mojemu zdumieniu zabrał mnie pospiesznie do czarnej dziury. Dopiero po dokładnym zamknięciu drzwi i uruchomieniu wszystkich zabezpieczeń pozwolił mi usiąść.

- Mam mało czasu dla ciebie, pechowo się stało, ale równocześnie prowadzę jeszcze dwie operacje i akurat wszystko się na siebie nałożyło. Rysopisy i wszystko, co jest nam potrzebne, nagrzasz sam w tym pokoju. Potem wrócisz do mnie i oddasz mi do ręki i taśmy, i magnetofon. Wiesz, jak przebiegają te nasze przesłuchania. Teraz chcę od ciebie na gorąco kilku odpowiedzi.

- Chciałbym pogrzebać w naszych komputerach. Może mamy ich podobizny. To mi pomoże przy dalszych ewentualnych kontaktach. Poza tym chciałbym to z tobą przegadać.

- Ja też i dlatego nagrania zrobisz sam. W tym czasie ja zajmę się tamtymi akcjami. Walczę teraz z czasem. Potem możesz sobie grzebać w komputerze. Babs ma dostęp do wszystkiego, co ci będzie potrzebne. Teraz - Walter uruchomił magnetofon - chcę twojej oceny: z kim rozmawiałeś, jakie mogą dać gwarancje, że będą nas kochać i że są poważną organizacją.

- Jak bardzo poważną, nie umiem jeszcze ocenić. Na pewno są muzułmanami z wyboru, co już wiesz z taśm. Wygląda, że to poważne zaangażowanie i można się nawet dziwić, że nie było z nimi żadnego „Chomeiniego”. Chyba że imaniem jest Arishan, choć trochę za młody. Sam rozumiesz, że to nie są dobre dla nas rokowania. Chcą tego, co wszyscy: broni, pieniędzy i poparcia politycznego. Odniosłem wrażenie, że nie mają zamiaru rezygnować z porwań i rozbojów. Wiesz przecież, że byli wmieszani w tę próbę kradzieży mojego samochodu. Nie doszliśmy jeszcze do rozmów o tym, jakie mają poparcie. Dzisiaj ja bym im powiedział „nie”. Oczywiście, to nie będzie moja decyzja.

- Masz już trochę doświadczeń z różnymi grupami walczącymi o „wolność i demokrację” - tonem głosu ujął to sformułowanie w cudzysłów - więc rozumiem, że twoje odczucie uwzględnia te doświadczenia.

- Tak. Bardzo nie podoba mi się ten Mohammed Ali, ich dowódca, i wcale nie dlatego, że chciał mi zabrać samochód. On nie ma nic wspólnego z wojskiem i nawet trudno go sobie wyobrazić w jakimkolwiek mundurze. Dla mnie to jest pospolity bandzior i rozrabiaka. Słyszałeś, jak podskakiwał i wrzeszczał. Ma jeden argument - kulkę, i przypuszczam, że go często używa. Nie widzę go jako dowódcy, chociaż nie poznałem podwładnych. Rozumiesz

jednak, że z takich ludzi nie da się stworzyć żadnej armii, no i wątpię, czy będzie honorował jakiegokolwiek zobowiązania.

- Dobrze, zostajesz tu. - Walter zerwał się z krzesła. - To nagranie zabieram. Zostaje ci drugi magnetofon, na stole masz kod uruchomienia tej całej elektroniki. Koniecznie włącz wszystko, jak wyjdę.

W czarnej dziurze siedziałem dwie godziny. Nagrałem szczegółowy opis każdego ze spotkanych, łącznie z ubraniem i ozdobami, których używali. Przeanalizowałem kolejne etapy rozmów, ich reakcje i swoje wrażenia. Do charakterystyki Mohammeda Alego dodałem, że osobiście nigdy nie dałbym mu do ręki żadnej broni, gdyż w chwilę później gotów byłby skierować ją na mnie, podobnie jak nigdy niczego bym go nie uczył, niezależnie od tego, czy byłby w stanie pojąć, bo z pewnością każdą wiedzę, również uzyskaną ode mnie, byłby gotów skierować natychmiast przeciw mnie. Jego gwałtowność nie poddawała się racjonalnym argumentom. Broń dla niego byłaby równoznaczna z podarowaniem dodatkowych kłów i pazurów tygrysowi ludojadowi.

Zagadkową postać stanowił Gul. W opisanie go włożyłem najwięcej wysiłku.

Ważne mogło być wszystko. W mojej ocenie nie był Czeczenem i zidentyfikowanie go mogło nam wyjaśnić zarówno pozycję tej grupy, jak i jej kontakty.

Arishan wydał mi się zbyt młody na politycznego przywódcę, tym bardziej że wszędzie tam, gdzie funkcjonowały struktury klanowo-plemienne, wodzami byli starsi mężczyźni, z reguły głowy rodzin lub rodów. Uznałem, iż jest wysłannikiem takiego przywódcy, niewykluczone, że synem. Po namyśle dodałem, że może być duchownym. Młody przywódca religijny - to było moim zdaniem bardziej prawdopodobne niż młody przywódca rodu.

Trochę taśmy poświęciłem też ludziom, którzy czekali na mnie i Jussufa w motelu. Próbowałem sobie przypomnieć „wojowników”, których spotkałem w podlubelskim zajeździe, a potem w Kielcach, ale wysoki rabuś, jedyny, którego zapamiętałem, już nie żył, jak wynikało ze słów Jussufa. Opisałem też dokładnie dwóch wartowników z korytarza, odrzucając przypuszczenie, iż byli w tutejszej grupie Mohammeda Alego. Nie zauważyłem u nich w stosunku do siebie oznak gniewu, złości czy nienawiści. Gdyby byli w tej grupie, demonstrowaliby podobne nastroje jak ich przywódca. To świadczyło, że jest ich tu co najmniej kilkunastu. Dysponowali bronią, pieniędzmi i samochodami. Mieli mieszkanie, w którym rozmawialiśmy, mogli też mieć inne, a więc nie musieli korzystać z hoteli. Lokalizację tej grupy na pewno umożliwią rozsiewane przeze mnie sygnalizatory, ale to już nie moje zadanie. Również tłumaczenie nagrań dotrze do nas dopiero za jakiś czas, możliwe, że kiedy mnie już tu nie będzie.

Spakowałem wszystko i znużony powlokłem się do Waltera.

Był jeszcze zajęty telefonem, co dało mi czas na wypicie kawy przygotowanej przez Babs. Do gabinetu zaprosił nas oboje, polecając zamknąć na klucz drzwi do sekretariatu. To zmieniało pozycję Babs. Była agentem operacyjnym, a sekretariat to tylko przykrywka.

- Rozmawiałem dziś kilka razy z Waszyngtonem, i to z różnymi ludźmi. Jak dowiedzieli się, że rozmowy zostały podjęte, dostali sraczki, chociaż z różnych powodów. Wybaczenie, zrobię wam prasówkę, ale potrzebuję podsumowania naszej sytuacji, a przy okazji będziecie wiedzieć to samo co ja. Może wspólnie coś wymyślimy. Zanim zaczniemy - zwrócił się do Babs - przynieś nam ten termos kawy, o który prosiłem.

Ze zdumieniem zobaczyłem, iż wyjął z biurka emiter szumów i zajął się jego instalacją. Również Babs uniosła brwi, wyrażając zdziwienie, ale filiżanki z kawą ustawiła w milczeniu.

- Włączyłem to, bo mają u nas informatora. Znajdę go potem, na razie to wystarczy. Wracając jednak do tematu i dzisiejszych rozmów... - Odetchnął, rozluźniając krawat. - Wiecie, że likwidacja Paktu Warszawskiego nie przysłużyła się naszej gospodarce. Ogromny wzrost bezrobocia dotknął przede wszystkim przemysł zbrojeniowy, ale także inne, związane z nim gałęzie. Straciliśmy wroga, którym można było straszyć podatników. Senat i deputowani zaczęli obcinać dotacje zarówno na zakup broni, jak i na badania. Przerażenie ogarnęło naszych magnatów zbrojeniowych. Przekonali się, że światowy pokój to dla nich wyłącznie straty. Trochę próbują nas straszyć Chińczykami, ale złotkom brakuje do nas co najmniej kilkunastu lat. W dziewięćdziesiątym i dziewięćdziesiątym pierwszym kręcili się jak gównem w przerębli. Magazyny pełne, szansę na upchnięcie tej broni do Pentagonu znikome, zamknięte fabryki i laboratoria, tłumy bezrobotnych za bramą. Do tego stałe zmniejszanie armii. - Umilkł i zajął się kawą.

- Rozumiem, że prasówkę skończyłeś. Sami to znamy i widzieliśmy. Jeżeli zapomniałeś, to jedną z koniecznych umiejętności pracownika Firmy jest czytanie - sarkastycznie odezwała się Babs.

Pewnie była już zmęczona i nie miała ochoty wysłuchiwać politologicznych oracji Waltera.

- Tak. Teraz o tym, czego mogliście się domyślić, ale na pewno nikt o tym nie pisał - podjął nieporuszony uwagę Walter. - Nasi bogaci i ważni do tej pory producenci różnej broni i innych wojennych gadżetów poszli w końcu po rozum do głowy, zawarli między sobą sojusze i uderzyli w dwóch kierunkach. Jedna grupa zaczęła naciskać Departament Stanu, szermując argumentami o bezrobociu i upadku całych gałęzi przemysłu. Od razu dostali cofnięcie zakazu na sprzedaż do krajów byłego Paktu Warszawskiego, co daje im szansę wyprzedzić zapasów.

Wszyscy attache handlowi w tej części świata dostali polecenie, aby rozeznąć się w firmach produkujących tu broń i nakłonić władze po tej stronie Łaby do zakupów na amerykańskim rynku. To są decyzje oficjalne - powiedzmy, że razem z instrukcjami niejawne, ale z formalnego, podkreślam: formalnego punktu widzenia, nie ma w tym nic nielegalnego czy sprzecznego z jakimkolwiek prawem. Ma to wyglądać jak działalność czysto handlowa. O czarnej stronie tych instrukcji powiem wam, jak przyjdzie czas. - Zamyślił się na chwilę, obracając w palcach filiżankę.

- Nie widzę w tym miejsca dla mojej obecnej misji. Co prawda rozmawiałem dziś głównie po polsku, ale nie mam wątpliwości, że moimi rozmówcami nie byli mieszkańcy tego pięknego kraju. Poza tym odniosłem wrażenie, że oni są niezupełnie kupcami, nie mówiąc o tym, kogo reprezentują.

- No właśnie - ożywił się Walter. - Ta druga grupa uderzyła do naszego dyrektora, mając pełne poparcie prezydenta. Zażądali nie tylko informacji ze wszystkich stron świata o grupach walczących zbrojnie, ale również umożliwienia im kontaktów z takimi grupami. Jednocześnie uzyskali poparcie prezydenta dla ustawy o nowych dotacjach na walkę o demokrację bez wskazania krajów i grup, którym zostanie przydzielona. To ma robić nasz dyrektor w porozumieniu z powołaną przez prezydenta pozaparlamentarną komisją. Nie muszę wam chyba wyjaśniać, że członkowie tej komisji to przede wszystkim producenci broni albo ludzie reprezentujący ich interesy. Rozumiesz już swoje zadanie - podniósł wzrok na mnie.

- Nie do końca. Po co ja i te żądane przez ciebie oceny? Każdy mógłby odebrać od nich zamówienie. Nie wątpię, że dostaliby tę dotację i wszyscy byliby zadowoleni. Szkoda mojego czasu, powiem więcej, szkoda na to czasu nas wszystkich. Chyba że nagle zostaliśmy agentami handlowymi jakiejś korporacji albo Firma ma za dużo pieniędzy i zafundowała mi wakacje w Polsce.

- Bez żartów. W całą tę zabawę wkroczyła nie lubiana przez nas komisja Senatu. Nie wiem, jak dowiedzieli się o rzeczywistych celach dotacji, ale wbrew dotychczasowym doświadczeniom nie rzucili się do rozszarpywania CIA. Zażądali tylko, by dotowane organizacje nie załatwiły nas tak jak Afgańczycy.

- To znaczy? - zapytała Babs.

- Chyba nie muszę wam wyjaśniać. Latami zaopatrywaliśmy ich w broń i szkoliliśmy, a teraz odwrócili się od Stanów i mają nas gdzieś.

- Pamiętam, co było z Afganistanem. Nie mam amnezji. - Jak dla mnie, ta prasówka trwała stanowczo za długo. - Jak oni sobie wyobrażają, że dostaną takie gwarancje? I od kogo?!

- Spokojnie. Jeszcze chwila - kontynuował nieporuszony Walter. - Komisja zażądała, żeby ocen dokonywał nasz własny szef. Dopiero jego pozytywna ocena uruchomi dotacje. A szef do tej oceny wybrał ciebie, Toni. Dodam, że jesteś jednym z czterech w całej Firmie osobiście wybranych przez szefa. Nawet ja nie mogę was oceniać. Mam tylko przekazać twoje zdanie.

- To po co tu siedzimy? Mam rozumieć, że spotkał mnie zaszczyt?

- Chciałbym, żebyś odpowiedział na kilka pytań. My z Babs też mamy własne przemyślenia. Nie chcę wpływać na twoją opinię - zastrzegł się Walter - miałem jednak kilka telefonów, i to nie tylko z Firmy. Chcę, abyś wydał opinię po wysłuchaniu naszych. Tylko tyle. Potem nagrasz swoją opinię tutaj, w moim gabinecie, i natychmiast prześlemy ją gdzie trzeba. Później będziesz mógł poszukać swoich rozmówców w komputerze Babs.

- No dobrze. Słucham. Kto pierwszy? - spytałem, odwracając się ku Babs.

- Zastanawiam się, zastanawiam się - powtórzyła, zakręcając pukiel włosów na palcu - co by było, gdybyś zginął albo został ranny w tym starciu w Kielcach. Co wtedy zrobiłaby Firma, a konkretnie, kto wziąłby udział w tych dzisiejszych rozmowach?

- W takim wypadku musielibyśmy czekać na następny kontakt i nowego negocjatora. Takie mam instrukcje - odpowiedział Walter.

- Kto o nich wie? Czy nie jest normą, że w takich wypadkach w kontakt wchodzi ktoś miejscowy? - zapytałem, przypomniawszy sobie o śladach kul w sypialni na Kubusia Puchatka.

- W normalnej sytuacji tak, masz rację. Tym razem jednak mam specjalne instrukcje. Były skierowane tylko do mnie i zaszyfrowane. Oczywiście, zna je szyfrant, ale chyba nikt więcej.

- Zostawmy na chwilę tych Czeczeńców. Wróćmy do pożaru na Kubusia Puchatka. Jeżeli nie było żadnej awarii, a chodziło tylko o to, żeby mnie usunąć? Czy w takim wypadku na spotkanie wysłałbyś Scotta?

- W normalnej sytuacji na pewno. - Walter w zamyśleniu uszczypnął się w dolną wargę.
- Jednak tu nie. Musiałbym zawiadomić Waszyngton i czekać.

- No to chyba masz swoją wtykę. Nie zapomniałeś przecież o tych dodatkach w teczce i telefonie, które miał mi przekazać. Chyba że to Babs. - Odwróciłem się do niej, usiłując spojrzeć jej w oczy.

Babs odpowiedziała mi spokojnym spojrzeniem i zajęła się napełnianiem naszych filiżanek. Chyba miało to być pogardliwe odrzucenie moich podejrzeń.

- Wykluczam taką możliwość. Babs ma moje całkowite zaufanie - stanowczo stwierdził Walter. - Scottem natomiast trzeba będzie się zająć. - Spojrzał znacząco na Babs, która skinęła głową.

Ponownie musiałem skorygować swą wiedzę o Babs. Była czymś więcej niż agentem operacyjnym, przynajmniej na tej placówce.

- Rozumiem, że kwestią Scotta i tutejszej wtyczki zajmiecie się bez mojego udziału.

Walter skinął głową.

- Wróćmy więc do dzisiejszych negocjacji. Jak ma wyglądać moja „opinia polecająca” - ironizowałem - i co powinna zawierać?

- Twoją osobistą ocenę, czy opłaca się nam dzisiaj i czy opłaci się w przyszłości udzielić pomocy, a także czy w przyszłości będziemy mogli na nich liczyć - z całą powagą powiedziała Babs.

- Nie startowałem jeszcze w tej konkurencji. - Wyjaśnienie sprawy pożaru i śladów po kulach na Kubusia Puchatka zdecydowanie mnie rozluźniło. - Mogę opierać się wyłącznie na dotychczasowych doświadczeniach i wrażeniach. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie dałbym tym ludziom do ręki nawet pistoletu gazowego.

- Poczekaj, chcę to nagrać. - Walter podłączał przyniesiony przeze mnie magnetofon. - Powtórz ostatnie zdanie i uzasadnij.

- Osobiście nie dałbym tym ludziom nawet kapiszonów. Nawet gdyby była szansa na pięciokrotne przebicie - powtórzyłem do magnetofonu. - Przede wszystkim dlatego, że to zdeklarowani konserwatywni muzułmanie.

- Czyżby względy religijne? - Tym razem ironizował Walter.

- Absolutnie nie. Wyłącznie doświadczenie i to nie bezpośrednio. Musimy pamiętać o tym, co się stało w Iranie po dojściu do władzy Chomeiniego, a także o naszych doświadczeniach z Afganistanem. Akurat ta grupa wyznawców Mahometa nie uważa za wiążące jakichkolwiek zobowiązań wobec niewiernych. Oni oszukanie nas uważają wręcz za realizację zaleceń Koranu. Z tego punktu widzenia są, moim zdaniem, całkowicie niewiarygodni. Po drugie, jest dla mnie niewątpliwe, co stwierdzam na podstawie bezpośredniego doświadczenia, że rozboje i porwania Czeczeni uważają za jak najbardziej właściwy sposób zdobywania pieniędzy i nie mają zamiaru z tego zrezygnować. Popieranie kolumbijskiego kartelu narkotykowego byłoby mniejszym złem niż popieranie zbrodni karanych w Stanach karą śmierci. Nie wyobrażam sobie, aby z takiej działalności opinia publiczna kiedykolwiek nas rozgrzeszyła. Po trzecie, ludzie, z którymi rozmawiałem, robią wrażenie tylko grupy, odłamu. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ruchy polityczne lub

religijne mogą ich zmieść z powierzchni i wtedy nie będzie od kogo żądać realizacji zobowiązań. - Sięgnąłem po filiżankę.

- Właśnie, czy wiesz, kogo oni się bali? - zapytała Babs, znów zakręcając kosmyk włosów na palcu.

- Do wyboru mamy tylko Rosjan albo ich własnych ziomków. Wydaje mi się, że raczej nie chodzi o Rosjan. Pozostaje więc tylko inna grupa Czeczenów. Mają u siebie różne frakcje i odłamy, więc żrą się między sobą. Znam to z praktyki.

- Podsumowując - wtrącił niecierpliwie wyraźnie zmęczony Walter - twoim zdaniem nie powinniśmy im nic dawać.

- Tak uważam. Chyba że zrezygnują z tych porwań i dadzą jakieś gwarancje. Tylko nie wiem jakie. - Skrzywiłem się. - Tak nie a propos, czy ustaliliście, kto za mną jechał? Może to coś nam da? - zapytałem Waltera.

- Jeszcze za wcześnie. Może będę miał coś rano. Twoje zdanie przekażę do Waszyngtonu. Myślę, że mimo wszystko każą ci kontynuować rozmowy.

- Wszyscy mamy na dzisiaj dość - powiedziałem, podnosząc się z krzesła. - Dochodzi jedenasta, czas spać.

Walter też się podniósł i zakrzętnął przy odłączaniu aparatury.

- Jeszcze jedno - odwróciłem się w drzwiach - zablefowałem, że wiemy, iż Zija Bazajew obraca ich pieniędzmi, a oni nie protestowali. Musimy to zapamiętać. Firma powinna go przeświecić.

- Załatwiłam samochód, który nas odwiezie - powiedziała Babs, zbierając naczynia. - Och, byłabym zapomniała, dzwonił twój dziadek i bardzo nalegał, żebyś do niego zatelefonował niezależnie od godziny. Jakaś bardzo, ale to bardzo pilna sprawa.

Sięgnąłem po telefon stojący na jej biurku. Dziadek Andrzej odebrał po pierwszym dzwonku. Przejęty relacjonował, że wczoraj był napad na dom i warsztat, musieli się bronić i Bolesław strzelał ze swojej dubeltówki. Dzisiaj go aresztowano.

Dziadek stanowczo żądał mojego przyjazdu do Lublina. Musiałem jechać, choćby dlatego, że zupełnie nie rozumiałem, jak można aresztować człowieka za to, że bronił swojego domu przed bandytami. Dziadkowi coś się musiało pokręcić. W żadnym cywilizowanym kraju nie karze się tego, który broni siebie i swojego majątku.

Powiedziałem Walterowi, że wyjeżdżam do Lublina jeszcze dzisiaj.

Uzgodniliśmy, że Scott nie pokaże się już w hotelu. Babs podrzuciła mnie do hotelu samochodem ambasady. Szybko spakowałem niezbędne rzeczy i z jedną walizką wyruszyłem

na parking. W holu znowu minąłem dwóch śniadoliczych mężczyzn. Nie ukrywałem, że nagle wyjeżdżam. Niech trochę poczekają.

Czwartek - dzień dziesiąty

Droga była prosta i pusta. Uciążliwy okazał się jedynie wyjazd z Warszawy, i to nie tyle ze względu na niewielki ruch, ile na działające w środku nocy światła, które zatrzymywały mnie na niemal każdym skrzyżowaniu. Jadąc, zastanawiałem się nad pospieszną i chaotyczną relacją dziadka. Uznałem, że jest absolutnie niemożliwe, żeby aresztowano Bolesława za to, że bronił siebie i domu. Musiało zdarzyć się coś innego i dziadek na pewno coś pokręcił. Prawdopodobnie nie uczestniczył w zajściu i dlatego jego opowieść była bezsensowna. Postanowiłem pojechać do domu Bolesława, a gdyby wszyscy spali, do hotelu.

Siedzibę dziadków zobaczyłem z daleka, gdyż dom i warsztat były rzęście oświetlone. Zatrzymałem samochód przed furtką. Nie wyjmowałem walizki. Dziadek musiał widzieć mnie przez okno, bo otworzył furtkę, zanim do niej doszedłem. Był tak zdenerwowany, że przy powitaniu trzęsły mu się ręce. Przeżycia ostatnich dni musiały być dla niego ciężkie, pochylił się i postarzał co najmniej o dziesięć lat.

Szyby w oknach od frontu zostały wybite. Powiew wiatru swobodnie unosił na zewnątrz firanki, pod ścianami skrzyły się odłamki szkła. Masywne drewniane drzwi wejściowe również były uszkodzone, pozostawione ślady wskazywały na użycie siekiery, w miejscu zamka ziała dziura. Wyrwane ruchome przesłó ogrodzenia między domem i warsztatem leżało na trawniku. Pobojowisko.

Weszliśmy do domu. Frontowy pokój, w którym jedliśmy pierwszego dnia mojej wizyty, przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Na podłodze i dywanie błyszczały okruchy szkła z rozbitych szyb i kryształów stojących poprzecznie w kredensie na wprost okien. Wszystkie meble były usiane drobnymi otworkami. Niewątpliwie strzelano tu śrutem.

Z kuchni wyłoniła się cicho babcia Alicja. Jej energia i żywotność ulotniły się bez śladu. Powitała mnie sterana życiem staruszka z oczami pełnymi łez. Gdy wyciągnąłem rękę na powitanie, rzuciła mi się w ramiona. Stałem w przedpokoju, tuląc płaczącą babcię Alicję i patrząc na nerwowo trzęsącego głową dziadka Andrzeja. W chwilę później z kuchni wyszedł z bezsilnie opuszczonymi ramionami Marek.

Nie poddałem się ich przygnębieniu. Przyjechałem, żeby walczyć.

- Widzę, że trochę tu narozrabialiście. Chodźmy do kuchni, opowiecie mi, co się stało.

- Dobrze, że przyjechałeś - westchnęła babcia Alicja, wycierając oczy. - My już nie wiemy, co robić.

Kuchnia wyglądała normalnie. Żadnych rozbitych szkieł, całe szyby. Usiadłem przy stole.

- Dostanę herbaty? Zacznijmy od tego, co tu się działo i skąd to pobojuwisko.

- Już robię herbatę. - Babcia Alicja zakrzętnęła się przy kuchni. - Może coś zjesz. My też z tego wszystkiego kolacji nie jedliśmy. Zaraz coś przygotuję.

Dziadek Andrzej bezsilnie opadł na krzesło. Markowi przybyło nieco energii. Odwrócił się do kredensu, skąd wyjął talerze i sztuce. Babcia kroїła wędliny. Zwyczajne czynności przywróciły wszystkim nieco spokoju. Marek usiadł i zaczął opowiadać o wczorajszych wydarzeniach.

Zostali zaatakowani około dziewiętej wieczorem, kiedy się ściemniło, przez dwie grupy. Kilku napastników podeszło pod dom od frontu. Choć obaj z dziadkiem Bolesławem pilnowali jak co noc, napastnicy niezauważalnie przekroczyli płot i kamieniami rozbili szyby w oknach od frontu. Zaczęli też wyważać drzwi do domu. Przez kuchenne okno wychodzące na zaplecze warsztatu dziadek Bolesław zauważył drugą grupę, która kręciła się przy stacji trafo; wyglądało na to, że chcą ją uszkodzić.

Dziadek wystrzelił dwukrotnie z dubeltówki w tamtym kierunku. Strzelba załadowana była śrutem, a w zdenerwowaniu celowanie do napastników nie było możliwe. Napastnicy też wystrzelili kilka razy, jak się później okazało, były to strzały w kierunku frontowych pokoi. Stąd właśnie ślady na meblach. Jednocześnie wyrwano zamek w drzwiach wejściowych.

Napad skończył się tak samo nagle, jak zaczął. Po wyrwaniu zamka nikt nie wszedł do domu. Napastnicy zniknęli. Dopiero wówczas Marek zadzwonił po policję.

Prawdopodobnie popełnił wtedy błąd, co po przemyśleniu przyznaje. Wzywając policję, powiedział, że napastnicy już uciekli.

- Pewnie dlatego przyjechali dopiero nad ranem, po kilku godzinach, chociaż powiedzieli mi, że już wysyłają radiowóz - kończył opowieść Marek. Jego zdaniem tych kilka godzin miało istotne znaczenie.

- Rozumiesz, przyjechali nie po to, by nas bronić. Przyjechali nas oskarżać. W ogóle nie chcieli z nami rozmawiać, oglądać szkód i domu. Interesowali się tylko dubeltówką i tymi strzałami. Nawet nie chcieli w protokole zapisać, że był jakiś napad.

- Z grubsza wiem już, co się stało. Ale kiedy i dlaczego aresztowano dziadka? - zapytałem.

Babcia Alicja usiadła za zastawionym już stołem. Przed każdym z nas stał kubek mocnej, aromatycznej, świeżo zaparzonej herbaty. Dziadek Andrzej ujął swój w obie ręce, głęboko westchnął i powiedział:

- Bolesława aresztowali w samo południe, jak przyjechali tu drugi raz. Podobno zranił kogoś z tej dubeltówki. Nie powiedzieli kogo. Od razu zadzwoniłem po ciebie. Marceci pojechał do mecenasa Zdrojewskiego. Powiedział, że musimy czekać. No to czekaliśmy.

- Nie znam polskiego prawa, ale to był napad. Nawet jeśli dziadek kogoś rzeczywiście zranił, to uczynił to w obronie własnej - powiedziałem; starałem się, aby moje słowa zabrzmiały przekonująco. - Natomiast do Zdrojewskiego nie mam zaufania.

- Zjedzcie śniadanie. Dzień będzie na pewno wyczerpujący, a ty całą noc jechałeś - wtrąciła babcia Alicja.

- Myślę, że o siódmej będę mógł zadzwonić do mecenas Bury. Może mi podpowie, co trzeba teraz robić. Faktycznie, zjedzmy coś. Potem chciałbym się z godzinę przespać.

Po śniadaniu położyłem się w pokoju dziadka Andrzeja; poprosiłem tylko Marka, żeby obudził mnie o siódmej.

Do mecenas Bury zadzwoniłem kilka minut po siódmej. Przeprosiłem za wczesną porę i streściłem zdarzenia, które doprowadziły do aresztowania dziadka Bolesława. Wymogłem na niej spotkanie o dziesiątej i poprosiłem, by przedtem zasięgnęła informacji w prokuraturze. Mogłem zdrzemnąć się jeszcze godzinę.

W gabinecie pani mecenas stawiłem się elegancki i względnie wypoczęty. Okazało się, że wyprzedziła mnie jakaś klientka i muszę poczekać kilka minut. Poświęciłem je na mało skuteczne przypominanie sobie wiedzy nabywanej kiedyś w pocie czoła. Ocena moich wiadomości prawniczych nie była budująca - zapomniałem prawie wszystko.

Bury przywitała mnie, zegnając jednocześnie klientkę, którą odprowadziła do drzwi. Zamknęła je na zamek. Odwracając się do mnie, powiedziała:

- Można pomyśleć, że pańska rodzina ma wyjątkowego pecha. Są jednak okoliczności, które nie pozwalają uwierzyć, że to tylko pech. Dlatego musimy porozmawiać przy drzwiach zamkniętych, dosłownie i w przenośni. Może będzie mi pan mógł wyjaśnić kilka rzeczy.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się bezradnie i sympatycznie. W milczeniu zająłem miejsce za biurkiem.

- Zacznijmy od sprawy pańskiego dziadka Andrzeja. Otrzymałam pismo z chicagowskiego banku i złożyłam je w prokuraturze. Normalnym następstwem powinno być umorzenie postępowania w tej sprawie. Rozmawiałam, składając te dokumenty, z prowadzącą postępowanie prokurator Tarasewicz i nie uzyskałam od niej informacji, że umorzy postępowanie. Wręcz przeciwnie, powiedziała mi, że nie ma wątpliwości, iż gwarancja była prawdziwa, jednak sprawa, jak to się mówi, „pozostaje w toku”.

- Co to znaczy?

- Oznacza to, że z formalnego punktu widzenia pański dziadek ma dalej status podejrzanego w sprawie karnej, a co za tym idzie, może również zostać aresztowany, jeżeli zostaną dokonane jakieś nowe ustalenia. Poza tym nie może wyjechać z Polski. Nie dowiedziałam się, co jeszcze chcą ustalić, ani też nie potrafię domyślić się tego.

- Powiedziała pani, że jest to formalny aspekt, a co z tego wynika faktycznie?

- Faktycznie będzie traktowany tak, jak w naszym kraju traktuje się kryminalistów. Gdyby miał o czymś świadczyć, będzie świadkiem niewiarygodnym. I w tym miejscu dochodzimy do sprawy pańskiego drugiego dziadka. Wiem, że w domu i warsztacie mieli być tylko dwaj pańscy dziadkowie. W takiej sytuacji, rozumie pan, jeden z nich strzela, a drugi jest niewiarygodnym świadkiem. W konsekwencji obaj mogliby znaleźć się w więzieniu.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem, i skąd pani wie, że powinni tam być sami?

- Mam swoje znajomości w komendzie. Od chwili aresztowania pana Andrzeja pańska babka mieszkała u syna. Nie można było przewidzieć, że akurat tego dnia tam wróci. Był tam jeszcze zięć aresztowanego - mówiła powoli, ze spuszczonej oczami, obracając w palcach długopis. - Też miało go nie być. Dzielnicy dostał wezwanie dla niego na ósmą wieczorem do komendy. Przypadek sprawił, że nie doręczył tego wezwania. - Podniosła wzrok na mnie. - Dzielnicy akurat miał kolizję drogową.

- Z tego, co usłyszałem, wnioskuję, że policja miała dokładne informacje o tym, kto będzie w domu i warsztacie wieczorem w dniu napadu, a nawet przyłożyła ręki do tego, aby nikogo poza dziadkami tam nie było? - spytałem.

Odpowiedzią było skinienie głowy.

Scenariusz przewidywał więc, że w domu będzie tylko dwóch staruszków. Jeden z nich lub obaj mogli zostać aresztowani i nie byłoby żadnych świadków poza postrzelonym. Oni oczywiście obaj są niewiarygodni, a więc przebieg zdarzeń miałby relacjonować ten niby pokrzywdzony. Sprytnie.

- Czy są jacyś świadkowie? - zapytałem. - Mówię o napastnikach.

- Jest pokrzywdzony. Leży teraz w szpitalu, podobno w ciężkim stanie. Dostał śrutem, ma kilka ran - odpowiedziała, patrząc na mnie uważnie.

- Dlaczego policja zbierała informacje o tym, kto będzie w domu i warsztacie?

- To jest informacja poufna. Dostałam ją od znajomego i nikt nie potwierdzi, że policja cokolwiek wiedziała na ten temat. Przynajmniej w zwykłych okolicznościach. O tych napastnikach niczego się nie dowiedziałam. Najwidoczniej nie czytał pan wczorajszych gazet. - Sięgnęła do akt i wyjęła wczorajszą gazetę. - To popołudniówka. Wczoraj pani prokurator Tarasewicz udzieliła wywiadu. Zwołała na dziesiątą rano konferencję prasową i tylko ta gazeta

zdążyła wydrukować materiał. Według tej relacji - podała mi gazetę - pani prokurator powiedziała, że pański dziadek zabił niewinnego przechodnia, który wszedł do domu zapytać o drogę.

Zaskoczony, odruchowo sięgnąłem po dziennik.

- Nie rozumiem. Tam są oczywiste ślady napadu! Porąbane drzwi! Kamienie wrzucone przez okno, rozbite szyby! Napastnicy nawet strzelali śrutem! Wszyscy czworo mieli omamy? Ja też nie widziałem tych śladów? Przecież policja zrobiła protokół! Marek mówił, że zapisali jego informację o napadzie! To on wzywał policję! - gorączkowo szukałem kolejnych argumentów. - Ale rozumiem. Gdyby wszystko poszło według planu, byłoby tam tylko dwaj dziadkowie! Nie zdążyli jej powiedzieć, że nie wyszło?

Mecenas Bury przyglądała mi się uważnie.

- Może nie chcieli zdążyć? - zasugerowała.

Pokiwałem głową. Nigdzie stosunki między prokuraturą i policją nie układały się prosto. Możliwe, że policja nie akceptowała tego, co robiła prokuratura, ale nie paliła się do protestów. A może po prostu nic nie wiedziała, tylko czuła smród.

- Nic nie zapowiadało, by ta konferencja miała mieć jakikolwiek związek z prowadzoną właśnie sprawą. Tym bardziej że oficjalnie o zdarzeniach pani prokurator dowiedziała się po konferencji prasowej. Dopiero koło południa sprawa wpłynęła do prokuratury i natychmiast został wydany nakaz aresztowania. Wątpię, by miała czas przeczytać protokół - dopowiedziała.

- Czyli wypadek przy pracy? - spytałem.

- Możemy przyjąć taką wersję. O niczym więcej na konferencji nie mówiła, zatem zwołanie jej w przeddzień wydarzeń dowodzi, że wiedziała o nich, zanim do nich doszło. To jeszcze jedna hipoteza, bo dowodu nie zdołamy przeprowadzić, a w prawie liczą się tylko fakty i dowody.

- Co my, pani i ja, możemy w tej chwili zrobić?

- Trzeba przede wszystkim zabezpieczyć dowody napadu. W tej chwili jest to ważniejsze niż aresztowanie. Poza tym będziemy mieli poważne argumenty za zwolnieniem z aresztu. Jest pan gotów ponieść koszty?

- Oczywiście. Gdyby mi nawet zabrakło pieniędzy, to kwestia jednego dnia. Dostanę je albo w ambasadzie, albo od dziadka.

- To nie będą duże koszty. Napiszę teraz doniesienie o przestępstwie, potem postaram się w komendzie, żeby wysłali tam technika i śledczego. Zrobimy to tak, jak gdyby nie było związku między napadem i aresztowaniem. Po prostu zawiadamiamy o napadzie, żądając wszczęcia śledztwa, i gromadzimy dowody. Rozumie pan?

Zrozumiałem. Prokuratura zignorowała informację o napadzie i gra tak, jak gdyby nic takiego się nie zdarzyło. My będziemy udowadniać, że napad miał miejsce i że dziadek strzelał w samoobronie.

- Czy to jedyny sposób? Nie możemy kogoś wynająć? Nie wiem, prywatnego detektywa czy kogoś takiego? - gorączkowałem się.

- W Polsce w zasadzie nie ma takiej instytucji jak prywatny detektyw. Owszem, kilka osób zarejestrowało taką działalność, głównie policjanci wyrzuceni po czystkach. Nie mają jednak żadnych uprawnień, a UOP może ich w każdej chwili z byle powodu aresztować. Nikt też nie będzie się narażał prokuraturze - usłyszałem.

- Pani teraz napisze to pismo i pójdzie do komendy, a ja?

- Ktoś musi czekać na technika w warsztacie lub w domu. Nie wiem, kiedy będzie mógł przyjechać. Musi pan dopilnować, żeby zarejestrował wszystkie ślady. No i trzeba mu zapłacić, bo będzie to robił poza godzinami. To koszty, o których mówiłam, jakieś dwieście złotych. Poza tym - zastanawiała się przez chwilę - wie pan niewątpliwie, jakie dane powinny zawierać protokoły przesłuchań i pewnie umie pan pisać na maszynie.

- Raczej na komputerze. Do maszyny wolałbym wynająć maszynistkę. Koszty to drobiazg. Szczegółowe przesłuchanie umiem przeprowadzić.

- Spróbuję namówić znajomą maszynistkę. - Podniosła słuchawkę telefonu. - Musi pan sporządzić protokół zeznań wszystkich obecnych w domu w chwili napadu, dokładnie opisać każdy usłyszany przez nich dźwięk i zaobserwowany obraz. Zeznania trzeba ująć jako ich pisemne oświadczenia. Każda strona musi być podpisana. Proszę pisać w dwóch, trzech egzemplarzach. Jak znam życie, śledczemu nie będzie się chciało wszystkiego przepisywać i włączy je do swojego protokołu. Powinien pan odebrać od niego pokwitowanie na kopiach.

Czekałem na rezultat prowadzonych przez nią negocjacji. Ostatecznie otrzymałem adres, skąd miałem za pół godziny zabrać maszynistkę.

Umówiłem się z adwokatką na wieczór i telefon, gdy technik pojawi się w domu. Pojechałem po maszynistkę, a później z nią do dziadków. Babcia Alicja powitała nas kawą i domowym ciastem.

Do przesłuchań zajęliśmy pokój od frontu na piętrze. Usiadłem przy oknie, by widzieć ewentualnych gości. Nieco kłopotów sprawiła nam formułka, którą należało rozpocząć takie zeznania, w końcu w trójkę ustaliliśmy, że będzie ona brzmiała: „W związku z wydarzeniami, które miały miejsce w dniu 26 czerwca 1995 r. na terenie posesji Bolesława Komeckiego, ja, niżej podpisany, oświadczam, iż byłem naocznym świadkiem następujących wydarzeń”.

Na pierwszy ogień wziąłem Marka. Rozmawialiśmy swobodnie; on snuł swoją opowieść, ja dopytywałem o szczegóły, które mógł pominąć. Potem formułowałem z tego zdanie lub zdania, a te zapisywała maszynistka. Szło nam opornie, głównie dlatego, że stale przerywałem Markowi, a on musiał za każdym razem wracać do omawianej przed chwilą sytuacji.

Zacząłem od Marka, gdyż wydawało mi się, że powinien pamiętać najwięcej zarówno ze względu na wiek, jak i na to, że przez cały czas przebywał z dziadkiem Bolesławem. Ujawnione w czasie tej rozmowy szczegóły w zasadzie nie przyniosły żadnych rewelacji. Marek opisał tylko sylwetki napastników. Drzwi wylamywał mężczyzna potężnej postury, co najmniej mojego wzrostu, ale znacznie cięższy. Twarzy z powodu ciemności Marek nie widział. Zapamiętał tylko sylwetkę i kształt głowy. Wydawało mu się też, że obok wielkoluda kręcił się znacznie drobniejszy mężczyzna. Udało się nam ustalić, że widział cztery postacie atakujące dom z ogródka od frontu. Z przodu padały na nie światła z domu, dzięki czemu Marek sformułował cztery dość dokładne rysopisy, a co najważniejsze, był przekonany, że dwóch napastników rozpozna. Zwłaszcza drobnego mężczyznę o szczurzej, jak to określił, twarzy, który strzelał w okna z jakiejś broni.

Najwięcej kłopotów sprawiło nam ustalenie liczby napastników kręcących się przy stacji trafo. Marek, skupiony na obronie atakowanego domu i jego mieszkańców, rzucił tylko parę razy okiem w tamtą stronę kilkakrotnie, więc niedokładnie pamiętał zarówno sylwetki napastników, jak i ich usytuowanie.

Zakończyliśmy po dwóch godzinach, gdy już nie umiałem wymyślić żadnych nowych pytań. Jediną okolicznością do wykorzystania na tym etapie było to, że Marek przez cały czas przebywał z dziadkiem Bolesławem, nie opuszczając go ani na moment. Był też świadkiem dwóch i tylko dwóch strzałów oddanych przez Bolesława przez kuchenne okno w stronę napastników i stacji trafo. Uznałem za celowe podkreślić te okoliczności na zakończenie jego zeznań. Wydało mi się ważne również to, że mieszkańcy domu porozumiewali się w czasie ataku głośnymi okrzykami, gdy babcia Alicja i dziadek Andrzej uciekli przed napastnikami na piętro. To właśnie mogła być przyczyna, dla której tamci nie weszli do domu - zorientowali się, że w środku jest więcej osób niż dwie.

Obu nas zmęczyło to przesłuchanie, więc zarządziłem przerwę na herbatę. Babcia Alicja przyniosła też kilka kanapek i uprzedziła, że za godzinę zrobi nam przerwę obiadową.

Rozmowa z dziadkiem Andrzejem poszła znacznie sprawniej i szybciej, gdyż jego relację odnosiłem do faktów opisanych już przez Marka. Okazało się, że dziadek też może rozpoznać dwóch z napastników, których obserwował z góry przez okno zajmowanego właśnie

przez nas pokoju. Jednym z nich był już opisany przez Marka „szczurek”. Drugi, przysadzisty i krępy, atakował na lewym skraju działki. Mieliśmy więc opisy trzech napastników. Na stację trafo dziadek Andrzej nie patrzył, chociaż słyszał strzały oddane przez Bolesława. On również stanowczo twierdził, że z domu padły tylko dwa strzały.

Skończyliśmy to przesłuchanie grubo po czwartej i babcia Alicja zaprotestowała przeciwko kontynuowaniu mojej działalności przed obiadem. Uległem jej perswazjom.

Kończyliśmy właśnie obiad, z konieczności podany w kuchni, gdy przed furtką pojawiło się dwóch mężczyzn. Byli z policji - grzecznie wylegitymowali się, zanim wpuściłem ich do środka. Przyszli na polecenie komendanta. Natychmiast zadzwoniłem do mecenas Bury. Potwierdziła nazwiska policjantów i zaproponowała, żebyśmy spotkali się w jej gabinecie nie wcześniej niż o wpół do dziewiątej wieczorem.

Jeden z przybyłych, obwieszony aparatami fotograficznymi, dźwigał dwie metalowe walizki. Technik kryminalistyki. Drugi przedstawił się jako podkomisarz Paweł Ręczniak, oddelegowany do opisu miejsca zdarzenia i odebrania zeznań. Technik, już wchodząc, zorientował się, co ma do zrobienia, i oświadczył, że zacznie od fotografii ogólnych i planu sytuacyjnego. Do tego nie byłem mu potrzebny, zaprowadziłem podkomisarza na górę i wręczyłem zebrane już i podpisane zeznania.

Przyjął je z nieukrywanym niezadowoleniem, od razu więc zaproponowałem kawę, herbatę i sprawną maszynistkę do dyspozycji. Poprosił o kawę i zajął się czytaniem spisanych już zeznań.

Zszedłem do kuchni. Babcia Alicja plotkowała o lubelskich znajomych z maszynistką. Czekaając, aż się zagotuje woda, wyrząłem do frontowego ogródka, gdzie technik z pomocą Marka dokonywał jakichś pomiarów.

Kiedy wróciłem z kawą na górę, nastawienie podkomisarza było już znacznie życzliwsze. Powiedział nawet, że zaoszczędziłem mu pracy, spisując tak szczegółowe zeznania. Poprosił o sprowadzenie dziadka Andrzeja, by potwierdził zeznania do protokołu, i babci Alicji; chciał ją przesłuchać. Na udział protokolantki się nie zgodził, chciał jednak skorzystać z maszyny do pisania.

Ponownie zszedłem na dół i wyprawiłem babcię i dziadka na górę. Musiałem zatrzymać maszynę do pisania, ale maszynistka mogła już jechać. Zapłaciłem jej i odesłałem do domu wezwaną telefonicznie taksówkę, przysięgając, iż odwiozę maszynę do pisania, jak tylko przestanie tu być potrzebna.

Mogłem się teraz zająć technikiem. Zależało mi na badaniu zamka w drzwiach. Na moje oko nie został wyrąbany siekierą, ale wyrwany na skutek niewielkiego wybuchu, podobnie jak

zamki na Kubusia Puchatka. I na drzwiach, i na zamku powinny zostać ślady. Poza tym należało dokładnie zbadać okolice stacji trafo. Jeżeli ktoś tam został zraniony, musiały być ślady krwi.

W ogródku powitał mnie rozpromieniony Marek. Technik znalazł ślady czterech napastników. Obfotografowywał je teraz starannie i umieszczał na planie sytuacyjnym. W dwóch miejscach umieścił kolorowe znaczniki - to najlepiej zachowane ślady dwóch z nich. Gdy skończy je mierzyć i fotografować, wypełni dołki gipsem i otrzyma odlewy śladów stóp. Technika przestarzała, ale wystarczy, by określić wzrost i wagę napastników. Wyglądało na to, że na razie nie mam tu nic do roboty, wróciłem więc do domu.

Zasiedliśmy z dziadkiem Andrzejem przy stole w kuchni. Ja wybrałem aromatyczną herbatę w kubku, dziadek uznał, iż po emocjach dnia może sobie pozwolić na szklaneczkę whisky. Odzyskał już formę, był podniecony i optymistycznie nastawiony na przyszłość. Wiedziałem, że to przesadny optymizm. Postanowiłem zabrać go ze sobą do mecenasa Bury. Powinien poznać jej ocenę sytuacji. Zaproponowałem, by przygotował się do wyjazdu. Poweselał jeszcze bardziej. Wcześniej nie miałem czasu, by przekazać mu treść porannej rozmowy z adwokatką, więc zrobiłem to teraz. Zdołałem przytłumić nieco buchający z dziadka entuzjazm, ale nie za bardzo.

Marek z technikiem weszli, by rozrobić gips. Technik poinformował, że znalazł cztery różne dobrze zachowane ślady prowadzące od płotu. Zwróciłem mu uwagę na zamek i drzwi. Pozostawił Marka przy mieszaniu gipsu i zapakował zamek do analizy, a następnie pobrał próbki z drzwi, wszystko należycie oznaczając. Przy okazji opylił proszkiem daktyloskopijnym drzwi i futrynę, zapowiadając też pobranie odcisków palców domowników. Nie zdążył tego zrobić, gdy Marek krzyknął, że gips zaczyna tężeć.

Do kuchni weszła babcia Alicja. Ręczniak wzywał mnie na górę.

Na wstępie usłyszałem kilka komplementów odnoszących się do spisanych przeze mnie zeznań, które postanowił włączyć do swoich protokołów. Potem opowiedziałem, co widziałem w domu i co usłyszałem od domowników. Informacja, że jestem prawnikiem, nastawiła do mnie przychylniej podkomisarza. Pozwoliłem więc sobie na uwagę, że sensowność odbierania moich zeznań wydaje mi się wątpliwa. Dowiedziałem się, że jestem „świadkiem ze słuchu” i że polska procedura dopuszcza takie zeznania. Ciekawe. W sądzie żadnego z naszych stanów nie jest dopuszczalne świadectwo „z drugiej ręki”.

Pozostało już tylko potwierdzenie do protokołu policyjnego zeznań Marka. Poszedłem zmienić go przy techniku.

Obu zastałem przy zdejmowaniu śladów z futryny. Odlewy schły.

Wysłałem Marka na górę i poprowadziłem technika do stacji trafo. Szliśmy w pewnym oddaleniu od ścieżki łączącej obie działki. Technik wypatrywał starannie śladów, ale nic nie znalazł. Po drodze kilkakrotnie sfotografował jeszcze leżące na ziemi przęsło ogrodzenia. Na betonowym podłożu przy stacji nie dostrzeżliśmy ani śladów stóp, ani krwi. Mimo to zażądałem szczegółowego obfotografowania podłoża i pobrania próbek nawet z najmniejszych plamek.

Jeżeli udowodnimy, że nie ma tu żadnych krwawych plam, to podważymy twierdzenie, iż Bolesław kogoś zranił. To powinno wystarczyć, by uznać, że rany pokrzywdzonego nie powstały w tym miejscu, a więc ich sprawcą nie jest Bolesław.

Technik przystąpił do żmudnego sporządzania planu sytuacyjnego, korzystając z mojej pomocy przy pomiarach. Potem dokładnie obejrzał sam budynek stacji. Skutek jego starań był jednak mizerny, napastnicy pozostawili jedynie ślady rękawic.

Wracając, technik zatrzymał się przy przęśle ogrodzenia i pokazał mi ślady, z których wynikało, że zostało ono wyważone od strony warsztatu. Kolejny dowód potwierdzający, że były dwie grupy napastników. Po drodze zapytałem, ile mu się należy za poświęcony nam czas. Zażądał pięciuset złotych; zapłaciłem bez targowania się i wyjaśnień. Potrzebowaliśmy każdej formy życzliwości i pomocy, nawet opłaconej.

Policjanci odjechali kilka minut po ósmej. Zaraz potem wyłonił się z domu dziadek ubrany w granatowy garnitur do blade-niebieskiej koszuli ozdobionej stonowanym krawatem, świeżo ogolony, pachnący tradycyjnym old spice'em. Wyruszyliśmy kilkanaście minut po ósmej. Trochę czasu zajęło mi rozważanie z Markiem, w jaki sposób zabezpieczyć pozbawione zamka drzwi. Pomogłem mu zamocować znalezionej w warsztacie zasuwę. Otworzyć ją można było jedynie od środka, ale dom i tak musiał być teraz stale strzeżony. Gdy odjeżdżaliśmy, przed dom zajechał samochód z taflami szkła.

Po drodze oddałem jeszcze maszynę do pisania. Dziadek był niezmiennie w radosnym nastroju i próbował rozbawić mnie opowiadaniem anegdot.

Mecenas Bury czekała na nas. Ona też była w dobrym nastroju.

- Sprawa wygląda świetnie - powiedziała z uśmiechem. - Dowiedziałam się w szpitalu, że pokrzywdzony ma uszkodzone struny głosowe. Nie mógł więc złożyć żadnych zeznań.

- Witam moją wybawicielkę! - wykrzyknął na powitanie rozanielony dziadek.

Choć zwolnienie go z aresztu uzyskał adwokat Zdrojewski, dziadek nigdy nie przyjął tego do wiadomości. Zmianę swojej sytuacji wiązał zawsze z pojawieniem się adwokata Bury i ze Zdrojewskim w ogóle nie chciał rozmawiać. Dziwiło mnie więc, że i Bolesława obrońcą

został Zdrojewski, do którego obaj dziadkowie nie mieli zaufania, a Andrzej podejrzewał wręcz o próbę ograbienia.

- Cieszę się, mogąc panią ponownie zobaczyć, pani Mirosłavo - powiedział, szarmancko całując ją w rękę. - W tych smutnych okolicznościach jest pani promykiem naszej nadziei. Pozwoliłem sobie - kontynuował, trzymając wciąż dłoń adwokatki - przynieść pani drobny prezent i proszę, aby go pani przyjęła w dowód mojego uznania zarówno dla urody, jak i umiejętności zawodowych.

Tu dziadek wyjął z kieszeni eleganckie etui z wytłoczoną na wierzchu nazwą Chanel i postawił je otwarte na biurku. W środku znajdował się płaski srebrno-złoty pojemnik na perfumy i szklany płaski aerozol z napisem Allure Chanel.

Ten prezent nie mógł kosztować mniej niż pięćset dolarów! Dziadek zadziwił mnie tym bardziej, że nigdy nie kupował nikomu z nas prezentów, załatwiając wszystkie okazje czekami.

- Szukałem perfum odpowiednich dla pani urody i osobowości. Mój węch i moja wyobraźnia wskazały, że to jest jedyny godny pani zapach. Chciałbym sprawdzić, czy mam rację. Bardzo proszę, aby użyła ich pani tu i teraz. - Wyjął z pudełeczka metalowy pojemnik i delikatnie rozpylił perfumy na adwokatkę.

Była zdziwiona, choć przypuszczam, że znacznie mniej niż ja. Dziadek w roli amanta podobał mi się. Żadnych amerykańskich pokrzykiwań - przeciwnie, wręcz francuska finezja. Adwokatka była oczarowana. Pozostała w miejscu, do którego zaprowadził ją dziadek, wdychając zapach rozpylonych na nią perfum z uśmiechem wyrażającym rozbawienie i zadowolenie.

Stałem przy zamkniętych drzwiach wejściowych, gdzie mnie zostawili. Delikatny zapach wypełnił oba pomieszczenia. To były dobre perfumy i rzeczywiście pasowały do mecenasa Bury.

Postanowiłem interweniować.

- Przyjechaliśmy, żeby zdać pani relację z naszych dotychczasowych działań i ustalić, co mamy robić dalej - rozpocząłem nieco zbyt głośno.

Dziadek odwrócił się do mnie z gniewem, ale ja znacząco odsunąłem krzesło po mojej stronie biurka. Położyłem spisane przeze mnie zeznania i nie pozwalając sobie przerwać, kontynuowałem:

- Podkomisarz Ręczniak potwierdził, że otrzymał te zeznania i dołączył je do protokołów. W jednym egzemplarzu spisał tylko zeznania żony dziadka Bolesława i tych nie mamy. Niedługo będę musiał wyjechać, ustalmy więc, co jeszcze możemy zrobić przed poniedziałkiem.

Dziadek ochłonął na tyle, że bez komentarzy zajął swoje miejsce i zapytał:

- Dlaczego mamy czekać do poniedziałku? Przecież sprawa jest oczywista i Bolesław spędzi w areszcie kilka dni zupełnie bez potrzeby.

Adwokatka spokojnie uzasadniła konieczność powstrzymania się od wszelkich działań, aż sprawa napadu zostanie formalnie podjęta przez policję. Odwołując się do doświadczeń z kredytem bankowym, zauważyła, że sprawa może mieć zupełnie inny podtekst, tym bardziej iż prowadząca ją prokurator mówiła o niej na konferencji prasowej, nie znając przebiegu wydarzeń i nie dysponując protokołami policji z miejsca zdarzenia.

Dziadek jednak niełatwo się poddawał.

- Rozumiem, że działają tu jakieś zakulisowe siły. U nas też się to zdarza. Trzeba jednak coś zrobić, jakoś tych prokuratorów zneutralizować, zaszachować. Nawet jeżeli poczekamy do poniedziałku, to co najwyżej zwolnią Bolka z aresztu. To nas napadnięto, a ta prokurator wywraca kota ogonem.

- Mówi się: odwraca kota ogonem - odruchowo poprawiła Bury. - W tej chwili nie przychodzi mi na myśl nic, co moglibyśmy zrobić. Sprawa jest poważna. Zebraliśmy dziś dowody i policja musi je opracować. Najwcześniej jutro przekaze prokuraturze informacje o postępowaniu w sprawie napadu. Prokuratura otrzyma je na piśmie. Wszystkie dowody pozostaną jednak w aktach policyjnych.

- Nie rozumiem, przecież śledztwo będzie prowadzone przez prokuratora?! - zdziwiłem się.

- W zasadzie tak. Praktyka jest jednak taka, że prokurator tylko nadzoruje pracę policji i daje wytyczne. Czynności, szczególnie rutynowe, wykonują policjanci. O wynikach powiadamiają prokuratora. Czasem prowadzący śledztwo ma własne koncepcje i też je sprawdza. Na tym etapie prokurator sugeruje czynności lub poleca ich wykonanie. No i oczywiście wydaje postanowienia, jeżeli jest to konieczne, o przeprowadzeniu na przykład rewizji lub aresztowaniu podejrzanego.

- U nas takie decyzje podejmuje sędzia - zakomunikował dziadek.

- Nasze systemy prawne trochę się różnią. Czekamy na zmianę przepisów, jest już projekt, ale pewne różnice pozostaną.

- Co pani ma zamiar zrobić i kiedy Bolesław zostanie zwolniony? - zapytałem.

- Nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów, nawet ten pokrzywdzony w obecnym stanie zdrowia nie mógł nic powiedzieć. Mimo to prokurator zastosowała areszt i podała na konferencji prasowej informacje wyssane z palca. Nie możemy dopuścić, aby sprawę napadu

wyciszono albo zignorowano. Musimy jednak poczekać, aż postępowanie zostanie podjęte. Wtedy złożę zażalenie na areszt.

- Sama pani mówi, że nie ma dowodów przeciwko Bolesławowi - zachnął się dziadek.

- Tak samo jak ich nie było w chwili aresztowania, jednak prokurator Tarasewicz nie zawahała się przed jego zastosowaniem.

- No, ale chyba ktoś ją kontroluje - wtrąciłem. - Czy w Polsce prokurator jest całkowicie bezkarny?

- W zasadzie tak - westchnęła adwokatka. - Nie znam przypadku, aby pociągnięto prokuratora do odpowiedzialności za bezzasadne aresztowanie. To pewnie pozostałość poprzedniego systemu, ale wciąż najważniejszym dowodem winy jest akt oskarżenia. Z tymczasowym aresztowaniem jest podobnie: powszechnie uważa się, że skoro ktoś został aresztowany, musiał popełnić przestępstwo. Nikt się specjalnie nie przejmuje dowodami.

- Zupełnie nie rozumiem. Mówiła pani, że macie domniemanie niewinności. Człowiek jest niewinny, dopóki wina nie zostanie mu udowodniona! To, co tu praktykujecie, to domniemanie winy. A w ogóle skąd pomysł, iż ten pokrzywdzony został zraniony przez Bolesława i na jego działce, jeżeli on nie może mówić i to, jak rozumiem, od chwili zdarzenia. Mówiła pani, że żadnych innych świadków nie mają - byłiby to przecież ci, którzy dokonali napadu.

- Nie umiem panu odpowiedzieć. Dzisiejsze gazety wydrukowały relację z konferencji prasowej bez jakichkolwiek zmian, co znaczy, że prokuratura będzie się trzymać wersji ataku na niewinnego przechodnia. Gdyby było inaczej, na pewno przekazane na konferencji informacje zmieniliby lub zdementowali, ale tego nie zrobili. W tej sytuacji uzyskanie zwolnienia nie będzie łatwe.

- To przecież oszczerstwo! Ze mnie zrobiła złodzieja, a teraz mój brat został bandytą! Gdzie jest sprawiedliwość? - grzmiał dziadek.

- Ma pan rację. Nadal jednak uważam, że nie wolno nam podjąć żadnych działań, dopóki pan Bolesław jest w areszcie. Moglibyśmy tylko zaszkodzić. W poniedziałek złożę zażalenie na areszt w prokuraturze okręgowej. Razem z aktami sprawy zostanie ono przesłane do prokuratury apelacyjnej. Mówiłam już pańskiemu wnukowi, że termin, w jakim akta zostaną przesłane, zależy od prowadzącej sprawę prokurator. Teoretycznie ma na to czterdzieści osiem godzin, w praktyce bywa różnie. W rzeczywistości to od prokuratora prowadzącego zależy, w jakim terminie przekaże sprawę wyżej.

- Więc jak pójdzie pani do tej prokuratury apelacyjnej i przedstawi wszystkie argumenty, będą musieli zwolnić Bolesława.

- Przykro mi, ale polskie przepisy nie przewidują mojego udziału przy rozpoznawaniu zażalenia.

- Jakże tak? Ona tam będzie, a pani nie? Przecież podobno macie demokrację.

- Przepisy nie przewidują udziału obrońcy przy rozpatrywaniu takiego zażalenia. Ja nawet nie muszę wiedzieć, kiedy moje zażalenie będzie rozpatrywane.

- Czyli mogą sobie mówić o sprawie, co chcą i kiedy chcą, i nikt tego nie kontroluje?

- Teoretycznie instancja nadrzędna, jaką jest prokuratura apelacyjna, bada słuszność argumentów obu stron. Faktycznie prokurator, który zastosował areszt, może jeszcze argumentować ustnie. Ja swoje argumenty przedstawiam na piśmie i nie mogę dyskutować ze stanowiskiem prokuratora, szczególnie jeżeli w czasie między złożeniem zażalenia a jego rozpatrzeniem zostaną wykonane jakieś czynności lub ujawnione nowe dowody.

- Czyli dla uczciwego człowieka szansę zwolnienia z aresztu są niewielkie?!

- Bywa różnie. Dużo zależy od prokuratora prowadzącego postępowanie. Dlatego chciałam z panami omówić drugą ewentualność: możliwość zwolnienia za kaucją. Na wypadek, gdyby zażalenie okazało się nieskuteczne. Możemy wówczas prosić o zwolnienie za kaucją. Jaką kwotę mogę zaoferować?

- Każdą - odparłem. - Oczywiście w granicach rozsądku. Sędzia podejmuje przecież decyzję o wysokości kaucji stosownie do opinii zatrzymanego i zarzucanego przestępstwa.

- U nas tę decyzję podejmuje prokurator prowadzący sprawę.

- To znaczy, że ta sama prokurator, która aresztowała Bolesława, będzie decydowała, czy zwolnić go za kaucją? - upewniał się dziadek.

- Niestety tak. I to podkreślam. Do niej należy decyzja zarówno co do tego, czy w ogóle wyznaczyć kaucję, jak i jej wysokości.

- Wasz system musi prowadzić do nadużyć. Oczywiście, że ten, kto aresztował, jest zainteresowany udowodnieniem słuszności swoich decyzji, a więc będzie protestował przeciwko zwolnieniu z aresztu, może też wyznaczyć kaucję w takiej wysokości, że nie będzie można jej wpłacić.

Dziadek myślał intensywnie, bębniąc palcami o blat biurka. Ciężko westchnął, zerknął na mnie z ukosa i zwrócił się do adwokatki:

- Nie będę ukrywał, że posiadam pewne środki. Nie jestem bogaczem, ale nie jestem też biedny. Mogę uruchomić w ciągu dwudziestu czterech godzin około pięciuset tysięcy dolarów i do tej kwoty może pani oferować kaucję od ręki. Gdyby potrzebna była większa suma - stęknął, poprawiając się na krześle - będę musiał mieć więcej czasu. Bank na pewno pójdzie mi na rękę, więc to nie powinno trwać dłużej niż dwa dni.

Wypowiedź dziadka zdziwiła mnie. Wyglądało na to, że mam w rodzinie milionera. Otwarte szeroko oczy adwokatki świadczyły, że wymienione kwoty również na niej zrobiły wrażenie.

- Myślę, że to nie będzie aż tyle - powiedziała. - Gdyby zażalenie okazało się nieskuteczne, zaoferuję pięćdziesiąt tysięcy dolarów, najwyżej sto. Nie rozumiem jednak, dlaczego brał pan pożyczkę na warsztat, jeżeli dysponuje pan takimi kwotami.

- To jest biznes, który powinien sam się spłacić. Wszyscy mieliśmy tak pracować, żeby zarobić na sobie i spłacić pożyczkę. Interes to interes. - Dziadek odwrócił się do mnie. - Pojedziemy zaraz do twojego hotelu. Muszę zadzwonić do Charlesa w sprawie tych pieniędzy.

- Przemyszę wszystkie inne sugerowane przez panów możliwości dopiero wówczas, gdy poznam, choćby nieoficjalnie, ustalenia policji, i po rozpatrzeniu mojego zażalenia - powiedziała adwokatka, podnosząc się zza biurka. - Umawiamy się więc na poniedziałek po szóstej.

Żegnając się, zastrzegłem, że może nie być mnie w Lublinie w poniedziałek, ale na pewno zadzwonię. Pożegnanie dziadka z prawniczką trwało dłużej i znowu odbyło się z francuską galanterią.

Pośpieszyliśmy w milczeniu do hotelu, każdy pogrążony we własnych myślach.

W holu ze swobodą stałego rezydenta siedział Jussuf nad szklaneczką soku pomarańczowego. Niewątpliwie czekał na mnie. Musiał czekać dalej. Skierowaliśmy się z dziadkiem do recepcji i poprosiliśmy o udostępnienie pokoju konferencyjnego. Godzina była tak późna, że nikt nie korzystał z mieszczących się tam urzędzeń. Dziadek zamówił dla nas po szklaneczce whisky po angielsku, *on the rock*.

Najwidoczniej podzielał poglądy Jurka na amerykańskie drinki i nie lubił alkoholu rozcieńczonego wodą sodową. Pozostałem przy recepcji, by uregulować rachunek, dziadek zaś z kelnerem u boku poszedł do sali konferencyjnej. Przedłużyłem rezerwację zajmowanego pokoju i wówczas recepcjonista wręczył mi wiadomość od Waltera. Jurek zapraszał na sobotę i niedzielę na koleżeńskie spotkanie nad Zalewem Zegrzyńskim.

Gdy odwróciłem się, za mną stał Jussuf.

- Jesteśmy gotowi podjąć rozmowy jutro. Zabierzemy cię stąd o dziesiątej - powiedział półszeptem.

Nie mogłem zgodzić się na spotkanie z nimi bez ochrony.

- Wykluczone. Jeszcze dziś wyjeżdżam do Warszawy. Możemy spotkać się jutro w moim warszawskim hotelu - powiedziałem głośno i wyraźnie i podążyłem za dziadkiem, nie dając Jussufowi szansy na dyskusję.

Dziadek rozmawiał już z Charlesem. Czekając, aż skończą wymianę faksów, zastanawiałem się nad jutrzejszym spotkaniem z Czezeńcami i popijałem drinka. Musiałem skontaktować się z Walterem i natychmiast jechać do Warszawy. Gdy dziadek skończył rozmowę, poprosiłem, żeby poczekał na mnie w barze. Rozmowa z Walterem i tak musiała być prowadzona ostrożnie ze względu na hotelowy telefon, z którego miałem zamiar korzystać. Wolałem nie dawać żadnej pożywki dziadkowej wyobraźni.

Walter nie był zachwycony informacją, że na jutro wyznaczono spotkanie z „grupą Jussufa”, jak ich określiłem. Słyszałem nawet, jak cicho zaklął. Zażądałem pełnej ochrony jak poprzednio, sugerując, że tym razem spotkanie może odbyć się poza Warszawą. Miałem zamiar wrócić jeszcze tej nocy i chciałem zastać w swoim pokoju nadajniki i sygnalizatory. Gdy powiedziałem, że dostawcą nie może być Scott, Walter skomentował: „To oczywiste”.

Wprowadziłem go też z grubsza w sprawy dziadków. Ku mojemu zdumieniu zaproponował oddelegowanie dwóch marines do ochrony. Niewątpliwie chodziło mu o to, że prowadząc sprawy Firmy, powinienem być spokojny o bezpieczeństwo moich najbliższych, propozycja ta wykraczała jednak poza zakres jego obowiązków.

Postanowiłem skorzystać z tej uprzejmości. Gdy podałem adres domu Bolka i warsztatu, Walter powiedział, że w ciągu pół godziny wyśle służbowym samochodem dwóch ludzi. Nie będą się ukrywać, wręcz przeciwnie, każe im się afiszować. Poza tym zamierzał powiadomić władze, że ambasada przydzieliła uzbrojoną ochronę dziadkowi Andrzejowi. Uważał, że powinno to powstrzymać ewentualnych amatorów dalszych napadów.

Gdy zakończyłem konferencję z Walterem, Jussufa nie było już w holu, a dziadek siedział w barze w kąciku przed telewizorem. Trzymał w ręku drugą whisky i z wyraźnym rozbawieniem oglądał jakąś dyskusję polityczną. Zająłem miejsce obok i zanim zdążyłem się odezwać, dziadek, wskazując szklanką ekran, powiedział:

- Wiesz, jak tu przyjechałem, przez kilka pierwszych dni miałem wrażenie, że zapomniałem mówić po polsku. Na co dzień wszystko było w porządku, ale w telewizji wszyscy mówili jakoś dziwnie i czasami wydawało mi się, że od rzeczy. Pamiętasz oczywiście, że u nas we wszystkich gazetach były dowcipy na temat tego wąsatego prezydenta. Szczególnie celował w tym angielski „Punch”, nawet kupowałem go chyba przez pół roku, żeby zrozumieć, co się tu dzieje. Najlepsze drukowali, gdy był w Anglii z wizytą u królowej. - Zachichotał. - Ten facet jest genialny. W jednym zdaniu potrafi coś powiedzieć i równocześnie zaprzeczyć. Te programy polityczne są właśnie dlatego bardzo zabawne, że większość tutejszych polityków mówi tak samo. To jest równie dobre, a może nawet lepsze od tych angielskich programów

rozrywkowych opartych na pure nonsense. - Zerknął na mnie z ukosa. - Rozumiem, że chcesz mi coś powiedzieć.

- Tak. Muszę jeszcze dzisiaj wyjechać. Obowiązki wzywają.

Powiedziałem mu o przydzielonej ochronie, oczekując sprzeciwów, ale ku mojemu zdumieniu dziadek wydawał się nawet zadowolony. W ogóle wbrew moim oczekiwaniom był pogodny i energiczny. Przez chwilę nawet chciałem go zapytać, czy powinienem liczyć na nową babcie, ale uznałem, że to nie moja sprawa. Na pewno musiał poświęcić trochę czasu i namysłu, zanim kupił adwokatce właśnie taki prezent. Poza tym niewątpliwie ją podrywał. Sposób nieco staromodny, ale bezspornie elegancki. Chyba nie mógłbym mu się oprzeć, gdybym był kobietą. Ciekaw byłem tylko, czy te wysiłki są związane z prowadzoną przez nią sprawą, czy też dziadek zmierza dalej.

Pojechaliśmy do domu Bolesława. Po drodze usłyszałem kilka dowcipów o polskim prezydencie, które dziadek swego czasu wyczytał w amerykańskich i angielskich gazetach. Odjechałem, gdy Marek otwierał dziadkowi furtkę; poprosiłem tylko, by pożegnał ode mnie domowników. Znowu musiałem się śpieszyć.

Piątek - dzień jedenasty

W Warszawie znów prawie na każdym skrzyżowaniu stawałem na światłach, choć jezdnie były puste. Miasto spało. Sygnalizacja świetlna funkcjonowała bez zakłóceń.

Drogę z parkingu do hotelu z walizką w ręku przemierzałem ze znużeniem, jakbym to robił po raz tysięczny. Na chodnikach eksponowały się te same prostytutki, w podcieniach czaili się ci sami opiekunowie. W holu ci sami dwaj śniadoliccy mężczyźni spędzali noc nad drinkami. Przy sąsiednim stoliku siedział samotny gość nad szklanką pomarańczowego soku. Odbierając klucze, zamówiłem do pokoju dzbanek herbaty i dużo wody mineralnej; no i oczywiście budzenie na siódmą.

Mój pokój wypełniony był zapachem indian summer. Babs. Widocznie jej powierzono zaopatrzenie mnie w sygnalizatory i nadajniki. Zapaliłem światło w korytarzyku, odstawiłem teczkę i walizkę do ciemnego pokoju, wszedłem do łazienki. W oczekiwaniu na kelnera zdjąłem koszulę i umyłem się z grubsza. Byłem zmęczony, a koniecznie musiałem zastanowić się, jak prowadzić jutrzejsze negocjacje i jak daleko mogę w nich zajść.

Zupełnie nie wiedziałem, jakich żądać gwarancji i poręczeń.

Kelner zjawił się, gdy opuszczałem łazienkę. Odebrałem herbatę i wodę, podpisałem rachunek, wręczyłem napiwek. Odstawiłem przyniesione napoje na stół w pokoju i tradycyjnie już zbudowałem barykadę przy drzwiach wejściowych.

Dopiero wtedy zapaliłem w pokoju światło i nalałem sobie herbaty. Zamierzałem usiąść w obracającym fotelu, ale mebel stawiał niespodziewany opór. Pistolet znalazłem odruchowo. Ponownie napałem na fotel, mierząc w głowę nieoczekiwanego gościa. Zobaczyłem uśmiechniętą Babs.

Zaskoczenie było obustronne. Moje, bo nie planowałem osobistych kontaktów, przynajmniej dzisiaj. Jej, bo patrzyła w lufę wymierzonej w nią broni. Schowałem pistolet. Oboje zareagowaliśmy dość sztucznymi uśmiechami.

- Przepraszam. Wiedziałem, że tu byłaś, ale nie przypuszczałem, że czekasz. -
Rozejrzałem się w poszukiwaniu zdjętej niedawno koszuli.

Babs podniosła się z zagadkowym półuśmiechem; stając przede mną, przyparła mnie do drzwi szafy. Położyła rękę na mojej piersi i wspięła się na palce. Jej usta znalazły się tuż przy moich.

- Otrzymałam zadanie do wykonania. Nie mogłam się oprzeć, by nie sprawdzić, jak się ma mój ulubiony agent - wyszeptała i pocałowała mnie delikatnie. Balansowała na palcach; bezwiednie objąłem ją, podtrzymując. Wówczas pocałowała zdecydowanie, opierając się o mnie całym ciałem.

Kochaliśmy się przy zapalonym świetle. Nadawała spokojne, powolne tempo. Każda pieszczota, doprowadzona do perfekcji, sprawiała niebywałą przyjemność. Było to jak powolne wspinanie się po schodach w narastającej aż do szczytu rozkoszy. Zasnęliśmy przy zapalonym świetle.

Obudziłem się, gdy na zewnątrz było już jasno. Zegarek wskazywał piątą.

Pozostawiłem zagrzebaną w pościeli Babs, zgasilem światło i wraz z herbatą wyniosłem się do łazienki. Herbata była zimna, ale smak miała właściwy. Byłem zły, bo miałem za mało informacji. Być może Babs miała mi coś do przekazania o moich dzisiejszych rozmówcach, ale nie zrobiła tego. Przez chwilę rozważałem, czy jej nie obudzić i nie przepyttać. Po namyśle pomysł uznałem za barbarzyński.

Incydent z Babs był przyjemny, ale wolałbym, aby się nie zdarzył. Przynajmniej w tym czasie i w tym miejscu. Nie mogłem jej zaufać, a ta wizyta jedynie zwiększyła moje podejrzenia. Ktoś w ambasadzie był zainteresowany odsunięciem mnie od prowadzonych rozmów i wcale nie miałem pewności, że to Scott. Albo że to tylko Scott. Dla mnie cena była wysoka. Wszystko wskazywało na to, że zdolni są również do definitywnej i ostatecznej eliminacji. Babs też była agentem operacyjnym i musiała to wiedzieć. Może chciała albo nawet musiała przekazać mi jakieś informacje osobiście, ale niczego się jeszcze od niej nie dowiedziałem.

Fundamentalizm islamski. Coś jak katolicyzm w średniowieczu. Palenie na stosach, inkwizycja, tortury i śmierć w męczarniach. Każda zbrodnia w imię Chrystusa dopuszczalna i rozgrzeszona. Gdy Chomeini wprowadził w Iranie rządy ortodoksów, wyglądało podobnie. Stanowczo fundamentaliści islamscy mieli mentalność średniowiecznych inkwizytorów.

Nadal jednak Arishan stanowił zagadkę. Pomimo iż był za młody, skłaniałem się coraz bardziej do przypuszczenia, że reprezentuje religię. Świadczyć o tym mogło i to, że posługiwał się tylko imieniem.

Religia mogłaby zjednoczyć Czeczenów. Mogła ustanowić prawa i dać gwarancje. Fundamentalisci mnie jednak przerażali. Swoje własne zobowiązania traktowali poważnie tylko wtedy, kiedy im pasowało. Poza tym życie człowieka mieli za nic. Sami uważali śmierć za wiarę za przywilej. Oczywiście na użytek tłumów. Nie słyszałem, żeby którykolwiek z przywódców religijnych swoją śmierć uważał za pożądaną.

Może to jest myśl. W średniowieczu brano zakładników, aby zapewnić pokój. Kilku liczących się duchownych w tej roli gwarantowało realizację zawartych umów.

Nie, to też nie jest rozwiązanie. Żaden nasz prezydent nie podejmie decyzji o egzekucji zakładników, nawet gdyby tamci zamordowali tysiące. Poza tym nieobecni tracą prestiż i przestają się liczyć.

Nie doszedłem do żadnych konstruktywnych wniosków, kiedy recepcja zadzwoniła z budzeniem. Po chwili w drzwiach łazienki stanęła uśmiechnięta Babs. Ustąpiłem jej miejsca bez protestu, zwłaszcza że poranne ablucje wykonałem w czasie rozmyślań.

Nadajniki i sygnalizatory wrzuciłem do dwóch kieszeni marynarki. Zamocowałem pistolecik na nodze i nóż na przedramieniu; z tyłu za paskiem umieściłem pistolet. Byłem gotowy i ubrany, gdy Babs wyszła z łazienki. Zaprosiłem ją na wspólne śniadanie, ignorując wypowiedzi na temat konieczności porannego makijażu. Jeżeli miała mi coś do powiedzenia, musiała zrobić to teraz. Makijaż może zrobić później. Spotkanie wyznaczono na dziesiątą, będzie miała co najmniej dwie godziny.

Do hotelowej kawiarni prowadziłem Babs mocno, zdecydowanie trzymając za łokieć. Jeżeli przypuszczała, że nie chcę się z nią rozstać z innych niż służbowe powodów, to jej sprawa. Zająłem stolik daleko od drzwi. Wychodząc bez mojej wiedzy, musiałaby przejść przez całą długość sali.

Z uśmiechami, świadcząc sobie wzajemnie uprzejmości, rozpoczęliśmy śniadanie. Czekałem. Jeżeli przyszła tu z jakimikolwiek wiadomościami, mogła je przekazać teraz. Rozmowa nie dotyczyła jednak ani sytuacji w ambasadzie, ani spotkania z Czeczenami. Babs radośnie szczebiotała o pogodzie, planowanym weekendzie z przyjaciółmi, opowiadała plotki i anegdotki o tutejszych prominentach.

Gdy skończyliśmy śniadanie, przy drugiej filiżance kawy zapytałem ją o Scotta i ustalenia w sprawie elektryka na Kubusia Puchatka. Nie zdążyła mi odpowiedzieć, gdy zza najbliższego filaru wyłonił się podkomisarz Kępiński. Nie tylko wczorajszy wieczór, ale i dzisiejszy ranek przebiegał pod znakiem *deja vu*. Radosnym uśmiechem i nienagannym ukłonem powitał nas oboje. Tradycyjnie już zaproponowałem mu kawę, którą przyjął, również zgodnie z tradycją.

Zainteresowanie Bogdana Kępińskiego moją osobą stawało się uciążliwe. Uznałem, że powinien to odczuć. Dlatego natychmiast, gdy tylko podano mu kawę, rozpocząłem:

- Nie rozumiem pańskiego zainteresowania moją osobą, choć pewnie powinno mi ono pochlebiać. Ustalił pan, że w moim mieszkaniu miało miejsce podpalenie i że ktoś tam strzelał,

prawdopodobnie z zamiarem zabicia mnie, a co najmniej nastraszenia. Chyba teraz powinien pan szukać tych podpalaczy? Tymczasem poświęca pan swój cenny czas na rozmowy ze mną.

- Oczywiście szukamy podpalaczy. To jednak bardzo trudne. Mógłby pan nam pomóc. Przypomnieć sobie, kto i dlaczego chciałby pana nastraszyć. Jeżeli obserwowali mieszkanie, to wiedzieli, że pan wyszedł. Te kule w ścianach były więc ostrzeżeniem. Pan musi wiedzieć od kogo.

- Nie prowadzę żadnych interesów z kryminalistami.

W ogóle nie prowadziłem tutaj żadnych interesów i nie miałem żadnych kontrahentów. Z mojego punktu widzenia taki pomysł był poroniony od samego początku. Atak mógł pochodzić wyłącznie z ambasady. Podstawowym dowodem było odłączenie instalacji alarmowej. Załatwimy to we własnym zakresie. A jeżeli wykonawcami byli tutejsi bandyci, niech Kępiński ich zaniknie i przestanie mi zawracać głowę.

- Chyba policja znalazła w mieszkaniu Toniego jakieś ślady? Myślę o odciskach palców, stóp lub czymś w tym rodzaju - włączyła się do rozmowy Babs. - Czytałam, że można dokonać identyfikacji broni, materiału użytego do podpalenia. Poza tym przecież to było po południu, sąsiedzi na pewno siedzieli w domu. Naprawdę nikt nic nie widział?

- Nie mamy żadnych istotnych ustaleń - odpowiedział Kępiński.

- To dlatego śledzicie Toniego, zamiast szukać sprawców? - zapytała Babs z promiennym uśmiechem.

Podkomisarz zmieszał się wyraźnie i zaczął z zainteresowaniem oglądać nierozpuszczony cukier na dnie swojej filiżanki. Postanowiłem iść za ciosem i pozbyć się go definitywnie.

- Zdarza się, że prowadzę rozmowy z kontrahentami mało wiarygodnymi bądź niezasługującymi na zaufanie. Mogę wtedy liczyć na ochronę ze strony mojej ambasady. Wysyłanie za mną trzech samochodów uważam za stratę waszego czasu i pieniędzy.

- Nie wiedziałem, że pańscy kontrahenci są tak groźni, że ambasada musi pana ochraniać. Ta informacja zupełnie zmienia sytuację. Jest pan w Polsce i to my musimy zapewnić panu bezpieczeństwo.

Jednym słowem, Kępiński nie miał zamiaru odczepić się ode mnie. Wszystko też wskazywało, że jakoś dotarł do informacji, iż moje polskie obywatelstwo jest bardzo świeżej daty.

- Panie podkomisarzu - rozpocząłem oficjalnie - prowadzę w Polsce rozmowy, które nie dotyczą polskich interesów. Jeżeli dojdzie do kontraktu, będzie on zawarty i realizowany poza terenem tego kraju. Pańskie zainteresowanie jest zbędne, niepożądane i co najmniej uciążliwe.

- Być może. Pan jednak pozostaje w sferze naszych zainteresowań jako ofiara przestępstwa. Pańscy kontrahenci, co mogę udowodnić w każdej chwili, pozostają w konflikcie z obowiązującymi tu przepisami dotyczącymi cudzoziemców, a niewykluczone, że mogą być też w konflikcie z naszym prawem karnym - powiedział stanowczo, patrząc mi w oczy.

Wyjaśniło się więc, kto mnie śledził przy pierwszym spotkaniu z Czeczenami.

Poza tym policja musiała coś na nich mieć. Nie bez powodu Kępiński mówił o konflikcie z prawem karnym. Jeżeli będą mi sprawiać kłopoty, zawsze mogę to wykorzystać. Teraz jednak musiałem go możliwie szybko pożegnać.

- Nie życzę sobie żadnej ingerencji policji w moje kontakty handlowe. To naruszenie moich uprawnień konstytucyjnych oraz moich uprawnień jako obywatela Stanów Zjednoczonych. Stanowczo żądam zaprzestania tych nielegalnych praktyk. - Staralem się, aby zabrzmiało to bardzo poważnie. - Kontynuowanie przez pana tej działalności może spowodować interwencję ambasady.

Nie udało mi się go przestraszyć. Uśmiechał się, słuchając mojej tyrady.

- W Polsce zarzut naruszenia uprawnień konstytucyjnych nie jest traktowany poważnie. Wątpię też, by ambasada posunęła się aż do dyplomatycznych interwencji. W końcu reprezentuje pan prywatne interesy prywatnej firmy i musi pan brać pod uwagę zarówno tutejsze prawo, jak i tutejsze zwyczaje. Cieszę się jednak - powiedział podnosząc się - że nasze dzisiejsze spotkanie rozwiało wątpliwości co do przyczyny pańskich wizyt w ambasadzie.

Pożegnał nas skinieniem głowy i serdecznym uśmiechem skierowanym do Babs.

Dobrze się stało, że jadła ze mną śniadanie. Niewątpliwie Kępiński wiedział, że spędziła tu noc. Jednak napomknienie o „rozwiązanych wątpliwościach” wskazywało, że jego zainteresowania są szersze niż zwykle kryminalne przestępstwa.

- Wiesz, Babs, po raz pierwszy spotkałem się z sugestią funkcjonariusza policji, że zajmuję się nie tym, czym powinienem, i urzędnik ten nie chciał mnie aresztować, a chociażby usunąć z kraju.

- W końcu są naszymi sojusznikami.

- W międzynarodowych układach sojusznik to ktoś, kto wydała agenta natychmiast, jak go złapie. Wróg wsadza go do więzienia, a w skrajnych wypadkach zabija w akcji. Nikt nie toleruje u siebie obcych agentów, nawet gdy przysłali ich przyjaciele.

- Wspomnę Walterowi o twoich wątpliwościach - powiedziała, całując mnie na pożegnanie.

Pozostałem sam, bez odpowiedzi na pytanie o Scotta i elektryka. Do spotkania z Jussufem miałem jeszcze ponad godzinę. Postanowiłem spędzić ją na czytaniu gazet, jak

poprzednio. Przeszedłem do holu, kupiłem gazety i poprosiłem o filiżankę i dzbanek herbaty Lipton. Bardzo lubię jej smak, ale tutejszy obyczaj podawania jej w szklankach uważam za barbarzyństwo. Tym razem zapłaciłem, jak tylko przyniesiono mi herbatę. Zaplanowane zajęcia i niezaplanowane wydarzenia zmuszały do oszczędzania czasu.

Przeglądałem gazety, piłem herbatę i czekałem na Jussufą. Musiałem zapytać, czy reprezentują szyicki odłam islamu, co oznaczało fundamentalistów, ale byłem tego raczej pewien. Uznałem, że korzystnie będzie, gdy tak jak poprzednio oddam im inicjatywę. Muszę jednak zachować czujność. Chyba dla własnego bezpieczeństwa wspomnę, że nikt z naszej ambasady nie może mnie zastąpić. Może ta informacja dotrze do zainteresowanych również po naszej stronie.

Jussuf pojawił się punktualnie, witając mnie z daleka oszczędnym ukłonem. Zabierając gazety, ruszyłem w jego kierunku, on zaś natychmiast wyszedł na ulicę. Dzisiaj nie bawiliśmy się w podchody i wzajemną obserwację z daleka.

Możliwe, że oni też mieli mało czasu.

Wsiadłem za Jussufem do czarnego oriona. Prowadził jeden z poznanych poprzednio konwojentów, ten, który przez cały czas milczał. Dzisiaj dodatkowo ozdobił się wymyślnymi okularami przeciwsłonecznymi. Tym razem umieszczenie nadajnika i sygnalizatora nie wymagało żadnych szczególnych manewrów. W milczeniu przejechaliśmy Wisłę. Wyjeżdżaliśmy z Warszawy prosto na wschód. Orion jechał coraz szybciej, błyskawicznie wyprzedzał samochody osobowe, daleko w tyle pozostawiał ciężarówki. Kierowca od czasu do czasu zerkał w lusterko. Nikt nie powtarzał naszych manewrów. Kolumna samochodów za nami posuwała się ociężale. Musiałem powiadomić ochronę i pomóc im w lokalizacji.

- Widzę, że dzisiaj spotkanie odbędzie się poza Warszawą, czyżby w towarzystwie żubrów? Jedziemy do Białowieży?

- Za godzinę będziemy na miejscu - odpowiedział Jussuf.

Ponownie zapadło milczenie. Droga wiodła przez pola i lasy. Za nami pozostały przydrożne budki, zajazdy i stacje benzynowe. Jedynie drogowskazy przy bocznych drogach sygnalizowały, że gdzieś tam, kilka lub kilkanaście kilometrów dalej, żyją ludzie. Droga, którą jechaliśmy, była jedynym dowodem cywilizacji. Z rzadka przejeżdżały samochody do Warszawy. Jeszcze rzadziej wyprzedzaliśmy samochody jadące w kierunku świecącego nam w oczy słońca. W klimatyzowanym wnętrzu było chłodno, mimo że jaskrawe słońce na bezchmurnym niebie zapowiadało upalny dzień. Powietrze w samochodzie, bezwonne z założenia, niesło ze sobą nikły zapach chemikaliów.

Jechaliśmy przez las. Zapragnąłem poczuć zapach nagrzaną słońcem ziemi i igliwia. Odczuć powiew wiatru. Otworzyłem okno. Kierowca odwrócił się do mnie ze złością, ale nie powiedział. Jussuf uspokajająco zawarczał.

W samochodzie ponownie zapadło milczenie. Wystawiłem twarz na powiew z okna. Dojechaliśmy do nieco szerszej drogi poprzecznej i skręciliśmy na północ. Za nami w zasięgu wzroku nie było nikogo. Znowu musiałem zawiadomić ochronę.

- Teraz jedziemy na północ. Gdzie będzie to spotkanie? - Gdy to mówiłem, minęliśmy skręcającą w prawo wąską, prowadzącą przez las drogę z drogowym znakiem do Białowieży. - Widzę, że z towarzystwa żubrów zrezygnowaliśmy.

- Już prawie jesteśmy - odparł Jussuf.

Las kończył się. Kierowca skręcił ku niewielkiemu drewnianemu budynkowi z dużym napisem „Restauracja Relax”. Wzdłuż prowadzącej dalej drogi ciągnęły się niewielkie, dziko porośnięte pagórki. Wyszliśmy z Jussufem na szuter parkingu. Kierowca pojechał dalej, starając się umieścić samochód w cieniu drzew, jak najbliżej ściany lasu, stanowiącej jedną z granic parkingu. Nie wysiadł. Obok stały już cztery limuzyny. Jussuf nie okazał żadnego niepokoju. Najwyraźniej były to samochody moich rozmówców.

Weszliśmy po kilku schodkach na osłonięty dachem wąski taras. Pięciu nieznanym mi mężczyznom siedziało przy stolikach z chłodzącymi napojami. Wymienili z Jussufem dyskretne znaki powitania, nieprzerwanie obserwując drogę poniżej.

W niewielkim holu stało dwóch następnych ochroniarzy.

Szatniarz za kontuarem wyglądał na ich kolegę. Tym razem nikt mnie nie rewidował, choć na pewno wiedzieli, że mam przy sobie pistolet. Demonstracja zaufania.

Weszliśmy do sali. Stoliki odsunięte pod ściany, na środku, przy prostokątnym stole nakrytym białym obrusem, siedzieli trzej uczestnicy poprzedniej rozmowy. Ukłoniłem się, starając się, by był to ukłon możliwie najbardziej ceremonialny i jednocześnie wyrażający szacunek. Arishan oddał ukłon równie ceremonialnie, Mohammed Ali, nie patrząc na mnie, odpowiedział krótkim, szybkim skinieniem. Okrągłutki Ahmed Gul wyskoczył zza stołu jak piłeczka, wyciągając serdecznie rękę do uścisku. Jedynie on odezwał się na powitanie:

- Witamy i życzymy sobie wzajemnie, aby dzisiejsze rozmowy były bardziej owocne. Mam nadzieję, że pomyślnie załatwił pan swoje prywatne sprawy.

Uścisnąłem jego dłoń równie serdecznie i zaprezentowałem równie serdeczny uśmiech. Wspomnienie o kłopotach określonych jako prywatne głęboko mnie jednak zaniepokoiło. Wiedział więcej, niż powinien.

Zająłem miejsce za stołem i niezwłocznie wbiłem w miękkie drewno nadajnik. Jussuf zniknął na zapleczu i po chwili pojawił się z tacą zastawioną filiżankami. Zapachniało aromatyczną kawą z ekspresu. Podał wszystkim filiżanki i ponownie przycupnął u mojego boku. Siedzieliśmy jak poprzednio: ja naprzeciw Arishana, po prawej Mohammed Ali, po lewej Gul.

Ahmed starał się wprowadzić mnie w swobodny, towarzyski nastrój. Pytał o podróż tutaj, moje samopoczucie i niezrażony burkliwymi odpowiedziami, zaczął rozwodzić się nad tutejszym wspaniałym, niezatrutym powietrzem. W końcu zaproponował napoje i drinki przy milczącej aprobacie pozostałych. Poprosiłem o wodę mineralną z Nałęczowa. Piłem ją u dziadków i w lubelskim hotelu. Smakowała mi, a dzień zapowiadał się gorący.

Arishan obserwował wszystkich z życzliwym półuśmiechem.

Mohammed Ali uparcie wpatrywał się w leżący na stole obrus. Postanowiłem zakończyć te uprzejmości. Nie dysponowałem nadmiarem czasu.

- Może już rozpoczniemy. Chciałbym na początku zawiadomić panów, że jestem nie do zastąpienia, przynajmniej w Polsce. Jeżeli coś mi się stanie lub też nagle i niespodziewanie musiałbym wyjechać, będziecie musieli czekać na następnego wysłannika ze Stanów. Żaden pracownik naszej ambasady nie jest i nie będzie upoważniony do prowadzenia tych rozmów.

- Czyżby sugerował pan, że coś może się panu stać na skutek naszego działania? - Gul był już wyłącznie dyplomata. Jego towarzyski nastrój zniknął.

- Nie. Chciałbym natomiast na wszelki wypadek ustalić sposób kontaktowania się. Obecnie jest to jednostronny kontakt za pośrednictwem Jussufa. Konieczna jest możliwość kontaktowania się z naszej strony. Muszę zabezpieczyć taki kontakt. Proszę to przemyśleć.

W tle dyskretnie zaszemrał głos Jussufa.

- Rozumiem. - Tym razem głos zabrał Arishan. - W Krakowie jest siedziba towarzystwa przyjaźni czeczeńsko-polskiej. Wykorzystujemy je do różnych celów. Proszę tam zostawić informację dla mnie. Dotrze do mnie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeżeli będę w Czeczenii, prześlę informację o dacie i miejscu kontaktu. Niezależnie od tego, kto będzie chciał się spotkać, informację należy podpisać pańskim nazwiskiem. Najpierw nazwisko, potem imię.

- Pan oczywiście kontaktował się ze swoimi przełożonymi po naszym spotkaniu - ostrożnie rozpoczął Gul. - Czy stanowisko pańskiego dyrektora uległo zmianie?

- Nie jestem dyplomata, ale wiem, że tego akurat nie należy ujawniać w żadnych rozmowach - odpowiedziałem mu z uśmiechem. - Jeżeli chodzi panu o żądanie zaniechania porwań i napadów, to pozostaje ono bez zmian. Jest to podstawowy warunek kontynuowania rozmów.

- Oczekujecie naszej deklaracji w tej sprawie? - Uśmiech Gula pozostał dyplomatyczny, ale oczy patrzyły czujnie i uważnie.

- Na początek wystarczy deklaracja. Później będziemy oczekiwali również gwarancji. - Tym razem rzuciłem mu twarde spojrzenie.

- Jakich gwarancji oczekujecie? - wtrącił się Arishan.

Nie słyszałem, by Jussuf tłumaczył. Mohammed Ali również nie powarkował. Widocznie go spacyfikowali i pogodził się z bierną rolą w tych rozmowach.

- Muszę znać waszą sytuację w kraju. Wtedy być może będę mógł powiedzieć, czego oczekujemy.

Ahmed spojrzał na Arishana, a ten w milczeniu skinął głową. Najwyraźniej wyraził zgodę, gdyż Gul odwrócił się do mnie i zaczął mówić:

- Reprezentujemy kilka rodów. Jak pan zapewne wie, ród to znacznie więcej niż rodzina. Każdy ród to kilkanaście dużych, wielopokoleniowych rodzin. Rodzina mieszka wspólnie. Członkowie rodów mieszkają w różnych miejscowościach, we wsiach i miastach. Łączą ich więzy krwi i obowiązek bezwzględnej lojalności. - Zawiesił głos, patrząc na mnie pytająco.

Pokiwałem głową, sygnalizując, że rozumiem organizację wewnątrz kraju i łączące jego mieszkańców związki. Z całą pewnością nie był Czeczenem. Zbyt naukowo i obiektywnie brzmiała jego relacja. Nie odezwałem się, oczekując, że będzie kontynuował.

- Do tej pory rody łączyły się - podjął po chwili - zawierały sojusze na krótko lub na dłużej, aby realizować wspólne dla kilku rodów interesy. Oczywiście są rody, które pozostają w stałych sojuszach od kilkadziesiąt lat. Takie sojusze są często popierane małżeństwami pomiędzy członkami rodów. Z upływem lat zdarza się, że rody tak się przemieszają ze sobą, iż związek taki staje się trwały i nierozzerwalny ze względu na liczbę krewnych obu stron w obu rodach. W naszej organizacji mamy dwa takie związki rodów. Reprezentują je wprawdzie czterej naczelnicy, ale faktycznie są to już dwa bardzo duże rody, choć formalnie występują jako cztery. Cała struktura organizacyjna naszego kraju wygląda w opisany przeze mnie sposób.

Uznałem, że muszę się odezwać w odpowiedzi na pytające spojrzenia Gula, które rzucał mi nieomal po każdym zdaniu.

- Rozumiem. Nie wiem jednak, po co mi te informacje i jakie mają znaczenie dla naszych rozmów.

- Chcemy panu wyjaśnić, kogo reprezentujemy i za kogo możemy ewentualnie gwarantować - odezwał się Arishan. - Możemy udzielić gwarancji jedynie w imieniu tych

rodów, które pozostają w naszym związku. Nie będą one obejmowały pozostałych rodów oraz tych Czeczenów, którzy pozostają poza rodami. W kraju jest ich niewielu, ale czasem działają na własną rękę. Poza tym żyją w Rosji, w Polsce, w ogóle na całym świecie. Nasze porozumienie ich nie obejmie.

- Czyli ostatecznie kto i co będzie gwarantował?

- Wszystkie rody wchodzące do naszej organizacji zgodziły się zaprzestać porwań i wycofać swoich wojowników z Rosji i z Polski. Zostało to postanowione na zebraniu wszystkich naczelników w ostatnią niedzielę - z powagą wyjaśniał Arishan. - Nie będzie więc napadów. Członkowie naszych rodów nie będą prowadzić żadnych walk poza krajem i podkładać bomb. Nie będzie porwań. Wszyscy wojownicy zostaną wycofani do Czeczenii. Mohammed Ali i jego ludzie również.

- Wspaniale. Muszę jednak wiedzieć, jaką część społeczeństwa obejmuje to zobowiązanie.

- Razem ze strefą wpływów około połowy ludności naszego kraju - oznajmił Gul.

- A bez niej jaka to część ludności? - pytałem dociekliwie.

- Szacuję, że co najmniej trzydzieści procent - wyjaśniał dalej Gul. - To jest poważne zobowiązanie. Zostało złożone nie wam, ale ojcu Arishana. On jest ajatollahem Czeczenii. Chyba pan wie, to taki islamski arcybiskup.

Gdy Ahmed to powiedział, Arishan skulił się jak po uderzeniu. Gul nie tylko nie był Czeczenem - z całą pewnością nie był także muzułmaninem.

Wszystko też wskazywało, że nie nazywa się Ahmed Gul. Potwierdziłem kiwnięciem głowy, że wiem, co oznacza ajatollah.

- Nie ujawniamy na razie, że w Czeczenii jest ajatollah, i poza krajem niewiele osób o tym wie - kontynuował Gul. - Tylko religia ma szansę zjednoczyć naród. Rody mają różne, nierzadko sprzeczne interesy, co utrudnia zjednoczenie.

- Rosjanie negowali władzę naczelników, wyznaczali własnych urzędników, za wszelką cenę dążyli do rozbicia rodów i rodzin oraz zlikwidowania rodowej lojalności - wtrącił Arishan. - Nazywali to europeizacją. Na szczęście niewielu im uwierzyło. Dla nich nie będzie miejsca w naszej niepodległej ojczyźnie. Chcemy iść drogą wskazaną przez irańskich braci.

Miałem rację. Fundamentalisci. Za chwilę ulicami ich miast będą chodzić kobiety w czarczafach.

No i niewątpliwie są w kontakcie z Irańczykami, którzy aż się palą do eksportu swojej religijnej rewolucji. Teraz próbują w Algierii, ale jest szansa, że im się nie uda. Surowe

zwyczajnie setkami lat zmiękczała Francuzi, beztrudnie rozsiewając tam zarówno swoje geny, jak i umiłowanie życia i jego radości.

Interesujące było również to, że Mohammed Ali przez cały czas milczał i nie odrywał wzroku od obrusa, a Jussuf tłumaczył niewiele. Obaj pozostali patrzyli na mnie. Musiałem zabrać głos.

- Rozumiem, że gwarantem tych zobowiązań jest nieznany nikomu z imienia ajatollah. To niezbyt wiele. W zamian oczekujecie od nas, że prześlemy broń, pieniądze i ludzi do szkolenia. Nie jest to współmierne.

- Przysłużymy się do ostatecznego rozmontowania tego, co było Związkiem Radzieckim - wypalił Ahmed.

- To kolos na glinianych nogach - powtórzyłem opinię krążącą po Waszyngtonie.

- Rosja to wielki i bogaty kraj, nawet jeśli teraz jest tam niedostatek - zaprotestował stanowczo Gul. - Z waszej odległości może i wygląda na kraj na glinianych nogach, ale to tylko chwilowa słabość. Ma dalej sprawne wojsko, a sąsiadujące kraje odzyskały co prawda niepodległość, ale też coraz częściej zdają sobie sprawę, że bez Rosji nie będą długo istnieć. Brak im surowców, pieniędzy. Nie potrzebują ich tylko Litwini i Łotysze.

- Rosjanie oddali przecież część broni, choćby Ukrainie. Dużo zniszczyli też w wyniku traktatów rozbrojeniowych - zaproponowałem.

- Mówi pan o broni atomowej. Konwencjonalnej mają pod dostatkiem. Możemy podjąć z nimi walkę, ale musimy mieć czym walczyć i musi to być nowoczesna broń - wyjaśnił Arishan.

- Brakuje im pieniędzy, administrację mają w rozsypce, ludzie chodzą głodni, gangsterzy grasują na ulicach i w urzędach - przedstawiałem krążące u nas opinie.

- To bałagan, który wprowadził popierany przez was pijak na prezydenckim fotelu. Rosjanie mają tego dość i chcą kogoś, kto zrobi porządek. To tylko kwestia czasu. Zapominacie, że ciągle działają tam kopalnie złota i diamentów. Mają też inne kamienie szlachetne. Zawsze mogą to wszystko sprzedać, najwyżej spowodują krach giełdowy i trochę stracą. Przypominam też, że jeszcze komuniści zamieniali dzieła sztuki na pieniądze. Biorą teraz dolary i marki, bo mogą je dostać - wyjaśniał Gul. - Przewiduję, że jak znajdą mocnego człowieka, to odbiorą gangsterom wszystko, co ci ukradli.

- Poza tym trzeba pamiętać - wtrącił Arishan - jak zrobili w siedemnastym roku tę swoją rewolucję, to potem przez wiele lat byli izolowani. Mieli u siebie obce wojska i walczyli wtedy, gdy dla wszystkich pierwsza wojna już się skończyła. Przetrzymali to jednak i w ciągu kilkunastu lat zbudowali potęgę.

- Czyżbyście ich podziwiali?

- Nie, ale nie wolno ich lekceważyć. Jeżeli im na czymś rzeczywiście zależy, będą walczyć. Rosjanie są teraz słabsi, ale nie słabi. Nadszedł właściwy czas, abyśmy podjęli walkę o wolność. Będzie to trudna walka. Amerykanie lekceważą naszego wroga. Uważają, że został pokonany. To nieprawda i to właśnie chcemy wyjaśnić - podsumował Gul.

- No dobrze, przyjmijmy, że zostałem przekonany. Czego więc oczekujecie?

Arishan wydał kilka warknięć i po raz pierwszy do rozmowy wtrącił się Mohammed Ali. Wyjął kilka gęsto zapisanych kartek i wręczył mi połowę.

- Potrzebujemy tej broni w ilościach, które podałem - tłumaczył jego warknięcia Jussuf.

Lista była bardzo długa. Obejmowała lekkie czołgi i transportery opancerzone, rakiety i ich wyrzutnie, poza tym buty, mundury, noże, a nawet racje żywnościowe dla żołnierzy.

- Wpisane tu ilości są ogromne. To zaopatrzenie dla połowy amerykańskiej armii. Skąd weźmiecie tylu ludzi?

- To wojna nie tylko o naszą wolność, ale również o naszą wiarę. Gdy otrzymamy od was broń, będą nią walczyć tysiące wiernych z Iranu ramię w ramię z Czeczenami - pewnym głosem stwierdził Arishan.

- Wygląda to na bardzo kosztowną wojnę. Wątpię, czy nasze władze przyznają wam środki na całe to zamówienie. Pozostaje też pytanie, jak to dostarczyć do Czeczenii. W żadnym wypadku nasza pomoc nie będzie oficjalna.

Przez następne dwie godziny ustalaliśmy, co z zamawianego przez nich zaopatrzenia jest priorytetowe i jakimi drogami należy to dostarczyć. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że bardziej niż karabinów potrzebują wojskowych butów i tę właśnie dostawę uważają za najpilniejszą. Mundury, buty, racje żywnościowe i niewielkie ilości materiałów wybuchowych mogliśmy przewieźć konwojami wspomnianego już towarzystwa przyjaźni polsko-czeczeńskiej jako dary dla ludności z nadwyżek naszej armii. Te konwoje sprawdzali Rosjanie, ale odzież i żywność przewożono już kilkakrotnie bez problemów.

Mohammed Ali twierdził, że udało się mu wykorzystać konwoje, by przewieźć z Polski również kilkadziesiąt pistoletów maszynowych kupionych tutaj.

Wycofywani z Polski i Niemiec Rosjanie sprzedawali wszystko i teraz było w Polsce dużo różnorodnej broni, choć oczywiście handel ten był nielegalny.

Większy transport możliwy był przez Iran. Górzystego pogranicza z obu stron nie strzeżono zbyt dobrze. Gul uważał, że wystarczy rozdać broń irańskim ochotnikom, a ci po prostu przeniosą ją przez granicę, idąc na wojnę z niewiernymi. Naszym zadaniem byłoby więc jedynie dostarczenie broni do Iranu. Arishan zapewniał, że mają zgodę władz irańskich na

przywóz wszystkiego. To wymagało nie tylko zastanowienia, ale i pewnych gwarancji dyplomatycznych. Nie leżało przecież w naszych intencjach dozbrajanie armii irańskiej, a nasz izraelski sojusznik wpadłby we wściekłość na wieść o transportach broni do Iranu.

Nie chciałem zostać na obiedzie. Poprosiłem o szybki transport do Warszawy.

Zależało im na szybkości działania, a zastrzegłem, że moi szefowie muszą mieć kilka dni do namysłu. Jeżeli przekażę informacje jeszcze dzisiaj, zaoszczędzimy dwa dni zbliżającego się weekendu. Od wtorku Jussuf miał dzwonić do mnie do hotelu codziennie, a jak będę miał dla nich informacje, spotkamy się jeszcze raz.

Wracalem sam z milczącym kierowcą.

Znowu jechaliśmy w kierunku słońca, tym razem zachodzącego. Gdy klimatyzacja wychłodziła wnętrze, otworzyłem okno, wpuszczając aromat rozgrzanego lasu. Dopiero bliskość miasta, kurz i spaliny zmusiły mnie do ponownego skorzystania z dobrodziejstwa klimatyzacji.

Wysiadłem przed hotelem. Nie miałem czasu na szukanie restauracji, a po telefonie do Waltera przewidywałem długą dyskusję. Zjadłem więc obiad w hotelowej restauracji, czekając na samochód ambasady. Szedłem do recepcji, gdy w drzwiach pojawiła się Babs. To ona miała mnie zabrać do ambasady.

Walter już czekał. Babs zamknęła na klucz drzwi sekretariatu, gdy tylko weszliśmy. Emiter szumów stał się stałym elementem naszych rozmów i już nie budził mojego zdziwienia. Po przywitaniu wręczyłem Walterowi listę sporządzoną przez Mohammeda Alego. Treść rozmowy na pewno znał, więc nie musiałem jej powtarzać. Usiadłem wygodnie. Zanim zaczęliśmy, Walter polecił Babs zrobienie trzech kopii wręczonej mu listy, aby każde z nas miało ją przed sobą w czasie narady.

- Ustaliłeś już, że to fundamentaliści. Nadal uważasz, że nie można dać im broni? - rozpoczął Walter, siadając po drugiej stronie biurka.

- Jeszcze nie zmieniłem zdania, ale nie jestem pewien swoich racji. Kluczową kwestią jest rzeczywista sytuacja w Rosji. Wiesz, że oni uważają obecny jej stan za chwilowe tylko osłabienie. Waszyngton jest innego zdania.

- Nasz dyrektor też uważa, że Rosja nadal jest groźna. Powtarza to wszystkim, nawet jeśli nie chcą słuchać - powiedziała Babs, wręczając nam kserokopie.

- To prawda. Kilku senatorów próbowało już likwidować CIA pod pretekstem braku wroga zewnętrznego zaraz potem, gdy Związek Radziecki upadł. Szef wygłosił wtedy taką mowę, iż tym geniuszom w pięty poszło. Udało mu się przekonać kilku polityków, ale to nadal niepopularny w Waszyngtonie pogląd - mówił Walter, skubiąc dolną wargę.

- Jak widzisz, potrzeby mają jak olbrzymia armia - pokazałem na listę. - Gwarancje jakieś są, chociaż mocno dyskusyjne. Korzystne jest to, że Arishan jest synem ajatollaha. Moglibyśmy wziąć go jako zakładnika. Chyba będzie miał opory przed skazaniem syna na śmierć, tym bardziej że liczy się z nim, skoro to właśnie jego wydelegował na rozmowy.

- Kto miałby trzymać tego zakładnika? Stany Zjednoczone?

- Nie, Firma.

- Jak ty to sobie wyobrażasz?! - wykrzyknęła Babs.

- Normalnie. Zabieramy go do Stanów. Jakiś paszport przecież ma. Wbijemy mu wizę i niech leci do nas. Pierwsze porwanie i zamieniamy porwanych na Arishana.

- A co, jeżeli porywaczami okażą się ci niezależni od ajatollaha? - spytał wyraźnie zaintrygowany Walter.

- To ich sprawa. My proponujemy wymianę, a żeby nas nie oszukali, podeślemy paru doradców wojskowych. Będziemy mieli u nich swoich ludzi i wszystko pod kontrolą - rozwijałem swój pomysł.

- Widzę, że zmieniłeś zdanie i chcesz dać im te dotacje - nie wytrzymała Babs.

- To przecież nasze pieniądze i u nas zostaną. Wszyscy wiemy, że to przekładanie pieniędzy z kieszeni do kieszeni. Przyznamy dotacje, kupimy za nie amerykańską broń u amerykańskich producentów. Jeżeli wywalczą sobie niepodległość, nadal będą musieli u nas kupować, już za własne pieniądze. Nie wyrzucą przecież tego, co dostaną. Uważam, że trzeba to robić powoli i stopniowo. Niech będą dla Rosji jak ropiejący wrzód.

- Załóżmy, że jest to do przyjęcia - rozważał Walter. - Jak dużą dotację moglibyśmy im przyznać i na co? Co z tej listy wydaje ci się do zrealizowania? Według ich priorytetów?

- Wykluczone. Po pierwsze, to pieniądze dla producentów broni, więc odpadają mundury i żywność. Po drugie, nie możemy im przekazać żadnego ciężkiego sprzętu. Rosjanie od razu podniosą wrzask na cały świat. Wicie przecież, że w walce wcale nie tak trudno stracić czołg czy transporter i nie da się ukryć, że to nasza produkcja. Możemy dać karabiny, pistolety, amunicję. Dodajmy jeszcze granaty, może trochę rakiet i ręczne wyrzutnie ze starych zapasów.

- Dlaczego z zapasów? - pytała Babs.

- W razie afery zawsze mogli je dostać z Afganistanu.

- Czyli opinujesz pozytywnie? - upewniała się Babs.

- Tak. Tylko kwotę musimy ustalić według tego, co chcemy im dać, a nie na odwrót. Będziesz musiał zasięgnąć informacji o cenach - zwróciłem się do Waltera. - Nasi analitycy powinni też zrobić harmonogram, niech broń płynie do nich stale, ale cieniutkim strumyczkiem, pomалу.

- Dlaczego? - Babs uniosła w zdumieniu brwi.

- Musimy mieć kontrolę. To jeden powód. Nieprzewidziane, niewłaściwe użycie broni i zakręcamy kurek. Poza tym wcale nam nie zależy, żeby ten konflikt szybko się skończył. Przede wszystkim jednak decydują względy ekonomiczne. Długotrwały konflikt to stała możliwość zbytu broni przez długi czas, a o to w gruncie rzeczy chodzi. Jeżeli musimy dbać o interesy naszego przemysłu zbrojeniowego, róbmy to mądrze - wyjaśniłem.

- Uważasz, że te dostawy rzeczywiście mogą iść przez Iran? - spytał Walter.

- Tak, skrzynia czy dwie w rejsowym samolocie nie powinna być problemem. Ochotnikom, którzy chcą walczyć w Czeczenii, można wydać broń od razu na lotnisku. To ich kłopot, jak przejdą granicę. My w ten sposób minimalizujemy ryzyko ujawnienia, że działamy przeciwko Rosji.

- Skąd będziemy wiedzieli, że broń dotarła do Czeczenii? - dociekała Babs, zakręcając pukiel włosów na palcu.

- Od samych Czeczenów i od naszych doradców wojskowych. Poza tym osiągniemy jeszcze jeden efekt: stałe dostawy broni, nawet niewielkie, wzmocnią pozycję ajatollaha. Może uda mu się zjednoczyć większość rodów i utworzyć coś bardziej podobnego do państwa. Wtedy będziemy rozważać jakieś umowy czy traktaty.

- To niegłupi plan. I cieszę się, że zmieniłeś zdanie, bo już mnie naciskali z Waszyngtonu. Idźcie teraz oboje zrobić kawę, zdążę jeszcze zadzwonić przed końcem dnia - wyprosił nas Walter, spoglądając na zegarek.

Babs zajęła się kawą, a ja wykorzystałem okazję, by pogrzebać w komputerze.

Ahmed Gul nie dawał mi spokoju. Moje dzisiejsze obserwacje wskazywały, że mógł być z wywiadu, i to prawdopodobnie rosyjskiego. Jediną pewną informacją o nim był jego wzrost. Zażądałem danych i fotografii wszystkich znanych nam agentów rosyjskich służb wywiadu i kontrwywiadu o wzroście poniżej 170 centymetrów. Okazało się, że mamy dane kilkudziesięciu mężczyzn tego wzrostu, ale fotografii tylko pięć i żadna z nich nie przedstawiała Gula.

Wykluczyłem ich, a następnie wykluczyłem wszystkich poniżej trzydziestki.

Moim zdaniem Gul był starszy, ale eliminację postanowiłem przeprowadzać ostrożnie.

Pozostało siedmiu. Dwóch z nich według opisu było drobnych i mierzyli niewiele ponad metr sześćdziesiąt. Kolor oczu niewiele dawał w dobie kolorowych szkieł kontaktowych, podobnie jak i kolor włosów, który dowolnie można dzisiaj zmieniać.

Babs skończyła parzyć kawę, a drzwi gabinetu Waltera pozostawały zamknięte.

Usiadła przy mnie i widząc moje kłopoty, wydrukowała opisy obu wytypowanych przeze mnie agentów. Poza tym, że jeden z nich był oznaczony jako agent wywiadu, a drugi zatrudniony w kontrwywiadzie, opisy były identyczne.

- Szukasz tego Gula? - zapytała, gdy czekaliśmy na wydruk.

- Tak, coś mi mówi, że to Rosjanin, choć na to nie wygląda.

- Co mają do tego Rosjanie? To przecież wbrew ich interesom. Czeczeni chcą wojny.

- Czeczeni chcą niepodległości - zaoponowałem. - Interes Rosjan jest dość oczywisty. Jeżeli dostarczymy broń, w niewielkich nawet, ale istotnych ilościach, wzrośnie prestiż ajatollaha, a więc będzie miał większy wpływ na wszystkich. Rosjanie mają tam co prawda swojego prezydenta, ale ten facet nic nie może. W tej chwili nie ma szansy na uspokojenie Czeczenii, bo nikt się z nim nie liczy, a każdy ród ciągnie w swoją stronę. Walczą przecież nie tylko z Rosjanami, ale również między sobą. Pamiętasz, jaki porządek zapanował w Iranie, gdy przyszedł Chomeini? Wziął wszystkich za mordę, ogłosił drakońskie kary, stracił kilku rozrabiaczy i teraz jest spokój.

- Uważasz, że Rosjanom zależy na spokoju w Czeczenii?

- Na granicach musi być spokój. Jeżeli chcą się podźwignąć, nie mogą prowadzić wojen, w każdym razie wielu wojen. Pamiętaj, że cały czas czują na karku oddech Chińczyków. Tam na granicach są stałe zamieszki. Jest taki wąwóz, nie pamiętam jego nazwy, przez który Chińczycy co jakiś czas wysyłają do Rosji setki cywilów, za którymi idzie wojsko. Kiedyś może im się udać. Jak mnie szkolili w Firmie, dowiedziałem się, że w końcu lat siedemdziesiątych żółtki wysłały w tę przełęcz kilkanaście tysięcy ludzi. Byli pewni, że tym razem oderwą Rosjanom kawałek ziemi.

- I co?

- Rosjanie ich po prostu wyparowali. Laserem. Wtedy dowiedzieliśmy się, że mają ochronę przeciwiatomową, a w każdym razie mogą ją mieć.

- Nie widzę związku.

- Chińczycy przygotowali ogromną akcję, również propagandową, na cały świat. Popędzili cywilów na przełęcz i czekali, co zrobią Rosjanie. Z dobytkiem szło wtedy kilkanaście tysięcy ludzi. Kobiety, dzieci, całe rodziny. Mao, chyba wtedy jeszcze żył, oczekiwał, że Rosjanie urządzą rzeź na przełęczy i wtedy pokaże światu, jacy okropni są ci Sowieci. Za cywilami szła jak zwykle armia. Gdyby Rosjanie przepuścili tych cywilów, na zajęty teren od razu weszłaby armia.

- Rozumiem. Gdyby Rosjanie podjęli walkę z wojskiem przemieszonym z cywilami, wyszliby na barbarzyńców. Gdyby chcieli ich wszystkich zepchnąć do Chin, to wojna rosyjsko-chińska była jak w banku. I to na oczach całego świata.

- Właśnie. Korespondenci z całego świata szli z wojskiem. Stanęli na granicy, a tu ani śladu po cywilach. Żadnych cywilnych Chińczyków ani na granicy, ani w Rosji. Nigdzie.

- Jak to zrobili? - spytała zaciekawiona Babs.

- Nasze satelity wtedy były jeszcze nie najlepsze. Zarejestrowały w tych okolicach tylko bardzo duży i dość długi błysk. Dopiero analitycy po kilkumiesięcznych badaniach doszli, co się stało. Rosjanie zlikwidowali cywilną nawałę laserami. Wyparowali ich. Stąd zdumienie żółtków. Ich precyzyjna operacja spaliła na panewce.

- To straszne. Zabili kilkanaście tysięcy niewinnych ludzi - powiedziała przejęta Babs.

- Chińczycy i tak przeznaczili ich na straty. Genialne. Żadnej walki, żadnych karabinów. Zrozum: mogła z tego wyniknąć wojna światowa. Kilkanaście tysięcy ludzi w tej sytuacji to niewielka cena.

- Nie rozumiem, jak wy, mężczyźni, możecie tak spokojnie mówić o śmierci setek, a nawet tysięcy ludzi. Tak jak byście przesuwali pionki po planszy.

- Może to rzeczywiście różnica płci. Przecież CIA również istnieje po to, by nie pozwolić takim lokalnym watażkom na wywoływanie międzynarodowych konfliktów zbrojnych. Uważasz, że likwidacja jednego człowieka jest usprawiedliwiona, a likwidacja setki już nie? Śmierć to śmierć. Dla tego, kto umiera, taka sama. Nie ma znaczenia, czy razem z nim umierają inni czy jest sam. Dla żywych ważna jest cena. W tym wypadku ceną był pokój, a ryzykiem trzecia wojna światowa.

- Nie rozumiem, jak możesz współpracować z Gulem czy jak mu tam. Jest wyznawcą barbarzyńskiej doktryny. Z naszych danych wynika, że pracował dla KGB.

Kobieca logika Babs była porażająca!

- Uważasz, że my w takiej sytuacji zareagowalibyśmy inaczej? To nie ma nic wspólnego z socjalizmem! Chodziło o niedopuszczenie do wojny! Możliwe, że atomowej. Wtedy byłyby miliony ofiar. A z Gulem mamy w tej chwili wspólny cel.

- To przecież morderca! - wykrzyknęła.

- To agent operacyjny - tłumaczyłem spokojnie. - Niewielu jest operacyjnych, którzy nikogo nie zabili. Po obu stronach. Nikt nie robi tego dla przyjemności, ale czasem jest taka konieczność. Skąd się wzięłaś w Firmie, jeżeli nie znasz podstaw?

Babs została dopuszczona przez Waltera do tajemnic, o których rozmawialiśmy w czarnej dziurze, i to wskazywało, że jest agentem operacyjnym. Nosila broń, poprzednio była

na placówce w Rosji, uczestniczyła w mojej ochronie. Miała również prawo kontrolowania Scotta, a tym samym powinna być wyższa lub równa mu rangą. Zastanawiał mnie jednak jej brak wiedzy o wielu rzeczach, które były przecież przedmiotem szkolenia. Teraz dodatkowo wyszła na jaw jej nieznamość podstawowych zasad działania pracowników Firmy. Babs stawała się kolejną zagadką; nawet nie znałem jej nazwiska!

Moje rozważania przerwał Walter, otwierając drzwi swojego sanktuarium. Wnieśliśmy z Babs kawę i filiżanki. Zabrałem też ze sobą dwie wydrukowane charakterystyki. Siadając, podałem je Walterowi.

- Uważam, że to ten sam człowiek i że teraz nazywa się Ahmed Gul.

- No, ale przecież jeden z nich był w wywiadzie, a drugi w kontrwywiadzie. - Babs konsekwentnie ujawniała swoją niewiedzę.

- To bez znaczenia - rzucił mechanicznie Walter, zajęty czytaniem.

- Wytłumacz - zwróciła się do mnie.

- To norma. Z reguły zdemaskowanych agentów wywiadu przenosi się do kontrwywiadu. Kto lepiej wie, jak poznać szpiega, niż ten, kto sam był szpiegiem? - zapytałem, jak mi się wydawało, retorycznie.

- Tak. Na ogół. - Walter schował przeczytane kartki do szuflady. - Wróćmy jednak do dostaw. Propozycja z Waszyngtonu jest taka, aby co miesiąc wysyłać im transport za dwa miliony. Analitycy rozpracują logistykę dostaw według propozycji Toniego. Na razie przyznamy im sześć milionów jako dotację dla ruchu obrony demokracji. - Zachichotał. - Zawsze bawi mnie dostawa karabinów i granatów dla obrony demokracji.

- W porządku. Jaką drogą pójda dostawy i kiedy? I co z Arishanem? - zapytałem.

- Mają zrobić rozeznanie twoich propozycji. Powinni dać sobie z tym radę do wtorku. Twoją propozycję w sprawie Arishana sam szef uznał za interesującą, ale chce to przemyśleć.

- Czyli co najmniej do środy mam z nimi spokój?

Walter potwierdził kiwnięciem głowy i wyjął z biurka czystą kartkę papieru.

- Masz jednak przed sobą dwa trudne dni i gwarancję na kaca. Potrzebujesz na jutro ochrony?

- Ja wyjeżdżam na weekend. Obiecałeś, że będę miała wolne - wtrąciła Babs.

Walter skinął kilkakrotnie i pytająco spojrzął na mnie.

- Na jutro ani pojutrze nie potrzebuję ochrony. Może jednak przyda się rejestracja tych rozmów, a więc jakiś sprzęt i może ktoś z technicznego. W poniedziałek chciałbym pojechać do Lublina.

- W takim razie musimy się spotkać w niedzielę wieczorem, powiedzmy o siódmej. -
Walter zapisał godzinę na kartce.

- Dla mnie weekend kończy się w poniedziałek rano - wtrąciła Babs. - Nie rozumiem,
jak twoja żona to wytrzymuje.

Spojrzeniem i podniesionymi brwiami zasygnalizowałem Walterowi moje narastające
zdziwienie. Agent operacyjny nie miał prawa tak się zachowywać, a już pytanie o osobiste i
rodzinne sprawy prowadzącego było niedopuszczalne. Walter jednak odpowiedział z miną
cierpiętnika:

- Moja żona też była agentem operacyjnym i rozumie konieczności mojej pracy. W
Polsce mówią: „Widziały gały, co brały” - zakończył i sięgnął po telefon. Uzgodnił moje
wyposażenie na jutro i pojutrze, po czym wysłał Babs do techników.

Wykorzystałem jej nieobecność, aby spytać:

- Skąd ją wziąłeś i kto to w ogóle jest?

- Osobista pupilka szefa. Nazywa się Sokorsky i jest córką senatora. Dokładnie mówiąc,
pasierbicą Stewarda Russela. Jak wiesz, to jest lobby przemysłu zbrojeniowego. Stąd Babs u
nas. Taki państwowy pracownik do prywatnego nadzoru.

- Jak na pracownika Firmy ma duże braki - skonstatowałem.

- Rozumiesz - Walter zapatrzył się w przestrzeń ponad moją głową, bezwiednie skubiąc
dolną wargę - ona uparła się pracować w Firmie, a ze względu na tatusia nie mogliśmy jej
wysłać na rutynowe szkolenie. Opracowali dla niej specjalny program.

- Nie zorientowała się?

- Sam słyszałeś. Dla niej pracownik państwowy musi mieć wolne weekendy i najlepiej,
żeby kończył pracę o piątej. Różne rzeczy dzieją się pod jej nieobecność.

Wróciła Babs z dwoma pudełkami, które postawiła przede mną na biurku. W jednym
leżał masywny medalion z kolorowym oczkiem w środku. Skrzywiłem się.

- Będę wyglądał jak pedał.

- Co uchroni cię od obecnych tam kobiet - zauważyła Babs z figlarnym uśmiechem.

- To nieduża kamera z nadajnikiem na daleki zasięg - wyjaśniał Walter, sięgając po
medalion. - Dostaniesz nasz samochód, a w nim urządzenie rejestrujące. Trzeba tylko zmieniać
co jakiś czas taśmy. Rejestrację możesz wyłączyć tym - pokazał jeden z wystających na bok
elementów. - Tu też jest kamera. - Otworzył drugie pudełko zawierające masywny zegarek. -
Wyłączasz odpinając skuwkę zabezpieczającą zapięcie. Możesz wziąć oba albo tylko zegarek.
Kamera ustawia się sama w kierunku dźwięku.

- Wezmę tylko zegarek - zdecydowałem.

- Proszę - Walter zaczął kolejno wyjmować z szuflady biurka - oto opis dojazdu do domku, w którym się spotykacie, dokumenty i kluczyki wozu. Stoi na naszym parkingu, w środku masz mapę. Jest na dyplomatycznych numerach, żeby nam w nim nie grzebali. Nikogo to nie zdziwi. Masz tam być o jedenastej. W schowku są kasety, wyglądają jak magnetofonowe, ale mają niebieską taśmę. Jedna wystarczy na cztery godziny. Ten mały kluczyk jest do schowka, w nim masz urządzenie do rejestracji, obsługujesz je jak magnetofon. Zorientujesz się.

- To wszystko na dziś? - zapytała Babs. - Już późno, a ja muszę jutro dobrze wyglądać.

- Dla ciebie tak. My z Tonim pójdziemy jeszcze do czarnej dziury nagrać raport i regulaminowe przesłuchanie.

Razem wyszliśmy z gabinetu. Babs zamknęła swój pokój i pożegnała się z nami zdawkowo. Zeszliśmy do czarnej dziury. Zanim Walter włączył magnetofony, powiedziałem mu o wizycie i nocy z Babs. Byłem ciekaw, czy to jej własna inicjatywa.

- Wątpię, by tatuś kazał jej iść do łóżka z tobą w interesie swojego lobby. Może masz szansę zostać zięciem senatora - bardziej stwierdził, niż zapytał, z sardonicznym uśmiechem.

- Dobra, dobra, lepiej mi powiedz, co z tym elektrykiem na Kubusia Puchatka. Wyjaśniłeś już coś?

- Tak. To na pewno Scott. Wraca do kraju. Zwerbowali go ci z lobby zbrojeniowego. Miał tu działać za moimi plecami. - Walter się skrzywił. - Zaczynamy. Też mam już dość na dzisiaj.

Nagrywanie informacji zawsze jest nużące. Udało nam się skończyć po dwóch godzinach tylko dlatego, że obaj byliśmy już zmęczeni. Zobowiązałem się, że przemyślę, co jeszcze można by dodać, i zrobię to ewentualnie w niedzielę. Po północy odstawiłem samochód na znany mi parking przy hotelu. Kolacja znowu okazała się nieosiągalna.

Budzenie zamówiłem tym razem na ósmą. I dzbanek herbaty do pokoju - natychmiast. Musiałem przemyśleć nie tylko dzisiejsze zdarzenia, ale i taktykę na jutro. Myłem się szybko, nad słuchując pukania kelnera. Zanim zacząłem delectować się herbatą, zablokowałem wypraktykowanym już sposobem drzwi. Możliwe, że było to zbędne, skoro Czeczeni wiedzieli o mojej polisie ubezpieczeniowej, a Scott wyjeżdżał. Zdecydowałem, że lepiej jednak nie ryzykować.

Poduszka przesiąknęła perfumami Babs; zasypiałem w zapachu indian summer.

Sobota - dzień dwunasty

Śniadanie jadłem powoli, delektując się perspektywą trzech wolnych godzin. Tak się przez to rozleniwiałem, że w rezultacie zabierałem samochód z parkingu kilka minut po dziesiątej i musiałem się śpieszyć. Po namyśle postanowiłem zabrać pistolet.

Mimo dokładnych instrukcji przekazanych Walterowi przez Jurka, kilkakrotnie zabłądziłem na piaszczystych drogach wijących się wśród rzadkich sosnowych lasków. Po drodze zatrzymałem się na moment w najbardziej odludnym miejscu, by obejrzeć urządzenie do rejestrowania i zorientować się w jego obsłudze. Zegarek zapiąłem odruchowo, więc nagrywał wszystko od chwili, gdy go włożyłem. Moje przeoczenie. Wymieniłem taśmę na nową i odpiąłem skuwkę. Słońce grzało mocno i T-shirt przylgnał mi do pleców, wołałem jednak kurz spod kół z rzadka mijanych samochodów i zapach wygrzanych słońcem sosnowych igieł od chemicznego zapachu klimatyzowanego powietrza.

Spóźniony kilkanaście minut, zatrzymałem samochód przed metalową bramą zamkniętą na okazałą kłódkę. Posiadłość otaczała metalowa siatka na metrowej podmurówce, która z prawej strony, zbiegając po lekkiej pochyłości, zanurzała się w wodzie jakieś pięćset metrów ode mnie. Z lewej płot skręcał i prowadził wzdłuż drogi niknącej w lasu wyróżniającym się białymi pniami brzoź. Za bramą droga prowadziła do dużego domu ze spadzistym dachem. Między domem a wodą kręciło się kilka osób.

Wysiadłem z samochodu i obejrzałem bramę, przy której nie było dzwonka ani żadnego urządzenia sygnalizującego, że ktoś stoi pod bramą. Zastanawiałem się nad sposobem dostania się do środka, gdy od grupy nad wodą oderwała się jakaś postać i zaczęła iść w moim kierunku. Człowiek poruszał się wolno i miał do przebycia kilkaset metrów. Wsiadłem więc do samochodu i włączyłem klimatyzację. Sterczenie na słońcu groziło udarem.

Zwalisty mężczyzna w spodniach moro i koszulce khaki podszedł do bramy, ale jej nie otworzył. Z wrogim wyrazem twarzy machał rękami i tupał ciężkimi buciorami, najwyraźniej pragnąc odgonić mnie przed bramą. Po przepracowanej koszulce szorował pistolet w skórzanej kaburze. Wysiadłem z samochodu. Możliwe, że znowu zabłądziłem.

- Spadaj pan. To własność prywatna - wrzasnęło do mnie indywiduum.

Z bliska zobaczyłem wąskie usta ułożone w złośliwy grymas i małe, wrogo patrzące oczka ukryte w fałdach tłuszczu:

- Może zablądziłem, ale jestem umówiony ze znajomym. Otrzymałem informację, jak dojechać, i to chyba tu.

- Pan jesteś ten Amerykaniec do Jurka? - zaburczał niezyczliwie.

- Tak, to ja.

- Wjeżdżaj pan.

Indywidualnie przystąpiło do otwierania kłódki. Manipulowało przy niej długo i niezręcznie. W końcu udało mu się przekręcić klucz i brama stanęła otworem.

Ruszyłem ostro i z satysfakcją zobaczyłem w lusterku, że udało mi się okryć go tumanem kurzu. Nie wątpię, że wysłał za mną niezłą wiązkę.

Droga prowadziła na drugą stronę budynku, gdzie w cieniu wysokich sosen stały cztery identyczne perłowszare lanie. Po schodach zsuwał się niepewnie Jurek z szeroko rozłożonymi na powitanie ramionami.

- Toni, kochany, dojechałeś!

Na wszelki wypadek uruchomiłem nagrywanie.

Znad krótkich spodenek w palmy i papugi wylewał się okazały już brzusek. Jurek złapał mnie w serdeczny uścisk i wycisnął na policzkach dwa mokre pocałunki. W prawej ręce trzymał szklanę, której zawartość w trakcie powitania wylał mi na plecy. Teraz obaj cuchnęliśmy alkoholem.

- Chłopie, kochany, chodź, poznaj moich kumpli. - Jurek ciągnął mnie za rękę w kierunku schodów. - Co za chałupa, mówię ci. Nie moja, wypożyczyłem od znajomka. Mówię ci! Popatrz, kryształowe szyby - pokrzykiwał, ciągnąc mnie w stronę francuskiego okna wychodzącego na południe, na duży, częściowo osłonięty dachem taras, który ukazał się po pokonaniu schodów. - Zobacz, że kryształowe - domagał się, stukając obrączką w szybę.

- Rzeczywiście - zademonstrowałem zachwycone zdziwienie.

Weszliśmy do pomieszczenia wielkości sali balowej. Na wprost, oparty jedną ręką o kominek, stał wysoki, wychudzony mężczyzna. Odziany w kolorowe spodenki w szkocką kratę, patrzył na nas nieprzytomnie zza grubych, kwadratowych okularów. Na czoło spadał mu wilgotny kosmyk brązowych włosów. Krople potu perliły się na nagiej, nieowłosionej i zapadniętej piersi.

- Toni, poznajcie się, to jest Tadeusz - wykrzyknął mój przewodnik.

Mężczyzna spojrzał na mnie nieco przytomniej i wyprostował się, nie rezygnując z oparcia, które dawał mu kominek.

- Pan pozwoli, że się przedstawię... ski - z wyraźnym trudem wypowiedział formułę przechodzącą na końcu w bełkot, i ostrożnie, by nie utracić równowagi, wyciągnął do mnie rękę.

- Komecki.

Odruchowo rozejrzałem się po pokoju. Chudzielca należało natychmiast położyć albo chociaż posadzić. Szukałem odpowiedniego mebla. Jurek wziął to za przejaw zachwyty i zaczął objaśniać:

- To meble ze Szwecji. Kryte prawdziwą cielęcą skórą. Władek dostał od jednego banku, jak był wiceministrem. Specjalnie dla niego sprowadzili. Sam wybierał - wskazał na kilka kanap i foteli pokrytych jasną skórą, stłoczonych wraz z niewielkimi stolikami na prawo od wejścia z tarasu. - A ten kominek! Najprawdziwszy włoski marmur i włoska robota!

Różowy marmur z ciemnymi żyłkami faktycznie wyglądał na włoski. Palenisko okalały cztery korynckie kolumny zwieńczone grającymi na trąbkach amorkami, a samo palenisko osłonięto czarną kratą ozdobioną miedzianymi sercami i rombami. Okropieństwo.

- Nie zgadniesz, jak go zdobył! To dar dla dziecięcego szpitala w Konstancinie. Władek mi mówił, że jak tylko zobaczył to cudo, to się od razu zakochał - tokował Jurek, niezrażony moim milczeniem.

Nagle usłyszałem kroki na tarasie. Odwróciłem się, podtrzymując wciąż chwiejącego się Tadeusza, którego tors przejawiał zdecydowany zamiar udania się w kierunku odległych foteli, nogi zaś równie zdecydowanie odmawiały zmiany pozycji.

Tarasem szedł do nas, stukając drewnianymi sabotami, łysy mężczyzna co najmniej dwukrotnie szerszy od Jurka i wyższy od niego o kilka centymetrów. Jego nagą pierś ozdabiał solidny złoty krzyż, wiszący na stosownej grubości złotym łańcuchu spadającym na pas gęstych czarnych włosów. Na brzuchu opinały się spodnie dresu. Prawe ucho zdobiły dwa złote kółka kolczyków.

- To mój przyjaciel Marian - odezwał się Jurek. - Biznesmen.

Łysielec pokiwał do mnie z daleka dłonią ozdobioną złotym zegarkiem na grubej bransolecie i skierował się do okazałego stołu zastawionego butelkami. Jurek pociągnął mnie za rękę.

- My tu gadu-gadu, a wódka stygnie. - Zarechotał z własnego dowcipu, wręczając mi potężną szklanicę wypełnioną w trzech czwartych wódką.

Rozejrzałem się za tonikiem i uzupełniłem nim zawartość szklanki. Walter miał rację: kac stawał się coraz bardziej realny.

- Chodź, pójdziemy nad wodę. Nie ma nic przyjemniejszego w taki dzień niż powiew od wody. Właściwe napoje już się chłódzą.

Wyszliśmy na taras.

Niespodziewanie z Jurka wydobył się ryk:

- Roobert!!!

Zaniepokojony, spojrzałem na niego. Wyglądał normalnie poza tym, że otwierał już usta do następnego wrzasku.

- Jestem, jestem, niech nie krzyczy - usłyszałem z głębi sali. Spojrzałem. - Czego? - krzyknął mój znajomy spod bramy.

- Niech Robert pomoże panu senatorowi. Musi się położyć i odpocząć - wrzasnął ponownie Jurek, wskazując na kiwającego się przy kominku Tadeusza. - Służba, rozumiesz - wyjaśniał półgłosem, żwawo przemierzając wyłożony płytami czarnego granitu taras - wymaga dyscypliny. Klasa robotnicza musi znać swoje miejsce.

Tuż nad wodą zobaczyłem szeroki drewniany pomost, na którym pod rozstawionymi parasolami stał stół i kilka plażowych foteli z podnóżkami. Dwa były zajęte. W jednym uśmiechnął się łysy biznesmen, drugi zajmował niewysoki, ostrzyżony na jeża brunet.

- Marka znasz, spotkaliście się u mnie - powiedział Jurek.

Brunet pomachał do mnie. Usiedliśmy.

- Zamówiłem w Zegrzynku lunch. Przywiozł z restauracji na pierwszą. Teraz możemy trochę odpocząć. - Jurek wyciągnął się w fotelu. - Wypijmy za spotkanie. - Wzniósł swoją szklankę, a ręce pozostałych posłusznie powędrowały w górę.

- Może chciałby pan trochę lodu? - zatroszczył się Marek, którego usiłowałem właśnie umiejscowić w zakamarkach pamięci.

- Roobert!!! - Ryk Marka rozległ się na całym brzegu, powędrował wodą do odległej ściany lasu i powrócił cichym echem.

- Czego?!

- Przynieś lodu!

Podziękowałem Markowi uśmiechem. Służba w osobie Roberta wróciła w głąb domu, a ja rozejrzałem się wokół. Siedzieliśmy na brzegu płytkiej zatoczki okolonej trzciniami. Z brzegu do wody odchodziła drewniana kładka, niewielka w stosunku do stojącego przy niej okazałego kecza. Biała żaglówka wyrastała z wody jak zapowiedź najpiękniejszych w świecie rejsów. Turkusowy pas powyżej linii wodnej harmonizował z zielonkawą wodą i ciemną zielenią starego, porastającego drugi brzeg lasu. Jurek zauważył moje spojrzenie.

- Władek to ma łeb! Tę żaglówkę przywieźli znad morza. Mamy tam takie stocznie, co robią jachty. Władek wtedy przydzielał licencje na eksport i dostał to jako próbkę. W środku cała jest z teku, rozumiesz, z drzewa tekowego. Ma nawet łazienkę i motory. Cacuszko! Za tych co na morzu! - wznosił toast.

Wypiliśmy. Schodami, które biegły przez całą szerokość tarasu, schodził Robert ze srebrnym kubelkiem do szampana. Postawił go na stole. Musiałem rozcieńczać serwowany mi w nadmiarze alkohol. Wstałem, by sięgnąć po lód.

- Robert, baranie! - wrzasnął Jurek niewiele ciszej niż poprzednio. - Wódka do lodu i przynieś jakieś narzędzie. Łapami mamy wybierać?! Ruszaj się!

Robert posłusznie zawrócił do domu, rzucając mi przepelnione nienawiścią spojrzenie.

- To taki mój człowiek do wszystkiego. Jak trzeba, ochroniarz, umie przyłożyć. Wypić też umie, tylko teraz się rozbestwił. Nie rozumie, że miał zaszczyt wypić ze mną kielicha czy dwa - wyjaśniał były suwnicowy.

- Pływa ktoś tym keczem? - spytałem.

Wszyscy radośnie zarechotali. Gruby Marian otarł z oczu łzy śmiechu i powiedział:

- Jeden raz pływaliliśmy z Władkiem. Ale heca była!

- W zeszłym roku przywieźli żaglówkę, ale załogi nie dali. Oblaliśmy nowość, nawet ochrzciliśmy. Nazywa się „Marina”. Szampan nie chciał się nam rozbić - wspominał ciemnowłosy Marek.

- Nie wiem, jak oni na filmach to robią, że butelka rozbija się o burtę. Nam za cholere nie chciała, chociaż każdy po kolei próbował - opowiadał ze śmiechem Jurek.

- Prawie dziurę wybiliśmy! - śmiał się gruby biznesmen.

- No więc w końcu chrzest nam nie wyszedł. Władek nawet mówił, żeby poprosić tutejszego proboszcza, ale byliśmy trochę wypici i nie miał kto po niego pojechać - chichotał Marek.

- Rozumiesz, wsiedliśmy i pływamy. Na początku na motorach, bo na żaglach nikt z nas nie umie. A tu przyplłynął taki wodny urzędnik w czapce i mówi, że na motorach nie wolno, bo to jakaś strefa ciszy. Wypiliśmy jeszcze po kielichu na odwagę i łapiemy za żagle - kontynuował opowieść Jurek przy akompaniamencie śmiechu reszty.

- Ja rozwinąłem ten żagiel z tyłu. - Gruby wskazał na bezan.

- A ja ten z przodu, na wyższym maszcie. - Marek, chichocząc nieustannie, wskazał na grot.

- Na tym większym maszcie jest jeszcze jeden żagiel - Jurek mówił o fokę - i właśnie ja go rozwijałem, kiedy delikatnie powiało. Jakby jej pieprzu pod ogon kto nasypał, tak ruszyła do

przodu. Mnie ten pagaj na dole żagla limo nabił, bo jeszcze nie przywiązałem linek. Dobrze, że Władek stał przy sterze, to złapał i tylko patrzył, żeby w brzeg nie wylądować.

- Na tym zalewie różni ludzie się pętają, na żaglówkach i kajakach. Pech chciał, że byli na drodze, jak Władek sterował. - Gruby skręcał się ze śmiechu. - No więc przyładowaliśmy. W jedną żaglówkę i dwa kajaki. Miotano nas po całym zalewie, Władek ledwie tę kierownicę trzymał i tylko patrzył, żeby nie w brzeg. - Gruby znów ocierał łzy śmiechu. - Strasznie żywotne paskudztwo.

- W końcu jakoś udało nam się stanąć, w takiej niewielkiej zatoczce, akurat po drugiej stronie - podjął rozbawiony Jurek. - Wypiliśmy po kielichu na pocieszenie i właśnie przy drugim kombinowaliśmy, jak tu dobić do domu, kiedy znowu wylazł na łódź ten wodny urzędas w czapce. Wrzeszczał tak, że w Warszawie było słyhać. No to musiałem go trochę przyciszyć, że nie z nami takie numery.

- Napadł na nas niespodzianie - dopowiadał Marek. - Zaczepił przecież reprezentantów narodu. Władek chciał mu nawet przyłożyć takim małym pagajem, jakby wiosłem, ale nie pozwoliłem. Z nimi trzeba grzecznie, a potem dać po łapach. Popłynął z nami do domu na motorach. Sam łódkę przymocował.

- Od tamtej pory tak stoi - z rzewną melancholią powiedział gruby Marian.

- No to za żeglarzy! - Jurek wznosił kolejny toast.

- Mamy na wieczór zaplanowane rozrywki, a teraz przyjedzie lunch. Głodny już trochę jestem. - Marian poklepał się po brzuchu. - Wypijmy po kieliszeczku i do pokoi, trzeba się przebrać.

Na schodach pojawił się Robert z butelką zmrożonej białej wódki. Jurek sięgnął po nią i rozlał całą do naszych szklanek. Przez chwilę spoglądał na rezultat, po czym odwrócił się do „służby”.

- Dymaj do bramy, i to już. Żarcie zaraz przywiozą; ma być gorące. Żebyśmy nie czekali!

- Panowie, wznoszę toast za owocne obrady - powiedział Marek, wstając. - Do dna.

Wszyscy na stojąco spełniliśmy toast. Marek z grubym zaczęli wchodzić po schodach. Mnie Jurek pociągnął do zaparkowanego samochodu.

- Pokażę ci twój pokój. Będziesz tu nocował z Tadeuszem. My pojedziemy do siebie po kolacji.

Zabrałem walizkę i poszedłem za nim. Schody na piętro umieszczone były w głębi sali z kominkiem, z prawej strony. Za nimi dostrzegłem otwartą na wewnątrz domu jadalnię. Weszliśmy na wyłożone drewnianą boazerią piętro. Jurek popukał w boazerię.

- Z libańskiego cedru. Jak ten nasz interes wyjdzie, może też sobie taką chałupę zafunduję. Chociaż teraz możliwości są mniejsze. Ten cedr Władek dostał za licencję importową i jeszcze mu za darmo na boazerię przerobili.

Moja sypialnia w północnym narożniku odznaczała się dużym łóżem, zajmującym większą część przestrzeni i przykrytym futrzakiem. Poza nim była tam jeszcze niewielka szafa z czarnego dębu i wyglądająca na antyczną kobieca komódka z różanego drzewa. Ścianę nad łóżkiem ozdabiała duża rycina w złożonych ramach, przedstawiająca jakiegoś świętego w tłumie. Świętość poznałem po otaczającej postać aureoli. Z ręcznikiem ruszyłem do wąskich drzwi, które powinny prowadzić do łazienki. I prowadziły, ale z prysznicą ktoś akurat korzystał.

Wycofałem się do pokoju i zdjąłem zegarek, zapiąłem skuwkę. Niech nagrywa w czasie mojej nieobecności. Rozpakowałem koszule i spodnie, powiesiłem w szafie lekki garnitur. Musiałem przeczekać amatora kąpeli; postanowiłem zejść do kuchni znajdującej się naprzeciw jadalni. Miałem ochotę na herbatę.

Liptona znalazłem bez trudu. Zaparzyłem go w dużym fajansowym kubku, ukrytym w głębi jednej z szafek. Gdy wróciłem na górę, łazienka była wolna.

Szybko zmyłem kurz podróży i pot, którym oblewałem się po każdym łyku alkoholu. Przed kolacją i tak czekał mnie kolejny prysznic. Po wyjściu z łazienki z przyjemnością wypłem ciepłą jeszcze herbatę, obserwując łagodne falowanie koron brzoź i sosen.

- Niech schodzą! Jedzenie przywieźli! - ryknął za drzwiami Robert.

Musiałem się ubierać. Postanowiłem włożyć lekkie spodnie i T-shirt. Mieliśmy prowadzić negocjacje. Ktoś załomotał do drzwi, gdy chowałem w walizce pistolet.

- Toni, chodź na lunch - usłyszałem głos Jurka.

Zeszliśmy do jadalni. Przy stole nakrytym na pięć osób krzątało się dwoje ludzi. Mężczyzna w sportowym stroju wyjmował z głębokich koszy półmiski, które ustawiała na stole zgrabna blondynka w czarnej sukience ozdobionej miniaturowym koronkowym fartuszkim. Z głębi kuchni przyglądał się im niezyczliwie Robert. Za nami wszedł Marek w jeansowych spodniach i biało-granatowej koszulce polo.

- Dania gorące mamy w termosach. Nie trzeba ich odgrzewać. Czy mamy zostać? - zapytała dziewczyna, zwracając się do Jurka.

Marian oblizywał się łakomie, patrząc to na stół, to na dziewczynę. W tej chwili trudno było rozstrzygnąć, na co miał większą ochotę. W końcu podjął decyzję, sadowiąc się za stołem.

- Sami się obsłużymy. Rachunek jak zwykle. - Jurek odprawił ich machnięciem ręki. - Siadaj, Toni. - Odsunął mi krzesło z lewej strony.

Miejsce na wprost mnie pozostawało puste. Robert ruszył wraz z restauracyjnym personelem do bramy. Zapytałem o Tadeusza i w tym momencie usłyszeliśmy kroki na schodach. W szarych spodniach z tropiku i białej wykrochmalonej koszuli z krótkim rękawem pojawił się Tadeusz. Stanął za przeznaczonym dla niego krzesłem i uklonił się wszystkim uroczyście.

- Witam panów.

Usiadł. Obrzucił nas i stół roztargnionym, a jednak pełnym wyższości spojrzeniem, i sięgnął po masło.

- Robert! - ryknął Jurek. - Na stole jest tylko zakąska!

- Panowie pozwolą - powiedział Tadeusz, nakładając sobie kopiasty talerz zakąsek - że ja zrezygnuję dzisiaj z alkoholu. Mam lekką niedyspozycję.

Robert obszedł stół z oszronioną butelką wódki, nalewając wszystkim.

- Przynieś popitkę - zadysponował Marian.

Robert postawił na stół duże butelki coca-coli i toniku. Tadeusz ponownie obejrzał stół i wszystkich siedzących.

- Jesteśmy w komplecie - oznajmił w przestrzeń. - Jeżeli będziemy czegoś potrzebować, to zawołamy. Proszę pamiętać, panie Robercie, że dobre wychowanie wymaga, aby zamknął pan za sobą drzwi i nie podsłuchiwał pod nimi.

Drzwi kuchni zamknęły się z trzaskiem. Jurek podniósł kieliszek.

- Nasze zdrowie.

Wypiliśmy. Tadeusz jedynie połowę kieliszka. Jurek obszedł stół z butelką.

- Z relacji Jurka wnoszę - zwrócił się do mnie chudzielec - że reprezentuje pan siły zainteresowane ustanowieniem trwałego pokoju światowego i w tej intencji nawiązał pan z nami kontakt. Idea pokoju światowego zawsze była nam bliska. Na tej samej podstawie ośmielam się przypuszczać, że kraj, który pan reprezentuje, jest skłonny przyznać pewne fundusze na koszty, które poniosą osoby gotowe zrealizować proponowane przedsięwzięcie oraz wynagrodzić odpowiednio ich starania.

- Mówiąc po polsku - wtrącił Marek, nakładając sobie porcję szynki w galarecie - chcecie zapłacić za to, że nie będziemy produkować broni. Prawda?

Tadeusz umilkł, eksponując swoją urażoną godność, którą samotnie popił kieliszkiem wódki. Potwierdziłem skinieniem głowy.

- No, to za interesy!

Tym razem toast wznosił gruby Marian.

Chudzielec sięgnął po butelkę, nalewając sobie do pustego już kieliszka i poważnie skinął głową w przestrzeń pomiędzy mną i Jurkiem.

- Żeby była jasność. Pieniądze są dla nas, żadne tam umowy czy inne duperele. Robimy interes z rączki do rączki. My powiemy, jakie będziemy mieli koszty, a ile dla nas - podsumował Jurek.

- Rozumiem. Właśnie o to chodzi. Pamiętasz, co ci mówiłem - potwierdziłem zarówno zamiary, jak i pierwsze ustalenia.

- No więc myśmy myśleli i liczyli. Wychodzi tak - Marek rozłożył dłoń. - Po pierwsze - zgiął jeden palec - musimy odpalić związkowcom z Radomia jakieś pięćset tysięcy, żeby im zatkać gęby. Po drugie - zgiął drugi palec - jest nas trzech tutaj i jeszcze jeden, którego nie znasz. Marian w tym udziału nie bierze. Wyszło nam po milionie na głowę, to cztery. Na rozkurz, takie koszty różne, chcemy jeszcze pięćset. To razem daje równo pięć milionów dolarów. Co ty na to?

- Dużo. - Postanowiłem się trochę potargować. - Z Jurkiem mówiliśmy o trzech i na tyle dostałem zgodę.

- Te trzy to ja rzuciłem tak na gorąco - powiedział Jurek.

- Pojmuję - zaczął z namaszczeniem Tadeusz - że nie jest pan w stanie zrozumieć naszych trudności i konieczności ustrojowych, które wymagają obejścia kontradzykałów naszych oponentów. Całymi latami walczyliśmy ze zniechęconym totalitarnym ustrojem, nie oszczędzając własnych sił i poświęcając dla szlachetnej idei demokracji dobro własne, a nierzadko i dobro najbliższych. Należy pamiętać o tysiącach ludzi, którzy walczyli i z miłością do Boga w sercu połączyli swe wysiłki, aby zwalczyć szerzącą się jak mór w średniowiecznej Europie czerwoną zarazę. Niestety, nie dane nam było wytrzebić, zetrzeć z ziemi i wypalić hańby komunistycznych poglądów, których spadkobiercami i siewcami są nasi przeciwnicy, ba, powiem mocniej, nasi wrogowie. Społeczeństwo nas zawiodło i dlatego w chwili obecnej z jednej strony mamy opozycję, która nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności jest przy władzy i posiada złudzenie rządzenia krajem. Jest to efekt po części nierozumnego działania wyborców pozostających w błędnym przekonaniu, iż ich interesy reprezentuje grupa zakamuflowanych czerwonych agentów, a po części skutek niedołożenia należytej staranności przez naszych sojuszników. Politycy tacy jak ja - przemawiał Tadeusz - godnie piastując powierzone im przez naród stanowiska, przewidywali możliwość zajścia okoliczności, z którymi mamy obecnie do czynienia. Za naszą to przyczyną zabezpieczyliśmy szereg niższych i pozornie, mogłoby się wydawać, mniej ważnych stanowisk, obsadzając na nich naszych ludzi i obecnie faktycznie dalej dzierżymy władzę, choć pozory są przeciw nam.

- Co oznacza, że możemy to zrobić, tylko nie wprost - przetłumaczył Marek.

- Na taką kwotę muszę mieć nie tylko zgodę swoich, ale i bliższe informacje od was. Jak chcecie to zrobić i jakie będą gwarancje? - pytałem.

- Za przyjaźń polsko-amerykańską! - wzniosł toast Jurek.

- Rozważając propozycję naszego udziału w stabilizacji świata i utrwaleniu pokoju, braliśmy pod uwagę możliwość naszego działania w dwóch płaszczyznach - podjął chudzielec po gładkim przełknięciu wódki. - Gdybyśmy reprezentowali parlamentarną większość, można by zgłosić do laski marszałkowskiej projekt ustawy, która trwale umożliwiłaby zaniechanie produkcji broni, co jest zgodne z przyświecającą nam we wszystkich podejmowanych teraz i w przeszłości działaniach ideą i etyką Kościoła katolickiego. Obecnie jednak, jak już wspomniałem, takich możliwości nie mamy. Dlatego przyjęliśmy dwie opcje jako możliwe do zrealizowania i na roboczo założyliśmy, że będzie to działanie równoległe, biorące swój początek w dwóch biegunowo, wydawałoby się, różnych źródłach. - Tadeusz zrobił przerwę, rozglądając się bez przyczyny, ale z wyczuwalnym niepokojem.

- Robert! - ryknął Jurek. - Przynieś wódkę!

W drzwiach pojawił się przebrany wojak z kolejną oszronioną butelką i nalał wszystkim. Wychodząc zapytał, czy zjemy teraz gorące flaki, co większość obecnych przyjęła z entuzjazmem. Niezręczne nalewanie przez Roberta zupy z termosu do talerzy spowodowało dłuższą przerwę w rozmowie. Przed przystąpieniem do konsumpcji flaków wypiliśmy, po czym Tadeusz gładko podjął:

- Antycypując stanowisko naszego wielkiego sojusznika w kwestii pokoju światowego oraz wzniosły i szlachetny cel podjętej przez nas misji, do którego dążyć będziemy z uporem, nadzieją i wiarą w lepsze jutro nie tylko naszego kraju, ale i całego świata, dostrzegamy trudności obiektywne oraz możliwe utrudnienia powodowane przez przeciwników politycznych. Z tej też przyczyny założyliśmy, że przede wszystkim należy uspokoić klasę robotniczą zatrudnioną w przedmiotowej fabryce. W tym celu zamierzamy przekazać odnośnemu ogniwu naszego związku pewne fundusze, które rozdzielone przez nich między pracowników uspokoją nastroje i zażegnają możliwe oznaki niezadowolenia. W tym temacie zamierzamy przekazywanie rzeczonych funduszy rozłożyć na możliwie długi okres. Tworzenie idealnego modelu dla trybu i terminów przekazywania jest w toku.

Chudzielec zrobił krótką przerwę, w czasie której rozprawił się błyskawicznie z talerzem flaków i ponownie okazał niepokój. Jurek napełnił kieliszki, Tadeusz gładko przełknął zawartość swojego i odchrząknął, najwyraźniej szykując się do kontynuowania przemowy.

Czułem się oszołomiony - nie tyle alkoholem, ile słowotokiem polityka; odnosiłem niejasne wrażenie, że jestem gdzieś obok wydarzeń przy stole, bardziej je obserwując niż biorąc w nich udział. Przez chwilę też zastanawiałem się, czy rozmawiamy w języku, który znam. Rozumiałem co prawda poszczególne słowa, jednak treść całego wystąpienia wymykała się mojej świadomości.

Marian zaczął opowiadać jakiś dowcip, ale zamilkł pod karcącym spojrzeniem Tadeusza.

- Wracając do rzuconej na wstępie myśli o dwóch płaszczyznach działania, chciałbym to obecnie skonkretyzować - kontynuował chudzielec. - Mamy możliwości zablokowania produkcji z jednej strony przez zmniejszenie, a nawet zminimalizowanie popytu, a tym samym możliwości sprzedaży, co oznaczać winno zminimalizowanie produkcji przez zablokowanie środków przeznaczonych na ten cel i skierowanie ich na zaspokojenie innych, bardziej humanitarnych potrzeb społecznych, i w tym aspekcie przewiduję działania moje i Jurka, jako że obaj należymy do komisji zajmującej się rozdziałem środków budżetowych.

- Mam rozumieć - otrząsnąłem się z ogarniającego mnie marazmu - że po prostu nie przydzielicie swojej armii środków finansowych na zakupy w tej fabryce?

Tadeusz potwierdził godnym skinieniem głowy, równie niezadowolony z mojego trywialnego sformułowania, jak i z przerwy w wystąpieniu, po czym okazał niepokój. Wiedziałem już, że to sygnał: należało rozlać wódkę. Podjąłem tę działalność na ochotnika, licząc, że ruch przywróci mi poczucie rzeczywistości.

Chudzielec podniósł kieliszek, oczekując, iż tym razem będziemy mu towarzyszyli.

Wypiliśmy. Milczący Marian żwawo wywijał widelcem, pochłaniając zawartość kolejnych talerzy z wyraźnym zadowoleniem. Jurek i Marek zawiśli wzrokiem na ustach chudzielca; przez niedomknięte drzwi dostrzegłem w głębi kuchni Roberta, wpatrującego się z zachwytem w Tadeusza.

- Przez kilkaset lat Polska była przedmurzem chrześcijaństwa - podjął uroczyście chudzielec - chroniąc europejską cywilizację przed unicestwieniem, broniąc całej Europy własną pierś, krwawiącą po każdym ataku dzikich wschodnich hord. Gdy po dziesięcioleciach niewoli w jarzmie komunistów kraj nasz wrócił do Europy, ponownie staliśmy się krajem, na którym spoczywa obowiązek obrony naszej cywilizacji przed wschodnią tuszczą. Powierzona nam przez rząd Stanów Zjednoczonych misja walki o trwały światowy pokój stawia nas ponownie w szeregu krajów, od których zależą losy świata.

Tadeusz sięgnął po wódkę, napełnił swoją szklankę do napojów i odstawił pustą butelkę na stół. W chwilę później Robert z nową butelką w dłoni uzupełnił alkohol w naszych kieliszkach. Tadeusz wstał uroczyście ze szklanką w dłoni.

- Panowie, piję za sukces naszej misji - oznajmił i opróżnił szklankę.

Również Jacek i Marek wstali i spełnili toast.

Tadeusz zachwiał się; jego koledzy, najwidoczniej przyzwyczajeni, podparli go z obu stron i poprowadzili w kierunku schodów.

- Pierwszorzędny bajerant. Tylko dlatego go trzymają, bo poza tym oliwa - mruknął do mnie Marian, a odwracając się do Roberta, powiedział: - Daj nam teraz te ciepłe dania, ale najpierw nalej po kieliszku.

Robert wypełnił polecenie w milczeniu, całym sobą demonstrując niechęć.

- Ja mam do pana interes, a właściwie propozycję, na której obaj moglibyśmy zarobić trochę grosza. - Gruby wznosił rękę z kieliszkiem. - Kręcę tu taki mały biznes i nie najgorzej mi idzie, ale mam na oku jeszcze jeden. Obaj możemy na nim zarobić. Zdrówko!

- O co chodzi? - zapytałem.

- Wiem, że pan jesteś na państwowej posiadzie, a to nawet w Ameryce opłaca się tylko tym, co stoją najwyżej. Każdy chce na boku zarobić. Ze mną może pan nawet sporo odłożyć na ciężkie czasy.

Podniosłem pytająco brwi.

- Żadnych politycznych interesów ze mną pan nie zrobisz. Chodzi o prosty handel. Mam tu kilku takich księży, co też chcą trochę zarobić. Każdemu grosz jest potrzebny. - Zarechotał, mrugając do mnie znacząco.

Robert wniósł dwa talerze ze sznycelami po wiedeńsku, uzupełnił kieliszki i ścigany ostrym spojrzeniem Mariana starannie zamknął za sobą drzwi kuchni.

- U nas teraz jest popyt na samochody. Mam kilku takich, co chcieliby amerykańskie limuzyny, bo mercedesy już się u nas przejadły. Byle łachmyta kupuje sobie mercedesa. Chciałbym kupić kilka takich limuzyn i sprowadzić do Polski.

- Nie widzę żadnego problemu. Nie wiem, czy są tu przedstawicielstwa naszych firm, ale chętnie pana skontaktuję z naszym attache handlowym.

- Oficjalnie to ja wiem, jak to załatwić, ale ten interes wymaga trochę subtelności. Do tego potrzebny mi taki człowiek jak pan. - Ponownie mrugnął do mnie znacząco.

- Nie bardzo rozumiem. Nie znam się specjalnie na handlu.

- Wyłożę to panu. U nas cło na takie drogie samochody jest bardzo duże, a to podnosi cenę samochodu. Jednak każdy ksiądz może przyjąć z zagranicy darowiznę, również

samochód, i wtedy nie ma cła i podatku. Co się potem z takim samochodem dzieje, nikogo nie obchodzi. Kojarzy pan?

- Rozumiem, ale wątpię, by w Stanach było wielu takich darczyńców. Poza tym ja nie mam czasu, żeby zbierać darowizny i szukać ofiarodawców dla waszego Kościoła.

- No coś pan! Interes nie na tym polega. Ja to chcę kupić, ale tak, żeby w Polsce wyglądało na darowiznę.

- Niezupełnie rozumiem.

- Wypijmy. - Z westchnieniem podniósł rękę do ust. - Widzę, że muszę wyłożyć kawę na ławę. Może w polityce jesteś pan dobry, ale w interesach to widzę, że nie za bardzo. Całość będzie wyglądała tak: ja daję panu pieniądze, dolary, pan kupuje samochody i wysyła je do Polski do księży, których wskażę, jako darowizny. Rozumie pan? Za każdy taki samochód płacę panu pięćset dolarów.

- Rozumiem, co miałbym robić, ale na czym polega biznes? - zapytałem.

- Nie powinno to pana obchodzić, ale wyjaśnię. - Marian był wyraźnie zniecierpliwiony.
- Cło i dodatkowe podatki wynoszą u nas przy drogich samochodach do osiemdziesięciu procent początkowej ceny, a przy takim sposobie przywiezienia tu samochodów nic nie odpalamy ani za cło, ani za podatki. Ja przyjmuję zamówienie na samochód, powiedzmy, że jego cena katalogowa wynosi trzydzieści tysięcy dolarów. Pan dostaje ode mnie trzydzieści tysięcy. Jak kupi pan za mniej, bo całość płacona jest gotówką, to pański zysk i mnie nie obchodzi. Poza tym ja panu płacę pięćset dolarów za sam fakt, że pan kupił i wysłał. Wysyła pan tu na wskazanego księdza, który płaci fracht, znaczy koszty transportu, zobaczmy, czy do Polski, czy do Brementhaven, tego jeszcze dokładnie nie zbadałem. Nic więcej pana nie obchodzi. Zrozumiałe?

- Rozumiem, ale jest pewien problem. Ja rzadko przyjeżdżam do Polski.

- A to już pański kłopot. Od Jurka wiem, że można panu zaufać. Ja daję pieniądze i to jest moje zaufanie. Pan je przewożysz i przysyłasz samochody. Za to płacę. - Rzucił mi spojrzenie z ukosa, wznosząc rękę z kieliszkiem.

- Muszę się zastanowić - powiedziałem, również podnosząc kieliszek.

- Nad czym?

- Jak to zorganizować. Chyba że to akcja na jeden raz?

- No nie, na razie mogę powiedzieć, że potrzeba już kilkanaście samochodów. Ale może nawiążę kontakty ze wschodem. - Gruby zamyślił się z podniesionym w górę widelcem.

- No właśnie. Służbowo pojawić się tu mogę znowu za kilka lat. A rozumiem, że chodzi o stałe przesyłki.

- Pańska głowa. Jasne, że dobrze by było mieć stałą możliwość bezpiecznego przesyłania forsy w tamtą stronę. Ale ogólnie rozumiem, że wchodzi pan w ten interes?

- W zasadzie tak. Muszę to jednak przemyśleć w szczegółach - powiedziałem, zastanawiając się, czy dam radę namówić Waltera na przesyłanie pocztą dyplomatyczną pakietów z forszą bez ich otwierania.

Do stołu wrócili Marek z Jurkiem. Zaczęli od wypicia czekającej na nich wódki i zażądali od Roberta szyncli. Ogólna rozmowa dotyczyła pogody, smaku potraw i planów na wieczór, który mieliśmy spędzić w towarzystwie rodzin w pobliskiej restauracji.

Przy deserze opuścił nas Marian, który oświadczył, że się odchudza i nie może patrzeć, jak inni jedzą. Poprosiłem o herbatę w filiżance, którą przyniósł Robert wraz z kawą dla pozostałych. Musiałem wrócić do swojego zadania.

- Chcecie za dużo. Zaczniemy od trzech milionów i w gruncie rzeczy nie interesuje mnie ich podział. Nie wiem, czy musicie koniecznie w czwórkę załatwiać ten interes, ani też czy każdemu należy dać tyle samo, i nic mnie to nie obchodzi. Przemyślcie to - zwróciłem się do Jurka.

- Właściwie... no, pomyślmy - wtrącił się Marek, również patrząc znacząco na Jurka.

- Każdy musi dostać działkę, bo wszyscy o sprawie wiemy - mruknął Jurek, bawiąc się łyżeczką.

- Ale wezmą tyle, ile damy - naciskał Marek.

- Rozumiem, że dla tych związków zawodowych to jest kwota minimum, ale spróbujcie jeszcze raz rozliczyć resztę - podsunąłem.

Jurek spojrzał mi twardo w oczy.

- Dla nas po milionie.

- No dobrze, to razem dwa i pół. Z tych dodatkowych kosztów możemy zrezygnować, jeżeli od razu prześlą nam pieniądze za granicę - sekundował mi ciemnowłosey.

- Władek nie będzie chciał gadać poniżej pięciuset - stęknął Jurek.

- Cała jego zasługa, że udostępnił ci ten domek. W życiu go nikomu nie wynajmie na dwa dni za takie pieniądze - nie ustępował Marek.

- Ile masz takich interesów, gdzie za samo gadanie dostajesz milion dolarów? - atakowałem.

Jurek myślał z malującym się na twarzy wysiłkiem.

- Kiedy będą te pieniądze? - spytał Marek, nie spuszczając wzroku z przyjaciela.

- Połowa może być zaraz, w ciągu kilku dni. I możemy je przesłać na wskazane konta.

Tutaj czy gdzie indziej, wszystko jedno.

- Dlaczego tylko połowę? - Jurek ocknął się z zamyślenia.

- Jeszcze nie wiem, na czym ma polegać wasze działanie i jakie mają być tego skutki - przypomniałem.

- No przecież Tadeusz wszystko wytłumaczył. Po prostu blokujemy zakupy broni w tej fabryce w tym i w przyszłym roku - gorączkował się Marek.

- Z tego jeszcze nie wynika, że zaprzestaną produkcji - podkreśliłem swoje wątpliwości.

- Zdechną, nie ma o czym mówić. Fabryka nie utrzyma się z samych maszyn do szycia i pisania - wtrącił nadal zamyślony Jurek.

- Czyli ostatecznym skutkiem będzie likwidacja fabryki broni? - upewniałem się.

Obaj energicznie pokiwali głowami.

- W takim razie druga połowa będzie wypłacona, jak tylko zlikwidujecie tę fabrykę - ustaliłem termin.

- No nie, tak nie może być - zaprotestował Jurek. - Dajemy gwarancje, że ta fabryka nie sprzeda. Ani dla naszego wojska, ani na eksport. Skutkiem musi być likwidacja, ale to może trwać latami. Jak chcesz, dostaniesz decyzje i uchwały różnych komisji, że zakupów nie będzie, i cofnięcie koncesji eksportowych na ich broń z ministerstwa, ale to wszystko.

- Rozumiem, a więc ile? Nie gwarantujecie przecież, że ostatecznie likwidacja nastąpi - targowałem się.

- No więc myślę, że może być trzy i pół. To ostateczna kwota - podkreślił Jurek. - Rzeczywiście nie możemy w tej chwili zagwarantować, że uda się ją szybko zlikwidować. Ale wypłata w całości, nie w ratach.

- Przekażę szefowi. - Podniosłem się zza stołu. - Jest tu telefon?

- Tak nie wypada. Wypijmy za powodzenie i interes. - Jurek chwycił butelkę. - Bo ostatecznie ubiliśmy interes? - upewniał się.

- Lepiej nigdzie nie dzwonić, nawet z komórki. Mamy różne podejrzenia. Wszystko da się załatwić w poniedziałek - powiedział Marek.

- Trudno. W takim razie pójdę na mały spacer. No to za powodzenie transakcji - wzniosłem toast. Wypiliśmy i ruszyłem do samochodu.

Nie zatrzymywali mnie, tylko któryś krzyknął, że na kolację wyjeżdżamy o siódmej. Sprawdziłem nagranie. Taśma skończyła się ponad godzinę temu, mniej więcej w chwili zakończenia przemówień Tadeusza. Trzeba to sprawdzić. Proponowany przez Mariana biznes zapowiadał się interesująco i nie wymagał ode mnie właściwie żadnych wysiłków. Zmieniłem taśmę, oznaczyłem zużytą i wyłączyłem nagrywanie.

Ruszyłem wolno wzdłuż brzegu. Popołudnie było nadal słoneczne, ale po niebie leniwie ciągnęły małe pierzaste chmurki. Idąc w cieniu lasu, zastanawiałem się, jak zorganizować bezpieczny przerzut dolarów z Polski. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby zarobić parę tysięcy bez podatku. Faktycznie, przy płatności gotówką mogłem uzyskać parę procent upustu, a więc każdy samochód powinien przynieść co najmniej tysiąc dolarów. Jako dodatkowe zajęcie było to opłacalne i zupełnie niekłopotliwe.

Doszedłem do końca posiadłości, z tej strony również ograniczonej metalową siatką na otynkowanej podmurówce.

Z nawyku wracałem do domu wzdłuż ogrodzenia, zapamiętując punkty orientacyjne. Nie przewidywałem żadnych kłopotów.

Las był rzadki. Sosny i brzozy miały cienkie pnie. Tylko kilka liściastych drzew, wyraźnie starszych, wyróżniało się znacznie grubszymi pniami i koronami wzniesionymi ponad rosnące wokół leśne pospólstwo. Gdyby nie ilość wypitego alkoholu, mógłbym już wracać do Warszawy. Uzgodnienia zostały zakończone. Umowę można uznać za zawartą, a jej realizacja nie należała już do mnie. Walter sam będzie od nich egzekwował zobowiązania albo wyznaczy kogoś. Postanowiłem, że wyjadę rano. Odpoczynek był mi potrzebny, a nie mogłem uznać za taki picia wódki w tym towarzystwie.

Wróciłem do domu. Z parkingu zniknęły dwa samochody. Zostałem więc sam z Tadeuszem. Za wcześnie było, by przygotowywać się do kolacji. Postanowiłem przejść jeszcze wzdłuż ogrodzenia do bramy i wrócić brzegiem.

Nie spieszyłem się, ale mój spacer trwał niewiele dłużej niż godzinę. Mogłem się jeszcze w spokoju napić herbaty, wykapać i przebrać do kolacji. Przewidywałem, że żony będą nieciekawe, wódki zaś i jedzenia w nadmiarze. W sumie jeszcze jedna nudna służbowa kolacja.

Wszedłem do pokoju, by zabrać kubek, w którym piłem herbatę, i z zaskoczeniem zauważyłem, że kubek zniknął. Ktoś był w moim pokoju. Dawno straciłem złudzenia, że takie odwiedziny wynikają z życzliwości. Sprawdziłem walizkę. Była zamknięta i nie nosiła śladów otwierania. Ktokolwiek to był, mógł znaleźć jedynie mój pistolet, co w tym kraju nie powinno wywoływać specjalnego zdumienia.

Powędrowałem do kuchni w poszukiwaniu herbaty i kubka. Ktokolwiek był w moim pokoju, nie poszedł tam sprzątać. Kubek stał wśród stert używanych talerzy na kuchennym stole. Odnalazłem herbatę i z pełnym kubkiem poszedłem do pokoju z kominkiem. Świeży powiew znad wody co jakiś czas wzdymał franki. Zapadłem w rzeczywiście wygodny szwedzki fotel.

Odgłos hamującego samochodu wdarł się dysonansem w panującą ciszę. Spojrzałem na zegarek. Było już po szóstej. Najwyższy czas ubierać się do kolacji. Gdy wchodziłem po schodach, z tarasu nadszedł Robert. Bez słowa zniknął w pokoju położonym po przeciwnej stronie korytarza. Pewnie budził Tadeusza.

Bez pośpiechu ogoliłem się i wykąpałem. Włożyłem garnitur i przed siódmą stawilem się na dole. Pistolet zamknąłem w schowku w samochodzie. Nie chciałem ponownie ryzykować kradzieży broni, a żaden lepszy schowek nie przyszedł mi do głowy.

Tadeusz zszedł ze schodów sztywny jak poprzednio. Na mój widok uśmiechnął się powściągliwie i z Robertem za plecami pomaszerował prosto do kuchni. Po chwili obaj wyszli.

- No, to jedziemy na kolacyjkę - powiedział Tadeusz, zionąc alkoholem.

- Samochód otwarty, można wsiadać - mruknął Robert, mocując się z francuskim oknem.

Wsiadliśmy. Tadeusz usadowił się na przednim siedzeniu. Ja z tyłu. Po chwili dołączył do nas Robert, zajmując miejsce za kierownicą. Gdy dojechaliśmy do bramy, z wściekłością otwierał i zamykał bramę i kłódkę. Czynności te musiały wyczerpać jego cierpliwość, wsiadając trzasnął bowiem z całej siły drzwiami samochodu i zaklął, ostro ruszając. Tadeusz z półuśmiechem siedział na swoim miejscu idealnie nieruchomo. Uznałem, że ja też nie muszę się interesować emocjami kierowcy.

Mimo otwartego okna wewnątrz samochodu wypełnił odór niemytego ciała i prze poczonego podkoszulka Roberta.

- Dojechalim - mruknął, hamując gwałtownie przed niewielką drewnianą chatą z ledwie dostrzegalnym szyldem.

Tadeusz dziarsko wysiadł i idealnie zrównoważonym krokiem wspiął się na trzy schodki, ale zatrzymał się przed drzwiami, jak gdyby w oczekiwaniu na odźwiernego. Nikt jednak nie otworzył przed nim drzwi, więc poczuł się zmuszony zrobić to osobiście. Z grymasem niezadowolenia, a może odrazy, sięgnął do klamki.

Wszedłem zaraz za nim. Z lewej strony był jasno oświetlony bar. Resztę pomieszczenia rozjaśniał blask padający od baru. W głębi widać było salkę z kilkoma stolikami. Stamtąd napływało też powietrze przesycone aromatem kwitnących kwiatów. W tle brzmiała łagodna muzyka. Knajpa miała klasę, której się nie spodziewałem, patrząc na budynek z zewnątrz. Polski paradoks.

Tadeusz po przekroczeniu progu uczynił jeszcze kilka równych kroków w kierunku sali, stracił jednak zapał i wolniej już skręcił do baru. Zatrzymał się przed nim w milczeniu. Barman najwidoczniej znał go, bo po dyskretnym ukłonie z szerokim uśmiechem postawił na

barze szklankę, którą nappełnił przezroczystym płynem z oszronionej butelki i zniknął na zapleczu. Zanim para zdążyła osiąść na szkło, Tadeusz pochłonął połowę zawartości szklanki, co najwidoczniej pomogło mu wrócić do rzeczywistości. Dostrzegł nawet moją obecność.

- Robert pojechał po Jurków - poinformował mnie łaskawie. - Ale pozostali się spóźniają.

Podszedłem do niego, ale nie usiadłem za barem. Rozglądałem się, gdy wszedł Marian z żoną i córką. Obie nie ustępowały mu tuszą. Witałem się z nimi, gdy w drzwiach pojawił się Marek, przepuszczając filigranową brunetkę. Za nim wszedł Jurek z żoną. Okazało się, że funkcję barmana pełnił właściciel, który teraz w eleganckim garniturze prowadził nas do stołu.

Drobna brunetka o ciemnej karnacji i migdałowych oczach była żoną Marka. Piękno twarzy i kształtu głowy podkreślała fryzura z krótkich czarnych kosmyków. Zanim się odezwała, byłem gotów właśnie jej poświęcić dzisiejszy wieczór, wbrew zapędom żony Mariana, która od pierwszej chwili usiłowała skojarzyć mnie ze swoją tłustą, nieustannie chichoczącą córką. Żona Marka miała ochrypy, prostacki głos i mówiła w ostrej tonacji, na krawędzi krzyku. Od razu przestała mnie interesować.

Postanowiłem usiąść przy Marii, poznanej w czasie poprzedniej wizyty w Polsce żonie Jurka. Ta ciemnowłosa i ciemnooka kobieta, ubrana w nietwarzową seledynową suknię, roztaczała wokół siebie aurę spokoju. Odpowiadała mi ta aura. W zasadzie wszystko już załatwiłem, mogłem odpoczywać.

W niszy przesłoniętej sztucznymi i prawdziwymi kwiatami czekał na nas nakryty już stół z przystawkami. Tadeusz, krocząc godnie ze szklanką w ręku, skierował się na miejsce u szczytu. Plotąc coś o zaszczycie zasiadania przy nim i trzymając mocno Marię za łokieć, posadziłem z obu jego stron pozostałe panie. Jurek i Marek usiedli obok siebie tyłem do sali. Poczekalem, aż Marian zajmie miejsce na wprost nich i odgrodziłem się od niego Marią. Z prawej strony nie miałem sąsiedztwa, a za sobą miałem ścianę. Zajmowałem dobre miejsce. Byłem wystarczająco daleko od Tadeusza, by umknąć roli słuchacza, i od żony Mariana, by uniknąć jej napastliwej serdeczności. Prowadziłem z Marią spokojną rozmowę o pogodzie i Zalewie Zegrzyńskim. Opowiedziałem jej o domu, w którym tu mieszkam, a ona o swoim, w którym właśnie przeprowadzali remont. Jedzenie było dobre, alkohol piliśmy we własnym tempie, obsługa była dyskretna, muzyka brzmiała kojąco, a przez otwarte okna napływało wonne leśne powietrze. Było miło.

Z grzeczności spytałem Marię, jak ocenia swoją obecną sytuację. Niechcący dałem jej możliwość wylania wszystkich żalów.

- Boję się. I martwię. Wszystko się zmieniło, ale nie tak miało być. Pamiętasz, pomagałam Jurkowi i wierzyłam w to, co robił. Teraz mogę się tylko martwić. - Podniosła na mnie wystraszone oczy.

- Nie rozumiem, przecież jest wam teraz lepiej niż kiedykolwiek - powiedziałem.

- Cała ta walka miała być w interesie ludzi, żeby było im lepiej. A jest gorzej. Lepiej mają tylko tacy jak my. - Uśmiechnęła się gorzko. - Miało być zupełnie inaczej. Sprowadziliśmy na ludzi nieszczęścia. Nowe, jakich kiedyś nie było. Bezrobocie. Czy wiesz, ile tysięcy straciło pracę? A podobno chodziło o poprawę bytu robotników. O pełne półki. Owszem, mamy pełne półki. Tylko ludzi nie stać na kupowanie w tych sklepach. Nigdy przedtem nie było tylu bezdomnych. Ludzie umierają na ulicach z głodu, z chłodu...

W oczach Marii zakręciły się łzy. W głosie słyszałem gniew i ból, i cierpienie. Zacisnęła pięści. Pochyliła głowę, by ukryć łzy.

- Walczyliście o demokrację i macie ją, a przynajmniej jesteście na najlepszej drodze, by to osiągnąć. Chcieliście kapitalizmu, i jest kapitalizm.

- Demokracja. Tak! Miała być demokracja. Czy jednak koniecznie razem z nią musiał być kapitalizm? Nie przypominam sobie, żeby to była walka o kapitalizm. W każdym razie, kiedy zaczynaliśmy, nikt nie mówił, że walczymy o kapitalizm.

- Te zjawiska, które cię dręczą, to margines. W każdym kraju są bezrobotni i bezdomni - tłumaczyłem jak dziecku. - Żaden kraj się od tego nie zawalił. Walczyliście z totalitaryzmem. Z systemem, który był nieludzki. Wygraliście tę walkę.

- Ciągle wszyscy mówią, że to był nieludzki system. Ja sama nie znam nikogo, kogo ten okrutny system rzeczywiście dotknął. Prawda, zabrano ludziom majątki, ale nikt ich nie wziął do kieszeni. Ziemię dostali chłopci. W fabrykach pracowali ludzie. No i jeżeli demokracja to rządy większości, to większość akceptowała te krzywdy. Tych skrzywdzonych jest raptem kilka tysięcy. Teraz bezrobotnych jest więcej!

- Mario, demokracja to tylko w wielkim uproszczeniu wola większości. Poza tym tamten system został wam narzucony ze wschodu. Ludzie go nie wybrali.

- Wyboru można dokonać nie tylko słowami, ale również czynem. Nie znam przypadku, żeby chłop odmówił przyjęcia ziemi, bo należała przed wojną do kogoś, albo by ktoś odmówił przyjęcia przydziału na mieszkanie, bo właściciel budynku wyjechał po wojnie do Paryża czy Izraela. No i po wojnie wszyscy odbudowywali te fabryki, po które teraz różni ludzie z zagranicy przyjeżdżają. Sama pamiętam, jak moi rodzice odbudowywali swój zakład. Nikt ich nie zmuszał.

- Wsadzano do więzień ludzi za poglądy. Cierpiały miliony.

- Wy też wsadzacie do więzienia wrogów swojego państwa i nikt nie uważa, że to niedemokratyczne. Poza tym gdyby dobrze policzyć, to tych cierpiących za poglądy było kilkuset. Pozostali walczyli z bronią w ręku. To był ich wybór. Reszta to zgraja błaznów. Gdybyś ich poznał, słyszał, jak jęczą, że w jakimś artykule dwa słowa wykreślili, innemu wierszyka nie wydrukowali, trzeciemu filmu do kin nie wysłali i na półce leżał. Takie to były prześladowania i takie cierpienia!

- Nie rozumiem, jak będąc żoną Jurka, możesz mieć takie poglądy.

- Ilu takich suwnicowych jak Jurek macie w tym swoim parlamencie?

- No wiesz... Trudno powiedzieć, ale chyba raczej u nas w Izbie Reprezentantów nie ma robotników, w każdym razie takich zwyczajnych.

- No widzisz! - W głosie Marii zabrzmiał cichy triumf. - Ja też widzę, że to nie na jego głowę. Kręci się między ludźmi, tu złapie słowo, od innego jakieś zdanie, jak umie do kupy skleja i potem powtarza. To mnie martwi! Gada, a sensu w tym za grosz nie ma. Sąsiadki ze starego mieszkania mówią, że staremu się w głowie przekreśliło. Na pośmiewisko jestem, i Jurek też. Co on rozumie z tych interesów i z tej polityki! Tyle, że ma pieniądze! Jeszcze sobie i nam biedy napyta. Wkręcą go w jakiś lewy interes i za ofiarę zostanie.

- Wybacz szczerze, ale od naszego poprzedniego spotkania widzę duże korzystne zmiany. Zarówno u ciebie, jak i u Jurka. Kontakty z ludźmi, wyjazdy zagraniczne, konieczność obserwowania polityki i polityków rozwijają. Naprawdę oboje bardzo się zmieniliście i to są korzystne zmiany.

Nie miałem ochoty na dalsze wysłuchiwanie żalów Marii. Ona sama zresztą uspokoiła się po krótkim wybuchu i moje słowa przyjęła z zadowoleniem. Wróciliśmy do wymiany zdań na tematy mniej emocjonujące. Kolacja zbliżała się do końca. Do sali głównej wchodziły jakieś pary, dwie lub trzy też pozostały na kolacji, większość przybyłych wychodziła jednak po mniej lub bardziej dyskretnej obserwacji naszego stołu. Gdy kolejny raz z sali głównej wymknęła się jakaś para, za plecami Marii pochylił się ku mnie Marian.

- Wiesz pan, dlaczego Jurek z Markiem usiedli tyłem do sali? - zapytał, mrugając cwaniacko. - Żeby nie widzieć tych, co tu przyszli niekoniecznie z własnymi żonami - odpowiedział sobie. - A tak to wilk syty i owca cała. Nasi przyjaciele mogą przysięgać, że nikogo nie widzieli. To jest polityka! - Zarechotał.

Kończyliśmy kolację, gdy do sali weszło kilku podpitych już mężczyzn. Po chwili dołączyły do nich dwie jaskrawo umalowane i wyzywająco ubrane kobiety. Moim zdaniem prostytutki, i to co najwyżej średniej klasy. Wraz z nowo przybyłymi pojawiło się napięcie, potęgowane wydawanymi krzykiem poleceniami, piskami kobiet, rechotem mężczyzn.

Ugrzeczniony właściciel, przyjmując od nich zamówienie, był wyraźnie zdenerwowany, a jego życzliwy dotychczas uśmiech stał się żalnym grymasem. Choć wieczór był chłodny, kilkakrotnie ocierał pot z czoła, a odchodząc, uklonił się trzykrotnie.

Przy naszym stoliku na nowych gości zareagował Marian. Spowaźniał, skurczył się i przesunął przed siebie wazon z bukietem. Niewątpliwie chciał za nim ukryć twarz. Byłem zaintrygowany. Teraz ja przechyliłem się za plecami Marii do niego.

- Kto to?

- Nikt ważny. To tacy tutejsi, jak by to powiedzieć... Po waszemu będzie gangsterzy - cichutko odpowiedział Marian, starając się nie zwrócić na siebie uwagi.

Ten moment wybrał Tadeusz, by wygłosić przemówienie. Wstał, chwiejąc się lekko, z kieliszkiem w dłoni, i aby skupić na sobie uwagę, uderzył kilkakrotnie nożem w stojącą przed nim szklanę.

- Przyjaciele. Bracia. Spotkaliśmy się tu dzisiaj, aby uczcić... aby uczcić...

- Piękny pogodny dzień - podpowiedział, zaśmiewając się, Marek.

- Nasze wiecznie niezadowolone żony - dopowiedział z krzywym uśmiechem Jurek.

Tadeusz stracił wątek i teraz energicznie obracał głowę, przyglądając się kolejno biesiadnikom. W końcu wzrok jego spoczął na mnie; najwyraźniej przypomniał sobie przyczynę spotkania, bo ozdobił twarz radosnym uśmiechem.

- ...wizytę delegata władz zaprzyjaźnionego mocarstwa - dokończył zdanie. - A także podjęcia przez nas, tu obecnych, dziejowej misji w intencji ustanowienia pokoju światowego. - Pamięć wróciła mu całkowicie. - Chciałem też zwrócić uwagę, że nasze działanie we wspomnianej wyżej intencji będzie naszym triumfem i ciosem zadany przeciwnikom politycznym, którzy, ku mojemu ogromnemu ubolewaniu, sprawują obecnie władzę. Jest to jednak, jak mniemam, chwilowy incydent, a ich porażki będą naszym sukcesem, w co niezłomnie wierzę. Pokładając ufność w Bogu i jego ziemskim przedstawicielu, a naszym wielkim rodaku...

Rozlegający się w ciszy głos Tadeusza został nagle zagłuszony przez gwałtownie hamujące samochody i trzask drzwi. Mężczyźni siedzący na sali zerwali się, sięgając po broń. Z zewnątrz usłyszeliśmy serię z automatu. Obecni padli na podłogę. Marian zniknął pod stołem. Tadeusz stał ze wznieśioną w zapale oratorskim ręką. Huknęły drzwi.

- Światło. Zgaś światło - zabrzmiał męski głos.

Mężczyźni leżący na podłodze natychmiast zaczęli strzelać z pistoletów do żarówek na sali. Nagle zgasło tam światło, a my pozostaliśmy oświetleni jak na scenie. Ściągnąłem Marię na podłogę i skoczyłem w mrok. Terkot pistoletów maszynowych rozbrzmiewał od drzwi i

okien sali. Ze środka tylko z rzadka odpowiadał strzał z pistoletu. Nie wszyscy pewnie byli uzbrojeni, a może oszczędzali amunicję. Ktoś krzyknął. Dostał. Pobieglem w stronę, gdzie bar łączył się z salą główną. Najciemniejsze miejsce. Stamtąd zobaczę najwięcej. Uderzyłem głową w blat baru. Źle oceniłem odległość. Światło z naszej alkowy oświetlało salę. Trzech mężczyzn leżało bez ruchu. Ciemne plamy krwi. Ranni, może zabici. Z okien padały teraz pojedyncze strzały. Napastnicy kryli się za parapetami. Jeden z leżących trzymał w ręku broń. Skoczyłem po nią i wróciłem na miejsce. Przy drzwiach jest co najmniej jeden. W oknie zobaczyłem głowę nad lufą. Strzelam i natychmiast przesuвам się wzdłuż ściany po lewej. Pod oknem zamieszanie. Chyba trafiłem. W najbliższym oknie znowu głowa nad lufą. Strzelam. Zmiana miejsca. Jestem bliżej okna. Tym razem wrzask. Nie znam tego języka. Spod drzwi seria. Za wysoko. Widzę rozbłysk broni. Strzelam, mierząc trochę niżej. Znowu wrzask. Dwóch z podłogi skoczyło do drzwi. Samochody odjeżdżają z piskiem opon.

- Światło. Zapal światło. - Męski rozkazujący głos tuż obok mnie.

W kącie niedaleko okna stał postawny brunet z niewielką, zamaskowaną misternie zaczesanymi włosami łysinką. Pozostałem na miejscu, obserwując okna. Dwóch z leżących na podłodze nadal nie dawało znaku życia. Pod drzwiami leżał mężczyzna z pistoletem maszynowym w rękach. Jeden z napastników. Drzwi były otwarte. Za oknem jakiś głos powiedział:

- Uciekli dranie, ale co najmniej jeden dostał. Jest krew.

- Zobacz, co z naszymi. - Znowu rozkazujący głos bruneta, skierowany do bezbarwnego blondyna, niemrawo podnoszącego się z podłogi.

Blondyn kolejno podchodził do leżących. Tylko ten, któremu zabrałem pistolet, okazał się żywy. W wyciągniętej ręce podałem pistolet brunetowi. Nie dotknął go.

- Mirek, wiesz, co robić - rozkazał. - Mamy rannego. Trzeba wezwać pogotowie - powiedział do wyłaniającego się z zaplecza właściciela.

Bezbarwny zabrał broń nieżyjącym. Pistolet ode mnie przyjął przez chustkę od nosa i starannie go wytarł, zanim umieścił w dłoni jednego z zabitych. Do sali weszło dwóch mężczyzn, prawdopodobnie ci, którzy wyskoczyli za uciekającymi. Oglądali teraz starannie leżącego i jak się okazało martwego napastnika.

- Jaka cholera, szefie?! To Ruski! - wykrzyknął jeden z nich.

- Pewnie wynajęty. Zmywamy się. - Brunet zmierzał już w kierunku wyjścia. W ślad za nim pobiegły zmaturalizowane nagle kobiety.

Wróciłem do zajmowanej przez nas alkowy. Maria cicho płakała, nieporadnie obejmowana przez męża. Piękna żona Marka z furią uderzyła go w twarz i wrzasnęła:

- Jak śmiałeś! Jak śmiałeś mnie tu przyprowadzić!

Żona i córka Mariana siedziały spokojnie na swoich miejscach, trzymając się za ręce. On sam nalewał sobie do szklanki wódkę, choć ręka mu odrobinę drżała. Tadeusz siedział z otwartymi ustami i wzniesioną ręką, wodząc oczami po obecnych. Marian zlitował się nad nim i nalał do jego szklanki sporą miarkę wódki.

- Za przetrwanie, panie Tadeuszu! - wznosił cicho toast, a zobaczywszy mnie, nalał hojnie i do mojej szklanki.

- Za przetrwanie, Toni.

Wypiłem z przyjemnością.

- Tu ktoś strzelał! To był zamach na mnie! - nieoczekiwanie wrzasnął Tadeusz.

Wszyscy spojrzeli na niego; większość ze zdziwieniem, kobiety ze zgrozą.

- Jak to na ciebie? Przecież do nas nikt nie strzelał - wyjąkał Marek.

- A na kogo mógł być zamach?! Przecież jestem tu najważniejszy! Nie tylko przy tym stole. W ogóle, w całej restauracji, byłem najważniejszą osobą. I jestem - dodał, rozglądając się po obecnych.

Marian sapnął kilkakrotnie, po czym rozlał do swojego i mojego kieliszka resztkę wódki.

- Megaloman - szepnął do mnie. - Na nas już czas. Załatwicie wszystko sami - zwrócił się do Marka i Jurka, wznosząc w moim kierunku kieliszek.

- Jadę z wami! - wrzasnęła żona Marka i ruszyła ku drzwiom. Rodzina Mariana podążyła za nią. Bez słowa dołączyła do nich Maria. Zostaliśmy we czwórkę.

- To oczywiste, że to był zamach na mnie. Przynieście wódki - rzucił Tadeusz w stronę nadchodzącego właściciela. - No, może na nas wszystkich. Za to, że jesteśmy, jacy jesteśmy. Zabili naszą ochronę - improwizował dalej.

Marek i Jurek usiedli, pozwolili kelnerowi nalać i zanim ten zdążył odejść, wyciągnęli w jego kierunku ręce z pustymi naczyniami. W zamyśleniu patrzyli na Tadeusza.

- Może się okazać, że ta ochrona to jakieś tutejsze bandziory - ostrzegłem.

- Bez znaczenia. To można załatwić. - Jurek machnął ręką, nie odrywając wzroku od Tadeusza. - Ławi mament, jak mówią nasi przyjaciele Francuzi - podjął, uśmiechając się na poły lekceważąco, na poły sardonicznie. - Razem z policją przyjedzie tu telewizja, może nawet kilka ekip. Wywiady, napięcie, ochrona i te rozważania przed kamerami... - rozmarzył się, nalewając wódkę do swojej szklanki. - Kto to był i dlaczego. Coś słyszałem o Rosjanach? - zwrócił się do mnie.

- Ci mafiosi mówili, że Rosjanin. Oni są podobno do wynajęcia. Słyszałem, jak do siebie krzyczeli. Moim zdaniem to nie był rosyjski.

- Genialne - westchnął Tadeusz, marzycielsko wpatrzony w sufit. - Opatrzność nad nami czuwa. Rządząca ekipa nasyla na nas rosyjskich morderców. Jako czerwoni i kryptokomuniści mają odpowiednie kontakty. - Potrząsnął głową, jakby stawiał kropkę na końcu zdania i gładko przełknął pół szklanki wódki.

Zapatrzeni w niego przyjaciele promienieli.

- Panowie - podjął i urwał. Sztywno wyprostowany rozglądał się z niepokojem.

Wiedziałem, że szuka wódki; skinąłem na kelnera.

- Panowie! - podjął uszczęśliwiony, zoczywszy nadchodzącego z wódką kelnera. - Przeżyliśmy, by ocalić nasz kraj. Życie zawdzięczamy opatrzności. To palec boży, najlepszy dowód, iż Bóg wyznaczył nam historyczną misję i nikt nie może pokrzyżować naszych planów. Nawet sam diabeł, nawet czerwony diabeł.

- Chciałbym wyjechać jutro rano - powiedziałem do Jurka. - Chyba rozumiesz. Myśmy w zasadzie wszystko załatwili. Lepiej też, by nikt mnie tu nie widział. Możesz to jakoś załatwić?

- Ależ oczywiście - włączył się Marek. - Odwiezie pana mój kierowca. Czeka w wozie - dodał, prowadząc mnie do wyjścia.

Podprowadził mnie do identycznej lancierki, jak prowadzona przez Roberta. Tylko za kierownicą siedział inny człowiek, któremu Marek półgłosem przekazał instrukcje. Ruszyliśmy.

Po drodze spotkaliśmy stojącą drugą lancierkę. Obok Robert opierał się o grube drzewo. Mój kierowca zgasił silnik i wysiadł. Pewnie potrzebował kluczy do domu.

- Na pewno nie miał przy sobie gnata. Specjalnie pilnowałem - usłyszałem głos Roberta w ciszy przerywanej jedynie graniem świerszczy.

Wsunąłem się w głąb samochodu. Mój kierowca wyciągnął rękę, Robert coś mu dał. Nie zamienili słowa. Robert pozostał oparty o pień. Schyliłem się, gdy otwierane drzwi zapaliły lampkę samochodową. Faktycznie byłem bez broni.

Dojechaliśmy do bramy. Kierowca otworzył ją, ale powiedziałem, żeby nie wjeżdżał. Postanowiłem dojść do domu pieszo. Zamknąłem bramę w świetle reflektorów i ruszyłem w ciemność.

Mogli czekać na mnie w środku. Po drodze zabrałem ze swojego samochodu pistolet.

Usiadłem pod ścianą, nasłuchując w ciemności. Niewykształcony bandzior nie powinien wytrzymać w absolutnej ciszy przez pół godziny. Słuchając świerszczy, zastanawiałem się, czy

tu zostać i jak mogę się zabezpieczyć. Musiałem oddać klucze i nie wiedziałem, co z Tadeuszem. Przyjedzie tu czy będzie nocować gdzie indziej?

Musiałem wejść do środka i chociaż zabrać swoje rzeczy. Postanowiłem, że poczekam jeszcze kwadrans. Jeżeli nadal będzie cisza, wchodzę.

Cisza trwała. Odnalazłem klucz do francuskiego okna i wszedłem. W środku nikt na mnie nie czekał. Spakowałem rzeczy i zabrałem z łóżka koc. Prześpię się na kanapie na dole.

Niedziela - dzień trzynasty

Noc minęła spokojnie. Obudził mnie świergot ptaków, dochodzący przez uchylone okno. Tadeusz nie wrócił. Było bardzo wcześnie.

W czasie porannej kąpieli zastanawiałem się, co zrobić z kluczami. Zegarek leżał na stole. Nagrywanie wyłączone. Jadłem zaimprovizowane z kuchennych zapasów śniadanie, gdy pojawił się radośnie uśmiechnięty Marian. Też ucieszyłem się na jego widok. Rozwiązywał mi problem kluczy do tego domu.

- Jestem pańskim dozgonnym dłużnikiem, a co więcej, chcę nim nadal pozostać - rozpoczął po powitaniu.

- Dlaczego?

- Domyślił się pan, że znam tych ludzi z restauracji. Wczoraj, w nocy, jak tylko podjechaliśmy do domu, pojawił się u mnie sam szef. Od kilku tygodni nasze stosunki nie układały się najlepiej, co tu mówić. - Skrzywił się lekko. - Byłem mu trochę dłużny i akurat nie miałem pieniędzy, bo włożyłem w jeden taki interes.

- Ten czarny z łysinką? - upewniłem się.

- Tak, on jest szefem. Bardzo mi dziękował. Za pana. - Marian zachichotał. - On myślał, że jest pan moim ochroniarzem i dlatego włączył się pan do obrony. Przeszkadza to panu? - zapytał nagle zaniepokojony.

- Nie. Może być.

- No to świetnie. Oczywiście oni są pewni, że to był zamach na szefa. Dlatego osobiście mi dziękował.

- Rozumiem, że już nie ma pan z nimi kłopotów.

- Jasne. Rozpływał się z wdzięczności. Nawet pytał, czy nie chciałby pan dla niego pracować. Ale nie nachalnie. Tak sobie, z zainteresowaniem.

- I co?

- Powiedziałem, że pan niedługo wyjeżdża.

- W porządku. Zostawię panu klucze do tego domu. Co z Tadeuszem?

- Reklamę sobie zrobił jak diabli! Od razu mu ochronę dali. - Zachichotał. - Telewizja, radio, dziennikarze z różnych pism. On oczywiście mówi, że to atak na wszystkich, ale tak, że każdy głupi zrozumie, że to o niego chodziło.

- Ustalili, kim był napastnik? - zapytałem.

- Jeszcze za wcześnie. Ale jak nasi mówią, że Ruski, znaczy Ruski.

- Wy tu wszystkich ze wschodu nazywacie Ruskimi. Wszystko jedno, Litwin czy Ukrainiec.

- Faktycznie. Mam się dowiedzieć czegoś więcej?

- Nie zaszkodzi. Dam panu telefon do znajomego, bo ja jeżdżę po kraju.

- No właśnie. Ja w tej sprawie. Kiedy pan wraca do Stanów?

- Za kilka dni. Cztery, może pięć.

- Myślał pan o tym biznesie, o którym rozmawialiśmy? Zrozumiałem, że jest pan zainteresowany. Nawet przyniosłem kasę i zapisałem zamówienia. To jak? - Sięgnął po wypchaną saszetkę.

- Problemu nie będzie. To pierwsze zamówienie mogę załatwić. Potem poszukam tu kogoś, żeby przysyłał pieniądze i pańskie zamówienia. W najgorszym wypadku sam przylecę, chyba żebym akurat był zajęty.

Marian mościł się w krześle, szukając wygodniejszej pozycji, po czym z różnych kieszeni zaczął wyjmować zwitki dolarów. Na końcu otworzył saszetkę, wyjął z niej kolejny plik dolarów i kartkę. Na stole leżała spora kupka zielonych banknotów.

- Zapisałem, czego chcą. Przyniosłem na początek czterysta tysięcy. Trzeba policzyć. Da mi pan swój telefon w Stanach, to podam, jakie jeszcze samochody są potrzebne. Jest taki samochód, Oldsmobile Aurora. Zna pan?

- Słyszałem. To nowość.

- Ma być koniecznie srebrny albo złoty. Ze wszystkimi bajerami. Wie pan, klimatyzacja, elektryczne szyby, ABS i co tam jeszcze dają.

- Nie wiem, czy dam radę kupić go od ręki. Dopiero co pokazywali go na Chicago Auto Show. - Zastanawiałem się, u którego ze znajomych dealerów mógłbym dostać ten samochód.

- Mam jeszcze dwa, też z tej wystawy. Ale nie pali się. Mogą poczekać kilka tygodni. Zawiadomi pan, kiedy będzie można je wysłać.

- Jakie jeszcze? - Wyjąłem z walizki notes, żeby zapisać zamówienie.

- No więc jest jeszcze chrysler cirrus, też ze wszystkimi bajerami, koniecznie z silnikiem dwa i pół litra. Też najlepiej złoty albo srebrny.

- Zapisałem.

- No to jeszcze koniecznie czerwony dodge ram. Wie pan, taka niby-ciężarówka z napędem na cztery koła i silnikiem w układzie V 10.

- To truck dodge ram. Już wszystko?

- Poza tym musi się pan dowiedzieć, jakie pontiaki można kupić i jak wyglądają najnowsze modele. Mam takiego, co się napał, żeby kupić sobie taki wóz, ale koniecznie najnowszy. Tutaj mam listę tych księży, na których będzie pan wysyłał samochody. - Marian wyjął następną kartkę z saszetki. - Może pan wziąć, ja mam swoją. W deklaracji trzeba koniecznie napisać, że to darowizna dla Kościoła. I wysyła pan po kolei, jak jest na liście trzeci, to dostaje trzeci samochód. Rozumie pan?

- Rozumiem. Ale i tak zawiadomię pana, komu jaki samochód wysłałem.

- No, to liczymy pieniądze - powiedział, zacierając ręce.

Policzenie czterystu tysięcy dolarów nawet w dużych nominałach zajęło nam trochę czasu. W końcu schowałem je do walizki, wymieniliśmy telefony i byłem gotów do odjazdu. Okazało się, że Marian zostawił swój samochód przed bramą, więc po zamknięciu domu oddałem mu klucze i podwoziłem do bramy, pozostawiając mu jej zamknięcie.

Wracałem do Warszawy znacznie wcześniej, niż planowałem. Ponownie pokonywałem kręte piaszczyste drogi wśród rzadkich sosnowych lasków. Wdychałem wonne powietrze, słuchałem świergotu ptaków i leniwie rozważałem, w jaki sposób Mohammed Ali dowiedział się, gdzie będę, i jak nawiązał kontakt z Robertem.

Moja polisa ubezpieczeniowa - informacja o wyłączności na rozmowy, okazała się nieskuteczna; chyba że wiedzieli już o mojej pozytywnej opinii i o przydziale funduszy.

Wydanie opinii kończyło moje zadanie. Uzgadnianie szczegółów nie należało do mnie. Czyżby w ambasadzie był jeszcze ktoś pilnujący tego kontraktu poza Billem? No oczywiście! Babs! Trochę trudno było mi ją sobie wyobrazić w rozmowach z Czeczenami, ale na tym świecie wszystko jest możliwe. Tym bardziej że papcio był osobiście zainteresowany. Mógł to być jednak ktoś inny. Muszę zwrócić Walterowi uwagę, że jego system zabezpieczania tajnych informacji jest dziurawy jak sito.

Dla mnie osobiście Mohammed Ali stawał się problemem. Muszę jeszcze pozatławić sprawy dziadków, a więc trochę po Polsce pojeździć. Tymczasem on depcze mi po piętach. Nie lubię takiego towarzystwa.

Podróż powrotna do Warszawy upłynęła mi szybko. Przez cały czas rozważałem różne możliwości pozbycia się tego prymitywa dotkniętego na honorze i po kolei wszystkie odrzucałem. W duszny, pełen kurzu miejski skwar wjechałem bez pomysłu na pozbycie się Mohammeda Alego.

Dochodziło południe; zmierzając z parkingu do hotelu, nie spotykałem prostytutek, w każdym razie tych znanych mi z nocnych powrotów. Jednak wzdłuż ulicznego parkingu spacerowały roznegliżowane kobiety. Może to dzienna zmiana.

Zaniosłem walizkę do pokoju, a potem pieniądze Mariana do sejf. Zatrzymałem pistolet. Skusiło mnie klimatyzowane wnętrze baru. Zamówiłem półwytrawny wermut z lodem i cytryną. Idealny napój na upał. Byłem umówiony z Walterem na siódmą i postanowiłem nie zmieniać terminu. Po raz pierwszy od przylotu miałem kilka wolnych godzin.

Pierwszego drinka skończyłem, nie podjąwszy decyzji, czy pojedę na Stare Miasto, czy raczej do Łazienek. Dopiero przy drugim wermucie przypomniałem sobie, że jest niedziela - parki w taki upał na całym świecie wypełnione są wrzeszczącymi bachorami, wózkami z płaczącymi niemowlakami oraz stadami ich mam, babć i ciotek.

Nie lubię małych dzieci, a jeszcze bardziej nie lubię dorosłych rozczulających się do utraty rozumu nad takim projektem na człowieka. Jadę na Stare Miasto.

Z tłumem wędrowałem wąskimi uliczkami, oglądałem kamieniczki, podsłuchiwałem przewodników wyjaśniających różnojęzycznym grupom, że widzą to, co było kiedyś i zostało zniszczone pod koniec wojny, a następnie odbudowane.

Posiedziałem trochę na ławeczce w rynku, kontemplując z cienia urodę attyk i fasad, a potem znowu krążyłem z innymi, wchłaniając ulotną atmosferę miejsc, które pamiętają pokolenia mieszkańców.

Od czasu do czasu oglądałem się jednak, badając twarze. Mohammed Ali nie dał o sobie zapomnieć. Każda śniada twarz wzbudzała moją czujność. Odruchowo pilnowałem, żeby za plecami mieć ścianę. Odwracałem się często i niespodziewanie. Przystawałem przed wystawami. Wchodziłem do otwartych galerii nie tylko dla oferowanych w nich do sprzedaży obrazów i rzeźb. Odpoczywałem czujnie.

Zafundowałem sobie lody i zjadłem je oparty plecami o mury obronne. Powoli wracałem na rynek. Było późne popołudnie, poczułem głód. Postanowiłem poszukać restauracji Pod Krokodylem. Kiedyś słyszałem, że można tam dobrze zjeść.

Znalazłem niewielki, skromny szyld i wszedłem do środka. Na parterze był tylko hol wejściowy i szatnia. Sale restauracyjne mieściły się na półpiętrach w tarasowym układzie. Usiadłem najwyżej, przy ścianie z widokiem na obie sale i wejście. Nie docierał tu gwar turystów. Przez otwarte okna napływało gorące powietrze, przyjemnie ogrzewając chłodne wnętrze. Grube mury izolowały od hałasu i zapewniały chłód nawet w skwarze słońca. Tu klimatyzacja była zbędna. A może była to średniowieczna klimatyzacja w europejskim stylu?

Zjadłem bardzo smaczny obiad. Obsługa była grzeczna i nienachalna. Spędziłem udane popołudnie, mimo konieczności stałej obserwacji. Tym miłsze, że nie widziałem, aby ktoś się mną szczególnie interesował. Dochodziła szósta. Skośne promienie słońca nadal oświetlały i

ogrzewały miasto. Musiałem wracać do hotelu i jechać do ambasady. Byłem rozleniwiony i nie bardzo miałem na to ochotę.

Agent operacyjny w terenie nie ma weekendów ani wolnych niedziel. Musiałem sobie o tym przypomnieć, by wrócić do pracy.

Nie wracałem już do hotelu. Podjechałem tylko na parking i zmieniłem samochody.

Zabrałem przydzielony mi służbowy samochód na dyplomatycznych numerach. Marines otworzył bramę bez pytania o cokolwiek. Zabrałem nagrane taśmy i poszedłem do Waltera. Do siódmej brakowało jeszcze kilku minut, ale czekał już na mnie. W holu na dole zatrzymał mnie dyżurny i zaprowadził do gabinetu, w którym jeszcze nie byłem. Walter siedział przy odtwarzaczu.

- Mam nadzieję, że twój pobyt nad zalewem był owocny - powiedział na powitanie.

- Aż za bardzo - odparłem, wręczając mu nagrane taśmy. Potem opowiedziałem o strzelaninie w restauracji.

- Słyszałem już o tym. Od rana we wszystkich wiadomościach mówią o próbie zamachu.

Wyjaśniłem mu, co się tam naprawdę wydarzyło.

- Osobiście uważam, że była to akcja, w której chcieli zlikwidować mnie - podsumowałem relację. - I to raczej działanie Mohammeda Alego na własną rękę - dodałem.

- Nie uważasz, że ten twój Jurek brał w tym udział?

- Wykluczone. Za bardzo mu zależy na tym milionie. Robert natomiast ma własne kontakty z Czeczenami i bardzo mnie nie lubi. Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, gdy na mnie patrzy, wszystkimi porami tryska z niego nienawiść.

- Kto więc brał w tym udział i skąd wiedzieli, że tam będziesz?

- Oto jest pytanie. Uważam, że mają tu jeszcze kogoś poza Scottem. Zresztą Scotta najprawdopodobniej zwerbowali lobbyści, mógł w ogóle nie mieć z nimi kontaktów. To twoje podwórko i musisz to szybko sprawdzić.

- No to obejrzyjmy te twoje negocjacje. - Zasepiony Walter włożył pierwszą taśmę do odtwarzacza.

Obejrzelśmy powitanie, rozmowę nad brzegiem i wystąpienia Tadeusza. Taśma skończyła się tuż przed tym, jak odprowadzono go na górę. Szczęśliwie moja rozmowa z Marianem nie została nagrana.

- Ten pomysł z nagrywaniem w ten sposób nie był dobry - powiedziałem. - Nie mogłem wstać od stołu i grzebać w samochodzie w czasie lunchu. Tak jak nie mogłem zabrać ze sobą

samochodu na kolację. Dlatego są tylko dwie taśmy. Nagrania są wrywkowe i obawiam się, że dzisiaj znowu spędzę sporo czasu w czarnej dziurze.

To, czego nie było na taśmach, opowiedziałem szczegółowo, starannie unikając wzmianki o grubym biznesmenie.

- Czyli w zasadzie to również załatwiłeś. Przypuszczam, że kwoty nie musisz uzgadniać?

- Rzeczywiście. Mówiłem ci, że mam zgodę, ale potrzynam ich trochę w niepewności. Niech nie myślą, że łatwo poszło.

- Zaplanowałeś ostateczne spotkanie z Czeczenami na środę. Nie potrwa długo. Gdybym umówił cię na środę z tym Jurkiem, to zakończysz tu wszystko? - Walter skubał w zamyśleniu dolną wargę.

- Tak. W poniedziałek, a może i we wtorek będę w Lublinie.

- Czyli w środę skończysz wszystkie służbowe zadania. Chcesz tu zostać jeszcze jakiś czas?

- Nie wiem. Nie wiem, czy to będzie konieczne ani czy będę miał ochotę. - Włożyłem do odtwarzacza drugą taśmę. - Może do końca tygodnia.

Obejrzelismy ją bez emocji. Nic interesującego. Potem poszedłem na spowiedź do czarnej dziury. Znowu prawie trzy godziny szczegółowych relacji.

Oszczędziłem sobie opisu obecnych w domku, mieli ich na taśmie. Sporo czasu poświęciłem jednak na opisanie tutejszych gangsterów. Wysiłem się, by przypomnieć sobie najmniejsze drobiazgi. Znajomość polskiego podziemia mogła się przydać, tym bardziej że jak wszędzie było ono powiązane z legalnymi interesami, a pośrednio również z politykami.

Przed jedenastą oddałem Walterowi taśmy z nagraniami i pozwoliłem mu odwieźć się do hotelu. Jeszcze dzisiaj wybierałem się do Lublina.

Zastopowało mnie w drzwiach. Pośrodku holu, widoczny już od wejścia, siedział Scott z drinkiem w ręce. Ubrany był podobnie jak ja. Cofnąłem się gwałtownie na ulicę i wpadłem na podkomisarza Kępińskiego.

- Wybiera się pan gdzieś o tej porze?

- Chciał się pan ze mną widzieć o tej porze? - odparowałem. Nie miałem ochoty na rozmowę z komisarzem.

- Jest pan trudno uchwytny. Ciągłe pan wyjeżdża.

- Ale zawsze wracam. Naprawdę musimy rozmawiać teraz?

- Woli pan wezwanie do komendy? - zapytał z półśmiechem.

- Chodźmy do baru. - Z rezygnacją prowadziłem go do wejścia przez restaurację.

- Widzę, że nie chce pan spotkać kogoś, kto jest w holu - skomentował Kępiński.

Nie odpowiedziałem. Nie jego sprawa.

- Czyżby dzisiaj pan też pracował? Odwieźli pana z ambasady.

- Miałem spotkanie. Służbowe.

Przeszliśmy do zatłoczonego baru. Dyskretna z założenia muzyka, zmieszana z gwarem amatorów drinków, tworzyła hałas. W półmroku rozejrzałem się za miejscami. W najciemniejszym i najodleglejszym od baru kącie dostrzegłem wciśnięty między dwie kanapy dwuosobowy stolik. Wskazałem go Kępińskiemu, kierując się do baru po napoje. Zamówiłem dwa wermuty i colę. Postanowiłem naprawić swój błąd i skończyć z uprzejmościami. Z tacą podszedłem do zajętego przez komisarza stolika. W milczeniu ustawiłem szklanki na stole, usiadłem, odłożyłem tacę na kanapę obok siebie i pociągnąłem łyk wermutu, obserwując uważnie nieproszonego gościa.

- Słucham - mruknąłem niezyczliwie.

- Czego pan słucha? - Kępiński bez oporu sięgnął po kieliszek z wermutem.

- Słucham pana - powtórzyłem.

- To raczej ja będę słuchał. Mam kilka pytań. Dzisiejsze popołudnie spędził pan na Starym Mieście. Podobało się panu?

- Przyszedł pan tu służbowo prawie o północy, żeby zapytać, czy podobało mi się Stare Miasto?

- Przyszedłem służbowo, ale to pytanie jest prywatne. Z ciekawości - odpowiedział spokojnie, zapalając papierosa.

- Podobało się. To wszystko?

- Co pan robił wczoraj? Powiedzmy od wyjścia z hotelu?

- Jestem o coś podejrzany? Bo jeżeli nie, to nie mam zamiaru odpowiadać. A jeżeli tak, to proszę o przedstawienie zarzutów.

- Dowiedziałem się, zupełnie przypadkiem, że brał pan udział w kolacji, która zakończyła się strzelaniną. To chyba zrozumiałe zainteresowanie. W pańskim mieszkaniu też ktoś strzelał.

- Jeśli się nie mylę, to do powszechnej wiadomości podano, kto i dlaczego był celem zamachu. Mój udział był całkowicie przypadkowy.

- Bajeczki o zamachu na polityków pozostawmy dziennikarzom - powiedział Kępiński, pociągając następny łyk wermutu.

- W sekrecie panu powiem, że była tam jeszcze jedna grupa. - Postanowiłem popisać się niedyskrecją. - Tutejsi gangsterzy. Ulotnili się zaraz po strzelaninie.

- I uważa pan, że napastnicy strzelali do nich?

Przyglądał mi się z zainteresowaniem znad brzegu kieliszka.

- W końcu te dwa trupy należały do nich.

Kępiński w zadumie pokiwał głową.

- Mamy świadków, którzy twierdzą, że zostali zabici na samym początku. Potem wmieszał się ktoś, kto skutecznie strzelał do napastników.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Ci świadkowie twierdzą, że to pan strzelał.

Spokojnie odstawił kieliszek na blat stolika, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Jestem o coś oskarżony?

- Na razie to tylko podejrzenia. Na marginesie: zna pan tych gangsterów?

- Nie znam. Szefem był okazały brunet z łysinką - odpowiedziałem, zastanawiając się gorączkowo, kto mógł poinformować policję o faktycznym przebiegu wydarzeń.

Komisarz przyglądał mi się uważnie, w milczeniu wydmuchując dym.

Piłem drobnymi łykami, odwzajemniając mu uważne spojrzenie znad kieliszka. Milczenie trwało kilka minut.

Postanowiłem to zakończyć. Miałem jeszcze przed sobą podróż do Lublina. Prawdopodobnie również rozmowę ze Scottem. Szkoda czasu.

- Czy to wszystko? Mogę iść spać?

- Ustaliliśmy, że pan tam był. Pańska obecność na miejscu zbrodni czyni pana świadkiem. Co najmniej - podsumował spokojnie komisarz.

- Nikt tego nie potwierdzi - przypomniałem sobie o obietnicy Jurka.

- Już mówiłem, że mamy świadków.

- Ciekaw jestem, czy bardziej wiarygodni będą pańscy świadkowie, czy ci, których znam.

- Gdyby doszło do procesu, pewnie ma pan rację. Żeby jednak doszło do procesu, musimy kogoś oskarżyć - poinformował Kępiński.

- Kogo więc szukacie? Tych, co napadli, czy tych, co się bronili?

- I jednych, i drugich. W świetle polskiego prawa obie strony popełniły przestępstwo.

- Z obrońców macie dwa trupy. Pańskim zdaniem popełnili przestępstwo, broniąc się? Nie rozumiem tego. Zagrożenie było oczywiste. Bronili swojego życia. Zabili napastnika. Moim zdaniem jedynymi przestępcami są ci, którzy napadli.

- U nas sąd ocenia, czy obrona była uzasadniona. Przynajmniej takiego zdania jest prokurator. Dlatego szukamy jednych i drugich.

- To jakaś bzdura. Na pewno macie zeznania wszystkich obecnych, potwierdzające, że strzelanina zaczęła się bez powodu i był to ewidentny napad. Kule były prawdziwe i skuteczne.

- Rzeczywiście mamy zeznania, tylko że nie wszystkich obecnych, a ci, którzy przyznają się do obecności, plotą bzdury.

- To już nie moja sprawa. Pańskim zadaniem jest rozwiązanie tego problemu.

- Załóżmy - komisarz obracał w palcach kieliszek, uważnie obserwując własne ręce - że poproszę pana o prywatną opinię o tej strzelaninie. Uważa pan, że to był napad na polityków?

- Prywatnie uważam, że to nie był napad na nich. Po pierwsze, mogli ich dopaść gdziekolwiek i bez żon. Po drugie, faktycznie nikt do nich nie strzelał, nawet w ich kierunku. To pan stwierdzi po śladach kul. Po trzecie, niech pan odpyta właściciela, jak to było z oświetleniem sali w czasie strzelaniny. Przypuszczam, tylko przypuszczam, że stół, przy którym siedzieli, był cały czas oświetlony i zza okna można było ich wszystkich wystrzelać jak kaczki. To o czymś świadczy. - Podniosłem się i skierowałem do holu, mając nikłą nadzieję, że Scott zrezygnował ze spotkania ze mną.

- Więc uważa pan, że chodziło jednak o naszych gangsterów, a raczej o ich szefa? - zapytał, również podnosząc się z kanapy i podążając za mną.

- Wszystko na to wskazuje - warknąłem, otwierając drzwi prowadzące do hotelu i ignorując uparcie towarzyszącego mi Kępińskiego. - Wiecie, kim byli napastnicy? - Odwróciłem się do komisarza, wyciągając rękę po klucz do pokoju.

- Ma pan gościa. Czeka na pana już ponad godzinę - wtrącił recepcjonista, wskazując na widocznego z profilu Scotta, siedzącego nieruchomo w centrum holu.

- Wiemy. Nie udzielamy jednak informacji o tajemnicach śledztwa - usłyszałem w odpowiedzi.

Poniedziałek - dzień czternasty

W pierwszej chwili zamierzałem wykorzystać nieuwagę Scotta i zrobiłem już dwa kroki w kierunku schodów, gdy zatrzymał mnie skupiony wzrok Kępińskiego. Nie powinienem dawać mu żadnych nowych informacji do przemyśleń. Zawróciłem w kierunku siedzącego teraz do mnie tyłem Scotta. Kępiński uparcie podążał za mną.

Nie chciałem, żeby towarzyszył mi przy rozmowie. Od fotela zajmowanego przez nielojalnego agenta Firmy dzieliły mnie dwa kroki. Odwróciłem się do komisarza.

- Myślę, że tutaj powinien mnie pan pożegnać. To prywatna znajomość i prywatna rozmowa. Nie dotyczy pańskich zainteresowań.

- Trudno. Będziemy się jeszcze spotykać. Dobranoc panu - z grzecznym ukłonem powiedział Kępiński i odszedł trzy kroki w kierunku recepcji, gdzie przystanął i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

Obszedłem Scotta zdumiony jego nieruchomością - musiał przecież słyszeć rozmowę z recepcjonistą i komisarzem. Siedział dalej bez ruchu, szklanym wzrokiem patrząc w kąt pomieszczenia. Prawą rękę trzymał na brzegu stołu obok szklanki z drinkiem, lewa, ułożona poprzecznie, zasłaniała pierś, dlatego nie od razu spostrzegłem wystającą rękę. Scott był martwy.

Rzuciłem okiem w kierunku Kępińskiego. Stał w tym samym miejscu, gdzie widziałem go przed chwilą, i przypalał papierosa. Przez moment chciałem usiąść obok Scotta i udawać, że z nim rozmawiam. Nie mogłem jednak sobie na to pozwolić. Odkryją morderstwo i wyjdzie na to, że byłem ostatnim rozmówcą denata.

- Panie Kępiński - powiedziałem półgłosem, odwracając się w kierunku komisarza.

- Słucham? - Uniesieniem brwi zademonstrował zdziwienie.

- Jest praca akurat dla pana - wskazałem ręką na martwego Scotta.

Podszedł szybko i stanął obok mnie, uważnie patrząc na siedzącego. Przez chwilę badał go wzrokiem, po czym głośnym sapnięciem zasygnalizował, że zobaczył to samo co ja.

- Muszę zadzwonić. Proszę tu zostać i niczego nie dotykać - polecił. - I nic nikomu nie mówić - dodał, zmierzając pośpiesznie do recepcji.

- Proponuję skorzystać z automatu przy wejściu - rzuciłem za nim.

Kępiński zmienił kierunek, kiwnąwszy mi aprobowująco głową.

Usiadłem jednak na sąsiednim fotelu. Mój zamiar natychmiastowego wyjazdu do Lublina okazał się niewykonalny.

Ekipa śledcza z lekarzem na czele pojawiła się po kwadransie. Spędziliśmy go z Kępińskim, siedząc na sąsiednich fotelach. Pewnie sprawialiśmy wrażenie zajętych dyskusją, choć faktycznie każdy z nas był pogrążony we własnych myślach. Może z wyjątkiem Scotta. Moje były niewesołe. Zlikwidowali Scotta, biorąc go za mnie lub też dlatego, że mógł ich zdradzić. Ewentualnie były to porachunki z kimś, kogo nie znam i o kim nic nie wiem. Ta trzecia możliwość była mało prawdopodobna. Przypomniałem sobie, że Jussuf w czasie wystawy mówił, że „tamten zna hasło”. A więc kontaktował się już ze Scottem i brakowało mu do identyfikacji tylko kawałka plastiku. Był jednak sojusznikiem, rozmowy toczyły się w dobrym dla nich kierunku. Tylko Jussuf widział nas razem i jeżeli zapamiętał to zdarzenie, mógł nas rozróżnić. Nawet dla personelu hotelowego byliśmy na tyle do siebie podobni, że mogliśmy się tu zastępować. Nie powinien tu przychodzić, złamał wszelkie zasady. Przyczyna, dla której się tu pojawił, musiała być zatem ważna. Z niesmakiem przypomniałem sobie, że cofając się w drzwiach na widok Scotta, skląłem go za głupotę. Rzeczywiście trudno mnie było złapać, a na kontakt przez Waltera nie miał co liczyć. Scott najpewniej zginął zamiast mnie.

Ruszyłem do tego samego automatu co Kępiński. Nie bronił mi tego, ale mi towarzyszył. Zadzwoiłem do Waltera do domu i powiedziałem, co się stało. Nie zadawał żadnych pytań. Powiedział, że zaraz przyjedzie do hotelu.

Policjanci działali szybko i skutecznie, czemu sprzyjała nocna pora. O śmierci gościa personel dowiedział się dopiero w chwili pojawienia się ekipy śledczej.

Kierownik nocnej zmiany natychmiast zamknął przejście do baru i restauracji. Od tej chwili spóźnieni goście hotelowi mogli wchodzić tylko głównym wejściem, dyskretnie strzeżonym przez policjanta w cywilu.

Zastanowiło mnie, że Scott siedział w holu sam. Podzieliłem się tą informacją z komisarzem, dodając, że gdy poprzednio wracałem w nocy do hotelu, zwykle było tu kilku barowych gości.

- Wiem o tym - sucho odpowiedział Kępiński.

- Czyżby jednym z nich był pański człowiek? Zdjął pan obserwację?

W odpowiedzi doczekałem się enigmatycznego skinięcia głową.

Bez oporu i z własnej woli podzieliłem się z nim swoją mizerną wiedzą na temat Scotta, przypominając, że widział go osobiście na wystawie w pałacu.

Gdy położyli nieboszczyka na noszach, rękojeść noża była widoczna w całej okazałości. Obejrzałem ją. Nóż typu Rambo. Od pierwszego filmu o tym zwariowanym i

nierzeczywistym komandosie na całym świecie pojawiły się duplikaty jego noża. Rękojeść z matowego tworzywa, z jednej strony ostrze, z drugiej ząbkowanie wzdłuż niewielkiego rowka. Tą obserwacją też podzieliłem się z Kępińskim.

W drzwiach pojawił się Walter. Przedstawiłem mu Kępińskiego i dodałem, że teraz idę spać, a w ambasadzie pojawię się po ósmej. Nikt nie protestował. Kępiński swoje badawcze spojrzenie przeniósł na Waltera, zapraszając go do jednego ze stolików.

Poszedłem do swojego pokoju. Barykadę przy drzwiach ustawiałem starannie, tak jak pierwszej nocy. Co prawda mogłem liczyć na kilka godzin spokoju, ale wolałem nie ryzykować. Zamówiłem telefonicznie budzenie na siódmą. W wywietrzonym i wysprzątanym pokoju nie pozostało nawet wspomnienie zapachu Babs. Położyłem się, ale nie spałem dobrze. Budziłem się wielokrotnie i nadsluchiwałem w panującej ciszy. Pistolet pod poduszką, który odruchowo ścisnąłem przy każdym obudzeniu, nie pomagał i nie uspokajał.

Schematyzm postępowania ofiary jest największym sprzymierzeńcem zamachowca, dlatego śniadanie postanowiłem zjeść nie w hotelu, ale w pobliskim Mariotcie, zabierając ze sobą jedną walizkę na podróż do Lublina. Postanowiłem też wyprowadzić się dyskretnie, pozostawiając w hotelu depozyt. Załatwię to telefonicznie. Niech Walter zapłaci rachunek i zabierze drugą walizkę. Może mi nawet wynająć pokój w innym hotelu, choć niekoniecznie tam zamieszkać. Po śniadaniu okrężną drogą poszedłem na parking. Bliskość dworca kolejowego uzasadniała moje spacerowanie z walizką.

Gdy pojawiłem się w ambasadzie, Babs jeszcze nie było w sekretariacie. Walter, przejęty śmiercią Scotta, z ulgą przyjął moją sugestię, że to robota Mohammeda Alego. Takie wyjaśnienie umożliwiło mu dalszą pracę bez prowadzenia dodatkowego dochodzenia. Bez protestów zaakceptował też moje żądanie dodatkowego sprzętu. Trochę trucizn w różnych gadżetach, strzykawki, kilka dawek skopolaminy na wypadek spotkania z wyjątkowo opornym informatorem, no i walizeczka akcesoriów ułatwiających zmianę wyglądu.

Jego wątpliwości, iż rozpoczęcie polowania na Mohammeda Alego może skomplikować moje stosunki z Czeczenami rozwiązałem, zapewniając, że to działanie na własny rachunek. Nie upierał się, abym to szerzej uzasadnił. Przy mnie zadzwonił do hotelu, przekazał dyspozycje dotyczące rachunku, pozostawionej przeze mnie walizki i depozytu oraz informację dla Jussufa. Wyzaczyłem mu spotkanie na dziesiątą rano w środę w hotelu. Zaraz potem dyskretnie opuściliśmy pokój Waltera bezpośrednim wyjściem.

Słyszałem krzątającą się już w sekretariacie Babs, ale żaden z nas nie sugerował nawet, że trzeba ją poinformować o minionych wydarzeniach i mojej obecności. Była wystarczająco dobrze wyszkolona, żeby nie otwierać bez zezwolenia drzwi gabinetu.

Walter odebrał od techników zamówione przeze mnie przedmioty i wręczył mi je na korytarzu. Wychodząc, poprosiłem go jeszcze o przygotowanie dla mnie paszportu dyplomatycznego. Zainteresowanie komisarza Kępińskiego moją osobą mogło mi utrudnić życie. Musiałem zabezpieczyć sobie powrót do kraju. Uzgodniliśmy kontakt rano i wieczorem, ale poza tym znikalem i nikt, nawet Walter, nie powinien znać miejsca mojego pobytu. Oczywiście musiałem pojawić się u dziadka w Lublinie i to był kontakt awaryjny.

W skwarze i wszechobecnym smrodzie spalin wyruszałem z Warszawy. Tym razem postanowiłem zatrzymać się w Świdniku. Stamtąd zadzwonię do lubelskiego hotelu i zrezygnuję z rezerwacji, zapowiadając przyjazd po depozyt. Baza w Lublinie była mi jednak potrzebna i musiałem znaleźć inny hotel, choćby na krótko.

Świdnik znałem ze szkoleń. Produkowali tam najlepsze w Europie helikoptery. Dla całego świętej pamięci Układu Warszawskiego. U nas byli tacy, którzy twierdzili, że to helikoptery lepsze od naszych, amerykańskich.

Jazda była uciążliwa głównie ze względu na kolumny wlokących się wąską drogą ciężarówek. Każde wzniesienie, pokonywane na coraz niższym biegu, zmuszało je do sięgnięcia po najostatniejsze zasoby mocy i za każdym razem tuż przed szczytem nieuchronnie następował moment, w którym resztki steranych życiem mechanicznych sił pracujących uparcie do przodu walczyły z siłą ciężkości ściągającą wielotonowy ciężar w dół. Ciężarówki wychodziły z tej próby zwycięsko, ale przez całą drogę nie odstępowała mnie wizja toczącego się do tyłu, wprost na mnie, kolosa. Życie jednak oszczędziło mi tego rodzaju rozrywek i w końcu cały i zdrowy wylądowałem w jedynym hotelu Świdnika.

Stwierdzenie, że był to hotel podrzędny, byłoby komplementem. Względnie czysty pokój z wytartą wykładziną nazywał się tu apartamentem, choć jedyny luksus polegał na dysponowaniu własną łazienką. Żadnego telewizora czy radia, żadnych telefonów. Łączność satelitarną, pokoje konferencyjne i sejfy pozostawiłem na planecie, która wydawała się tym odleglejsza, im dłużej przebywałem w wynajętym „apartamencie”. Musiałem się jednak wykapać w niedokładnie wysprzątaną po poprzednikach łazience, co zrobiłem niechętnie, i przygotować na niespodzianki, co wykonałem z zapalem.

Poza pistoletem przy kostce i nożem na przedramieniu wyposażylem się w dwa długopisy, z których jeden uzbroiłem ładunkiem specyfiku powodującego kilkugodzinną utratę przytomności, a drugi zapewniającym definitywne opuszczenie tego padolu. W eleganckiej i nieprzezroczystej etui firmy Parker włożyłem strzykawkę ze skopolaminą i dodatkową ampulkę. W prawej kieszeni zmieścił się pojemnik z gazem obezwładniającym. Pewien kłopot sprawiły mi zapasowe magazynki. Włożone do kieszeni spodni mocno ją wypychały i

dodatkowo mnie obciążały. W końcu postanowiłem zabrać je w teczce z resztą wydanych mi przez Waltera różności. W hotelu i tak nie mogłem zostawić niczego poza ubraniami. Prymitywny zamek dałoby się otworzyć kawałkiem drutu. Błędem okazało się zamówienie u recepcjonistki herbaty, nad którą zamierzałem dokonać pamięciowego przeglądu znanych mi „żołnierzy” Mohammeda Alego. Płyn żółtego koloru z aluminiową łyżeczką do wymieszania leżącego na dnie szklanki cukru, który przyniosła mi opasła babina, kłapiąca wiekowymi kapciami, mógł być herbatą tylko z nazwy.

Złudzeniem okazało się też przypuszczenie, że będę mógł porozumieć się stąd z Lublinem. Jedyne telefon znajdował się w recepcji. Recepcjonistka, ozdobiona fryzurą z bladożółtych włosów skręconych w drobne loczki, godziła się na korzystanie przeze mnie z telefonu tylko w taki sposób, że sama wykręci numer i po połączeniu wyda mi słuchawkę. Tego nie mogłem zaakceptować.

Postanowiłem poszukać ulubionego napoju na zewnątrz. Niczym nie ryzykowałem. Byłem tu po raz pierwszy i przesadą byłoby oczekiwać, że Czecheni dysponują wywiadem we wszystkich miasteczkach; tym bardziej trudno było spodziewać się mnie w tej nędznej imitacji hotelu.

Ulice nie były ruchliwe, nieliczni przechodnie snuli się od sklepu do sklepu. Nie były to jednak ulice puste. Pod bramami, w cieniu drzew, pod markizami sklepów stali w grupkach apatyczni mężczyźni. Z rzadka rzucali w przestrzeń słowo lub zdanie. Pozostawało na ogół bez odzewu, jak gdyby stojący obok nie słyszeli albo nie chcieli słyszeć. Tylko niektóre samochody wzbudzały nikłe zainteresowanie. Wiedli za nimi wzrokiem do chwili, gdy znikwały na skrzyżowaniu. Zadziwiająca apatia jak na mieszkańców miasta o tak potężnym potencjale ekonomicznym. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Skojarzyłem sobie jednak Radom i tę kiedyś potężną, a dziś zdychającą fabrykę broni. Niewątpliwie o fabrykę w Świdniku zatroszczyło się już jakieś lobby.

Wolno jechałem ulicami, starając się wybierać większe z nich w nadziei znalezienia przyzwoitego lokalu, w którym podadzą mi herbatę, a może nawet będę mógł zjeść lunch. W końcu dostrzegłem szyld restauracji nad drewnianymi drzwiami między dużymi oknami przesłoniętymi do połowy wysokości kolorowymi zasłonkami. Kolor był trudny do określenia z powodu pokrywającego szyby brudu.

Głodny i zrezygnowany, postanowiłem zaryzykować. Z teczką w ręku odważnie wkroczyłem do środka. Sala z prawej była barem cuchnącym piwem i nikotyną. Po lewej mieściła się restauracja. Wnętrze było czyste i zachęcało śnieżnobiałymi obrusami, choć szło się do nich po wytartej wykładzinie udającej parkiet. Byłem jedynym gościem.

Lekka woń potraw przygotowywanych w kuchni pobudziła mój apetyt. Przy stoliku pojawiła się kelnerka w czarnej bezpretensjonalnej sukience. W ręce trzymała notes i długopis. Zapytałem, co można zjeść. W odpowiedzi wyliczyła kilka dostępnych o tej porze potraw. Poleciała mi jedną z nich. Zamówiłem. Poprosiłem też o liptona.

- Nie mamy takiej herbaty. Mamy tylko firmową - usłyszałem w odpowiedzi.

- To znaczy jaką?

- Chodzi panu o nazwę? - indagowała zdumiona kelnerka.

- Tak. Chciałbym się napić herbaty marki Lipton. Jeżeli jej nie ma, proszę o nazwę, markę tej herbaty, którą pani ma.

- Ta herbata nie ma nazwy. Herbata to herbata.

- To niech pani przyniesie zamówione danie.

Razem z nią odszedłem od stolika. Parkując naprzeciwko, widziałem szyld sklepu spożywczego. Poszedłem tam kupić liptona. Do stolika wróciłem z żółtym pudełeczkiem. Kelnerka stała przy bufecie i obserwowała mnie ze zdziwieniem.

- Czekam na jedzenie - powiedziałem.

- Już idę. - Posłusznie ruszyła na zaplecze.

Jedzenie było smaczne i świeże, choć z podaną mi nazwą nie miało nic wspólnego. Po posiłku poprosiłem o zaparzenie w dzbanku przyniesionej przeze mnie herbaty. Wymagało to ode mnie znacznych umiejętności negocjacyjnych. Pierwszą przeszkodą okazał się dzbanek. Kelnerka nie wiedziała, czy restauracja posiada takie naczynie, ale wyprawiwszy się do kuchni, ustaliła, że tak. Kolejną wycieczkę odbyła, aby zamówić wrzątek. Jednakże przeszkodą nieomal nie do pokonania okazał się fakt, że w cenniku restauracji nie ma pozycji „wrzątek”, jest natomiast „herbata”, ale ja herbaty przecież nie chciałem. Ostatecznie udało mi się wynegocjować, że dostanę dzbanek wrzątku oraz torebki z firmową herbatą, a zaparzę sobie w tym dzbanku własne. Wtedy ona wstawi mi do rachunku herbatę, przeliczając, ile szklanek mieści się w dzbanku. Negocjacje były uciążliwe, ale również w jakimś sensie odświeżające. Zawitałem do świata, w którym wygoda konsumenta nie miała znaczenia; ważniejszy był zapis w karcie dań i zarządzenie zwierzchników.

Gdy kelnerka przyniosła wrzątek, natychmiast zaparzyłem herbatę i zapłaciłem rachunek. Drobnym napiwkami poparłem żądanie zabrania ze stolika trzech pustych szklanek, tyle bowiem otrzymałem wrzątku razem z czterema torebkami herbaty firmowej. Teraz mogłem się zastanowić nad kwestią ewentualnych napastników.

Mało prawdopodobne, by zaatakował mnie Arishan, Jussuf lub Gul. Natomiast wszyscy pozostali, których spotkałem, mogli należeć do wojowników Mohammeda Alego. Na pewno

byli też tacy, których nie znałem i nigdy nie spotkałem. Jeżeli Scott zginął przez pomyłkę, jego zabójca musi być jednym z nich. Kontakt z nimi mogłem nawiązać albo przez Jussufa, albo w motelu, w którym dokonali na mnie nieudanego napadu. Wątpię, by Mohammed Ali zrezygnował z tej metody zdobywania funduszy.

Z dziadkiem powinienem spotkać się dyskretnie i szybko załatwić wszystko, co leżało w moich możliwościach. Nie mogłem go narażać. Dopiero potem zajmę się Mohammedem Alim i jego żołnierzami.

Potrzebowałem drobnego kamuflażu. Jakiegoś charakterystycznego stroju, kojarzonego z tutejszą społecznością. Przyszło mi na myśl, że idealny byłby kolorowy dres. Najczęściej nosili go tutejsi biznesmeni w komplecie z adidasami i niepasującą kolorystycznie czapeczką. Strój był pospolity, często widywany na ulicach, a luźna kurtka dresowa zasłoni moje dodatkowe wyposażenie. Mogłem też trochę zmienić wzrost. Podwyższyć, kupując buty na odpowiednio grubej podeszwie, lub też obniżyć, nieco się garbiąc. Ostatecznie mogłem też zmienić kolor włosów. Moje brązowe oczy pasowały do każdego, a poza tym Walter wyposażył mnie w kilka par przyciemnionych okularów. Nie mogłem tylko zmienić samochodu. Pocieszyłem się jednak myślą, że oni pewnie liczą się z taką możliwością. Na wszelki wypadek postanowiłem parkować tak, by nie rzucał się w oczy.

Potrzebowałem samochodu, i to o określonych parametrach.

Od kelnerki dowiedziałem się, że najtaniej kupię dres i buty na tutejszym targowisku, mieszczącym się na starym rynku. Kilkanaście straganów, pełnych różnej odzieży i butów, przedzierały stanowiska handlowców, którzy rozłożyli swój towar bezpośrednio na bruku.

Kupiłem dwa dresy. Jeden czarny, ozdobiony kolorowymi pasami wzdłuż; drugi, znacznie bardziej kolorowy, ozdobiony był pasami poprzecznymi. Pierwszy miał wydłużyć sylwetkę, drugi zaś ją zaokrąglić. Dokupiłem do nich odpowiednie buty, jedne na grubej, dodającej mi kilka centymetrów podeszwie, drugie na zupełnie płaskiej. Miałem nadzieję, że w czarnym dresie i butach na grubej podeszwie będę wyglądał jak emerytowany koszykarz. Do tego stroju kupiłem też czapkę podobną do francuskiego kepi.

Gdy zakończyłem zakupy, okazało się, że jedyny urząd pocztowy został właśnie zamknięty i korzystać mogę z automatu telefonicznego działającego na kartę, której nie miałem.

Mój pobyt w Świdniku tracił sens. Wróciłem do hotelu, przebrałem się w czarny dres i wyruszyłem do Lublina. Zacznę od wizyty u dziadka.

Na miejsce dotarłem kilka minut po szóstej. Nic nie wskazywało, że w domu są mieszkańcy. Również warsztat był zamknięty. Dopiero po kilku dzwonekach wyszedł z domu

potężny mężczyzna z kaburą przy pasku. Powoli zbliżał się do furtki, pobrząkując kluczami. Poruszał się z gracją właściwą dzikim zwierzętom badającym nieznaną. Czujnie, ale bez napięcia.

- Kto pan? - zapytał z dziwnym akcentem.

Mój niepokój ulotnił się natychmiast. Zapomniałem, że Walter przysłał dwóch marines do ochrony i przez chwilę widok tego, obcego człowieka przeraził mnie. Wyjaśniłem mu po angielsku, kim jestem i dlaczego tu przyjechałem. Spokojnie mnie wysłuchał i zażądał jakiegoś dokumentu tożsamości. Dopiero gdy starannie obejrzał mój paszport, przystąpił do otwierania furtki. Bez cienia skruchy wyjaśnił, że drugi dzień jest sam. Kolega nie wrócił z wyprawy do Lublina.

Dziadek przywitał mnie radośnie, ale i z pewnym niepokojem. Obecność marines pozwoliła Markowi odespać we własnym domu zarwane noce. Gdy przyjechałem, dziadek właśnie po niego telefonował; byliśmy umówieni z adwokatem Bury, a nie chciał zostawiać babci samej w pustym domu. Osilek z piechoty morskiej nie odstępował go na krok i wybierał się do adwokatki razem z nami.

Musieliśmy poczekać na Marka.

Dziadek z gniewem powiadomił mnie, że bank zabrał przesłane ze Stanów na jego konto sto tysięcy dolarów.

- Rozumiesz, chciałem mieć pod ręką pieniądze na kaucję za Bolesława, tymczasem oni zabrali mi wszystko, a na domiar złego wypisali kwit, że większość kwoty zaliczają na poczet nieosiągniętych zysków z pożyczki. Jednym słowem, dalej jesteśmy im dłużni prawie dwieście tysięcy. Absolutna bezczelność! I oni reklamują się jako bank inwestycyjny! Mniejsza o pieniądze. To rozbój, ale dam sobie radę. Teraz chodzi o to, że nie mam na kaucję, a ten głupi bank zabierze mi wszystko, co tylko przyślą ze Stanów - tłumaczył wzburzony. - Dam ci czek. Pojedziesz i przywieziesz z Chicago gotówkę.

- Nie ma potrzeby. Mogę tutaj zamienić twój czek na pieniądze. - Dzięki gotówce od Mariana mogłem pozostawić mu każdą kwotę.

- To dobrze. Kamień spadł mi z serca. Nadal trzymają mój paszport i sam nie mogę wyjechać. - Sapnął ze złością. - Dziwnie jesteś ubrany - dodał z roztargnieniem. - Martwię się, co z tym drugim marines.

Obecny przy rozmowie piechociarz niewiele miał do powiedzenia. Kolega pojechał na krótko, miał wrócić wieczorem w sobotę. Chciał trochę pochodzić po Lublinie, może poderwać panienkę, może wypić piwo. Żadnych znajomych tu nie miał. Broń zostawił w domu. Zabrał natomiast samochód, którym tu przyjechali.

Musiałem zadzwonić do Waltera. To rzeczywiście było niepokojące. Chyba że odwołano ochronę, wtedy jednak do Warszawy powinni wrócić obaj.

Ochrona nie została odwołana. Walter również zaniepokoił się zniknięciem ochroniarza. Poza tym Jurek gwałtownie domagał się kontaktu ze mną. Pozostawił Walterowi numer komórkowego telefonu. Miałem dzwonić do niego natychmiast, postanowiłem jednak odłożyć to na później. Zadzwonię z miasta. Perypetie dziadków mogły spowodować podsłuch na ich numerze, a interes z Jurkiem należało utrzymać w tajemnicy.

Pojawił się Marek i objął ochronę domu. Wyjechaliśmy, nie budząc odpoczywającej na górze babci Alicji. Na hotelowy parking dotarliśmy bez problemów. Dziadek z ochroniarzem poszli prosto do adwokata Bury. Miałem ich dogonić, gdy tylko zadzwonię do Jurka. Skorzystałem z hotelowego automatu przy wejściu.

- Słuchaj, ścigam cię, bo mam pilną i ważną wiadomość - wykrzyknął Jurek, gdy tylko się przedstawiłem. - Z tej twojej fabryki dwóch dyrektorów jedzie do Niemiec sprzedawać broń. Mają tam umówione spotkanie z kupcami. Trzeba to jakoś zatrzymać!

- Kiedy jadą? - zapytałem.

- Spotkanie jest uzgodnione na najbliższy piątek. Przypuszczam, że wyjadą dzień wcześniej.

- Wiesz jak? Samochodem? I gdzie jest to spotkanie?

- Na razie nic więcej nie wiem. Będziesz mógł coś z tym zrobić?

Jurek najwyraźniej nie chciał pożegnać się z obiecanyimi milionami.

- Spróbuję. Ale musisz koniecznie dowiedzieć się, gdzie jest to spotkanie. Dokładnie w jakim mieście, w jakim miejscu i o której.

- Postaram się. Ale będę coś wiedział nie wcześniej niż w środę. Może być? - wyjąkał w popłochu.

- Nie możecie ich sami zatrzymać? - upewniałem się.

- Nie da rady. I tak mamy szczęście, że dowiedziałem się o tym. Zupełny przypadek. I wiesz, oni chcą nagrać kontrakt na dostawy przez kilka lat. Koniecznie trzeba to powstrzymać! Pamiętaj, że to ja cię uprzedziłem! Co teraz będzie z tym naszym interesem?

- Nie wiem. Będę do ciebie jeszcze dzwonił. Na razie - zakończyłem rozmowę.

Natychmiast powiadomiłem Waltera. Nie mój problem i nie ja go będę rozwiązywał. Liczy się jednak czas. Cokolwiek zrobią, muszą działać szybko. Walter kazał mi zadzwonić wieczorem. Może będzie już miał dyspozycje z Waszyngtonu.

Ruszyłem do Bury. W bramie przed zamkniętymi drzwiami kancelarii stał marines. Dziadek najwidoczniej był w środku. Nacisnąłem klamkę, drzwi jednak nie ustąpiły. Zdumiony

zapytałem ochroniarza, czy dziadek tam wszedł. Potwierdził. Zapukałem energicznie, ale w kancelarii panowała cisza. Nikt nie zbliżał się do drzwi, nikt ich nie otwierał. Przez chwilę zastanawiałem się, czy dziadek nie nawiązał bliższych i bardziej intymnych kontaktów z adwokatką, ale odrzuciłem tę hipotezę. Wiedział przecież, że przyjdę za nim. Nie był to dobry moment na romanse. Załomotałem - bez efektu.

Okno. W gabinecie było okno. Musiało wychodzić na podwórko kamienicy. Zajrzałem przez pierwsze za bramą i rzeczywiście - zobaczyłem gabinet mecenas Bury. Ona sama siedziała na fotelu tyłem do okna. Była związana. Dziadka w gabinecie nie dostrzegłem. Z całą pewnością dziadek takich dowcipów nie robił. Przymierzałem się już do wybicia szyby, gdy mój komandos chwycił mnie za rękę i pociągnął do najbliższej klatki schodowej.

Otworzył pierwsze drzwi - w perspektywie krótkiego korytarzyka zobaczyliśmy gabinet i związaną adwokatkę. Piechociarz wyprzedził mnie. Z odbezpieczonym pistoletem w rękę otwierał kolejno drzwi po obu stronach korytarzyka i szybko lustrował pomieszczenia. Z jednej strony była pusta kuchnia, z drugiej również pusta łazienka.

Odpiąłem nóż, zbliżając się do mecenas Bury. Znowu wyprzedził mnie ochroniarz, wpadając do pustej poczekalni. Ubezpieczał mnie i był sprawny. Dziadek jednak zniknął.

Przeciąłem więzy adwokatki, wodzącej przerażonym wzrokiem za uzbrojonym ochroniarzem. Brutalnie zerwałem taśmę, którą zaklejono jej usta. Nie było czasu na świadczenie sobie grzeczności.

- Gdzie dziadek?! - krzyknąłem.

- Zabrali go - przytomnie odpowiedziała Bury. - Boże, myślałam, że będę tu siedzieć do rana.

- Kto go zabrał i w ogóle co się stało?!

- Nie wiem! Nie wiem! Niech pan to schowa - zwróciła się do ochroniarza, który zignorował ją i z pistoletem w rękę wrócił pod drzwi, którymi weszliśmy.

- Spokojnie - uspokajałem i siebie, i ją. - Niech pani usiądzie i opowiada po kolei.

- Pański dziadek przyszedł, jak byliśmy umówieni. Kiedy tylko wszedł do gabinetu, z zaplecza wypadło trzech mężczyzn z pistoletami. Związali mnie, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Pańskiego dziadka zabrali - opowiadała, gwałtownie gestykulując. - Trzeba wezwać policję!

- Za chwilę. Niech się pani skupi. Jak oni wyglądali? Zna ich pani?

- Nie. Nie znam. Jeden miał rękę w gipsie. A w ogóle to nie byli Polacy. Wszyscy tacy śniadzi, jak Tatarzy albo Cyganie. Wszyscy bruneci, średniego wzrostu. Trzeba zawiadomić policję. - Sięgnęła po telefon.

- Jeszcze moment. - Przytrzymałem jej dłoń na słuchawce. - Prawą czy lewą rękę miał w gipsie?

- Zaraz... zaraz... - zastanawiała się - stał po mojej prawej, trochę z tyłu, źle go widziałem i tylko przez moment. To była prawa ręka! Jestem pewna.

- Tymi drzwiami wychodzi się na podwórko. W bramie na Sukienniczej stał ochroniarz. Tamtędy nie przeszli.

- Przez podwórka można dojść do Ciołkowskiego. To równoległa ulica. Dzwonię po policję - powiedziała stanowczo, podnosząc słuchawkę.

Schowałem nóż, którym bezwiednie bawiłem się w czasie rozmowy z adwokatką. Przytomna kobieta. Żadnej hysterii. Podeszedłem do ochroniarza.

- Jak się nazywasz?

- Starszego pana porwali? - odpowiedział mi pytaniem.

- Tak. Powiedz, jak się nazywasz i jak nazywał się ten zaginiony. I jak wyglądał.

- Ja jestem Harry Bosch. Ten, co zaginał, nazywał się Dino Rossi. Makaroniarz. Drobny, czarny, czarne oczy.

- Numery samochodu pamiętasz?

- Nie, ale mam dowód rejestracyjny. To był ford na numerach ambasady. Znaczący dyplomatycznych. - Podał mi kartę wozu.

Wróciłem do adwokatki. Poprosiłem o rozpoczęcie poszukiwań zaginionego z samochodem marines. Zapisałem jej na kartce nazwisko i powiedziałem, że my dwaj ruszamy za porywaczami. Z policją może porozmawiać sama. Nie miałem czasu na dalsze wyjaśnienia, a ona rozsądnie nie zatrzymywała nas. Zabrałem Harry'ego i wróciliśmy na hotelowy parking.

- Zawalileś sprawę i nie upilnowałeś mojego dziadka - zwróciłem się do Harry'ego, otwierając samochód. - Musimy go odbić.

- Tak jest.

Rzuciłem mu kluczyki.

Bez dyskusji zajął miejsce za kierownicą, gdy mocowałem się z fotelem pasażera, przesuając go maksymalnie do tyłu. Plan krystalizował się szybko.

- Jedziemy na Kielce. Będziesz na wabia - rozpocząłem.

Jedyny ślad, jaki miałem, prowadził do grupy dokonującej napadów. Musieliśmy ich znaleźć i to jeszcze dzisiaj. Harry miał być przynętą. Samotny facet w nowym samochodzie. Jeżeli zobaczymy ich pierwsi, zaatakujemy. Jeżeli oni podejną, będziemy się bronić. Musimy jednego uprowadzić i zmusić do mówienia. Polowanie rozpoczęte.

Uzgodniliśmy, że podjeżdżamy do każdego zajazdu po drodze, Harry wchodzi i obserwuje obecnych. Zostaje tylko tam, gdzie znajdzie grupę podobną do opisanej przeze mnie. Ja czekam w samochodzie. Jeśli Harry nie wróci, zamykam samochód drugą parą kluczyków i zaczajam się niedaleko, a w miarę możliwości próbuję obejrzeć gości w restauracji. Potrzebowaliśmy jeńca; dałem Harry'emu niebieski długopis z wkładem usypiającym. Dla siebie przygotowałem drugi. Marines był dobrze wyszkolony - nie zadawał pytań, choć długopis wytrącił go nieco z równowagi. Skręciliśmy na pusty parking pierwszego za Lublinem zajazdu.

- Jakaś kurtka by się przydała - odezwał się Harry po raz pierwszy od podjęcia pościgu.

- Kaburę mam na wierzchu.

Wyjąłem z leżącej na tylnym siedzeniu torby kurtkę od drugiego dresu. Ubrany w nią Harry był nie tylko widoczny z każdej odległości, ale wręcz rzucał się w oczy.

Byliśmy zbyt blisko miasta, by spotkać wojowników Mohammeda Alego, na wszelki jednak wypadek skuliłem się na podłodze, gdy Harry wysiadał.

Wrócił bardzo szybko.

- Pusto. Nikogo nie ma - zameldował.

Wróciliśmy na drogę. Skrupulatnie zwizytowaliśmy wszystkie zajazdy aż do Kielc. Bez skutku. Byłem w rozpacz. Jeżeli nie znajdę teraz bandytów Mohammeda Alego, pozostanie tylko środa. Jednak porwanie wodzusia po spotkaniu byłoby ryzykowne. Poza tym Arishan mówił, że wojownicy wracają do Czeczenii, a więc Mohammed Ali mógł nie pojawić się w środę. Musiałem, absolutnie musiałem znaleźć ich dzisiaj.

Ponownie przeanalizowałem okoliczności napadu na mnie. Strzelanina w Kielcach była późno. Może atakują tylko w ciemnościach? Postanowiłem, że spróbujemy na tej trasie jeszcze dwa razy. Potem możemy przenieść się na inną wiodącą ze wschodu. Z tego, co czytałem w polskich gazetach wynikało, że napady przytrafiały się przede wszystkim wracającym do domu Rosjanom, Białorusinom, Ukraińcom. Rabusie obstawiali drogi wiodące do granicy.

Wróciliśmy w kierunku Lublina. Harry sprawdzał kolejne zajazdy równie bezskutecznie jak poprzednio. Ostatni był w zasadzie już w granicach miasta. Otaczały go domki kempingowe usadowione na stromej nadrzecznej skarpie nad nieznaną mi nazwy rzeczką i niewielką plażą. Zajazd, zwrócony frontem do drogi i dużego parkingu, zasłaniał domki. Czekala nas pracowita noc, potrzebowaliśmy dużo sił. Postanowiłem, że zjemy tu kolację, a ja zadzwonię do babci Ali i adwokatki. Może nadeszły jakieś wiadomości.

Parking był pusty. Jedyne z boku budynku, pewnie przy służbowym wejściu, stały dwa zdezelowane samochody. Na pewno dojeżdżający personel.

Powiadomiłem Harry'ego, że jemy tu kolację, co przyjął bez komentarzy. Też widział, że parking jest pusty, i szansę na spotkanie tych, których szukam, są znikome.

Wysiedliśmy równocześnie. W tej sytuacji nie musiałem się ukrywać. Ramię w ramię zmierzaliśmy do restauracji.

Wbrew moim oczekiwaniom sala nie była pusta. Rozglądając się, zobaczyłem co najmniej cztery stoliki zajęte przez kilkusobowe towarzystwa. Bez porozumienia obaj ruszyliśmy do stojącego przy ścianie stolika niedaleko drzwi. Mogliśmy stamtąd bezpiecznie obserwować zarówno całą salę, jak bar i wejście, a nawet - przez szklane drzwi - część korytarza prowadzącego do recepcji. Byłem zadowolony z tej zgodności. Mieliśmy nauczycieli z tej samej szkoły.

- Nie ma żadnych samochodów. Jak oni wrócą do domu? - podzieliłem się z Harrym swoją ciekawością.

- Może tu mieszkają. Poza tym ze dwieście metrów stąd w kierunku miasta widziałem postój taksówek. Jak wypiją, to wracają taksówkami. Do Lublina niedaleko - odpowiedział, kolejny raz lustrując na stojąco salę.

Usiedliśmy ramię przy ramieniu, plecami do ściany.

- Najpierw zamówimy. Potem zadzwonię do dziadków - powiedziałem, wyczekująco spoglądając na stojącą przy barze kelnerkę.

Szczerze mówiąc, aż do chwili, gdy sięgnęła po podawane jej przez barmana menu, miałem wątpliwości, czy jest to kelnerka. Szczupła, długonoga, ozdobiona olśniewająco rudą grzywą włosów, prezentowała strój raczej plażowy, składający się z króciutkich turkusowych szortów z atłasu, ozdobionych miniaturką koronkowego fartuszka, i białego body bez rękawów. Gdy się odwróciła, zauważyłem niewielką kokardę z białej koronki wpiętą we włosy.

- To burdel - oznajmił Harry, patrząc na nią.

- Słucham?

- Po kelnerce poznaję, że to burdel. Zajazd i knajpa to przykrywka.

- Długo tu jesteś?

- W Polsce? Trzeci rok.

- Z doświadczenia to mówisz? - pytałem zaintrygowany.

W odpowiedzi pokiwał potwierdzająco głową i sięgnął po wykałaczkę.

- Widziałem już takie. Zawsze za miastem.

- Jeść dadzą?

- Dadzą, ale zaraz będziemy mieli towarzystwo.

Kelnerka niespiesznie zbliżała się do naszego stolika i świadoma naszych spojrzeń demonstrowała po drodze wszystkie swoje wdzięki. Kątem oka dostrzegłem ruch za szklaną taflą drzwi. Korytarzem w stronę restauracji szły dwie kobiety.

Otworzyły drzwi i na chwilę przystanąły w progu, obserwując salę.

- Cholera - usłyszałem Harry'ego. - Przyszło nasze towarzystwo.

Faktycznie. Nowo przybyłe zmierzały w naszym kierunku. Obie były szczupłe i kształtne, choć nogi niższej pozostawiały nieco do życzenia. Obie też ozdabiała obfitość lśniących brązowych włosów i zbyt ostry, choć perfekcyjnie wykonany makijaż.

- Ja to załatwię - powiedziałem, odbierając menu od kelnerki, która bez słowa zawróciła w kierunku baru. Uśmiechnięte dziewczyny siadały już przy naszym stoliku. - Chcemy tylko coś zjeść. Nie potrzebujemy towarzystwa - zwróciłem się do nich.

- Nu czto, my nie dobre? - powiedziała wyższa. - Tu mnogo dziewczek. Wybieraj.

To nie były Polki. Może nadzór nad nimi sprawowali Czeczeni?

- Dobrze. Zostańcie. Zapłacę. Ale interesuje nas tylko jedzenie. Może kilka pytań.

Niższa z kobiet nie zwracała uwagi na mnie ani na to, co mówiłem. Z profesjonalnym uśmiechem przechyliła się nad stolikiem, ukazując odsłonięte aż do sutek piersi i położyła rękę na udzie Harry'ego.

- Co jest, jak rany? - stęknął mój towarzysz, nie odrywając oczu od dekoltu.

- To nie Polki. Muszą mieć jakąś ochronę, mam nadzieję, że Czeczenów. A my szukamy Czeczenów. Ile kosztuje wasze towarzystwo? - zwróciłem się do uważnie nas obserwującej wyższej z kobiet.

- Dwiesti dolar.

- Za towarzystwo przy jedzeniu? Drogo - powiedziałem.

- Za tutaj i na góra, do pokojów.

- Słuchaj - zwróciłem się do Harry'ego - i przestań gapić się na te cycki. Ryzykuję. Płacę i pokazuję forszę na wabia. Jemy szybko. Liczę, że przyjdzie tu ktoś po moje pieniądze. Wtedy go złapiemy.

Wyjąłem z kieszeni pieniądze i powoli, demonstrując całej sali plik banknotów, odliczyłem dwieście dolarów w dwudziestkach.

- Czekajcie tu - poleciłem. - Idę do telefonu - poinformowałem Harry'ego; zabrałem mu menu i podszedłem do kelnerki. Oddałem oprawione w skórę karty dań i zamówiłem dwa befsztyki z frytkami i sałatkami oraz błyskawiczną dostawą, po czym skierowałem się do recepcji, gdzie wcześniej widziałem telefon.

Recepcjonista dał mi aparat telefoniczny niechętnie. Dopiero druga dziesiątka zielonych przekonała go, by odszedł jak najdalej od telefonu. Nie potrzebowałem świadków swoich rozmów, tym bardziej że przypomniałem sobie o konieczności kontaktu z Walterem. Przesunąłem aparat tak, by w czasie rozmów stać jak najbliżej drzwi do restauracji. Za plecami miałem ścianę z lustrem, przed sobą drzwi do zajazdu, sąsiadujące z szerokim oknem z widokiem na parking i schody do części hotelowej. Nawet jeżeli Harry nie widzi mnie, na pewno zobaczy każdego, kto do mnie podejdzie. Musiał mnie ubezpieczać.

Zadzwońiłem najpierw do domu Bolesława. Czuwający tam Marek powiedział, że nie ma żadnych nowych wiadomości. Nie powiedziałem mu o porwaniu dziadka. I tak nie mógł nic zrobić. W gabinecie adwokatki nikt nie odbierał. Zastanawiałem się przez moment, czy zadzwonić do niej do domu. W końcu doszedłem do wniosku, że może odpoczywa, a może nadal konferuje z policją. W obu wypadkach kontakt ze mną był niepożądany. Zadzwoniłem do Waltera.

- Słuchaj i milcz, dopóki nie skończę - mówiłem cicho, od czasu do czasu rzucając okiem na stojącego w odległym kącie recepcjonistę. - Porwano dziadka i wiem kto. Ścigam ich i na razie nie interesuje mnie ani twoja fabryka, ani wszystko inne. Stawię się na spotkanie w środę, chyba że uda mi się załatwić wszystko wcześniej. Wtedy się zgłoszę.

- Niewiarygodne! Potrzebujesz pomocy?! - wykrzyknął.

- Pomożesz, jeżeli nie będziesz przeszkadzał. Załatwiał wszystko sam. Zgłoszę się najpóźniej w środę. Masz już mój specjalny paszport? - Rozmawialiśmy co prawda po angielsku, ale lepiej, by i w tym języku treść nie była zbyt oczywista.

- Czeka! Dzwonił ten twój Jurek - wykrzyknął pośpiesznie Walter, czując, że chce zakończyć rozmowę.

- Kiedy?

- Jakiś kwadrans temu. Znowu prosił o telefon.

- Zajmę się nim później - warknąłem i odłożyłem słuchawkę.

Gdy otwierałem drzwi do restauracji, kelnerka niosła talerze w kierunku naszego stolika. Mijając ją, zażądałem jeszcze dwóch dużych butelek wody mineralnej i rachunku. Szybko. Na stoliku stała niezamówiona przeze mnie butelka szampana. Na szczęście dla moich finansów rosyjskiego.

- Jedz szybko - poleciłem Harry'emu, ignorując jego maślane spojrzenie skierowane na niższą z dziewczyn.

- Dlaczego?

- My tu musimy porozmawiać o interesach. Panie się przesiądą razem z szampanem - zadysponowałem, przenosząc butelkę i kieliszki do stolika przy drzwiach, odległego od nas co najmniej o dwa metry, co dziewczyny przyjęły bez protestów. Spokojnie usadowiły się na wyznaczonych miejscach. Oddalenie się przedmiotu pożądania otrzeźwiło Harry'ego.

- O co chodzi?

- Jedz szybko i słuchaj - powiedziałem półgłosem. - Czekamy na kogoś, kto najprawdopodobniej przyjdzie zabrać mi pieniądze. Możliwe, że będą czekać, aż pójdziemy na górę, ale się nie doczekają. W gorszej wersji muszę założyć, że przyjdzie tu ktoś, kto mnie zna. Wtedy mamy bardzo, ale to bardzo duże szansę na strzelaninę. Jeżeli to będzie jeden facet, chcę go żywego.

- A jeżeli nic się nie stanie?

- To wrócimy na trasę. Musimy coś zjeść, bo noc może obfitować w atrakcje. Jak zjemy i nikt nie przyjdzie, powiem dziewczynom, że ich nie chcemy i zaraz wyjeżdżamy. Odczekamy piętnaście minut. Potem jedziemy. Możliwe, że zaatakują na parkingu. Musisz być przygotowany na wszystko. Rozumiesz?

Harry jadł szybko i z pełnymi ustami tylko pokiwał głową. Ja też zabrałem się do jedzenia, chociaż była to ostatnia rzecz, na którą miałem ochotę. Stale patrzyłem w kierunku drzwi, co sprawiało wrażenie, jakbym obserwował dziewczyny. Rozmawiały, popijając szampana. Dobrze. Nie podsłuchują nas.

Wróciła kelnerka, której przy płaceniu rachunku ponownie zademonstrowałem garść polskich i amerykańskich banknotów.

- Musimy wyjechać. Niech pani powie dziewczynom, żeby wracały do siebie - poprosiłem, chcąc przyśpieszyć bieg wydarzeń.

Gdy kelnerka ruszyła w kierunku dziewcząt, za drzwiami zobaczyłem niewysokiego, śniadego mężczyznę podchodzącego z kluczami w ręku do recepcji.

- Uważaj. Za drzwiami jest ten, na którego czekamy. Obserwuj, czy pójdzie na górę. Widzisz schody? - powiedziałem do Harry'ego, zasłaniając twarz butelką wody mineralnej, co miało wyglądać tak, jak gdybym odczytywał umieszczone na niej napisy.

- Widzę. Sam początek, ale widzę.

- Ja go nie rozpoznaję, ale on mógł mnie widzieć. Nie spuszcza z niego wzroku ani na chwilę. - Sięgnąłem po niebieski długopis z ładunkiem gwarantującym utratę przytomności i umieściłem go razem z gazem w prawej kieszeni kurtki.

Kelnerka przekazała dziewczynom informację, ale ta niższa nie dawała za wygraną. Szła z uśmiechem w naszym kierunku, kusząco kołysząc biodrami. W ślad za nią, choć z wyraźnym ociąganiem, także wyższa z dziewczyn przeszła kilka kroków do naszego stolika.

- *Go on!* - warknął ostro Harry, nie patrząc na żadną z nich.

Warknięcie zatrzymało je obie. Stały przez chwilę zdezorientowane, po czym odwróciły się i wyszły z restauracji. Za drzwiami zatrzymał je przybyły mężczyzna. Niższa tłumaczyła coś, gwałtownie gestykulując. Wyglądało na to, że mężczyzna usiłuje nakłonić je do powrotu. Wyższa odmownie kręciła głową.

- Wstajemy, bo zaraz wrócą. Idziemy razem do WC - poleciłem. - Jest po prawej, zaraz za recepcją. Jak będziemy mieli szczęście, facet pójdzie za nami.

Harry podniósł się, co mężczyzna przy recepcji zauważył i machnął ręką do dziewczyn. Wykorzystały to i szybko ruszyły po schodach na górę. Powoli, żeby pozostawić im dość czasu, podchodziliśmy do drzwi. Mężczyzna stał przy recepcji. Spodziewał się pewnie, że pójdziemy w kierunku wyjścia - wówczas byłby za naszymi plecami. Ja jednak zaraz za drzwiami skręciłem w prawo, wprost na niego.

Musiał zbliżyć się do kontuaru - inaczej zderzyłby się ze mną - i zrobił to. Harry na moment zatrzymał się przy recepcji, co dało mi możliwość bezpiecznego pokonania kilku kroków, dzielących mnie od otwierających się do środka drzwi toalety. Pozostałem je otwarte dla Harry'ego i stanąłem za nimi. Postanowiłem użyć gazu. Specyfik w długopisie był dobry, ale wyłączał delikwenta na kilka godzin, a ja musiałem dostać informacje szybko.

- Co teraz? - spytał Harry, zamykając drzwi.

- Czekamy, aż tu wejdzie. Stań przy umywalce. Zobaczysz go w lustrze. Jeżeli to będzie on, odwróć się. Ja go uspię.

Ustawiłem się w miejscu, gdzie zasłaniało mnie skrzydło otwieranych drzwi.

Drzwi skrzypnęły. Spojrzałem na Harry'ego. Cicho pogwizdując, odkręcił kran. Wszedł nieznaną osobę i skierował się do kabin w głębi. Widziałem go w restauracji. Siedział w dużym towarzystwie w głębi sali. Nie zwrócił na nas uwagi, mnie w ogóle nie zauważył. Skupienie malujące się na jego twarzy wskazywało, że jest podпиты, ale zdaje sobie z tego sprawę i stara się uważnie wykonywać codzienne czynności, nie zataczać się i nie zagubić.

- Co z nim? - Harry wskazał przybysza ruchem głowy.

- To z restauracji. Jakby przeszkadzał, uspij go długopisem. Nie interesuje nas.

Czekaliśmy. Czas dłużył się niemiłosiernie. Każda minuta miała tysiąc, a nie sześćdziesiąt sekund. Liczyłem się z tym, że mężczyzna, na którego czekaliśmy, wejdzie tu tylko wtedy, gdy nasza nieobecność bardzo się przedłuży, ale wystawiał moją cierpliwość na

ciężką próbę. Gość z restauracji opuścił kabinę, a potem długo i nieporadnie mył ręce. Następnie walczył z papierowym ręcznikiem, usiłując oderwać go z rolki.

Wychodząc podniósł wzrok i niespodziewanie spojrzął mi nieprzytomnie w oczy. Zaskoczył go mój widok. Dopiero teraz mnie zobaczył. Mamrocząc przeprosiny, cofnął się do drzwi i gwałtownie wypadł na zewnątrz.

Najwyższy czas, by pojawił się ten, na którego czekaliśmy. Znudzony Harry oglądał w lustrze węgry na swoim nosie, gdy otworzyły się drzwi - w tym momencie znieruchomiał przed lustrem. Zanim odwrócił się ku mnie, sięgnąłem lewą ręką za drzwi, robiąc jednocześnie krok do przodu. Złapałem wchodzącego za gardło i prysnąłem gazem prosto w usta, popychając równocześnie prawym przedramieniem drzwi. Zamknęły się.

Mężczyzna zwiślał mi na ręce. Harry podskoczył, aby go podtrzymać. To był nasz człowiek.

- Co teraz?

- Pomóż mi posadzić go w kabinie - zażądałem. - Mamy dwie, może trzy minuty. Musisz wyjść na zewnątrz, na parking, i zorientować się, czy jest sam. Ten recepcjonista to ochroniarz. Zajmiesz się nim, jak wrócisz. Użyjesz długopisu. Niech sobie pośpi parę godzin. Przez ten czas nic nikomu nie powie.

Harry wyszedł. Słyszałem jego głos przy recepcji. Może o coś pytał, a może żądano od niego zapłaty za użycie toalety. Głos brzmiał spokojnie. Na razie nie było zagrożenia.

Przyglądałem się nieprzytomnemu mężczyźnie. Mógł być Czeczenem. Nie wiedziałem tego na pewno i zastanawiałem się teraz, co będzie, jeżeli należy do zupełnie innej grupy. Doszedłem jednak do wniosku, że musi coś wiedzieć o Mohammedzie Alim, nawet jeżeli nie jest Czeczenem.

Harry bezszelestnie otworzył drzwi.

- Załatwione. Jest problem. Machał tymi kluczykami, ale na parkingu nie ma żadnego samochodu. Co robimy?

- Zabieramy go na wycieczkę. Muszę mu zadać kilka pytań. Potem zobaczymy.

Podparliśmy bezwładne ciało z obu stron. Na wszelki wypadek poczęstowałem mężczyznę kolejną porcją gazu. Lepiej, by przez kilka najbliższych minut dalej pozostawał w nieświadomości.

Upchnęliśmy go na tylnym siedzeniu. Usiadłem obok. Harry za kierownicą.

- Gdzie jedziemy? - zapytał, skręcając z parkingu w kierunku Kielc.

- Potrzebujemy ciszy i spokoju. Najlepiej na jakąś polankę w lesie, ale nie za daleko.

Nie wiadomo, gdzie potem będziemy jechać.

Wzdłuż drogi z obu stron ciągnęły się lasy. Po kilkunastu minutach Harry skręcił w drogę prowadzącą według kierunkowskazu do odległej o dziesięć kilometrów miejscowości, a po chwili w drugą, niknącą w lesie.

Zatrzymaliśmy się na niewielkiej polance. Osłonięty daszkiem stół i otaczające go ławki wskazywały, że to miejsce na pikniki. Na skraju lasu, między drzewami, stał kosz, z którego śmieci przesywały się, tworząc wokół zwał. Uczęszczane miejsce. Postanowiłem, że tu zostaniemy. Słyszałem lub czytałem o zagrożeniu pożarowym i wolałem nie wchodzić w konflikt ze służbami leśnymi. Zapadał zmrok. Wysiadłem, pozostawiając Harry'emu wyciągnięcie z samochodu naszego wciąż nieprzytomnego pasażera.

Delikatny szum i ruch koron drzew wskazywał, że na górze jest wiatr. Tu jednak powietrze było nieruchome, rozpalone i przesycone aromatem sosnowych igieł. Wieczorny chłód jeszcze nie dotarł do lasu. Obszedłem polankę. Niedaleko stołu stała samotna brzoza. Jej biały pień był w zapadającym mroku dobrze widoczny.

- Obszukaj go i przywiąż do tego drzewa - wskazałem Harry'emu brzozę, otwierając bagażnik.

Wyjąłem z niego taśmę i latarkę. Nieprzytomny jeniec przelewał się nam przez ręce. Usadowiliśmy go w miarę wygodnie na ziemi, opierając plecami o pień i krępując taśmą ręce z tyłu brzozy. Portfel i inne drobiazgi pojmanego schowałem do kieszeni. Usiedliśmy przy stole pod daszkiem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, jak to się nazywa. Takie drewniane dachówki. Dziadek mi kiedyś mówił. Czekaliśmy, aż jeniec odzyska przytomność, a ja obsesyjnie zastanawiałem się, jak nazywają się te płaskie drewnienka. Harry od czasu do czasu oświetlał twarz naszego więźnia, ale ten nie odzyskiwał przytomności. Musiałem mu zaaplikować za dużo gazu. Gdyby nie to, że mnie poganiał czas, byłoby idealnie. Ocknie się w nieznanym miejscu, porwany nie wiadomo dlaczego i przez kogo. W ciemności. Pełna dezorientacja. Powinien mówić.

Czekaliśmy w ciemności, w milczeniu wsłuchując się w odgłosy lasu. Niespodziewanie od strony śmietnika zaczęły dochodzić jakieś szurgoty. Harry oświetlił śmietnisko. Metaliczny błysk oczu dużego zwierzęcia, niżej dwa umykające rude ciała i jakiś ruch tuż przy ziemi.

- Lisy?! - zdumiał się Harry. - Czy to duże to wilk?

- Lisy są tu na pewno. Wilki też, ale nie wiem, czy w tym śmietniku grzebałby wilk. Może raczej pies. Dziki pies.

- Nigdy nie widziałem wilka, ale dziadek mówił, że oświetlone mają właśnie taki odblask w oczach - powiedział z zachwytem.

- Na pewno są tu jeszcze dziki, sarny i jelenie, nie licząc zajęcy.

- W domu polowałem na króliki. To to samo.

- Niezupełnie, ale podobne. W Polsce są jeszcze niedźwiedzie, ale nie tutaj. W górach. I żubry.

- Co to są żubry? Można te niedźwiedzie zobaczyć? Można polować? - z zachłannym zainteresowaniem pytał Harry.

- Polować można. Trzeba mieć tylko zezwolenie. Powiedzą ci w ambasadzie. A żubry to są takie większe bizony. I żyją w lasach, nie na prerii.

- Dwa lata tu siedzę i nikt mi nie powiedział! - wykrzyknął z oburzeniem Harry.

Usłyszeliśmy znów szuranie. To nasz jeniec odzyskiwał przytomność i usiłował zmienić pozycję. Oświetlony zmrużył oczy i wyrzucił z siebie kilka słów w nieznanym mi języku. Były trochę podobne do gardłowych czeczeńskich warknięć. Cholera! Nie przyszło mi do głowy, że mogę nie móc się z nim porozumieć. Trudno. Próbuję.

- Jesteś związany. Nie szarp się - powiedziałem powoli po polsku.

- Kto ty? - zapytał szeptem.

Coś rozumie. Może nie będzie tak źle.

- Nieważne. Gdzie jest Mohammed Ali? - pytałem z ciemności, bezlitośnie świecąc mu w oczy.

- Nie wiem - odpowiedział twardo.

Wiedział, o kim mówię. Podałem latarkę Harry'emu i wyjąłem etui ze skopolaminą. Nie miałem czasu na targi. A na skopolaminę trzeba mieć dużo czasu. Delikwentowi rzuca się hasło i on plecie na ten temat. Bezlądnie. Nielogicznie i bez zachowania związków czasowych. Żeby to pozbierać do kupy, potrzebny jest specjalista albo czas. Normalnie takie bredzenie nagrywa się i potem, odtwarzając wielokrotnie, składa w logiczną całość. Nie miałem czasu na taką zabawę, ale nie miałem również czasu na targi.

Harry dotknął mojej ręki. Oddał mi latarkę, szepcząc:

- Teraz ja.

Chwyciłem latarkę, a on rozpląnął się w mroku. Po chwili usłyszałem szelest w okolicach śmietnika, a za moment zobaczyłem nikły płomień za brzozą.

Więzień przeraźliwie krzyknął. Wiedziałem, co się stało. Harry oparzył mu płomieniem rękę. Może tylko jedną. Płomień widziałem nadal, ale jeniec milczał.

- Będziesz mówił? - spytałem powoli.

- Tak! Mówię! - wrzasnął, z zapalem kiwając głową.

- Gdzie jest Mohammed Ali?

- *On mienia ubijot* * [On mnie zabije!]- zajączkał więzień.

Delikatny ruch płomienia i kolejny wrzask.

- Gdzie jest Mohammed Ali? - powtórzyłem pytanie.

- Był. On był w ten dom. Zajazd. Tam - wyrzucał z siebie jeniec.

- W tym zajeździe, gdzie ty i dziewczyny?

Z zapalem pokiwał głową.

- Na górze? Tam gdzie dziewczyny?

- *Niet. Małyj dom. Nad rieczkoj.** [Nie. Domek. Nad rzeczką.]

- Który domek?

- *Tretij riad. Wtoroj.** [Trzeci szereg. Drugi.]

- Stary człowiek. Czy był tam?

- Tak. Stary człowiek. *Drugoj małyj dom.** [Inny domek.]

Drugoj znaczy inny, więc dziadek tam był, tylko nie w tym samym domku co Mohammed Ali. *Wtoroj* to chyba jakaś liczba. Chciał nam powiedzieć, gdzie jest Mohammed Ali i gdzie jest dziadek. Niestety, zrozumiałem tylko, że obaj są w domkach nad rzeką w tym zajeździe, skąd go zabraliśmy. Nawet logiczne. Dlatego miał kluczyki, a na parkingu nie było samochodów. Pewnie zajazd miał własne garaże.

- Ilu was?

- Nie rozumie.

- Ilu ludzi jest z Mohammedem Alim?

- *Mnogo. Tiepier nie znaju skolko.* * [Dużo. Teraz nie wiem ilu.]

Podniosłem się i prysnąłem mu gazem w twarz. Niepotrzebny mi świadek przygotowań i rozmów.

Wy tłumaczyłem Harry'emu, co powiedział jeniec, samokrytycznie dodając, że powiedział więcej, niż mogłem zrozumieć.

- W każdym razie powiedział, że pański dziadek jest w tych domkach nad rzeką?

- Dokładnie powiedział, że jest tam stary człowiek. Ilu starych ludzi mogą jednak więzić? Zakładam, że tam jest.

- Trzeba było obejrzyć te domki za dnia - mruknął Harry.

- Jest jak jest. Mohammed Ali to taki czeczeński wódz na Polskę. Może mieć dużą obstawę. Najpierw ich trzeba zneutralizować. Po cichu.

- Niby jak?

- Dam ci jeszcze dwa długopisy z tym specjalnym ładunkiem. - Zawróciłem do bagażnika i przechowywanej tam walizeczki. - Daj ten swój - wyciągnąłem rękę po długopis Harry'ego.

Przygotowania nie trwały długo. Truciznę, zawartość jednego z moich długopisów, wypuściłem na ziemię, wszystkie napełniłem usypiającym specyfikiem, po czym trzy oddałem Harry'emu. Dla mnie zostały dwa zapasowe. Do paska przymocowałem dwa pojemniki na zapasowe magazynki i tłumik. Oddałem jeszcze Harry'emu zapasowy pojemnik z gazem i byliśmy gotowi. Widziałem, że Harry myśli nad czymś głęboko.

- Mówił pan, że to wojsko - zaczął. - Więc będą strażę i patrole...

- To takie niby wojsko. Wątpię, czy przeszli musztrę i szkolenia, ale patrole mogą być.

- Pomyślmy. Są nad rzeką. Z jednej strony mają miasto. Na pewno obstawili ten kierunek.

- O co ci chodzi? - spytałem.

- Zastanawiam się, jak ich bezpiecznie i po cichu podejść. Na pewno mają strażę od strony Lublina i od strony zajazdu. Tam są ludzie i każdy może zechcieć pójść na spacer nad rzekę. Muszą pilnować.

- Więc?

- Na pewno mocno pilnują od strony drogi i od strony Lublina. Uważam, że rzekę uznali za bezpieczną. Nawet jeżeli pływają po niej ludzie, to przecież nie nocą. Za dużo też ich nie może być. To zwraca uwagę.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Tak. To operacja wojskowa i ja jestem wojskowy. Zastanawiałem się, jak ja bym zabezpieczył ten teren i uważam, że jedyne słabe miejsce to rzeczka. Mamy jakąś mapę?

Miałem samochodową mapę Polski. Jedyna informacja, jaką udało mi się z niej wycisnąć, była taka, że rzeczka płynie na wschód. Jeżeli zaatakujemy od strony Kielc, będziemy szli z biegiem rzeki. Harry przyglądał się mapie znacznie dłużej niż ja. W końcu z westchnieniem schował ją do samochodu.

- Jedźmy już - powiedziałem niecierpliwie.

- Zaraz.

Harry podszedł do samochodu od strony kierowcy i położył na dachu rękę.

- Zrobimy to na moich warunkach. Ty jesteś agent, nie żołnierz. Pewnie jesteś dobry w swoich akcjach. Mówiłeś, że tu będziemy mieli przeciwko sobie małą armię. Wojsko. Lepsze czy gorsze, ale wojsko.

- Jedźmy - powtórzyłem niecierpliwie.

- Najpierw plan. Przysięgnij, że będziesz się go trzymał.

Zgrzytając zębami, zmobilizowałem resztki cierpliwości.

- Słucham.

- Możemy usiąść w samochodzie - powiedział Harry i spokojnie zajął miejsce za kierownicą.

Przesuwałem w pośpiechu fotel pasażera do przodu. Nie było już powodu, żebym siedział na podłodze. W ciemności szło mi niesporo, ale dało chwilę na opanowanie poganiającej mnie niecierpliwości.

- Uważam - podjął Harry, gdy usiadłem obok niego - że musimy zaatakować od strony wody. Nad rzeką na pewno są jakieś wsie. Prowadzą do nich drogi. Skręcimy w taką drogę. Potem poszukamy łódki, kajaka - czegoś, co pływa. Będziemy płynąć z prądem tak długo, jak się da. Trzeba wyjść na brzeg jakieś trzysta jardów przed domkami i zajazdem. I pierwsze zadanie, pamiętaj: unieszkodliwić pętających się między domkami strażników. Dopiero wówczas zajmiemy się mieszkańcami domków. Wszystko po cichu. Używasz długopisów, gazu, noża. Pistoletu tylko, gdy zaczną do nas strzelać. Dokładnie zapamiętaj! Do nas bezpośrednio. Nie wolno ci strzelać nawet wówczas, gdy oni będą strzelać obok, bo coś im się zwidziało. Odpowiadamy kulami tylko w przypadku bezpośredniego zagrożenia. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem - odpowiedziałem z sarkazmem.

- No to jedziemy.

Zapalił światła, nie poświęcając, podobnie jak ja, najmniejszej uwagi pojękującemu przy drzewie mężczyźnie.

Po kilku minutach byliśmy na głównej drodze. Harry prowadził wolno, uważnie rozglądając się na boki. W końcu dostrzeżliśmy po prawej stronie drogowskaz informujący, że do najbliższej miejscowości jest dwanaście kilometrów. Skręciliśmy. Droga po paru metrach zmieniła się w gruntowy trakt, składający się głównie z dziur. Milczeliśmy. Rozmowa w tych warunkach groziła odgryzieniem sobie języka.

Wtorek - dzień piętnasty

W końcu dojechaliśmy do wsi rozłożonej wzdłuż rzeki. Przejechaliśmy przez drewniany mostek na drugą stronę. Harry zaparkował na wysokim brzegu pod drzewem, niedaleko drogi. Powoli cichły psy, które zgodnym jazgotem powitały nasz przyjazd.

- Czy to na pewno ta rzeka? - zapytałem z powątpiewaniem. - Wąska jakaś.

- Może to jakiś dopływ. Będziemy się trzymali tamtego, lewego brzegu. Musimy trafić.
- No to ruszamy. - Otworzyłem drzwi.
- Jeszcze jedno. W razie gdybyśmy się zgubili. Gdzie możemy się spotkać? I co zrobić z twoim dziadkiem, jeżeli to ja na niego trafię? - spytał Harry.

- W Warszawie. W ambasadzie - odparłem, wyskakując.
- Twojego dziadka mam zawieźć do ambasady?
- Tak, nawet gdyby protestował. Zabiorę go do Stanów.
- A jak będzie protestował? I co z dokumentami?
- To go zwiążesz! Dokumenty załatwię.
- Pytam poważnie. Jakby ci dupę odstrzelili, co mam robić? - pytał półgłosem Harry, zamykając samochód.

Zastanawiałem się, nad słuchując szczekających psów. Ujadanie wzmogło się nieco, prawdopodobnie usłyszały trzask zamykanych drzwi samochodu. Teraz ponownie przycichało. Czulem zapach rzeki. Ostatecznie nasze tajemnice obowiązywały w zwykłych okolicznościach. Te były niezwykle.

- Zgłosisz się do Waltera Bronsona i powiesz, że ode mnie. To attache handlowy.
- Twój szef?
- Tutejszy szef. Nic więcej nie musisz wiedzieć. On wszystko załatwi.

Ruszyliśmy przez mostek na drugą stronę. Harry przystanął na nim na chwilę, patrząc wzdłuż rzeki. Była wąska, ale płynęła wartko i nie wyglądała na płytką.

Gdzeniegdzie gwiazdy odbijały się w wodzie. Po stronie wsi brzeg był płaski, ale z prawej stromo wznosiło się zbocze porośnięte lasem. Trochę dalej nad brzegiem ciągnęły się pastwiska. Skręciliśmy ku wodzie, ale Harry zatrzymał się nagle.

- Uwważaj, druty - syknął z wściekłością, wypłutując się z drutu kolczastego, luźno przymocowanego do drewnianego słupka.

Wyteżywszy wzrok, zobaczyłem dwa druty kolczaste, zwisające z nierównych drewnianych słupków.

- Co to? Zasieki? - spytałem.
- To na bydło. Wypasają na łąkach - odpowiedział ze złością. - Powinienem wiedzieć, ale zapomniałem. Uważaj, żebyś nie wdepnął w krowi placek.

Przeszedłem na drugą stronę ogrodu i poczekałem na Harry'ego, zastanawiając się, o co mu chodzi. Postanowiłem, że będę szedł za nim. Ostrożnie podchodził do brzegu rzeki. Wyszliśmy na piasek; pełno tu było śladów racic. Widocznie bydło korzystało w tym miejscu z

wodopoju. Harry poruszał się ostrożnie, uważnie oglądał ziemię, na której miał postawić stopę. Szliśmy wolno. Zbyt wolno.

- Szybciej - syknąłem.

Odwrócił się do mnie.

- Milcz! - wyszeptał chrapliwie. - Głos po wodzie niesie. Odzywasz się tylko wtedy, gdy musisz. I nie sycz. - Ponownie pokazał mi plecy.

Minęliśmy wbity metr od wody słupki ogrodzenia i weszliśmy na następne pastwisko. Brzeg wznosił się. Tylko przy granicy widniał kawałek piaszczystej plaży. Dalej brzeg porastały krzewy. Widoczna w świetle księżycy ścieżka prowadziła między dwa rozrośnięte krzaki. Harry gestem kazał mi pozostać, a sam ruszył ku rzece. Po chwili pojawił się przy mnie.

- Jest łódka, ale stara i bez wiosła - wionął mi w twarz. - Szukamy dalej.

Do zakrętu rzeki przeszliśmy jeszcze przez dwa pastwiska. Brzeg był dokładnie zarośnięty krzakami, żadnych ścieżek. Właściciele tych pastwisk widać nie mieli łodzi. Zaraz za zakrętem zobaczyliśmy w dole wydeptaną stopami szerszą plażę. Ślady prowadziły do płaskiego terenu, z rzadka porośniętego drzewami, otoczonego ogrodzeniem z nieokorowanych pni. Poczulem zapach ogniska. Harry padł na ziemię. Zrobiłem to samo i poczołgałem się za nim. Niespodziewanie trafiliśmy na szeroką przerwę w ogrodzeniu. Na placu coś było.

Namioty. Harry kazał mi zostać, a sam zniknął w ciemnościach. Ledwie znieruchomiałem, zaatakowały komary. Cichutkie brzęczenie zmniejszało napięcie, gdy siadały na odsłoniętej twarzy. Odganiałem je rękami, ale niewiele to pomagało. Czekałem co najmniej trzysta lat. Harry zmaterializował się nagle po drugiej stronie ogrodzenia.

- Zabierz to na piasek! Tam! - Pokazał mi, dokąd mam się cofnąć, wtykając równocześnie jakieś kołki.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że trzymam dwa składane wiosła.

Posłusznie ruszyłem z powrotem. Odwróciłem się jednak po paru krokach, słysząc za sobą ciężki oddech. To Harry schodził nad rzekę z białym kajakiem na grzbiecie. Podskoczyłem, żeby mu pomóc. Spuściliśmy kajak na wodę.

- Kajakarze. Jakiś obóz - wyszeptał.

Bez komentarzy zamontowałem wiosła i usadowiłem się z przodu. Harry usiadł za mną. Płynęliśmy. Wreszcie można się było szybciej poruszać. Poganiały mnie niecierpliwość i niepokój. Po paru minutach wpłynęliśmy w mgłę. Bagna. Niósł nas wartki nurt. Pomagaliśmy mu wiosłami. Cichy szum wody przerywał jedynie szmer kropeł wody spadających z naszych wiosła.

Rzeka zmieniła szerokość i teraz płynęła leniwie meandrami. Choć konsekwentnie trzymaliśmy się jej lewego brzegu, straciliśmy orientację. Chyba trzykrotnie źle skręciliśmy, nieomal lądując na brzegu. W końcu Harry nachylił się do mnie.

- Już niedaleko - szepnął. - Obserwuj brzeg. Może będzie jakaś przystań. Musi być plaża. Zatrzymamy się wcześniej.

Minęliśmy jeszcze dwa zakola. Nadal na obu brzegach żadnych śladów człowieka. Zarośla i lasy. Raptem szum wody się nasilił, nurt poniósł mocniej.

- Do brzegu! - nakazał Harry.

Gorączkowo walczyliśmy o przybicie do lewego brzegu. W końcu uchwyciłem zwisające nad wodą gałęzie. Byliśmy przy brzegu; przed sobą miałem jednak tylko płataninę korzeni. Grunt był wysoko. Prawie dwa metry nad wodą.

- Trzymaj mocno. Bardzo mocno - usłyszałem Harry'ego i zobaczyłem, że staje na kajaku.

Posłuszny dotąd kajak wrywał się spode mnie jak dzikie zwierzę. Z determinacją chwyciłem się drobnych gałązek, które rwały się jedna po drugiej. Nagle poczułem, że kajak zrobił się lżejszy. Harry wydostał się na brzeg.

- Podaj wiosło - usłyszałem z góry.

Przełożyłam do lewej ręki trzymane gałęzie, prawą po omacku wysunąłem w górę - wiosło odbiło się od twardego konaru.

- Patrz na mnie! Ślepy jesteś?!

Ostrożnie podniosłem głowę. Harry zwisał nad wodą, leżąc na grubszej gałęzi, nieco z tyłu za mną.

- Za korzenie! Łap grube korzenie! - ponaglał mnie z góry. Obejrzałem płataninę przed twarzą. Na uparte go można było powiedzieć, że kilka z nich jest grubszych. Najwyżej się wykapię. Odłożyłem wiosło, na ślepo sięgnąłem do tyłu, aż poczułem pod palcami grubsze korzenie. Złapałem i przyciągnąłem się bliżej brzegu. Tył kajaka wyszedł z nurtu. Już nie wrywał się i nie szamotał pode mną. Podałem Harry'emu wiosło.

- Wyjdiesz po wiosło. Pomóż sobie drugą ręką.

- A kajak?! - zaprotestowałem.

- Niech sobie płynie.

Mocniej chwyciłem wiosło, stanąłem na chyboczącym kajaku, sięgnąłem lewą ręką między gałęzie i wymacałem dwie grubsze. Wbiłem czubek buta między korzenie. Mozolnie wydostałem się na poziom Harry'ego.

Staliśmy na grubej warstwie połamanych gałęzi, ale pod nią był grunt. Gałązki wchodziły w oczy i usta, łaskotały po nosie i karku, szukały sobie miejsca w uszach. W takim gąszczu nie byłem nigdy, nawet w Amazonii. Trafiliśmy w siedlisko komarów. Atakowały bez przerwy szarą brzęczącą masą. Nawet oddychanie nosem groziło wciągnięciem do płuc komara. Oddychanie ustami byłoby chyba samobójstwem.

Ruszyłem za Harrym, walcząc z gałązkami i chmurami komarów. Cięły w wargi i powieki. Czułem ugryzienia na płatkach uszu. Gałęzie, odgarniane przez mojego towarzysza, złośliwie chlastały mnie po twarzy.

W końcu wydostaliśmy się z gąszczu i stanęliśmy na polnej drodze, przechodzącej w rozległy placyk przed przysadzistą budowlą na brzegu rzeki. Komary zniknęły.

Nagle od wody doleciał nas głośny huk, który przeszedł w serię głośnych, głuchych łomotów. Padliśmy na ziemię. Z otwartych drzwi budynku buchnęło światło. Jakiś mężczyzna wybiegł z nich i popędził w stronę rzeki. Usłyszeliśmy brzęk łańcucha, potem metaliczne pobrzękiwanie. Na chwilę szum wody przycichł. Potem rozległy się metaliczne odgłosy w odwrotnej kolejności. Mężczyzna wrócił bez pośpiechu. Zamykając drzwi, wrzasnął:

- Skurwysyny kajakarze!

- Co to było? - zapytałem oszołomiony.

- Nasz kajak - odparł Harry i dostrzegając, że nadal nie rozumiem, litościwie objął: - To młyn albo coś w tym rodzaju. W wodzie są koła z takimi łopatkami. Kajak dostał się pod nie. Stąd te huki. Jakbyś był w środku, teraz ryby miałyby więcej żarcia. Hamburger z Toniego - dokończył, podnosząc się z krzywym uśmiechem na opuchniętej twarzy.

Pustą przestrzeń pokonaliśmy skokami. Ku mojemu zdziwieniu za budynkiem wzdłuż rzeki biegła szeroka ścieżka. Jej widok najwyraźniej zmartwił Harry'ego.

- Cholera. Promenada - szepnął, gwałtownie stając.

- Jesteśmy już blisko - ponagliłem.

- Robimy to skokami. Wzajemne ubezpieczenie. Ja staję, ty idziesz. Po tej alejce mogą chodzić patrole. Słuchaj jak królik i stawaj na każdy szelest - polecił półgłosem, ujmując w prawą rękę nóż.

Sięgnąłem do kieszeni, sprawdzając, czy łatwo wyjmę gaz. Harry zniknął w mroku między krzewami. Uwolniłem z pochwy na przedramieniu nóż. Było cicho, tylko szum spadającej wody dobiegał z tyłu.

Ruszyłem. Dziesięć kroków. Cisza. Jeszcze dziesięć. Gałęzie nadbrzeżnych drzew zasłoniły światło księżyca. Wyczuwałem pustą przestrzeń przed sobą. Oczy odróżniały jaśniejsze od czarnego tła pnie drzew.

Posuwałem się powoli, przystając po każdym kroku, badając wszystkimi zmysłami ciemność przed sobą i kierując się tam, gdzie wskazywały pustkę. Po pięćdziesięciu krokach poczułem ciepło ludzkiego ciała po prawej stronie. Sięgnąłem tam lewą ręką, jednocześnie unosząc prawą, uzbrojoną w nóż.

- To ja - szepnął Harry, chwytając mnie za rękę. - Widzisz koniec?

Wyteńczywszy wzrok, dostrzegłem daleko z przodu jaśniejszą plamkę. Kiwnąłem głową, zapominając o otaczającej nas ciemności.

- Tam się spotkamy - powiedział Harry i puścił mnie. Zasłonił majaczącą w oddali plamę jasności. Czekałem, aż dojdzie na miejsce i znów ją zobaczę. Wtedy ruszę. Odpoczywałem. Przejście kilkudziesięciu kroków na wycucie w ciemnościach okazało się wyczerpujące. Nagle daleko przede mną zamigotało światło. Coś je na chwilę zasłoniło, potem odsłoniło. To Harry uskoczył w bok.

Ktoś szedł ścieżką, przyświecając sobie latarką.

Hałasował. Odwróciłem oczy w kierunku słyszalnej i wyczuwalnej rzeki. Musiałem znowu przyzwyczaić wzrok do ciemności. Rękami próbowałem poznać otoczenie. Przed sobą miałem drzewo. Niezbyt grube, ale musi wystarczyć. Pochyliłem się i dłonią sprawdziłem podłoże. Stałem na trawie. Pod drzewem leżało trochę suchych liści. Żadnych trzaskających gałązek. Zrobiłem krok w prawo. Otaczająca mnie ciemność zgęstniała. Z tej strony opuszczone gałęzie sięgały do ziemi, a nawet chyba aż do wody. Grunt pod stopami nieznacznie się osunął. Rzeka była bliżej, niż myślałem. Przykucnąłem, obejmując pień z boku, od strony, z której nadszedłem. Światło niespiesznie posuwało się w moim kierunku. Grunt powoli osuwał się dalej. Cichy plusk informował, że wyparta moimi stopami ziemia wpadła do wody. Przyłgnąłem do drzewa i zamarłem.

Ten ktoś przystanął na granicy światła i położył latarkę na ścieżce. Beztrąsko zapalał papierosa. Przez półprzymknięte powieki zobaczyłem kilkakrotny błysk zapalniczki. Był sam. Poczulem zapach marnego tytoniu. Strażnik.

Znowu usłyszałem plusk i grunt pode mną ponownie się obsunął, gwałtowniej niż poprzednio. Strażnik podniósł latarkę i zawrócił. Nie słyszał albo uznał to za pluśnięcie ryby. Równomiernym krokiem oddalał się ode mnie. Silniej objąłem pień i wyskoczyłem na ścieżkę. Padając, usłyszałem kolejny plusk.

Latarka przede mną oddalała się powoli. Jej odblask pozwalał widzieć ścieżkę. Posuwałem się za strażnikiem. Szybciej niż poprzednio, macając w ciemnościach. Latarka skręciła. Strażnik szedł w górę, w lewo. Kilkoma susami dopadłem końca nadbrzeżnej alejki.

Ostrożnie wyszedłem na oświetloną księżycem piaszczystą plażę. Nagle ktoś szarpnął mnie do tyłu. Harry.

Ukryci w cieniu krzaków badaliśmy otoczenie. Trawiasta ścieżka skręcała w lewo i stromo wspinała się w górę. Odsłonięty teren. Wysoko nad nami dostrzegłem trzy domki. W każdym zapalone światło na zwróconym ku rzece ganek. Dalej drzewa, między nimi światła. Niektóre nieruchome, inne ślizgały się po pniach i krzewach. Patrole.

Beznadziejna sytuacja. Pozostało nam do przebycia może pięćdziesiąt metrów, ale pod górę i w nieosłoniętym terenie. Co prawda od strony rzeki pilnowali słabo, ale pilnowali. Harry ponownie objął komendę.

- Brzegiem ścieżki - rzucił półgłosem. - Trzymamy się krzaków. Przy ziemi. Bardzo powoli. Durnie, sami się oślepiają. Mogą zobaczyć tylko ruch - zakończył z pogardą.

Nie podzielałem jego optymizmu. Moim zdaniem byliśmy widoczni i tylko ślepiec mógł nas nie dostrzec. Naśladowałem go jednak pilnie. Dokładnie badałem rękami ziemię, kolana przesuwając w miejsce rąk, powoli posuwając się do przodu. Nie widzieli nas! Przy każdym ruchu oczekiwałem alarmu. Cisza jednak trwała.

Niebo stawało się jakby bardziej szare, bladły gwiazdy. Nadchodził świt. My wciąż powoli przemieszczaliśmy się do przodu. Zaciskałem zęby. Poganiała mnie niecierpliwość i troska o dziadka. Przede mną był jednak Harry i to on dyktował tempo. Przemieszczał się do przodu jak rozleniwiony wąż. W końcu dobrnęliśmy jakoś do porośniętej rzadkim lasem płaszczyzny, na której stały domki. Widzieliśmy już ich drugi rząd. Między domkami dalej poruszały się światła. Na szczęście żadne z nich nie zmierzało w stronę rzeki. Nie wiem, co znaczy wtorej, ale drugiej może oznaczać środkowy domek. Jakkolwiek liczyć, środkowy domek był drugi z każdej strony. Pokazałem Harry'emu, że chcę podejść do środkowego domku. Ruszyliśmy w tamtą stronę, korzystając z osłony mizernych krzaków. Wszedłem na oświetlony ganek. Harry zniknął w mroku. W środku było ciemno. Sięgnąłem do klamki, zastanawiając się, jak otworzę drzwi, jeżeli okażą się zamknięte. Były otwarte.

Uchyliłem je na milimetry. Ze środka dobiegały spokojne oddechy dwóch śpiących osób. Pokazałem kryjącemu się w mroku za mną Harry'emu, że w środku są dwie osoby. Nie wszedł na ganek. Najwyraźniej uznał, że z dwiema osobami dam sobie radę. Nisko przy podłodze prześlizgnąłem się do wnętrza.

Ktoś spał na łóżku stojącym po przekątnej do drzwi. Drugie łóżko było puste, ale na środku pokoju, tyłem do wejścia, stał fotelik i na nim, w niewygodnej i grożącej upadkiem pozycji, spał mężczyzna. Z kolan zsuwał mu się pistolet maszynowy.

Musiałem unieruchomić go tak, by nie zbudzić tego drugiego. Skupiłem się na siedzącej postaci, leciutko rozprężając i ponownie napinając mięśnie. Kiedy poczułem, że to właściwy moment, prawym przedramieniem zacisnąłem gardło, lewą ręką przekręciłem głowę. Cholera! Kark siedzącego cichutko trzasnął. Mężczyzna zwiśł mi na rękach całym ciężarem. Nie miałem zamiaru go zabijać. Po prostu użyłem za dużo siły. W ostatniej chwili złapałem pistolet, który zsuwał mu się z kolan.

Podszedłem do łóżka. Dziadek spał spokojnie, z twarzą odwróconą od światła, od czasu do czasu cicho poświsując.

Ukląknę przy wezgłowi, tak by dziadek, otwierając oczy, zobaczył moją twarz. Jedną rękę położyłem, delikatnie na jego ustach, drugą zacząłem potrząsać za nagie ramię. Nie zauważyłem momentu, w którym otworzył oczy. Po prostu zobaczyłem, że wpatruje się we mnie z niedowierzaniem w oczach.

- Toni, to ty?! - wyszeptał.

- Ja. Wstawaj. Nie ma czasu.

Dziadek usiadł. Dalej patrzył na mnie z niedowierzaniem, ale prawą rękę wysunął poza łóżko, czegoś tam szukając. Lewą ręką ścisnął moje ramię.

Dostrzegłem w ciemności drugi fotel i jakieś rzeczy na nim. Ubranie dziadka.

- Ubieraj się, szybko. Nie ma czasu. Rozumiesz, że nie mogę zapalić światła?

Dziadek pokiwał głową, dodając szeptem:

- Nie mogę uwierzyć! Jak mnie znalazłeś?

- Nie ma czasu! - ponaglałem niecierpliwie. - Ubieraj się!

Trochę to trwało, ale starszy pan i tak jak na swój wiek i ostatnie przejścia okazał się bardzo sprawny. Nie marudził, ubierając się w ciemnościach. Nawet nie stękał przy zakładaniu butów. Stając za mną przy drzwiach, obrzucił spojrzeniem nieruchomą postać w fotelu, ale nie odezwał się.

- Skaczemy w krzaki po lewej. Potem zobaczymy - powiedziałem, łapiąc go za rękę.

Uchyliłem drzwi. Nikogo. Cicho wyszedłem na ganek, zamykając za nami drzwi. Dopiero teraz jednym susem pokonaliśmy schodki, drugim znaleźliśmy się za wątlą osłoną rzadkich tutaj krzewów. Pociągnąłem dziadka ku ziemi, równocześnie rozglądając się za przeciwnikami i Harrym. Niebo pojaśniało już od wschodu bardzo wyraźnie. Harry zmaterializował się przy nas bezszelestnie.

- W porządku. Idziemy krzakami. Trzeba tylko przeskoczyć alejkę przed nami. Chodzą po niej - tchnął do mnie.

Dziadek zachowywał się nadzwyczajnie. Nie zadawał żadnych pytań. Nawet nie sygnalizował, że poznał Harry'ego, któremu oddałem zdobyczny pistolet. On też nie pytał, skąd go mam. Ruszyliśmy przed siebie skokami. Pierwszy Harry, potem ja, nieco ciągnąc w pośpiechu dziadka. Byliśmy tuż przy ścieżce, gdy dziadek wydyszał:

- Muszę odpocząć.

Zła pora, najgorsze z możliwych miejsce. Każdy strażnik mógł nas oświetlić, przechodząc. Nie miałem jednak sumienia zmuszać dzielnego starszego pana do dalszego wysiłku bez odpoczynku. Tłumiąc niecierpliwość, czekaliśmy, wsłuchując się w jego świszczący oddech. Nieomal na wprost, po drugiej stronie ścieżki, ciemniała bryła jednego z domków. Ganek nie był oświetlony. Może wysiadła żarówka, a może przed tym domkiem nie zapalono światła. Strażnicy majaczyli na krańcach alejki. Nie poruszali się. Byłem zbyt zaabsorbowany dziadkiem, by sprawdzać, czy akurat oddają się swojemu tytoniowemu nałogowi. To było zadanie Harry'ego.

Dziadek przestał poświstywać. Był gotów do dalszej drogi i nawet zrobił krok do przodu, ale Harry zatrzymał go dłonią. Coś się działo. Po chwili dostrzegłem, że światła z obu krańców alejki zaczęły się do nas przybliżać. Znieruchomieliśmy. Nagle światło z prawej zaczęło poruszać się szybciej. Światło z lewej też przyspieszyło. Zbliżali się do nas. Harry odbezpieczył pistolet. Wyjąłem swój. Zamarliśmy.

Strażnik z prawej nadszedł szybciej i wyminął nas, oświetlając drugą stronę ścieżki. W lewej ręce niedbale trzymał pistolet maszynowy. Za nim szło czterech tak samo uzbrojonych mężczyzn. Nie rozglądali się. Nie przewidywali żadnych niespodzianek.

Wszyscy zatrzymali się kilkanaście kroków dalej, gdy dołączył do nich strażnik z lewej. Usłyszeliśmy kilka rzuconych rozkazującym tonem niezrozumiałych słów. Trzej mężczyźni ruszyli w kierunku domku i rzeki. Jeden zawrócił w lewo. W naszą stronę szło dwóch. Jeden niedbale oświetlał środek alejki, drugi wydawał z siebie krótkie warknięcia.

Spojrzałem do tyłu. Sądząc po światłach latarek, strażnicy zatrzymali się przy domku, z którego wyszliśmy. Donośny tupot świadczył, że jeden z nich wchodzi po drewnianych schodkach na ganek. Nie mieliśmy już na co czekać. Obie dwójki odwrócone były tyłem. Teraz. Przeskoczyliśmy alejkę i przywarliśmy do ściany.

W tym momencie rozświetliło się okno opuszczonego przez dziadka domku i rozległ się wrzask. Znaleźli martwego towarzysza albo stwierdzili nieobecność dziadka. Dwa kolejne światła zniknęły w środku. Cokolwiek było powodem pierwszego wrzasku, należało spodziewać się zaraz drugiego.

Rzeczywiście. Teraz wrzask podniosły co najmniej dwa głosy.

- Biegnijcie prosto. Parking. Motel. Nie czekaj - rozkazywał Harry.

Pociągnąłem dziadka i natychmiast się cofnąłem, waląc potylicą w jego zęby. On z kolei łomotnął głową o drewnianą ścianę.

Od parkingu dzieliła nas kolejna alejka i następny rząd domów. Stamtąd na przełaj biegło czterech strażników z latarkami. Ich światło w dzikich podskokach omiatało na przemian trawę i pnie drzew. Biegący patrzyli na oświetlony domek. Kiedy wpadli na przekroczoną przez nas alejkę, ruszyliśmy i my.

Biegliśmy pochyleni. Niezbyt szybko. Szukałem spojrzeniem kolejnych strażników. Powinni tkwić na brzegu lasu, na granicy z parkingiem. Za nami rozlegały się wrzaskliwe rozkazy.

Przywarowałem na skraju. Przed nami była już tylko jasna płaszczyzna wybrukowanego parkingu. Wydała mi się olbrzymia. Dalej ciemniała linia drogi. Nigdzie nie widziałem latarek.

Daleko, przed wejściem do restauracji, w pełnym świetle rtęciowych lamp, stały dwa samochody. Ostrożnie ruszyliśmy w prawo. Do budynku motelu, a raczej jego zaplecza. Żadnych latarek przed nami, żadnych szmerów. Mimo wszystko postanowiłem zachować ostrożność. Posuwaliśmy się skrajem parkingu cicho, niespiesznie. W końcu bez niespodzianek dotarliśmy do wielkich drzwi. Założyłem, że to garaż, i miałem rację. Nacisnąłem klamkę; drzwi ustąpiły. W środku panowała nieprzenikniona ciemność, ale byłem pewien, czułem, że jest tu samochód.

Wymacałem na górze i na dole zasuwę i odsunąłem je. Skrzydło drzwi ustąpiło do wnętrza. Dziadek przekroczył próg i wówczas daleko za nami wybuchła strzelanina.

Zaniechałem ostrożności. Za chwilę mógł się pojawić Harry, a w gorszej wersji pościg.

W panującym w głębi garażu półmroku połyskiwały karoserie dwóch samochodów. Jednym z nich był srebrny mercedes, drugim - czarna omega. Wybrałem mercedesa. Otworzyłem drzwi i ku swojemu zdumieniu zobaczyłem kluczyki tkwiące w stacyjce. Dziadek już siedział na miejscu pasażera.

Strzelanina w głębi lasu trwała. Zostawiłem w mercedesie otwarte drzwi kierowcy i z nożem w ręce ruszyłem do omegi. Po omacku wyjąłem ze stacyjki kluczyki, a potem, obchodząc samochód, przedziurawiłem trzy opony. Czwartą zostawiłem im na pocieszenie nieuszkodzoną. Usiadłem za kierownicą. Zanim zdążyłem zamknąć drzwi, kątem oka zobaczyłem w lusterku wślizgujący się do garażu cień. Z pistoletem w ręku wyskoczyłem z samochodu. Z mroku pod ścianą wyłonił się Harry z podniesionymi do góry rękami.

- To ja. Nie strzelaj - powiedział wyraźnie i spokojnie.

- Wsiadaj - rzuciłem, wracając za kierownicę.

Mercedes zapalił bez kłopotów. Po paru sekundach skręcałem na Kielce.

- Słyszeliśmy strzały. To ty? - zapytałem, upewniwszy się, że z parkingu przy motelu nie ruszył żaden samochód.

- Też. Zobaczyli jakiś cień, zaczęli strzelać. Trochę im pomogłem. Dalej już strzelali do siebie - odpowiedział, układając się wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Zginął ktoś? - zapytał dziadek.

- Chyba tak. Możliwe, że przypadkowy gość. Z tego domku, gdzie się rozstaliśmy. Wyskoczył na ganek, jak zaczęli strzelać w moim kierunku. Widziałem, jak pada. Nie sprawdzałem. Gdzie jedziesz?

- Po swój samochód. Przemyślałem wszystko. Zabieram forda i wracam do Lublina. Ty tą bryką wiesz dziadka do ambasady. Musicie ją potem skasować...

- To tu - przerwał mi Harry, wskazując drogę w kierunku rzeki. - Za nami nikogo. Skręcaj.

Przed nami na horyzoncie majaczyła jakaś ciężarówka. Rzuciłem okiem we wsteczne lusterko. Pusto. Skręciłem. W ciszy dojechaliśmy do mostku. Po drugiej stronie stał mój samochód. Wyglądał na nienaruszony.

Byliśmy względnie bezpieczni. Chyba nikt nas nie gonił. Nawet jeżeli, to trzeba by było wyjątkowego pecha, żeby wybrali z wielu bocznych dróg akurat tę.

Wszyscy trzej równocześnie wysiedliśmy z mercedesa. Było już jasno. Od strony domów dochodziły odgłosy porannej krzątania.

- Uważam, że należą mi się wyjaśnienia - stanowczo stwierdził dziadek, kolejno zaglądając nam w oczy.

- Co tu wyjaśniać? Porwali pana, bo nie dopilnowałem. Potem pana odbiliśmy. O czym tu gadać? - burknął Harry.

- A ty co powiesz? - zwrócił się dziadek do mnie.

- Co mam mówić?! Że twoje porwanie miało związek z tym, po co tu przyjechałem? Możesz się tego domyślić. Ja nie mogę tego powiedzieć. To wszystko. Musisz wracać do Stanów.

- Zaraz. Powiedzmy, że się zgodzę. A co z Bolesławem? Co z moimi pieniędzmi, które mi ukradł tutejszy bank? Mam to tak zostawić i uciekać?

- Teraz musimy się śpieszyć. Jedziesz z Harrym. Jak wrócę do Warszawy, pogadamy - rzuciłem, zmierzając w kierunku swojego samochodu.

Stałem przy fordzie. Harry siedział już za kierownicą mercedesa i grzebał w skrytce samochodu. Dziadek niezdecydowanym krokiem podchodził do drzwi pasażera.

- Do zobaczenia w ambasadzie! - krzyknąłem i pomachałem im na pożegnanie.

Dziadek wsiadł i Harry natychmiast ruszył, pozostawiając za sobą tuman kurzu.

Ruszyłem za nimi w ten kurz. Gdy dojechałem do asfaltowej drogi, mercedes był już tylko odległym srebrzystym błyskiem. Jechali bardzo szybko. Skręciłem w stronę Lublina.

Po drodze rozglądałem się za samochodami z wojownikami Mohammeda Alego. Nic takiego nie dostrzegłem. Jedynie na parkingu przy pamiętnym motelu stały dwa radiowozy policji. Jechałem do znanego już sobie hotelu. Muszę trochę pospać. Po południu zamelduję się u mecenasa Bury.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o odbiciu dziadka. Co teraz powinienem zrobić? Pozostała mi jeszcze do załatwienia sprawa kaucji Bolesława. Prawda, jeszcze ten zaginiony marines. Co się z nim u diabła stało?! Telefon do Jurka. Zadzwonię, jak się wyśpię. Teraz jestem do niczego. Im bliżej byłem hotelu i upragnionego odpoczynku, tym wolniej jechałem i tym wolniej płynęły myśli. Parkowałem, śpiąc z otwartymi oczami.

Recepcjonista w zdumieniu patrzył na mój strój. Zapomniałem, że występuję przebrany za miejscowego biznesmena, w dresie, i to na pewno poplamionym po nocnych przygodach. Przypomniałem mu swoje nazwisko i wyciągnąłem setkę. W zamian miał wszystkim przysięgać, że mnie nie widział. Wytłumaczyłem, że jestem zmęczony i chcę przespać w spokoju parę godzin. Nie dziwił się. Mój wygląd mówił za siebie. Powlokłem się do pokoju. Sił starczyło mi na zbudowanie pod drzwiami barykady, choć nie gwarantowałbym za jej skuteczność. W ubraniu padłem na łóżko. Obudziłem się o drugiej i to wcale nie dlatego, że byłem już wyspany. Obudziło mnie nieznośne gorąco. Dres grzał okrutnie. Zwłaszcza że słońce ciekawsko zaglądało do pokoju przez zamknięte okna. Ze wstrętem zrzuciłem z siebie przepocone i brudne ubranie. Otworzyłem okna i wskoczyłem pod prysznic. Z przyjemnością zmyłem z siebie brud i pot. Potem zaordynowałem sobie zimny natrysk. Byłem świeży, przytomny, gotów do działania. Byłem też głodny. Bardzo głodny! Włożyłem garnitur, ale zabrałem ze sobą nóż i pistolet. Oba długopisy wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, a gaz do kieszeni spodni.

Silny. Gotowy. Uzbrojony. Niebezpieczny. Tak się czułem.

Tym razem moje śniadanie w porze późnego lunchu było wyjątkowo obfite.

Jak zwykle po posiłku poczułem się nieco ociężały. Zamówiłem dużą kawę i zastanawiałem się przy niej, jak zorganizować resztę dnia. Postanowiłem zacząć od telefonów. Zależnie od tego, czego się dowiem, ułożę marszrutę. Bez pośpiechu skończyłem kawę i

godnym krokiem ruszyłem do automatu telefonicznego przy drzwiach hotelu, lustrując po drodze wszystkich obecnych w holu. Jussufa wśród nich nie było. Nie było również żadnych niewysokich, śniadych, ciemnowłosych mężczyzn. Byłem względnie bezpieczny.

Zacząłem od Waltera. Wiedział już o odbiciu dziadka i wszystkich wydarzeniach. Zapewnił mnie, że dziadek mieszka w ambasadzie i nie ma szans na jej opuszczenie. Biedny dziadek. Pewnie przydzielono mu do ochrony kilku marines i stale go pilnują. I biedny Harry. Walter maglował go wtedy, gdy ja spałem.

No, ale przynajmniej nie musiałem się już martwić o dziadka.

Następnie zadzwoniłem do babci Alicji. Podekscytowany Marek powiadomił mnie, że co prawda Bolesława jeszcze nie ma, ale telefonowała adwokatka, informując o jakimś zasadniczym zwrocie w sprawach obu dziadków. Wyznaczyła spotkanie na siódmą wieczorem. Obiecałem, że pójdę do Bury, a zaraz potem przyjadę do nich. Słyszałem, jak babcia Alicja wykrzykiwała coś o kolacji.

Teraz przyszła kolej na Jurka. Bezskutecznie grzebałem w kieszeniach w poszukiwaniu numeru jego telefonu komórkowego. Musiałem go zostawić w pokoju.

Telefnowałem na ten numer z tego właśnie miejsca. Nie wchodziłem wtedy do pokoju. Tyle że byłem w dresie.

Poszedłem więc do pokoju, ale nie znalazłem kartki z numerem Jurka. Nie było jej ani w dresie, ani nigdzie.

Ponownie zszedłem na parter do baru i postanowiłem zafundować sobie wermut. Staralem się przypomnieć, gdzie mogłem zostawić tę kartkę. Telefonowałem, a potem popędziłem do adwokatki w ślad za dziadkiem. Potem dziadek został porwany. Może więc w samochodzie. Jeżeli tam nie znajdę kartki, kłapa; zgubić ją mogłem wszędzie. Również wtedy, gdy płynąłem, gdy się czołgałem, pełzałem w domku, gdzie więzili dziadka.

Dopiłem drinka i pospieszyłem do samochodu. Nie znalazłem w nim kartki z numerem telefonu Jurka. Zginęła nie wiadomo gdzie. Szczytem pecha byłoby, gdyby wypadła mi w tym domku. Pamiętam, że zapisałem tylko numer. Bez imienia, bez nazwiska. Może był tam jeszcze jakiś bazgroł, ale na pewno żadnych danych.

Po numer mogę zadzwonić do Waltera. Co jednak będzie, jeśli znajdą tę kartkę w motelu? Wszystko zależy, gdzie i co poza tym policja znalazła. Nic mądrego nie wymyślę. Dzwonię do Waltera.

Pożądany numer otrzymałem bez kłopotów razem z wyrazami niezadowolenia.

Walter oczekiwał, że nie będę spał ani jadł i natychmiast po dotarciu do Lublina skontaktuję się z Jurkiem. Był niezadowolony, że trwa to tak długo.

Jurek odebrał po pierwszym sygnale.

- Czekam i czekam na ten telefon! Gdzie jesteś i co robisz?! - wykrzyknął, gdy tylko usłyszał mój głos.

- Jestem w Lublinie u rodziny.

- Słuchaj, nie mamy czasu! Do Niemiec jedzie dyrektor naczelny i handlowy. Tylko we dwóch. Lecą LOT-em. Już jutro! Do Hamburga. Nazwy hotelu nie znam, ale umówieni są z jakimiś Arabami. Nic więcej nie wiem, ale gdyby co, to powiadomię Waltera - wykrzykiwał w pośpiechu.

- Dobrze. Wszystko przekażę. Uspokój się i powiedz, skąd masz informacje.

- Wiesz, to nie jest pewne, że spotkanie będzie w piątek. Może być wcześniej. - Jurek w panice ignorował moje pytanie.

- Skąd masz te informacje? - powtórzyłem pytanie.

- Od sekretarki. Załatwiła rezerwację. Lojalny członek związku. To wszystko, co wie.

- Dlaczego nic nie podsłuchiwała? Przecież sekretarka może się dowiedzieć - nie ustępowałem.

- Ona dopiero wczoraj się dowiedziała, że to ważne. Nawet jeżeli coś przy niej wcześniej mówili, to nie skojarzyła - już spokojniej relacjonował Jurek. - Rozumiesz, mam swoich ludzi w różnych zakładach. Trzymam rękę na pulsie. Dzwoniłem do niej wczoraj, bo chciałem mieć najnowsze informacje. I wtedy ta krowa powiedziała mi, że wyjdą na prostą, bo dyrektor załatwił jakiś kontrakt. Interesowała się, bo wszyscy mówili, że kontrakt uratuje fabrykę. No i załatwiła bilety na samolot.

- Nic więcej nie wiesz?

- Nie. I nic już się nie dowiem. Co z naszą umową? Przecież należy mi się coś za informację - wykrzyknął.

- Jesteś pewien, że to spotkanie jest w Hamburgu?

- Nie wiem, gdzie jest spotkanie. Tylko tyle, że lecą do Hamburga. Powinienem za te informacje dostać moją część. Obiecałeś mi milion.

- Pamiętam, ale sytuacja uległa zmianie. Chyba to rozumiesz - hamowałem Jurka.

- Rozumiem, że dla reszty. Ale ja cię przecież zawiadomiłem. Należy mi się!

- Nie umawialiśmy się, że płacę za takie informacje.

- Ale to ja daję wam szansę! Beze mnie nic byś nie wiedział!

- Rozumiem i będę się targował w twoim imieniu. Ale decyzja nie zależy ode mnie. Muszę kończyć. Spotkamy się w Warszawie w środę lub czwartek.

Nowe informacje zmieniały sytuację. Coraz bardziej liczył się czas.

Natychmiast zawiadomiłem Waltera. W odpowiedzi tylko jęknął i polecił mi skontaktować się ze sobą o szóstej. Miałem trochę czasu na przemyślenia. Ale nie o Jurku. To nie moja działka. Nie interesuje mnie.

Wróciłem do baru, aby nad drugim wermutem zastanowić się, co powiem adwokat Bury na temat dziadka. Na pewno powiadomiła policję o jego porwaniu. Mogłem powiedzieć, że go odzyskaliśmy, albo pozostawić sprawę swojemu losowi. Ważne było, czy połączą porwanie ze zdarzeniami w motelu. Byli tam i na pewno coś znaleźli. Ludzie słyszeli strzały. Jeżeli powiem, że odzyskaliśmy dziadka, to muszę wyjaśnić, w jaki sposób i kiedy. I co miała Bury na myśli, kiedy mówiła o zasadniczym zwrocie w sprawach obu dziadków?

Jednak o tym, że wydarzenia w motelu łączą się z dziadkiem, wiedziałem tylko ja i Harry. Nawet Czeczeni nie mieli żadnych podstaw, aby to łączyć. Chyba że Mohammed Ali. On wiedział. Teraz mógł zaatakować rodzinę Bolesława.

Trzeba dyskretnie zasugerować policji udział Czeczenów w sprawie.

Moje rozmyślenia trwały dłużej, niż zakładałem. Dochodziła szósta, gdy ostatecznie podjąłem decyzję. Powiem adwokatce, że wspólnie z Harrym odbiliśmy dziadka. Późnym wieczorem, może nawet w nocy. Tropiliśmy ich, w końcu znaleźliśmy. Od nich wiemy, że wodzem jest Mohammed Ali. Dziadek jest w ambasadzie i wraca do Stanów. Jeszcze raz przeanalizowałem logikę opowieści. Trzymała się. Jedyne słabe punkty to sposób, w jaki trafiliśmy na ślad dziadka. No, ale w końcu przypadki też się zdarzają.

Nadchodził czas następnego kontaktu z Walterem. Uznałem, że zbyt często korzystałem z automatu telefonicznego w hotelu. Najwyższy czas to zmienić.

Samochodem ruszyłem na poszukiwanie poczty. Przez pół godziny bez skutku kręciłem się po mieście. W końcu na jakimś peryferyjnym osiedlu znalazłem niewielki urząd, którego pracownicy szykowali się już do wyjścia, chociaż do godziny zamknięcia pozostało więcej niż kwadrans.

- Miałeś dzwonić o szóstej, a nie przed siódmą - powitał mnie Walter.

- Jestem tak daleko od Warszawy i Hamburga, że kilka minut nie stanowi różnicy. Co w naszej sprawie?

- Nasi ludzie w Niemczech podejmą ich na lotnisku. Następnego dnia zostaną zatrzymani w hotelu.

- Dlaczego mnie to interesuje?

- Trzeba jeszcze jedną rzecz załatwić z tym twoim Jurkiem. Cokolwiek będzie się działo, Polacy muszą milczeć.

- On czeka na swój milion. Bez tego palcem nie ruszy. Bardzo się przywiązał do myśli, że jest dolarowym milionerem.

- W porządku. Możesz mu powiedzieć, że dostanie. Nawet weź od niego numer konta. Na zachętę dostanie połowę. Reszta po operacji.

- Dobrze. Przekażę. Jak dziadek?

- Zrób to jeszcze dzisiaj. Nie wiadomo, jak pójdzie. Nie chcę, żeby tutejsze władze podniosły wrzask.

- W porządku. Co z dziadkiem?

- Starszy pan czuje się świetnie. Właśnie uwodzi Babs. Ale do Stanów wracać nie chce.

- Przekonam go.

- Pamiętaj, że jutro o dziesiątej masz być w hotelu?

- Przyjadę na czas. Martw się o moją obstawę.

- Po spotkaniu zameldujesz się u mnie. Mamy wiele do omówienia - zakończył Walter bez pożegnania i odłożył słuchawkę.

Musiałem rozczarować pracowników poczty, zatrzymując ich do końca dnia pracy. Koniecznie musiałem porozumieć się jeszcze z Jurkiem. Entuzjastycznie przekazałem mu wiadomość o mamonie, stanowczo uzależniając jej wypłatę od milczenia polskich władz, bez względu na to, co się przytrafi obu dyrektorom. O szczegółach mieliśmy porozmawiać, gdy wrócę do Warszawy.

Miałem trudności z powrotem do śródmieścia. Objechałem je dwukrotnie i ciągle trafiałem albo na jednokierunkowe ulice i to właśnie w kierunku przeciwnym do zamierzonego, albo na drogi wylotowe z miasta. W końcu zniecierpliwiony pozostawiłem samochód w miejscu, z którego nieomal widziałem wejście do kancelarii i powędrowałem pieszo. Byłem spóźniony.

Mecenas Bury powitała mnie radosnym uśmiechem.

- Mam dobre wiadomości, choć wiążą się one - w tej chwili zniknął uśmiech, ale pozostały radosne błyski w oczach - z pewnymi smutnymi okolicznościami.

Odetchnąłem z ulgą. Może dowiem się czegoś od niej, zanim opowiem o naszych wyczynach. Na razie o nic nie pytała i najwyraźniej sama miała dużo do powiedzenia.

- Dzisiaj w nocy, a właściwie nad ranem - kontynuowała Bury - w motelu pod Lublinem znaleziono zwłoki naszej pani prokurator. Najważniejsze jest jednak to, że nie była sama! Obok niej leżał poszukiwany bandzior, jak słyszałam, Czeczeniec. W tym samym łóżku! - wykrzyknęła z grozą pomieszaną ze zgorzaniem. - Zaraz potem przyleciał tu jakiś facet z Warszawy. Helikopterem. Nie wiem, czy z Komendy Głównej, czy z UOP-u. Cały Lublin już

mówi, że namierzali ją od dawna i podejrzewali o związki z gangiem. Wszystkie prowadzone przez nią sprawy będą szczegółowo zbadane. Uważam, że teraz na pewno wypuszczą pańskiego dziadka nawet bez kaucji! - zakończyła triumfalnie.

- Wie pani, jak się nazywał ten Czeczeniec? - zapytałem, starannie ukrywając zainteresowanie.

- Mówili o nim Mohammed, Muhamad, tak jakoś. I Ali. Ali to chyba imię?

- A jak oni... umarli? - sondowałem ostrożnie.

- Tam była strzelanina. Zginęli w tej strzelaninie. Gangsterskie porachunki.

Lepiej, niż mogłem się spodziewać. Wręcz znakomicie. Ciekawe tylko, kto sypiał z panią prokurator. Chyba jakiś ślepo oddany sprawie muzułmanin. Adwokatka patrzyła na mnie z triumfem.

- Złapali kogoś? - zapytałem po chwili.

- Niestety. Wszyscy uciekli. Zostało tylko kilka trupów. Wszyscy zastrzeleni. Wie pan - powiedziała konfidencko, pochylając się ku mnie nad blatem biurka - zawsze uważałam tę prokurator Tarasewicz za glistę. I wyszło na moje.

- Ktoś musiał ją chronić. Niemożliwe, żeby takie przekręty robiła bez ochrony kogoś wyżej.

- Ma pan rację. Mówi się, że chronił ją jeden z prokuratorów wojewódzkich. Według plotek też był z nią związany przez łóżko. Na razie nikogo nie wskazali palcem, ale słyszałam dwa nazwiska. Może obaj?

- No, to ten kłopot mamy z głowy. Co pani powiedziała policji?

- Kiedy? W związku z czym? - pytała zdezorientowana.

- W związku z dziadkiem Andrzejem i napadem. Wczoraj. Tutaj.

- Przepraszam. Tak się zajęłam tą prokuratorowską aferą. Zupełnie wyszło mi z głowy. No właśnie. Co z panem Andrzejem? Znalazł go pan?

- Dziadek jest w ambasadzie. Co pani powiedziała policji o napadzie?

- Wszystko! Całą prawdę!

- To znaczy co? Wczoraj byłem tu tylko przez chwilę. Pamięta pani, że zamieniliśmy tylko kilka słów. Też chciałbym wiedzieć, jak to było.

- Pański dziadek wszedł sam. W poczekalni nikogo już nie było. - Adwokatka pocierała skronie palcami obu rąk. - Przywitaliśmy się. Specjalnie tak się umówiłam z panem Andrzejem, żebyśmy mieli więcej czasu. Wie pan o tym. Pan się spóźnił! - wykrzyknęła, przyglądając mi się szeroko otwartymi oczami, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

Pokiwałem uspokajająco głową.

- Tak, spóźniłem się - przyznałem ze skruchą. - Przepraszam. Ale własnego dziadka nie porywałem - zastrzegłem natychmiast.

- Właśnie. Tak mi się przez chwilę nasunęło. Ale gdyby się pan nie spóźnił, to oni by nie porwali pańskiego dziadka - dodała oskarżycielsko.

- Nie jestem pewien. Co było dalej? Proszę o wszystkie szczegóły, które pani pamięta!

- Pojawili się nagle. - Powróciła do poprzedniej pozycji, nadal pocierając palcami skronie. - Wyszli z tyłu. Musieli wejść przez podwórko. Pamiętam, że zobaczyłam ich nagle - mówiła z przymkniętymi oczami. - Jeden stał już przy drzwiach wejściowych do poczekalni, drugi z mojej prawej strony, trochę z tyłu. To ten, u którego widziałam opatrunek na rękę. Sądzę, że to gips. Widziałam go kątem oka i tylko przez chwilę. Trzeci stał tuż przy biurku z lewej strony i celował do nas z pistoletu. To znaczy do mnie i pańskiego dziadka. Musiałam chyba akurat szukać czegoś w aktach, bo pamiętam, że zobaczyłam ich właśnie w takiej sytuacji - wyjaśniała sobie i mnie wątpliwości, które się jej nagle nasunęły. - Potem ten przy drzwiach przekręcił klucz i zamknął je. Chyba równocześnie ci inni związali mnie. Musiał być jakiś czwarty - dodała odkrywczco. - Ale nie widziałem go. I nie słyszałam.

- W ogóle coś mówili? - zapytałem.

- Nie. Wszystko działo się błyskawicznie. W ciszy. Od razu zalepili mi usta. Ten pod drzwiami, w poczekalni, cały czas do nas mierzył. Pańskiego dziadka zabrał ten, który na początku stał przy biurku od lewej - mówiła powoli, skupiając wzrok na jakimś punkcie poza mną. - Wie pan, myślę, że plan działania mieli opracowany perfekcyjnie. W ogóle nikt nic nie mówił. Każdy wiedział, co ma robić. Ten z lewej podniósł siłą pańskiego dziadka z krzesła i prowadził go za skrzyżowane z tyłu ręce. Mówiłam już, że to nie byli Polacy?

- Tak, mówiła pani. Skąd to przekonanie?

- Wygląd. To na pewno. Ale... jak się teraz nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że coś słyszałam. Musieli już wychodzić, bo w polu widzenia miałam już tylko tego spod drzwi... Jakby rozkaz... W obcym języku... Może jedno zdanie. Dwa, trzy słowa... Tak, jestem pewna! Stąd moje przekonanie, że to nie byli Polacy!

- Co było dalej?

- Już nic. Czekałam. Byłam przekonana, że będę tu siedzieć do rana, aż uwolni mnie sprzątaczką. Przychodzi tu codziennie koło dziewiątej. Potem przyszedł pan.

- To wszystko? Nic więcej pani nie pamięta?

Bury na chwilę zamknęła oczy, najwyraźniej przypominając sobie minione zdarzenia.

- Nie. Nic więcej nie pamiętam - zapewniła, kręcąc głową.

- To wszystko oczywiście powiedziała pani policji?

- Oczywiście. Tylko że nikt mnie tak dokładnie nie pytał. Złożyłam zeznania do protokołu, że mnie napadnięto i że zabrano pańskiego dziadka. Podałam opis napastników. Tych dwóch, których widziałam dokładnie. Powiedzieli, że będą ich szukać - dodała z westchnieniem.

- Mówiła pani o tym zaginionym ochroniarzu?

- Tak, ale to odrębna sprawa. Zrobili notatkę. Będą chcieli pana przesłuchać. Tego drugiego, co był z panem, też. Zobowiązałam się, że pana zawiadomię.

- Po co? Przecież o napadzie nic nie wiem.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, chcą potwierdzenia, że taki napad w ogóle był. I porwanie. A w ogóle, to się cieszę, że pan Andrzej jest bezpieczny! Jak mu się udało?! Proszę go ode mnie pozdrowić. Ucałować! To była jakaś pomyłka? Dam panu adres tej komendy. Trzeba się zgłosić zaraz jutro, przed czternastą. - Zaczęła pisać na niewielkiej karteczce.

- Nie mogę zostać w Lublinie. Niech mnie szukają w ambasadzie. W ogóle wszyscy trzej będziemy uchwytني w ambasadzie. Oczywiście udzielimy wyjaśnień. Uważam, że dziadek nie jest tu bezpieczny. Chcę zabrać go do domu.

- Ale jak mu się udało umknąć? Przecież oni byli uzbrojeni! Musi mi pan powiedzieć, jak on to zrobił!

- Sam wiem niewiele. Z ambasady tylko miałem wiadomość, że dziadek tam jest, ale nie było jeszcze okazji porozmawiać - improwizowałem. - Dziadek broni się nie przestraszył. W czasie wojny był we francuskim ruchu oporu. Ma doświadczenia.

- Co za człowiek! - W oczach adwokatkę zabłysnął podziw. - Pan Andrzej musi mi o tym wszystkim opowiedzieć! Rozumiem pańską troskę. W sobotę pojedę do Warszawy. Muszę od niego samego usłyszeć, jak to zrobił. Nie wyjedzie chyba wcześniej?

To zainteresowanie nosiło wszelkie znamiona pozasłużbowego, a ofiarność, z jaką gotowa była poświęcić swoje wolne dni dziadkowi Andrzejowi wskazywała, że jego starania nie pozostały bez echa. Właściwie... w charakterze młodej babci prezentowała się bardzo dobrze. Tylko że wtedy dziadek na pewno zostanie w Lublinie. Rodzina się rozdzieli. Będziemy mieszkać nie tylko w dwóch różnych krajach, ale na dwóch różnych kontynentach. Z drugiej strony... dziadek tu się urodził, tutaj przeżył młodość i lata szczenięce, tutaj miał brata. Ten kraj był mu bliższy niż mnie czy nawet mojemu ojcu, który nigdy go przecież nie widział, chociaż uważał się za Polaka. No, ale to temat na później.

- Co ze sprawą Bolesława?

- No właśnie. Pamięta pan, że złożyłam zażalenie na areszt. Dowiedziałam się prywatnie, że będzie rozpatrywany jutro. Przez jednego z tych prokuratorów, których

podejrzewa się o te pozasłużbowe kontakty ze szczęśliwie zmarłą Tarasewiczową. Wiem, że ten facet z Warszawy rozmawiał z nim dzisiaj. Uważam, że w tej sytuacji zażalenie powinno chwycić. W najgorszym wypadku ustanowią kaucję. Po namyśle napisałam wniosek ewentualny. To znaczy o uchylenie aresztu ewentualnie zmianę środka zapobiegawczego na zabezpieczenie majątkowe, czyli kaucję. Na wszelki wypadek pójdę tam jutro rano, żeby porozmawiać z prokuratorem. Jak tylko wyda postanowienie, od razu je zabiorę. Muszę być z panem w kontakcie. Gdyby kaucja okazała się konieczna, to zwolnić pańskiego dziadka będzie można natychmiast, jak tylko dokonam wpłaty.

- O której będzie pani coś wiedziała?

- Pójdę do prokuratury na dziewiątą. Teoretycznie pracują od ósmej, ale prokuratorzy rzadko przychodzą wcześniej niż o dziewiątej. O dziesiątej, jedenastej powinnam już coś wiedzieć.

- Będzie trudno. Akurat o dziesiątej mam spotkanie w Warszawie. Jest pani pewna, że natychmiast po wpłacie zwolnią Bolesława?

- Taka jest praktyka. Jak dokonam wpłaty kaucji, idę z kwitem do prokuratury i od ręki wydają tam nakaz zwolnienia z aresztu. Z takim nakazem trzeba jechać do więzienia i natychmiast go zwolnią. Przecież odbierał pan już pana Andrzeja.

- Rozumiem. Czyli powinna pani mieć te pieniądze nie później niż o jedenastej. Uważa pani, że sto tysięcy dolarów wystarczy?

- Absolutnie. Uważam, że wystarczy nawet pięćdziesiąt. To na nasze warunki duża suma.

Nie miałem wyjścia. Musiałem się kimś posłużyć. Do wyboru miałem Harry'ego albo Marka. Ktoś jednak musiał pilnować domu i babci Alicji. Pozostawał więc tylko Harry.

- Dobrze. Przyślę z pieniędzmi tego człowieka, z którym tu byłem. Pamięta pani? Uwolniliśmy panią. To marines z ochrony ambasady. Pozna go pani?

- Chyba poznam. Widziałam go przez chwilę. W takich okolicznościach!

- Powoła się na mnie. Będzie tu, w kancelarii, o jedenastej. Przywiezie ze sobą sto tysięcy dolarów. Wymienicie na złotówki, ile potrzeba. On będzie miał samochód i może zabrać Bolesława do domu. Wie gdzie. Jakby miał wątpliwości, musi mu pani pomóc.

- Oczywiście. Pomogę.

Uświadomiłem sobie, że jest jeszcze jeden problem: Harry nie mówi po polsku.

- Zna pani angielski?

- Niestety. W szkole uczyłam się niemieckiego i trochę francuskiego na studiach. Mówię jeszcze po rosyjsku. Też uczyłam się w szkole. Angielskiego nie znam.

- Będzie potrzebny tłumacz. Znajdzie pani kogoś?
- Poszukam. Z urzędowym tłumaczem, tak z dnia na dzień, może być problem.
- No nie. Potrzebny jest ktoś, kto zna angielski. To nie musi być tłumacz z dyplomem.

Chodzi o to, żeby Harry zrozumiał, co i jak ma zrobić.

- Zastanowię się, kto mógłby pomóc.

- W porządku. Ja też będę szukał. Jak znajdę, zadzwonię jeszcze dzisiaj. Nawet jakbym nie dzwonił, Harry będzie tu jutro o jedenastej. Jeżeli zostanie coś z tych stu tysięcy, proszę sobie potrącić honorarium.

Zbliżała się dziewiąta wieczorem, a musiałem jeszcze pojechać do babci Alicji i wymeldować się ostatecznie z tutejszego hotelu. Musiałem też porozumieć się z Walterem, nakłonić go, żeby oddał na jutro do mojej dyspozycji Harry'ego z samochodem i jeszcze spotkać się z nim. Mało czasu. Pospieszenie pożegnałem mecenas Bury, obiecując, że wszystkie wątpliwości wyjaśnimy sobie przy najbliższej okazji. Musiałem się spieszyć.

W drodze do samochodu zastanawiałem się, czy najpierw wymeldować się z hotelu, czy też odwiedzić Bolka. Nie mogłem przewidzieć, jak wiele czasu spędzę z rodziną dziadka, postanowiłem więc zacząć od hotelu. Zabiorę wszystko, wymelduje się, zadzwonię do Waltera - układałem plan na najbliższe godziny.

Do samochodu trafiłem bez trudu i ku własnemu zdziwieniu tym razem skomplikowany układ jednokierunkowych ulic pokonałem bezbłędnie, stając na bocznej uliczce w sąsiedztwie hotelu po upływie kilku zaledwie minut. Na hotelowym parkingu nie było miejsc.

Zacząłem od telefonu do babci Alicji. Przekazałem dobre wieści od adwokatki wraz z informacją, że przyjadę za godzinę. Rozmawiałem z Markiem i przy okazji spytałem go, czy zna angielski. Niestety, z Harrym porozumiewał się na migi. Konieczne informacje w obie strony tłumaczył dziadek Andrzej. W tle słyszałem, że babcia Alicja okrzykami komentowała wypowiedzi Marka i moje informacje, które głośno powtarzał. Gdy przekazywałem mu informacje o kłopotach z tłumaczem dla Harry'ego, babcia kilkakrotnie wykrzyknęła „Barbara”. Marek przerwał rozmowę, by po chwili poinformować, że mają tłumacza. Barbara zna angielski, jest teraz w domu rodziców i będzie jutro czekała na Harry'ego. Kończąc rozmowę powiedział, że jak przyjadę, sam z nią mogę porozmawiać, czekają przecież na mnie.

Najmłodsza córka dziadka Bolesława, Barbara. To ta śliczna ciemnowłosa dziewczyna, którą po raz pierwszy zobaczyłem na rodzinnej kolacji tuż przed rewizją. Oczywiście, że chcę ją spotkać!

Walter okazał się zaskakująco ustępliwy. Dotychczas nawet moje służbowe prośby traktował w taki sposób, jakby wyświadczał mi osobistą przysługę i za każdym razem próbował

się targować. Tym razem prywatną przecież prośbę o oddanie do mojej dyspozycji Harry'ego zaakceptował bez komentarzy. zaproponował nawet, abym nocował w gościnnych pokojach ambasady, co usprawni nam wszystkim komunikację. Harry miał na mnie czekać, niezależnie od godziny mojego przyjazdu. Nawet żądanie, by dał mu służbowy samochód, nie wzbudziło żadnych oporów.

Zastanawiając się nad przyczyną nadzwyczajnej zgodności Waltera i zaakceptowania moich żądań nawet bez słowa komentarza, zmierzałem do recepcji po klucz. W zamyśleniu obserwowałem, jak recepcjonista, który choćby z racji wysokich napiwków powinien mnie pamiętać, gdy tylko podszedłem do kontuaru, zaczął wyczyniać dziwne sztuki. Najpierw wyjął mój klucz z przegródki i upuścił go na podłogę tak skutecznie, że dłuższą chwilę czołgał się w jego poszukiwaniu, po czym nieoczekiwanie nie tylko zapytał mnie o nazwisko, ale oznajmił, że mój pokój ma zupełnie inny numer. Na koniec długo sprawdzał w książce meldunkowej ten numer, wertując ją nieomal od początku roku. Przeczekałem spokojnie wszystkie te manewry. Dopiero gdy z kluczem w ręku odwróciłem się w kierunku schodów i zobaczyłem schodzącego z nich podkomisarza Kępińskiego, olśniło mnie. Przeszukiwali mój pokój.

Recepcjonista zapewniał im czas na jego opuszczenie. Dlatego mnie zatrzymał. Trudno. Na razie muszę się spakować. Może przy okazji uda mi się ustalić, co znaleźli. Zignorowałem podkomisarza, udając, że go nie dostrzegam.

Wchodziłem wolno po schodach, przypominając sobie, co zostawiłem w tym pokoju hotelowym. Na szczęście walizeczkę od Waltera z „pomocami technicznymi” wozilem w samochodzie. Broń też miałem przy sobie. I długopisy. Jeżeli służba hotelowa nie sprzątnęła pokoju, mieli jedynie wyrzucony przeze mnie dres. W hotelowym sejfie leżały tylko dokumenty obu dziadków związane z pożyczką i warsztatem. Stanowczo nic obciążającego nie mogli znaleźć.

No nie! W pokoju były tłumiki. W walizce. Nieużywane, ale były. Nie wiem, czy tutaj to legalne. Mogły jednak należeć do pistoletu, który legalnie posiadałem i został mi ukradziony. Kaliber nie pasuje. Będę robił za durnia. Sprzedano mi je z pistoletem. Na kalibrze mogę się nie znać. Ukradzionego pistoletu nie używałem. Noszenie pistoletu z tłumikiem jest ogromnie niewygodne. Mogłem nie sprawdzać, czy pasuje do pistoletu.

Samochód. Skoro przeszukali pokój, na pewno teraz zabiorą się za samochód.

Walizka od Waltera. Te gadzety i skopolamina! Nie mogłem pozwolić na to, by ją znaleźli. Jednak jeżeli mnie obserwowali, wiedzieli, że od mecenas Bury wyszedłem pieszo. Zaraz potem pojawiłem się w hotelu. Mogłem się wyprzeć samochodu. W najgorszym wypadku powiem, że został ukradziony.

Spróbuję wyprowadzić ich w pole. Zadzwońię z pokoju po taksówkę i pojedę nią do babci Alicji. Tak samo wrócę tutaj. Na razie nici z wyprowadzki. Muszę tu zostać, a przynajmniej sprawiać wrażenie, że nie zamierzam opuszczać Lublina.

Otwierałem pokój ze świadomością, że zostawili tam co najmniej podsłuch, a możliwe, że również jakąś miniaturową kamerę. Pokój był sprzątnięty, pojemniki na śmieci puste. Szanse, że dres zniknął przed pojawieniem się Kępińskiego, były bardzo duże.

Swobodnie wszedłem do pokoju, zapaliłem światło i skierowałem się natychmiast do łazienki. Obserwowanie samotnego faceta w łazience jest z reguły stratą czasu, przyjąłem więc, że niczego mi tu nie podrzucili. Odpiąłem kaburę i wraz z pistoletem umieściłem w pustym koszu na śmieci, przykrywając kilkoma zużytymi jednorazowymi ręcznikami. Nóż w pochwie schowałem do kieszeni spodni. Na użytek ewentualnej kamery zdjąłem w pokoju marynarkę i zacząłem przeglądać walizki. Wyjąłem drugi krawat, przygotowując się do niepotrzebnej zmiany. W drugiej walizce były tłumiki. Miałem tam również skarpetki. Postanowiłem zmienić skarpetki i przy okazji stwierdzić, czy tłumiki zniknęły. Żaden lepszy pomysł nie przychodził mi do głowy. Zdjąłem więc buty, przysiadając na łóżku obok przeniesionej tam walizki ze skarpetkami. Otworzyłem ją w tej samej chwili, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Pogmerałem w środku, wyjmując na łóżko wszystkie skarpetki wraz z tłumikami. Tłumiki ześlizgnęły się po kapie między ścianę a łóżko. Boso, z parą nowych skarpet w ręku, podążyłem do drzwi. Spojrzałem przez wizjer. Kępiński. Założyłem łańcuch na drzwi i uchyliłem je.

Podkomisarz witał mnie ujmującym uśmiechem.

- Muszę z panem porozmawiać - odezwał się, gdy tylko mnie zobaczył.

Wyeksponowałem boscie stopy, a rękę z parą skarpet na zmianę oparłem mu tuż przed nosem.

- Jeżeli to niezbędne, zaraz do pana zejdę - odpowiedziałem, nie kryjąc niezadowolenia.

- Przyjechał pan z Warszawy specjalnie w tym celu?

- Niezupełnie. Nasza rozmowa jest jednak niezbędna - odpowiedział, wciąż z ujmującym uśmiechem.

- Zejdę do holu.

- Poczekam na dole.

Zamknąłem drzwi, gdy zaczął oddalać się korytarzem. Miałem problem.

Pistolet. Strzelałem z niego do „żołnierzy” Mohammeda Alego. To, że prasa nie pisała o strzelaninie i zwłokach, nie znaczy, że ich nie było. Nawet w moim kraju, uważanym za ojczyznę rozpasanych wolności demokratycznych, są sposoby na utrzymanie informacji w tajemnicy. Tutaj dziennikarze byli na pewno znacznie bardziej podatni na sugestie władzy.

Przeglądałem gazety i nie zauważyłem, by jakiś, choćby jeden dziennikarz, był fanatykiem ustalania prawdy. Niejednokrotnie publikowano dyskusyjne informacje, które aż się prosiły o sprawdzenie. Żaden pismak nie podejmował jednak tych tematów, nie drażył ich i nie próbował dociekać prawdy.

Muszę założyć, że brak informacji prasowej oznacza wyłącznie brak zgody na jej publikację. Jeżeli mają choćby jedno ciało, mają kule. Mogą ustalić broń, z której strzelano. Nie mogę mieć przy sobie tego pistoletu. Z drugiej strony, broń jest mi potrzebna. Myślałem o tym, starannie usuwając z kul i wszystkich dostępnych części pistoletu ślady moich linii papilarnych, przy akompaniamencie szumu płynącej z kranu wody. Na użytek prawdopodobnych instalacji Kępińskiego i jego współpracowników myłem nogi. Mogłem być fanatykiem i robić to dowolnie długo. W końcu zakręciłem kran i oczyszczony pistolet zawinięty w jednorazowy ręcznik pozostawiłem na brzegu umywalki. Wróciłem do pokoju, by demonstracyjnie włożyć czyste skarpetki i między brudnymi rzeczami schować kaburę. Też mogła być od skradzionego pistoletu. Starannie wiążąc sznurowadła, zastanawiałem się, gdzie umieścić pistolet tak, by móc go później odzyskać.

Dochodziła dziesiąta. Rozmowa z Kępińskim też potrwa jakiś czas. Nie mogę spotkać się dzisiaj z rodziną Bolka. Muszę do nich zadzwonić. Tylko inteligentnie.

Sięgnąłem po słuchawkę. Na szczęście odebrał Marek. Nie dopuszczając go do głosu powiedziałem, że spotkałem niespodziewanie znajomego, z którym muszę porozmawiać. To trochę potrwa i mógłbym się u nich pojawić dopiero koło północy, co nie ma sensu. Natomiast nasze jutrzejsze plany pozostają bez zmian. Poprosiłem z naciskiem: „Przełącz Barbarze, że nasze jutrzejsze plany na pewno zostaną zrealizowane”, po czym natychmiast powiedziałem dobranoc. Musiałem ufać jego inteligencji. Nigdy tak z nim nie rozmawiałem, powinien zrozumieć, że to szczególna sytuacja. Zgasilem światło i zdążając na spotkanie z Kępińskim, wrzuciłem do kieszeni marynarki opakowany w papierowy ręcznik pistolet. Postanowiłem już, że zostawię go bez opakowania pod gazetami na blacie stołu we wnęce na korytarzu albo po prostu wrzucę razem z ręcznikiem do stojącego przy windzie kosza na śmieci. Potem, zależnie od okoliczności, odzyskam go albo nie. Wolałbym odzyskać. Wszystko zależy, czy jestem pod obserwacją i od tego, jak dokładni są obserwatorzy. Po rozmowie z podkomisarzem wyjdę na wieczorny spacer. Może uda mi się wyjechać wówczas do Warszawy.

Gdy zamykałem pokój, na końcu korytarza stał facet otwarcie obserwujący gości hotelowych. Zignorowałem go. Idąc w kierunku schodów, skręciłem do wnęki, pod dzienniki na dolny blat stolika wsunąłem pistolet, z góry wziąłem dzisiejszą gazetę i przeglądając ją w

roztargnieniu, zmierzałem do schodów. Napięcie spadło, poczułem głód. Muszę zjeść kolację. W stresie nie można prawidłowo funkcjonować bez jedzenia.

Swobodnie zszedłem do holu. Kępiński siedział przy najbliższym schodów stoliku.

- Zapraszam pana na kolację. Jestem bardzo głodny, a rozmawiać możemy również przy jedzeniu - powiedziałem, zbliżając się do niego.

Wstał, krzywiąc się lekko.

- To nieregulaminowe.

- Jeżeli ma pan zamiar mnie przesłuchać o tej porze, to również jest to nieregulaminowe - zripostowałem, demonstracyjnie patrząc na zegarek. - Mówił pan, że to rozmowa.

- Dobrze. Musimy się pospieszyć. Restaurację zamykają o jedenastej. - Widząc moje podniesione w zdziwieniu brwi, dodał: - Też mieszkam w tym hotelu. Przyleciałem rano.

No i wysypał się. To on był tym przedstawicielem Komendy Głównej czy UOP-u, który przyleciał helikopterem. Zwykły policjant nie mieszkałby w najlepszym lubelskim hotelu. W takim razie pan Kępiński był kimś znacznie ważniejszym niż podkomisarz, za jakiego się podawał. Gdy przesłuchiwał mnie w komisariacie, mówił przecież, że jest tam obcy. Czym zasłużyłem sobie na zainteresowanie tak ważnego funkcjonariusza? Czy o tym, że to właśnie on będzie zajmował się spalonym mieszkaniem, zdecydował adres czy moje nazwisko? A jeżeli nazwisko, to czy wiedział, kim jestem, czy też zaalarmowało ich wydawanie dokumentów, które dostałem. Z tego, co mówił Bill, wynikało, że dokumenty były autentyczne, wydane przez Polaków. Ktoś je tworzył, ktoś je podpisywał. Co najmniej kilka osób musiało o nich wiedzieć. To normalne, że ktoś się zaniepokoił. Nasz błąd. Co za dureń wymyślił, żeby prosić ich o te dokumenty!

Jak na Amerykanina przystało, zamówiłem średnio wysmażony stek, choć nie było to moje ulubione danie. Kępiński też był głodny, toteż kolację spożyliśmy w milczeniu, skupieni na potrawach.

Na koniec obaj zamówiliśmy herbatę, ja w dzbanku, on tylko szklankę. Zaraz potem w restauracji zaczęto gasić światła. Nieuprzejmy, ale jednoznaczny gest wypraszania gości.

Zabrałem dzbanek ze szklankami do holu. Dopiero gdy zasiedliśmy przy odległym od recepcji stoliku, z dala od baru i wylaniających się stamtąd od czasu do czasu gości, przystąpiliśmy do poważnej rozmowy.

- Podobno pański dziadek został porwany? - rozpoczął Kępiński.

- Podobno. Wiem to od adwokatkę, którą uwalniałem z więzów. Obecnie dziadek jest w Warszawie. W ambasadzie. Jestem pewien, że odpowie na wszystkie pytania.

- Słyszał pan o tym, że w pobliskim motelu była strzelanina?

- Słyszałem.

- Od kogo?

- Też od adwokatki. To miasto roi się od plotek. Słyszałem też, że przyleciał pan helikopterem z Warszawy, aby zbadać tę sprawę i jej powiązania. - Zasygnalizowałem, że przestał być dla mnie podkomisarzem. - Trochę mnie pan oszukał.

- Nic pan nie mówił, że dziadkowie mają tu kłopoty. - Kępiński przeszedł do porządku nad swoją dekonspiracją.

- Dlaczego miałem o tym mówić? To nie miało żadnego związku z pożarem.

- Kto wie? Może to pańskie sprawy stoją za tym pożarem i za tymi kłopotami? Może mógłbym pomóc?

- Wątpię. Kłopoty dziadków są związane z wyłudzeniami. To tutejsza, lubelska afera, bez związku ze mną. A poza tym, co mógł pomóc w Lublinie jakiś tam podkomisarz z Warszawy?

- A teraz?

- Dziadek jest w ambasadzie. Może pan z nim rozmawiać w Warszawie.

- Będzie chciał mi powiedzieć o wszystkim?

- Z pewnością. Nie ma nic do ukrycia.

- A pan?

- Co ja?

- Ma pan coś do ukrycia?

- Tylko tajemnice handlowe.

- Będę musiał przesłuchać pańskiego dziadka. Do protokołu. Może mi pan powiedzieć, co pan wie na temat tych kłopotów?

- Chodzi panu o kłopoty dziadków, jak rozumiem?

W odpowiedzi doczekałem się oszczędnego skinienia głową. Nie widziałem powodów, by ukrywać aferę, tym bardziej że moim zdaniem była w nią wmieszana zarówno nieżyjąca już prokuratorka, jak i adwokat Zdrojewski. Nie miałem żadnych powodów, by ich oszczędzać. Opowiedziałem szczegółowo o rozmowie w prokuraturze, kontaktach ze Zdrojewskim, postępowaniu banku i bezzasadnym aresztowaniu Bolesława. Nie omieszkalem też wspomnieć o przedwczesnej konferencji prasowej.

Kępiński zapisywał jakieś uwagi w niewielkim notesie. Barowi goście, podobnie jak w Warszawie, uparcie wchodzili do holu raczyć się wyniesionymi drinkami, po czym jak bumerang wracali do baru. Jeden z nich zwrócił moją uwagę. Podobnie jak pozostali co jakiś czas wracał do baru, ale moim zdaniem pił czysty sok pomarańczowy i starał się, by trwało to

jak najdłużej. Widziałem już podobnego gościa w warszawskim hotelu. Postanowiłem podrażnić Kępińskiego.

- Niech pan odeśle swojego człowieka do łóżka - powiedziałem, wskazując na entuzjastę soku.

Dotychczasowy podkomisarz obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem.

- W warszawskim hotelu zginął pański kolega, kiedy zdjąłem obserwatora - zaoponował, ale mało stanowczo.

- Bez związku. Ja mam alibi, byliśmy razem. Wątpię, by jeździł za mną seryjny morderca i zabijał przypadkowych gości hotelowych tylko z tej przyczyny, że ja tu mieszkam - replikowałem z niewinnym wyrazem twarzy.

Kępiński musiał wykonać jakiś umówiony gest, gdyż mężczyzna, na którego patrzyliśmy, z wyraźną ulgą podniósł się i wyszedł z hotelu, pozostawiając na stoliku niedopitą szklankę soku.

- A właśnie. Skoro upadł pański kamuflaż, to może przedstawi mi się pan ponownie? - kontynuowałem drażnienie rozmówcy.

- Nazywam się tak samo. Bogusław Kępiński. Jeżeli chodzi panu o tytuł, może pan mówić inspektorze.

- Inspektorze czego?

- To bez znaczenia.

- W moim kraju rozmówcy, szczególnie tacy, którzy oczekują informacji, przedstawiają się nie tylko z imienia i nazwiska. Chciałbym wiedzieć, jakie służby pan reprezentuje - drażniłem go nadal. - Poza tym uprawnieni do zadawania pytań okazują związane ze swoimi uprawnieniami dokumenty.

- U nas te zasady nie obowiązują. Poza tym przesłuchiwałem pana w komisariacie policji, a więc nie ma wątpliwości, że posiadam uprawnienia. W tej chwili prowadzimy luźną rozmowę.

- Czy w tej luźnej rozmowie może mi pan powiedzieć, kto jeszcze został zastrzelony oprócz znanej mi pani prokurator?

- Dlaczego pana to interesuje?

- Czysta ciekawość.

- Wiemy, że zginęło kilku Czeczenów. Z bandy, która panoszyła się w tych okolicach. Nie ustaliliśmy jeszcze wszystkich personaliów. Jeden nazywał się Surdan, w Polsce nazywano go Mohammed Ali - odpowiedział Kępiński, uważnie mi się przyglądając.

Zdziwienie i ulgę pokryłem ziewnięciem.

- Wybacz pan. Jest po północy i chciałbym się już położyć. Działa pan i w Lublinie, i w Warszawie. Nie wątpię, że będziemy mieli okazję do następnych spotkań - powiedziałem stanowczo, odsuwając zajmowany dotąd fotel.

Ku mojemu zdziwieniu nie zatrzymał mnie. Musiał być tak samo jak ja zmęczony, jeżeli pracował od świtu.

Środa - dzień szesnasty

Powoli, demonstrując zmęczenie, powlokłem się do swojego pokoju. Po drodze zamieniłem zbędną gazetę na pistolet. Nikt go nie ruszał. Facet z korytarza zniknął. Może nie mnie pilnował, a może uznali, że już nie ma takiej potrzeby. W każdym razie mogłem wyjść z pokoju bez nadzoru. Niewykluczone, że podczas naszej kolacji udoskonaliли instalacje w moim pokoju. Nie domknąłem drzwi wejściowych. Zapaliłem światło, zdjąłem marynarkę i nastawiłem radio. Jeżeli był tu gdzieś mikrofon, to dźwięki z radia musiały im zastąpić odgłos mojego oddechu we śnie. Przygotowałem łóżko i rozpinając spodnie zgasiałem światło. Wszystkie czynności wykonywałem powoli, grając człowieka śmiertelnie zmęczonego i marzącego tylko o znalezieniu się w łóżku. Jeżeli miałem widzów, to musieli uwierzyć, że kładę się spać. W rzeczywistości tak właśnie się czułem i demonstracja znużenia i zmęczenia przychodziła mi bez trudu.

W ciemnościach usiadłem w fotelu. Musiałem odczekać co najmniej kwadrans, aby uwierzyli, że zasnąłem przy radiowej muzyce. Możliwe, że zdrzemnąłem się chwilę, bo gdy otworzyłem oczy, było wpół do pierwszej. Wziąłem z krzesła marynarkę i ostrożnie opuściłem pokój. Nie zatrzęsnałem drzwi. Na korytarzu nadal nie było żadnych obserwatorów.

Zaplanowałem, że opuszczę hotel przez bar, który miał bezpośrednie wyjście na ulicę. Nie wiem, czy wpuszczali tamtędy ludzi, ale wypuszczać musieli.

Przeszedłem przez opustoszały hol, cicho i bez zwracania na siebie uwagi minąłem pustą recepcję, szybko przeszedłem przez bar. Portier bez oporu otworzył przede mną drzwi wyjściowe. Szybko wyszedłem i kryjąc się w mroku, skręciłem w najbliższą bramę. Nikt za mną nie wyszedł. Nikt mnie nie szukał na opustoszałych ulicach. Ruszyłem do samochodu, a potem dalej, do Warszawy.

Za piętnaście czwarta zatrzymałem się przed bramą ambasady i zażądałem wpuszczenia do środka. Byłem wyczerpany i marzyłem o łóżku. Wartownik przy bramie zapytał, czy mam jakieś polecenia dla Harry'ego Boscha. Miałem. Żeby przyszedł do mnie o siódmej rano. Nieprzytomny wlokłem się za nocnym portierem do gościnnych pokoi. Zasnąłem, ledwie przyłożyłem głowę do poduszki. Tej nocy mogłem czuć się bezpiecznie.

W świetle dnia zobaczyłem, że przydzielony mi pokój sytuował się pomiędzy psią budą a bardzo małą przyczepą kempingową. Obudzić mnie przyszedł nie tylko Harry, ale również Walter. Gdy usiadłem, Walter znalazł się pod oknem, Harry zablokował drzwi, a między nimi

były moje nogi. Obawiam się, że gdybym wstał, stykalibyśmy się ramionami i jakkolwiek ruch jednego z nas stałby się niemożliwy.

Informowałem ich właśnie o rozmowie z Kępińskim, gdy przez drzwi wsunął głowę dziadek, wbijając kłamekę w brzuch Harry'ego. Powiedział mi dzień dobry i zorientowawszy się w ciasnocie pomieszczenia, zawiadomił, że poczeka na zewnątrz.

Również Walter zorientował się, że nie mogę się ruszyć. Zapytał, czego potrzebuję. Zażądałem świeżej koszuli i odprasowania mojego jedyne garnitur. Nadspodziewanie uczynny, zabrał garnitur i wyszedł, informując od progu, że ochrona ma na mnie czekać od dziesiątej i wyruszyć wraz ze mną do hotelu.

Powiedziałem Harry'emu, na czym polega jego zadanie na dzisiaj. Musiałem odebrać pieniądze z hotelowego sejfu, więc umówiliśmy się w hotelu Sokołowski kwadrans po dziesiątej.

Gdy i on wyszedł, miałem wreszcie dość miejsca, by otworzyć drzwi do łazienki. Była wielkości jednodrzwiowej szafy. Udało mi się mimo to wykonać wszystkie zamierzone czynności, choć, aby się nie udusić, musiałem zostawić otwarte drzwi do pokoju. Zastanawiałem się właśnie, czy nie użyć prześcieradła do okrycia mojej nagości, gdy w drzwiach pojawił się ponownie dziadek, tym razem z kąpielowym szlafrokiem w ręku.

- Chodź do mnie. Śniadanie dla nas zamówiłem. Domyśliłem się, że nie masz się w co ubrać - powiedział, obrzucając mnie zatroskanym spojrzeniem.

Apartament gościnny dziadka okazał się godny swej nazwy. Rozległy pokój podzielono na dwie części: jedną służącą do wypoczynku, drugą do pracy. Między nimi stał niewielki stolik, obecnie nakryty dla dwóch osób.

Obfite śniadanie zjadłem z apetytem i podwójną przyjemnością, gdyż towarzyszył mi dziadek. W skrócie zreferowałem mu wszystkie moje ustalenia, zapowiedziałem też wizytę Kępińskiego. Uzgodniliśmy, że dziadek sam uciekł przy wsiadaniu do samochodu, a potem pojechał do ambasady. Mógł się czuć zagrożony, więc szukał schronienia. My z Harrym płataliśmy się beznadziejnie, szukając go w Lublinie, aż wpadliśmy na pomysł kontaktu z ambasadą. Wtedy Harry tu wrócił. Jemu też należało przekazać naszą wersję na wypadek, gdyby spotkał Kępińskiego. Opowieść może nie była błyskotliwa, ale dość prawdopodobna i co najważniejsze, nie do sprawdzenia.

Zastrzeżenia dziadka budził jedynie fakt, że nie skontaktował się z rodziną.

- Oni nie wiedzieli, że zostałeś porwany - powiedziałem. - Wyszedełś ze mną i Harrym właśnie dla bezpieczeństwa. O porwaniu ich nie zawiadomiłem, a rano już nie miało sensu mówić im o tym.

Dziadka ucieszyła wiadomość, że Bolesław może być uwolniony już dzisiaj. Bez słowa wypisał mi czek na sto tysięcy dolarów, gdy tylko dowiedział się, że Harry jedzie dziś z pieniędzmi do Lublina. Nie skomentował tego i nie pytał o ich pochodzenie. Wręczając mi czek, stwierdził tylko, że chciałby jeszcze ze mną porozmawiać, gdy będę miał więcej czasu. Ja też wołałem o tym nie rozmawiać tutaj. Apartamenty gościnne na pewno były na podsłuchu.

Wykorzystałem słowa dziadka o późniejszej rozmowie. Powiadamiając go o weekendowej wycieczce mecenas Bury do Warszawy, zażądałem intymnego spotkania i omówienia ze mną kwestii tak młodej babci. Najlepiej w jakiejś knajpie. Dziadkowi wiadomość o przyjeździe pani mecenas wyraźnie sprawiła przyjemność.

Wykazał też bystrość umysłową. Zaakceptował wspólną wyprawę do baru z szelmowskim uśmiechem i mrugnięciem. Gdy skończyliśmy śniadanie, pojawił się marines z moim wyprasowanym garniturem zaopatrzoną w przekąznik i z nową koszulą. Można powiedzieć, że nie tracili mnie z oczu. Ten sam posłaniec przyniósł mi po chwili w zaklejonej kopercie wiadomość od Waltera. Rozerwałem ją. Zawierała dwie kartki. Na jednej wpisano sześć milionów dzielone przez trzy z uwagą „ewentualnie dwa”. Na dole imię „Arishan” ze znakiem zapytania. Na drugiej pod słowem „Iran” widniała lista sprzętu za dwa miliony i dodatkowa za trzy. Nie było tego dużo. Żadnej żywności, mundurów, lekarstw. Głównie karabiny maszynowe i amunicja. Dużo granatów. Tylko kilka sztuk ręcznych wyrzutni rakietowych starego typu, zgodnie z moją sugestią, i do tego pięćdziesiąt rakiet. Wystarczy, by walczyć. O wiele za mało, by zwyciężyć. Otrzymałem więc zgodę, aby dać im broni za sześć milionów, w dostawach co najmniej przez dwa miesiące, jeszcze lepiej przez trzy. Arishan jako gwarant - może teraz, może później, w każdym razie kwestia do negocjacji. Dostawy według naszej listy.

Przebrałem się u dziadka, uzupełniłem garderobę w zajmowanej przeze mnie dziupli i ruszyłem do hotelu. Pozostawiłem w tej imitacji gościnnego pokoju walizczkę ze specjalnym wyposażeniem - chyba nie będzie mi już tutaj potrzebna.

W ślad za mną z ambasady wyruszyły trzy samochody. W jednym siedział Harry; on jechał za mną do hotelu. Na parkingu ustawił swój wóz obok mego forda. Ramię w ramię powędrowaliśmy do hotelu. Odebrałem depozyt, uszczupliłem go o sto tysięcy dolarów i pozostawiłem resztę. Harry nie towarzyszył mi do hotelowego sejfu. Nie wiedział, że mam więcej pieniędzy niż przekazane mu sto tysięcy. Podałem mu uzgodnioną z dziadkiem wersję, której miał się trzymać.

Najważniejsze, żeby nie skojarzyli nas z wydarzeniami w podlubelskim zajeździe. Po prostu nie było nas tam i koniec. Kazałem mu jechać do domu dziadka Bolesława i zabrać

stamtąd moją piękną kuzynkę. Tylko z nią mógł wypełnić zadanie i poruszać się swobodnie po mieście. Dochodziła dziesiąta, gdy wyprawilem go do Lublina.

Starym obyczajem usiadłem z gazetami w holu, by zamówić herbatę, gdy niespodziewanie naprzeciw mnie usiadł Jussuf. Był przygaszony i niespokojny.

- Mamy pewne kłopoty. Pójdziemy pieszo, do tego samego mieszkania, gdzie było pierwsze spotkanie - powiedział stłumionym głosem.

- Co się stało?

Jussuf patrzył na mnie przez chwilę zmartwionym wzrokiem, wyraźnie się zastanawiając, po czym strzepnął palcami.

- Straciliśmy Mohammeda Alego. Jego ludzie są w rozsypce. Nie mamy ochrony. Nie mamy samochodów. W ogóle niczego - mówił z rozpaczą.

- Jak to się stało?

- Nie wiemy. Po prostu zastrzelili kilku naszych. W tym Mohammeda Alego. Reszta poszła w rozsypkę.

- Kto? Polska policja?

- Nie. U nich jesteście kryci. Nie wiadomo kto. Może i Polacy, ale nie policja. Może Rosjanie. Możliwe, że nasi.

- No to chodźmy.

Podniosłem się zza stolika, pozostawiając na nim nieprzejrzone gazety.

- Chcesz ze mną iść? - W głosie Jussuf a pobrzmiwała nadzieja przemieszana z niedowierzaniem.

- Idziemy. Szkoda czasu.

Przemierzałem ulice, kierując się do zapamiętanego skrzyżowania z Marszałkowską. U mojego boku dreptał Jussuf. Przygnębienie zgarbiło go i jakby pomniejszyło. Był bardziej drobny i kruchy niż dotychczas. Na skrzyżowaniu z Marszałkowską pociągnął mnie za rękaw. Skręciliśmy do bramy. Znowu kluczyliśmy podwórkami, jednak Jussuf tym razem prowadził mnie mechanicznie, pogrążony w zmartwieniu. Znajoma klatka schodowa była równie obskurna jak poprzednio. Stanęliśmy pod drzwiami. Jussuf, jak poprzednio, dwukrotnie zadzwonił. Drzwi otworzył nam Gul. W milczeniu, po europejsku uściśnął mi rękę. Jussuf wyszedł z mieszkania, a my ruszyliśmy w głąb korytarza, do pokoju, w którym byłem poprzednio. Żadnych strażników, żadnych demonstracji. Ahmed, otwierając przede mną drzwi, powiedział:

- Zna pan nowiny, więc tym bardziej się cieszę, że pan przyszedł. Na razie jesteśmy tylko my dwaj. Jussuf poszedł po Arishana.

- Myślałem, że będziecie na mnie czekali.

- Nie byłem... nie byliśmy pewni - poprawił się - jak pan przyjmie te nowe okoliczności. Nie było sensu narażać Arishana.

- Współczuję wam z powodu tych śmierci. Z drugiej jednak strony nie ukrywam, że nie cenilem Mohammeda Alego i nie uważam, że ponieśliście rzeczywistą stratę...

- Jedną chwilę - przerwał mi Gul. - Przyniosę kawę i będziemy mogli chwilę porozmawiać, czekając na Arishana.

Wycofał się na korytarz i po chwili wrócił z tacą i dwiema kawami w miedzianych naczyniach.

Wrócił zbyt szybko. I przyniósł tylko dwie kawy, a przecież raczej mnie nie oczekiwał. Widocznie chciał pokrzepić Jussufa i to dla niego przygotował drugą kawę.

- A więc pańskim zdaniem ta śmierć niczego nie zmienia? - zapytał, podsuwając mi cukier.

- Z mojego punktu widzenia niczego.

- Rozumiem, że nadal chcecie nam pomóc. Ma pan jakieś konkretne wiadomości?

- Mam, ale poczekam na Arishana, żeby dwa razy nie powtarzać. Teraz chciałbym wrócić do kwestii Mohammeda Alego.

- Dlaczego?

- Od początku uważałem, że to niewłaściwa osoba. To, co się zdarzyło, dowodzi, że organizacja również była niewłaściwa. Ochrona powinna być tylko ochroną i niczym więcej. Jeżeli macie zamiar, wbrew naszym sugestiom, prowadzić jeszcze jakąś inną działalność, to w żadnym wypadku nie może ona być tak ściśle związana z ochroną. Śmierć jednego człowieka pozbawiła was wszystkiego. To niedopuszczalne.

Gul wsłuchiwał się w moje słowa z przechyloną w bok głową, jak gdyby towarzyszył mi muzyczny akompaniament, który był ważniejszy od słów. Gdy skończyłem, odstawił filiżankę, chwilę trwał w dotychczasowej pozycji, po czym spojrzał mi w oczy.

- Obaj jesteśmy zawodowcami. Nie dziwi mnie pańska ocena. Jestem podobnego zdania, nie umiem ich jednak przekonać. W Czeczenii stanowisko wojskowe nie zależy od wiedzy i rozumu. Zależy od osobistej odwagi, często graniczącej z głupotą. Niech pan to powtórzy Arishanowi, tylko dobitniej.

- Chcecie ustabilizować sytuację w Czeczenii, dlatego popieracie ajatollaha? - na w pół spytałem, a w pół stwierdziłem, nie wątpiąc już, że Ahmed reprezentuje przede wszystkim Rosję i że nie ukrywa tego przede mną.

- Chcemy ją także kontrolować. W panującym tam bałaganie tylko religia ma pewien autorytet. Kiedy tam jestem - skupił wzrok na przeciwległej ścianie, patrzył jednak znacznie dalej - to jakbym przeniósł się do wczesnego średniowiecza. Dosłownie. Taka mentalność, takie zwyczaje, takie wartości. Przerazające. - Z grymasem wstrętu wrócił do rzeczywistości. - Wie pan, najbardziej boję się tego, że oni mają znacznie potężniejsze środki niż średniowieczne hordy. Mogą spowodować katastrofę.

- Gdyby zaszli tak daleko, zawiadomi mnie pan? - zaryzykowałem pytanie.

Gul namyślał się przez chwilę, nim podniósł ponownie na mnie oczy.

- Mogę. W jaki sposób?

Zastanowiłem się. Mogę zmienić pracę, adres. Nie wiadomo, czy taka chwila nadejdzie i kiedy. Ja też bałem się fanatyków, kimkolwiek byli. Banki były najbardziej stałymi elementami naszej rzeczywistości. Podałem mu nazwę chicagowskiego banku.

- Proszę zostawić informację, że Ahmed Gul ma dla mnie wiadomość. Będę wiedział, o co chodzi, i znajdę pana.

Pokiwał potwierdzająco głową, bezgłośnie powtarzając nazwę.

Dzwonek zadzwonił dwukrotnie. Arishan przybył.

W drodze do drzwi Gul pozbierał filiżanki i zastawę. W chwilę po jego wyjściu usłyszałem kroki i głosy. Arishan mówił donośnie, obok niego szemrał Jussuf, Gul wypowiadał się cicho i stanowczo. Niewątpliwie dominował nad pozostałymi. Zniknięcie Mohammeda Alego zmieniło układ sił. Młodziutki Arishan musiał się na kimś oprzeć, pozostał mu tylko Ahmed.

Arishan ubrany w garnitur był bardziej europejski, niż mogłem przypuszczać. On sam widać wiązał sposób zachowania ze strojem, gdyż podał mi zwyczajnie rękę na powitanie, bez uroczystych ukłonów i objawów wzajemnego szacunku. Zwyczajnie też usiadł przy stole. Jussuf oddalił się, nie wchodząc do pokoju.

- Dobrze, że nie zerwał pan z nami kontaktów mimo śmierci Mohammeda Alego - rozpoczął Arishan.

- Już wyjaśniłem to panu Gulowi i jeszcze raz powtórzę: te kontakty istniały pomimo działalności Mohammeda Alego, a nie dzięki niemu. Od początku negatywnie oceniałem go zarówno jako człowieka, jak i jako przywódcę wojskowego. Gdyby nie jego śmierć, zmuszony byłbym żądać, aby został odsunięty od wszelkich wojskowych decyzji, a najlepiej w ogóle od wszelkich decyzji.

- Twarde słowa - powiedział Arishan, patrząc na mnie z ukosa.

- Ale prawdziwe. W wojsku nie ma miejsca na histerię i wygłupy, które pokazywał tu Mohammed Ali. Tak zachowują się kobiety, nie żołnierze - przebiłem argumentem znaczącym w świecie ich wartości, co przyjął prawie z pokorą.

- Rozumiem, że Waszyngton podjął decyzje w naszej sprawie - pośpieszył mu z pomocą Ahmed.

- Tak. Zanim je przekażę, chciałbym omówić jeszcze jedną kwestię. Wasza dzisiejsza sytuacja jest dowodem niekompetencji waszego wojskowego dowództwa. Nie wolno łączyć ochrony wysłanników, dyplomatów, z rozbójniczą działalnością. To musicie zmienić. Na ostatnim spotkaniu otrzymałem zapewnienie, że wycofacie z Polski swoich „żołnierzy”. Gdyby tak się stało, żyliby dzisiaj.

- Złożyliśmy takie zapewnienie. Mohammed Ali był jednak pewny, że przekona pana i ostatecznie udzielicie nam oficjalnego poparcia i pomocy - tłumaczył się Arishan.

W ten sposób wyjaśniła się przyczyna porwania dziadka. Ten prymityw myślał, że grożąc mu śmiercią, wymusi zmianę przekonań nie tylko na mnie, ale na całej Firmie, Departamencie Stanu, prezydencie. Wyobraziłem sobie piekło, jakie mogłem przeżywać, szantażowany przez tego głupka.

- Nie jestem prezydentem! Dociera to do was? - wykrzyknąłem znacznie mniej dyplomatycznie, niż wypadało.

- Ależ oczywiście - łagodził Gul - Mohammed Ali dostał wolną rękę tylko do dzisiaj. Niektórzy uważali, że można zaufać jego doświadczeniu. Obecnie ten problem już nie istnieje.

- Zaistnieje, jeżeli jego następcą będzie podobny - upierałem się.

- Chcecie dyktować nam, kto będzie dowodził?! Kogo mianujemy na jego miejsce?! - wykrzyknął z oburzeniem Arishan.

- Nie, ale nie życzymy sobie następnego nieznajomego półanalfabety - dolewałem oliwy do ognia.

Wzburzony Arishan z roziskrzonym wzrokiem i zaczerwienionymi policzkami trzymał się krawędzi stołu, jak gdyby walczył z siłą, która go zza niego wrywała. Ciężki oddech podnosił mu pierś, a zaciśnięte wargi upodabniały go do warczącego przed atakiem drapieżnika.

- Pamiętaj, że potrzebujemy tej broni - zabrzmiał cicho, spokojnie, wręcz cukierkowo uprzejmie głos Gula.

- Dobrze. Przekażę wasze uwagi ajatollahowi - wywarczał Arishan, jeszcze wzburzony, ale już kapitulujący.

Wkraczający z kawą na tacy Jussuf rozładował resztę napięcia. Wszyscy zajęli się filiżankami, słodzeniem kawy i wzajemnymi uprzejmościami. Jussuf przysiadł na czwartym krześle, stając się tym samym pełnoprawnym uczestnikiem rozmów.

Arishan oparł się plecami o krzesło i popijał drobnymi łyżkami kawę; z każdym łykiem opadało z niego napięcie. Ja miałem dość kawy. Z uprzejmości skosztowałem i zacząłem:

- Nasza decyzja jest następująca - powiedziałem i zawahałem się. - Podkreślam - podjąłem - że to wstępny kontrakt i to, czy dalsza pomoc, niewykluczone, że znacznie większa, zostanie Czeczenii przyznana, zależy od waszego postępowania. Zależy od tego, do czego użyjecie tej broni i z kim będziecie nią walczyć. Na początek dostaliście sześć milionów w dostawach przez trzy miesiące. Tylko broń. Nic więcej. Dostawy rejsowymi samolotami do Iranu. Odbieracie ją na lotnisku zaraz po lądowaniu, przed kontrolą celną. Jak przewiezicie ją do siebie, nie nasz problem. Dacie sobie z tym radę?

- To nie jest dużo - wtrącił Gul, choć Arishanowi oczy zabłysły radością. - Co będzie dalej?

- Al Hattab pomoże nam - oznajmił Arishan.

- Zakładamy, że ta pomoc umocni pozycję ajatollaha. Oczywiście musicie się liczyć z tym, że niewłaściwe użycie jakiegokolwiek broni spowoduje wstrzymanie dostaw. Podstawowym warunkiem jest zaniechanie porwań ludzi.

- Przyjmijmy, że dostaliśmy już broń, wszystko jest w porządku i te pierwsze trzy miesiące upłynęły. Co dalej? - dociekał Ahmed. - To niewielkie dostawy.

- Dalej możemy kontynuować rozmowy na temat większej dotacji, jednej lub kilku. Nasz rząd będzie jednak oczekiwał gwarancji, że wywiążecie się z zobowiązań.

- Więc te dostawy przez trzy miesiące to dla nas okres próbny - podsumował Gul.

- Rzeczywiście. Oczekujemy, że ajatollah uzyska dzięki nim większe znaczenie w Czeczenii, zjednoczy więcej rodów. Oczekujemy, że będzie dążył do stworzenia rządu krajowego bardziej stabilnego i cieszącego się większym posłuchem niż obecnie istniejący.

- Mamy zbieżne cele i dążenia - ocenił Ahmed; zrobił to zapewne tyleż w imieniu Czeczenów, co i Rosjan.

- Dalej oczekujemy gwarancji, że te wstępne warunki będą przestrzegane również w przyszłości - kontynuowałem.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął Arishan z oczami roziskrzonymi radością. - Udowodnimy, że można nam zaufać! Nie będziemy porywać Amerykanów ani nikogo z Zachodu. Zawiozę te informacje ojcu i już nikt nie odważy mu się sprzeciwić.

- Aby kontynuować dostawy, a nawet je zwiększyć, jak już mówiłem, zażądamy gwarancji.

- Jakich gwarancji? - spytał Gul.

- Wszystko możemy podpisać! - wykrzyknął równocześnie Arishan.

- Umowa będzie ustna. Chyba że chcecie ją spisać. Żądamy gwarancji personalnych - przystąpiłem do realizacji swojego pomysłu. - Każdy ród odda nam najstarszego syna. Pojadą do Stanów i będą tam mieszkać pod naszym nadzorem. Oczywiście Arishan też. Za każde porwanie, każde działanie przeciwko nam odpowiedzą nasi goście. - Celowo nie dopowiedziałem jak.

- Zakładnicy - z namysłem powiedział Ahmed i w spojrzeniu, które mi rzucił, dostrzegłem podziw.

Arishan patrzył na mnie z konsternacją i zdumieniem, nieomal z otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Nie przewidywaliśmy takich gwarancji - bąknął.

Przy stole zapadła cisza. Arishan rzucał Gulowi spojrzenia pytające i bezradne. Jussuf skurczył się w sobie i jakby zapadł do środka, Gul natomiast niewątpliwie kalkulował. Skupionym wzrokiem wpatrywał się w stojącą przed nim filiżankę, ignorując rzucone mu spojrzenia. Ocknął się po pewnym czasie i zapytał:

- To jedyna proponowana gwarancja czy też możemy negocjować?

- Jeżeli chodzi o większe dostawy, jest to gwarancja konieczna i nie podlega negocjacom. Albo zgadzacie się, albo nie - stwierdziłem dobitnie.

- Ale w chwili obecnej nie musimy się wypowiadać?

- Nie musicie. Ale chyba pan rozumie, że ocena waszej rzetelności, odpowiedzialności i dobrej woli związana jest z zaakceptowaniem tej właśnie gwarancji - twardo uświadamiałem obecnym, że ich działania będą podlegać naszej ocenie przez cały czas.

- No to wróćmy do tych dostaw w ramach przyznanych dotacji. Ile i czego otrzymamy?

- Gul powrócił do roli aktywnego negocjatora. - Zaakceptowanie tej oryginalnej gwarancji nie zależy od nas. Poza tym... musimy wiedzieć, w jakich warunkach będą przebywać nasi obywatele. W ogóle proszę określić bliżej wszystkie warunki. - Wyjął z kieszeni niewielką kartkę i długopis.

Podał mu z przekazanej przez Waltera kartki ilości i rodzaje broni oraz przewidywane tygodnie dostaw i numery rejsów, którymi przyłecą. Ahmed zapisywał dane maczkiem, oddzielając kreską poszczególne transporty. Milczący dotąd Arishan rzucił

polecenie Jussufowi, który na serwetce zapisał jedynie daty i numery lotów. Gdy skończyłem, Gul kontemplował przez chwilę zapiski, po czym stwierdził:

- Drogo sobie liczycie. Wyszło tego mniej, niż myślałem.

Wzruszyłem ramionami. Nie ja ustalałem ceny. Przemilczałem więc uwagę. Gul nie podjął rozmowy o przyspieszeniu dostaw. Widocznie nie zależało mu na tym. Ja też nie sugerowałem, że dostawy można zrealizować w ciągu dwóch, a nie trzech miesięcy. Nadal nie byłem przekonany, że na dłuższą metę decyzja o dostawach jest dla nas rzeczywiście korzystna. Tylko Arishan promieniał zadowoleniem.

- W jakich warunkach byliby trzymani nasi obywatele, ci gwaranci? Co może pan powiedzieć o tym bliżej? Czy z kraju będziemy się z nimi mogli kontaktować? Będą razem? - zasypał mnie pytaniami Arishan, uznając najwyraźniej kwestię dostaw za załatwioną.

- Będą mieszkali oddzielnie, bez możliwości kontaktowania się ze sobą i z krajem, pod nadzorem mojej firmy. Ucieczkę któregokolwiek z nich potraktujemy jako zerwanie umowy - rozwiąłem rodzaje się złudzenia, że damy się oszukać.

- To niesprawiedliwe. - Po raz pierwszy głos zabrał Jussuf. - Cały kraj nie może odpowiadać za jednego człowieka. Nie możemy zagwarantować za wszystkich. Niektórzy mogą próbować uciec. Nie zgodzą się na niewolę i oddalenie od rodzin.

- To wasz problem. Jesteście gotowi do poświęceń, nawet do oddania życia za ojczyznę. Czym w porównaniu ze śmiercią jest kilka lat niewygody?

- Gdyby się jednak zdarzyło, że te rody stracą znaczenie? Oddacie synów? - targował się Arishan. - Przecież jak stracą głos, nie będą mogli odpowiadać za tych, którzy obejmą władzę.

- Nie. Rzeczą ich ojców jest dotrzymanie ustaleń. Nie dbamy o to, kto rządzi. Interesuje nas postępowanie według uzgodnionych zasad. Jeżeli ich ojcowie nie zdołają zapewnić ich przestrzegania, stracą synów - poinformowałem grzecznie.

Gul nie wtrącał się. Obserwował wymianę zdań z niekłamanym zainteresowaniem, nie wyglądało jednak na to, by chciał włączyć się do rokowań. Nie wątpiłem, że przekaże to, jak zresztą wszystko dotąd, swoim rosyjskim mocodawcom. Niewykluczone też, że zaleci zaadaptowanie mojego pomysłu do ich celów.

- Zabijecie ich wtedy - ze złością, a nie rozpaczą wtrącił Jussuf.

- Możliwe, ale na pewno nie zbiorowo. Widzę to tak - popuściłem cugle wyobraźni - będziemy ich eliminować pojedynczo. Za każdym razem chwila przerwy, kilka dni do namysłu dla pozostałych ojców. Potem następny wybrany losowo.

- Tego nie wytrzymają. Ktoś się załamie - z wściekłością krzyknął Arishan.

- Właśnie. Z mojej strony ma pan gwarancję, że będzie pan ostatni - powiedziałem z życzliwym uśmiechem.

- Ojciec straci całą władzę!

- Nam zależy jedynie na respektowaniu przez was umowy. Nikt was nie zmusza, ale jeżeli do niej dojdzie, będziecie musieli dotrzymać warunków.

Z wyrazem oszołomienia na twarzy Arishan opadł na oparcie krzesła. Jussuf sapał; pewnie pomagało mu to w myśleniu, gdyż wysiłek nadal malował się na jego twarzy. Tylko Ahmed pozostawał niewzruszony. Po chwili podjął:

- Jak mówiłem, decyzja nie zależy od nas. Do kiedy musimy ją podjąć?

- Do pierwszego transportu. Naszemu attache handlowemu w Iranie dostarczycie listę na dwa dni przed dostawą. To przypada - sięgnąłem po kartkę Waltera - równo za dwa tygodnie, również w środę. A więc lista ląduje na jego biurku nie później niż o dziewiątej tamtejszego czasu w poniedziałek.

- Będziecie ją sprawdzać? - uściślał Gul.

- Oczywiście. Jeżeli lista będzie zawierała fałszywe dane, na przykład nie będą to najstarsi synowie, do transportu nie dojdzie. W ogóle. Dotacja też zostanie cofnięta.

- W rzeczywistości nie przewidujecie więc, że możemy się nie zgodzić, bo brak zgody na proponowane gwarancje, to jest zakładników, oznacza brak jakiegokolwiek pomocy - dociekał Ahmed.

- Coś w tym rodzaju. Jeżeli otrzymamy listę i przekonamy się, że nie wprowadziliście nas w błąd, otrzymacie dostawę. Będzie to okres próbny, jak sam pan powiedział - zwróciłem się do Gula. - Jeżeli będziecie się ubiegać o dalszą pomoc, musicie dostarczyć ludzi z listy do Iranu lub do Polski. Sami przewieziemy ich do Stanów.

- W zasadzie nie pozostawiliście nam pola manewru. Jeżeli chcemy otrzymać tę broń i następne dostawy, musimy wyrazić zgodę na proponowane warunki - pomagał mi Ahmed.

- Co i ile możemy później dostać? Zależy nam na mundurach i wojskowych racjach żywnościowych tak samo jak na broni - wyrwało się Arishanowi.

- To kwestia negocjacji. Zostaną podjęte, gdy dostarczycie zakładników, to jest gwarantów - informowałem.

- W tej sytuacji chyba nie mamy do pana już żadnych pytań - rzekł Gul, rozglądając się po obecnych.

Arishan nadal był bardziej oszołomiony niż zdziwiony. Najwidoczniej wszystkie plany oszukania nas wzięły w łeb za jednym zamachem. Podobne odczucia miał chyba również Jussuf. Tylko Ahmed pozostał uprzejmie uśmiechniętym dyplomatą. Wstałem i ukloniłem się

na pożegnanie wszystkim z daleka. Roznosiła mnie prywatna wściekłość i dałem jej wyraz, nie żegnając się z nimi bardziej uprzejmie.

Co za bandyckie nasienie! Odważyli się powiedzieć mi w oczy, że porwali mojego dziadka, aby mnie „zmiękczyć”. Dobrze, że uzależniłem wszystko od zakładników. Może zachowają rozsądek i dystans. Przynajmniej w stosunku do mojej rodziny.

- Jestem oburzony niedotrzymaniem obietnicy wycofania z Polski waszych „żołnierzy”
- powiedziałem na pożegnanie Gulowi, podkreślając ironię użytej w odniesieniu do bandziorów nazwy.

- Dał pan sobie radę, a więc wszystko się dobrze skończyło - odparł półgłosem, zamykając za mną drzwi.

Dochodziła druga. Płatanię przejść i podwórek pokonałem połowicznie - wyszedłem na jakąś boczną uliczkę. Z daleka zobaczyłem na szczęście ruch na większej. Ruszyłem w jej kierunku. Dopiero teraz mogłem pozwolić sobie na wściekłość, która mnie nieomal roznosiła. Potrąciłem idącego z przeciwka mężczyznę i nie patrząc burknąłem: „Przepraszam”. Kątem oka zobaczyłem, że mężczyzna zatrzymał się na środku chodnika. Jeżeli chciał burdy, to trafił na swój zły dzień. Wściekle odwróciłem się do niego. Uśmiechał się!

- Widzę, że negocjacje nie poszły po pańskiej myśli - powiedział.

Kępiński. Znowu pojawił się jak diabeł z pudełka w najmniej dogodnym dla mnie momencie. Chyba już wiem, dlaczego nikt nie lubi policjantów.

- Ależ skąd. Po prostu myślałem o prywatnych sprawach. - Z wysiłkiem przywołałem na twarz uśmiech. - To znowu pan.

- Świetnie się stało, że pana spotykam. Niewątpliwie rozmawiał pan już z dziadkiem i dowiem się, w jaki sposób znalazł się w Warszawie.

- Wie pan wszystko. Nawet jak mnie przypadkowo spotkać w tym milionowym przecież mieście - nie kryłem sarkazmu - więc chyba wie pan również, że wróciłem w środku nocy. Nie miałem czasu na rozmowy z dziadkiem. Proszę jego samego o to spytać.

- Ależ pytałem. Tylko niewiele mi powiedział. Miałem nadzieję, że od pana dowiem się więcej.

- Rozumiem, że spacerował pan bocznymi uliczkami w przekonaniu, że właśnie dziś będę po nich chodził - warknąłem niezyczliwie. - Nie wiem nic więcej. Zaspokoilem pańską ciekawość?

- Nie ma powodów do zdenerwowania. - Były podkomisarz, mianujący się obecnie inspektorem, kordialnie ujął mnie pod rękę. - Mam do pana kilka pytań. Zapraszam na kawę. Tu niedaleko jest bar.

- Wydawało mi się, że wszystko wyjaśniliśmy. Nic więcej nie wiem.

- Mamy nowe okoliczności. Poza tym jest kilka pytań bardziej ogólnych. Usiądziemy, pogadamy, wypijemy kawę. Może ja czegoś się od pana dowiem, może pan ode mnie.

Prowadził mnie w kierunku ruchliwej ulicy. To oczywiście nie był przypadek, że spotkaliśmy się właśnie w tym miejscu. Kępiński jednoznacznie dawał mi do zrozumienia, że nie tylko wie o spotkaniach z Czeczenami, ale również zna ich przebieg. Trudno przecież przyjąć, że warował na tej ulicy kilka godzin, czekając, aż wyjdę ze spotkania. Wiedział nie tylko, kiedy wyjdę, ale wiedział również, gdzie wyjdę, choć ja sam nie miałem o tym pojęcia. Musieli więc mieć tu kilka punktów pozwalających obserwować tę płataninę przejść, którą prowadził mnie Jussuf. Wątpię, czy do Czeczenów trafili za mną. Musieli ich wcześniej namierzyć. Nic jednak nie zrobili.

Kroczyliśmy obok siebie w milczeniu. To oczywiste, że nie był zwykłym policjantem. Polskie służby specjalnie. Najprawdopodobniej kontrwywiad. Powiedział coś takiego, gdy jedliśmy z Babs śniadanie w hotelu. Co to było... Ostrzegał mnie przed naruszeniem polskiego prawa. Mówił o tym, że moje zarzuty naruszenia uprawnień konstytucyjnych mogą sobie wsadzić gdzieś. Miał więc duże możliwości. Na pewno większe niż jakiś tam oficer policji.

Stanęliśmy na rogu ulic, przed kilkoma wiodącymi w górę schodkami. Kępiński milcząc wskazał szklane drzwi. Wszedłem po schodach do rzeczywiście niewielkiego baru. Kilka stolików rozrzuconych w nieprzytulnym wnętrzu. Pusto.

Zgodnie skierowaliśmy się do najdalszego od bufetu stolika i obaj zasiedliśmy plecami do ściany w pobliżu otwartego okna. Niemłoda kelnerka przyniosła kartę. Zamówiłem liptona w dzbanku, co zostało przyjęte bez komentarzy. Kępiński zamówił kawę i poprosił o zezwolenie na zapalenie papierosa. Widocznie w tym lokalu nie wolno palić. Kelnerka rozejrzała się po pustej sali i niechętnie wyraziła zgodę, zastrzegając, żeby zaniechał palenia, gdy pojawią się następni klienci. Przez okno wdierał się szum ruchliwej ulicy. Mój towarzysz zapalił papierosa. W milczeniu oczekiwaliśmy na realizację zamówienia.

Dopiero gdy kelnerka wróciła za bufet i skryła się na zapleczu, Kępiński powiedział:

- Tak się szczęśliwie składa, że powierzono mi sprawę pożaru w pańskim mieszkaniu. Potem okazało się, że wiele różnych zdarzeń łączy się z panem. Strzelanina w restauracji i co najmniej trzy trupy. Śmierć pańskiego przyjaciela w hotelu. Porwanie dziadka. Nie wspomnę już o tajemniczej śmierci kilku bandziorów w motelu pod Lublinem. Można powiedzieć, że śmierć idzie pańskim tropem. A może towarzyszy panu?

- O ile mi wiadomo, w pożarze nikt nie zginął - ripostowałem. - A Scott nie był moim przyjacielem.

- Ale mógł. Mówiłem panu, że ktoś tam strzelał. Może do pana, nie wiedząc o pańskiej nieobecności, może do kogoś innego. Kto wie?

- Wydaje mi się, że drzwi do mojego mieszkania zostały wysadzone. Nie da się tego zrobić po cichu. Gdyby ktokolwiek był w mieszkaniu, musiałby zareagować, nawet jeżeli był w sypialni. Przemyślałem to i uważam, że te kule nic nie znaczą. Gdyby utkwily w ścianach przedpokoju, to zmieniałoby postać rzeczy. Przynajmniej z pańskiego punktu widzenia.

- Dlaczego?

- Bo ja wiem, że mieszkanie było puste. Pan mógłby przypuszczać, że jednak ktoś podszedł do drzwi, a pożar zatarł ślady. Ale wtedy pożar powinien zacząć się w przedpokoju.

- Ma pan rację. - Przyjrzał mi się uważnie i z zaciekawieniem. - Przynajmniej co do pożaru. A co z resztą?

- Nie odpowiadam za przypadki.

- Statystycznie rzecz biorąc - podjął, zapalając następnego papierosa - nieprawdopodobne przypadki.

Zrobiłem sobie przerwę. Zajrzałem do dzbanuszka, sprawdzając, czy herbata już jest dobrze zaparzona, nalałem pół filiżanki i spróbowałem. Była właściwie zaparzona i miała właściwą temperaturę. Uzupełniłem filiżankę i wypilem kilka łyków. Kępiński cierpliwie przeczekał wszystkie moje manewry. Wypilem kilka dalszych łyków i dopiero wówczas wróciłem do rozmowy.

- Jest taka nauka, nie wiem, jak to będzie po polsku. Bada ludzi, którym zdarza się statystycznie często, że są ofiarami przestępstw. Napadów, rozbojów, gwałtów. Okazuje się, że są ludzie szczególnie podatni na to, by być ofiarami. Gdzieś o tym czytałem. Naukowcy udowodnili, że statystyczne reguły do tych ludzi się nie odnoszą.

- Tak, też czytałem. Jest jednak istotna różnica. Pan nie jest ofiarą.

- Ależ jestem! Czysty przypadek, że nie poniosłem żadnej szkody.

- Teoretyczne rozważania. Teoretyczny spór. Co pan wie o porwaniu?

Postanowiłem dopić herbatę. Była dobra, a poza tym zyskiwałem trochę czasu na zastanowienie się. Ponownie sięgnąłem do dzbanuszka. Wypilem kilka łyków, rozkoszując się smakiem. Dopiero gdy na dnie filiżanki zostało niewiele płynu, wróciłem do rozmowy.

- Tylko to, czego dowiedziałem się od adwokatki. Weszli do niej i zabrali dziadka.

- Ale pański dziadek był z ochroniarzem. Miał nawet dwóch. Z ambasady. Dlaczego?

- Były napady na dom dziadka Bolesława. Poskarżyłem się w ambasadzie, dziadek, jak pan wie, jest obywatelem amerykańskim. Przyznali ochronę.

Proste.

- Możliwe. - W zamyśleniu pokiwał głową, po czym spojrzał mi w oczy. - Tylko wie pan, po raz pierwszy słyszę, żeby przyznali taką ochronę na podstawie samych sugestii. W ogóle po raz pierwszy spotkałem się z przypadkiem, że przyznano taką ochronę. Co roku przyjeżdżają tu setki tysięcy, jeżeli nie miliony obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia. Im też zdarzają się kradzieże, rozboje. Ambasada nie daje im ochroniarzy.

- Powiedzmy, że, jak mówicie, mam w ambasadzie „chody”. Trochę nacisnąłem, bo bałem się o dziadka. W końcu to starszy pan. To chyba w Polsce nie jest karalne?

- No dobrze. - Kępiński zgasił z westchnieniem papierosa. - Nie chce mi pan nic powiedzieć. To ja panu powiem. Czy pan wie - rozpoczął, obserwując mnie uważnie - że ten napastnik, który znalazł się w szpitalu, okazał się Czeczenem? Najprawdopodobniej związany jest z tą wystrzelaną w motelu grupą. Sprawdzamy to, ale czuję, że mam rację.

Zaskoczył mnie. To by świadczyło, że próbowali się do mnie dostać znacznie wcześniej, niż przypuszczałem.

- Naprawdę? Słyszałem, że ta prokurator, która nie przyjęła do wiadomości, że Bolesław bronił domu, była związana z Czeczenami.

- Rzeczywiście, coś tam było. Uważa pan, że ten ślad prowadzi do niej?

- Chyba mówiłem już panu, że próbowali wyłudzić od dziadka dużą sumę? I że ona miała w tym swój udział? Oczywiście wspólnie z adwokatem Zdrojewskim. No i ktoś wyżej krył jej tyły.

- Tak. Zdrojewski jest podejrzany. Chodzimy też trochę koło jednego z dyrektorów banku, bo też musiały być powiązania. Pański dziadek nie był jedynym, którego pozbawiono dolarów. Różnymi metodami. - Skrzywił się. - Mamy mało dowodów.

- A co z górą? Przecież ktoś ją krył.

- Rozmawiałem z jej zwierzchnikami. To cienka sprawa. Rozumie pan, prokuratorzy. Lata pracy w prokuraturze, właściwe powiązania. Niczego się nie dowiedziałem. Wszystko w granicach prawa. A właśnie. Mam dla pana dobrą wiadomość. Pański dziadek Bolesław został zwolniony z aresztu. W świetle dalszych wydarzeń prokuratorzy już nie mają wątpliwości, że tam był napad. Rozdzielają teraz włos na czworo, rozważając, czy było przekroczenie granic obrony koniecznej, czy też nie.

- To śmieszne! - warknąłem z oburzeniem. - Kilkunastu napastników, a w domu troje starców i Marek. A na dodatek tamci mieli broń. Cieszę się z uwolnienia Bolesława.

- Właśnie. Zabezpieczono ślady i one to potwierdzają. Swoją drogą mieliście szczęście, że zabezpieczono te ślady. - Kępiński znowu uważnie mnie obserwował.

- Te lubelskie wydarzenia, jak z naszej rozmowy wynika, nie mają nic wspólnego ze mną. Zwyczajni bandyci, zwyczajni skorumpowani prokuratorzy, zwyczajna żądza pieniędzy - podsumowałem, zmierzając do zakończenia rozmowy.

- Wszystko jest zwyczajnie niezwykłe. Ci marines i pańska rola w tej sprawie...

- Rola niedobitej ofiary. To chyba nie jest karalne, nie dać się zabić?

- Zależy. Już parę lat temu czynniki polityczne ustaliły, że prawo ma charakter względny. My jesteśmy tylko wykonawcami. Przystosowujemy się. Również do względności prawa. Na marginesie: w Lublinie był dzisiaj jeden z tych marines. Widziano go z pańską kuzynką. Podobno piękna kobieta.

- Co to ma do rzeczy?

- Tak się tylko zastanawiam. Normalni ludzie tej bandzie rady by nie dali, ale marines... kto wie? A pan dzisiaj prowadził rozmowy z Czeczenami. I tego nie rozumiem.

- Nie rozumiem, czego pan nie rozumie.

- Widzi pan - Kępiński uśmiechał się łagodnie, spoglądając z filuternym zaciekawieniem - wyszło na to, że dom pańskiego dziadka zaatakowali Czeczeni. Prokurator, która was prześladowała, była z nimi powiązana. Drugiego pańskiego dziadka też porwali Czeczeni. A pan się z nimi spotyka, rozmawia. Tego właśnie nie rozumiem.

- Skąd pan wie, że porywaczami byli Czeczeni? Od dziadka? Poza tym oni chyba nie wszyscy są bandytami.

- Niestety, pański dziadek ma bardzo słabą pamięć. Wyszło nam tak z dochodzenia. Dodaliśmy dwa do dwóch. Na pewno nie wszyscy są bandytami, ale na razie ci lepsi do Polski nie przyjeżdżają.

- O co panu chodzi? Uważa pan, że prowadzę z bandytami jakieś pertraktacje? I że są to ci sami, którzy atakowali dom jednego dziadka i porwali, pańskim zdaniem, drugiego?

- Tak szczerze mówiąc, to jestem ciekaw, na jaki temat pan z nimi rozmawia - przyznał z rozbijającą szczerością.

- O dostawach z mojej amerykańskiej firmy do Czeczenii - warknąłem, niezbyt mijając się z prawdą. - Polski to w ogóle nie dotyczy.

- To dlaczego rozmawiacie tutaj?

- Oba stronom tak było wygodnie. Często się zdarza, że kontrahenci spotykają się w pół drogi.

- A właśnie, podobno zaginął wam jeden marines? - zapytał całkiem bez związku z poprzednim tematem.

- Tak słyszałem. Znowu ma pan jakieś skojarzenia?

- Miałem teorię, że obaj poszli odbijać pańskiego dziadka i wtedy rozbili tę bandę w zajezdzie. Jeden z nich mógł przy tym zginąć.

- Potwierdziła się? - Mój głos ociekał sarkazmem.

- Niestety. Okazało się, że zginął wcześniej. Ten drugi rozpoznał go dzisiaj w kostnicy. W Lublinie. Pańska kuzynka podobno mocno to przeżyła. Przykro mi.

- Jak to się stało? - spytałem, starając się okazać mniejsze zainteresowanie, niż odczuwałem.

- Zginął w sobotę. Może w nocy z soboty na niedzielę. Późno go znaleźli. Trudno ustalić. Zastrzelony. Był bez dokumentów. Dopiero jak adwokatka powiedziała, że zaginął, skojarzyłem sobie i kazałem go pokazać temu marines.

- Ma pan jeszcze jakieś teorie?

Był nieczuły na sarkazm, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Kilka. Jedna się potwierdziła. Broń, z której go zastrzelono, na pewno była użyta w zajezdzie.

- Coś z tego wynika?

- Nadal myślę, że ktoś chciał zrobić porządek z Czeczenami. Ten zabity to jeszcze jeden powód. No i wszystko dalej kręci się wokół pana i pańskiej rodziny.

- Wszystko się panu ze mną kojarzy. Chyba ma pan obsesję. Zdrowiej będzie, jak wrócimy do swoich zajęć. - Odsunąłem krzesło, zamierzając opuścić Kępińskiego.

- Niech pan poczeka. Mam jeszcze jedną sprawę. Poza tym ja właśnie wykonuję swoją pracę - powstrzymał mnie gestem dłoni.

- Zawsze wydawało mi się, że praca śledcza polega na zbieraniu dowodów, a nie prowadzeniu bezsensownych rozmów. - Usiłowałem sprowokować go złośliwością, skoro nie dałem rady sarkazmem. - Słucham, co jeszcze?

- Widzi pan, w tym zajezdzie, choć może to niedokładne określenie, znaleźliśmy zapiski, a właściwie kartkę... - Kępiński przeszukiwał kieszenie, nie spuszczając ze mnie wzroku. - O, jest! - wykrzyknął, podając mi karteczkę zabezpieczoną plastikową okładką. Zanim mi ją podał, wiedziałem, że to kartka z zapisanym numerem Jurka. Dobrze przypuszczałem, że tam ją zgubiłem. Ciekawe tylko, gdzie ją znaleźli. Obejrzałem ją dokładnie z obu stron, tak jak oczekiwał.

- I co? Powiniennem coś o niej wiedzieć? - zapytałem.

- Myślałem, że to może pańska. To jest numer pańskiego znajomego.

- Doprawdy? Ustalił pan, że jestem jego jedynym znajomym? O kogo chodzi?

- Nie rozpoznał pan numeru - westchnął z demonstracyjnym rozczarowaniem. - Szkoda. Rzeczywiście, ta rozmowa niewiele mi dała. Mam jeszcze jedną prośbę, zanim się pożegnamy - powiedział, wstając z krzesła i kierując się do baru, po czym całą swoją uwagę poświęcił kelnerce, u której regulował rachunek.

Stałem za nim, czekając na wypowiedzenie prośby. Podjąłem mocne postanowienie, że opuszczę ten kraj najszybciej, jak będę mógł. Kępiński był stanowczo zbyt operatywny i miał za wiele wyobraźni.

- Pański dziadek mówił, że pan nalega, aby wrócił do Stanów. On jest świadkiem, ważnym świadkiem. Mówiłem już, że mamy mało dowodów, a ja chcę rozwiązać tę sprawę i winnych wysłać do więzienia. Chciałbym, żeby tu został. Obecnie nic mu już nie grozi. Jestem pewien.

- Dziadek jest dorosły. Co najmniej od kilkudziesięciu lat. Zrobi, co zechce. Może rzeczywiście nic mu nie grozi. Zastanowię się. To już wszystko? - zapytałem, zamykając za sobą drzwi baru.

- Prawie. Na razie do zobaczenia - powiedział Kępiński i ruszył po schodach w dół.

Pozostałem na rogu ulic. Rzędy aut wypełnionych powracającymi z pracy posuwały się powoli w popołudniowych korkach, w spalinach prześwietlonych promieniami słońca. Znalazłem wzrokiem Pałacu Kultury i jego usytuowanie powiedziało mi, gdzie jestem, a także jak iść, aby dotrzeć do Marszałkowskiej.

Ruszyłem w jej stronę, rozglądając się po drodze za restauracją, w której mógłbym zjeść obiad. Miałem pracowity i nerwowy dzień, a czekający mnie wieczór nie zapowiadał się lepiej. Tylko Walter uważał, że personel może nie jeść i nie spać. Personel, w tym wypadku ja, był przeciwnego zdania. Nie rozglądałem się za moją ochroną... Jeżeli są tu gdzieś, sami mnie znajdą. Swoją drogą wykazali się wyczuciem, nie pchając się za mną i Kępińskim do tego baru.

Na najbliższym rogu zobaczyłem po przeciwnej stronie hotel Forum. Nie był specjalnie dobrze notowany, ale podobno w jednej z restauracji można było nieźle zjeść. Chciałem zasiąść przy stoliku, zanim dopadną mnie na polecenie Waltera i zawloką do ambasady. Wybrałem restaurację w stylowym wnętrzu.

Kelner zjawił się szybko, a ja bez namysłu zamówiłem schabowy. Musieli go mieć w każdej polskiej restauracji, a ja oszczędzałem czas. Kelner przyjął zamówienie, ale nie odszedł od stolika. Natrętnie namawiał mnie na aperitif przed jedzeniem. Byłem głodny i nie potrzebowałem nic na apetyt. Faktycznie, jakość obsługi nie świadczyła dobrze o hotelu.

Zastanawiałem się nad przebiegiem rozmowy z Kępińskim i tym, co mógł podsłuchać z rozmowy z Czeczenami, jeżeli założył tam podsłuch. Jeżeli założył, musiał wiedzieć, że przedmiotem transakcji jest broń. Niezręczna sytuacja.

Moje dalsze rozmyślenia przerwała Babs. Znowu pojawiła się niespodziewanie, tym razem w różowej garsonce i białej bluzeczce. Jak zwykle pachniała indian summer. Usiadła naprzeciwko i przesłała mi zachęcający uśmiech, zanim zdążyłem wstać na powitanie.

- Chyba skończyłeś już z nimi? Walter nie będzie zadowolony, że wszystko uzależniłeś od zakładników - zaczęła po angielsku zamiast powitania.

- Samo wyszło. Słyszałaś, że dali temu zbójowi swobodę. To równoznaczne z oszustwem. Moja taktyka jest skuteczna. Na pewno będą grzeczni przez najbliższe trzy miesiące. Może nawet dłużej, chyba że wymyślą jakiś nowy przekręt.

- A co potem?

- Nie moja sprawa. Dostaną innego negocjatora. Niech się martwi, jak trzymać ich za twarz,

Podszedł kelner i Babs zamówiła, ku mojemu zdumieniu, to samo co ja, choć dotychczas starannie wybierała potrawy dietetyczne.

- Gust ci się zmienił czy postanowiłaś przytyć? - spytałem zaczepnie.

- Większość smacznych potraw tuczy. - Westchnęła zabawnie. - Czasem pozwalam sobie na rozpustę.

- Tylko w jedzeniu? Chyba oboje znamy jeszcze inne jej rodzaje?

- Chwilowo tylko w jedzeniu - odpowiedziała z uroczym rumieńcem, spuszczać oczy.

- Czeka nas pracowity wieczór.

- Ciebie też? Moja operacja jest właściwie skończona. Chyba twoja rola w niej też.

- Tak myślałam, ale Walter chce, żebym była przy podsumowaniu. Poza tym jest jeszcze sprawa twojego dziadka. Masz nadzwyczajnego dziadka!

- Rzeczywiście. Ale ja też jestem nadzwyczajny. Odziedziczyłem to po nim - zażartowałem.

Zjedliśmy obiad, przekomarzając się. Babs uparcie mówiła po angielsku, co zmieniło zachowanie kelnera na nieco bardziej uprzejme. Nawet próbował porozumiewać się z nami w tym języku, ale nie były to udane próby.

Tak jak poprzednio, Babs zabrała mnie do ambasady swoim samochodem. Walter czekał, z niezadowoleniem potrząsając emiterem szumów. Najwidoczniej urządzenie nie działało dość dobrze, bo gdy tylko weszliśmy, kazał Babs zanieść emiter do techników i przynieść inny, w pełni sprawny.

- Przesłuchałem twoją rozmowę z tym policjantem. Co o tym myślisz?

- Czy Harry wrócił z Lublina?

- Jeszcze nie. Nie wiem, gdzie go można złapać. Dzwoniłem pod ten telefon, który mi zostawiłeś, ale nie było go tam.

- Wiesz o tym drugim marines?

- Właśnie się dowiedziałem. Z tego, co powiedział ten komisarz, wynika, że to robota Czeczenów.

- Na to wygląda.

- Słuchałeś dzisiejszych wiadomości? - spytał Walter.

- Nie. Powinienem?

- Właśnie podali, że na szpital w Kislarze napadła grupa bojowników pod wodzą niejakiego Salmana Radujewa. Zabrali z tego szpitala zakładników. Ciekaw jestem, w jakich on jest stosunkach z naszym ajatollahem.

Pomilczeliśmy zgodnie aż do powrotu Babs. Postawiła emiter na blacie przed Walterem i wróciła do sekretariatu, by zrobić kawę. Walter gorliwie podłączał i sprawdzał emiter.

- Gotowe - mruknął do siebie, po czym głośniej powtórzył. - Gotowe, Babs.

- Jedną chwilę. Robię kawę - odkrzyknęła.

- Zaczniemy od naszych przyjaciół? - spytałem.

- Tak. Treść rozmowy znam. Byliśmy na nasłuchu. Nawet nagrałem ją i przekazałem już do centrali. Myślę, że twój pomysł z tymi zakładnikami nie jest zły.

- To co cię interesuje? I tak muszę nagrać wszystko dla Firmy.

- Zaczekajcie na mnie. Jest kawa - powiedziała Babs, wnosząc dzbanek i filiżanki.

- Jeszcze nie zaczęliśmy - mruknął Walter, podstawiając jej swoją filiżankę. - Jak oceniasz tę rozmowę?

- Nadal mam wątpliwości, czy należy dawać im broń. Że są nielojalni, to chyba zauważyłeś.

- Nie rozumiem, jak oni mogli zabić naszego marines! Przecież to oczywiste, że narażali się Stanom Zjednoczonym, od których oczekują pomocy - wtrąciła Babs.

- Oni inaczej myślą, ale nie to jest problemem. Najgorsze, że znają naszą słabą stronę. Wyczuli ją i będą wykorzystywać - wymruczał Walter, szczypiąc się w dolną wargę.

- O co ci chodzi?! - wykrzyknęła.

- Widzisz, zawsze, gdy ktoś weźmie zakładników i straszy, że ich zabije, ustępujemy - wyjaśniłem.

- To chyba dobrze. Jesteśmy humanitarni i dbamy o dobro obywateli - rzekła ze zdziwieniem.

- W zasadzie tak. Ale to nasza słaba strona. Dlatego porywają ludzi, dlatego porwali mojego dziadka. My wiemy, że oni nie zawahają się przed morderstwem. Oni wiedzą, że boimy się właśnie tego. Udowodnili, że są gotowi to zrobić, kiedy zabili trzech Anglików z kompanii telefonicznej, po odmowie zapłacenia okupu przez rząd angielski. Zapamiętali jednak tę lekcję i Anglików już nie porywają.

- Rozumiem. Też się już nad tym zastanawiałem - rozpoczął Walter, rysując kółko na leżącej przed nim czystej kartce papieru. - Uważasz, że trzeba im dać do zrozumienia, że rozgromienie tej ich bandy było odwetem za morderstwo i porwanie? - zwrócił się do mnie.

- Tak. To konieczne. Musimy dać im to do zrozumienia, ale najlepiej przez pośrednika w Iraku. Jak już wyjadę. Uwierzą też wtedy, że zakładników może spotkać smutny los, jeśli zdradzą. Swoją drogą, ta grupa poszła w rozsypkę. Proponuję, żebyś wysłał Harry'ego na polowanie. Może uda mu się ustrzelić jeszcze kilku. To wzmocni naszą pozycję przetargową.

- Musiałbyś zostać, a ja mam już dla ciebie następne zadanie. Harry ich nie rozpozna. Nie wchodzi w grę - stanowczo stwierdził Walter.

- To o czym mamy rozmawiać? - spytała Babs.

- W pierwszej kolejności o wrażeniach Toniego.

- Zauważyłeś chyba, że Arishan puścił farbę, stwierdzając, że tatuś nie utrzyma autorytetu, jeżeli będziemy kolejno eliminować zakładników, a jego zostawimy na koniec? - rozpocząłem.

Walter w milczeniu skinął głową, skupiony na starannym rysowaniu drugiego kółka.

- Oznacza to, że od początku mieli plan, jak nas wykiwać - kontynuowałem. - Jego nie przeraziła wizja utraty życia, tylko fakt, że sposób eliminacji zakładników będzie właśnie taki, jak przedstawiłem.

- Nie rozumiem. Śmierć to śmierć - wtrąciła Babs.

- Wszyscy ojcowie będą męczennikami, tylko nie ajatollah - podsumował Walter, pytając wzrokiem, czy myślę tak samo.

Tym razem ja potwierdziłem skinieniem głowy.

- Rozumiem. Utrata twarzy jest dla nich ważniejsza niż utrata najstarszego syna - odkrywczo stwierdziła Babs, zakręcając na palcu pukiel włosów.

- Szczególnie wtedy, gdy syn przywódcy ciągle będzie żył - dopowiedziałem. - To ludzie nawykli do podstępów i kręctw. Zaczną podejrzewać, że wszedł z nami w

porozumienie, aby zlikwidować ich następców. Zabawne, ale tego akurat nie przewidywałem. Dopiero okrzyk Arishana uświadomił mi również taką możliwość.

- Dobrze. Poprę twój pomysł z zakładnikami. - Walter odłożył długopis, skończywszy rysowanie trzeciego kółka, łączącego dwa poprzednie. - Porozmawiajmy teraz o tym policjancie. Co o nim myślisz, Toni?

- Powiedział mi więcej niż ja jemu, co sugeruje, że jest nam przyjazny. Nie odczuwam jednak tego w ten sposób. Powiedziałbym, że nie przeszkadza nam, bo ma takie instrukcje. Zwykła kalkulacja, ale nie przyjaźń.

- Na pewno się mylisz. Oni wszyscy nas tu kochają. Wydali ci dokumenty. Pamiętam, jak go poznałam na wystawie. Cały czas się szczyrzył - zaproponowała Babs.

- Do ciebie, bo jesteś kobietą i na pewno mu się podobasz - skwitowałem. - Uważam, Walter, że zwrócenie się do tutejszych władz o te dokumenty było błędem. Teraz przez cały czas mogą mnie namierzyć. Wiedzą, że mam tu coś do zrobienia, i to jest niedobre, nawet jeżeli nie wiedzą co.

- Pewnie masz rację - odpowiedział skupiony na rysowaniu wężyka ozdabiającego wnętrze czwartego kółka. - Tylko że nic już nie możemy zrobić. Poza tym - rozpoczął wypełnianie wnętrza trzech kółek poprzecznymi liniami - co oni mogą wiedzieć? Twoje kontakty z Jurkiem są jawne. Nawet gdyby ten Kępiński znał ich przyczynę, co może zrobić? Do kogo z tym pójdzie? Nie widzę niebezpieczeństwa.

- On jest dobry. Na pewno kojarzy i ma wystarczającą wyobraźnię, aby dopuszczać, że to my załatwiliśmy tę bandę. Właściwie sam mi to powiedział.

- Uspokój się - zaszemrał Walter, zajęty tym razem pionowymi liniami we wnętrzu kółek. - Likwidacja tej bandy również z jego punktu widzenia jest korzystna. Nie ma żadnego interesu.

- Chyba jest jakaś różnica między wsadzeniem morderców i porywaczy do więzienia a ich zabijaniem w krzakach?! - wykrzyknęła Babs.

- Owszem. W kosztach - cynicznie podsumował Walter, podnosząc głowę znad swoich rysunczków. - Nie ma obaw. Nie zagraża ci. Na wszelki wypadek dostaniesz paszport dyplomatyczny. I tak mam ci go wydać do następnego zadania. Dam ci go teraz. - Wyjął z szuflady biurka nowy paszport i położył przede mną. - Oddaj ten duplikat.

A więc wyjeżdżam. Niedługo. Może jutro. Pewnie dlatego Walter wyznaczył to spotkanie.

- Jedziesz, ale nie jutro. W sobotę, najpóźniej w niedzielę. Do Hamburga. Babs zarezerwowała już przeloty. Do tej pory mieszkasz tutaj.

- Jeżeli już muszę, to może daj mi jakiś przyzwoity pokój. Ten, który dostałem, jest wielkości szafy.

- Możesz mieszkać z dziadkiem. Obaj musicie podjąć decyzję, czy wraca z tobą, czy zostaje.

- Co za nadzwyczajna gościnność! - warknąłem.

- Gościem jest twój dziadek. Ty jesteś pracownikiem - spokojnie powiedział Walter, łącząc kółka spiralkami. - Ostatecznie możesz zamieszkać u Babs - dodał po chwili, przyglądając się nam obojgu z zainteresowaniem.

Babs w milczeniu, ze spuszczoneymi w dół oczami zakręcała na palcu kosmyk włosów. Pod badawczym spojrzeniem Waltera zaróżowiła się nieco.

- Rozsiewałeś swoje bagaże po Polsce i to mnie Walter kazał je pozbierać. Mam w domu twoje rzeczy z Warszawy. Harry przywiózł tutaj wszystko, co zostawiłeś w Lublinie. Dzień czy dwa możesz u mnie zostać - powiedziała niepewnie po chwili.

Popatrzyłem na Waltera, który z niewyraźną miną wrócił do swoich rysuneków; czyżby występował właśnie w roli swatki? A może po prostu chciał mnie mieć na oku? Muszę jeszcze porozmawiać z dziadkiem i to nie na terenie ambasady.

- Jak skończymy, będę musiał nagrać wszystko dla firmy. To potrwa do nocy. Dzisiaj mogę przespać się tutaj. Moje zadanie jest skończone, chcę dostać wolne aż do odlotu do Hamburga - zwróciłem się do Waltera. - Od jutra - zerknąłem na Babs - bardzo chętnie skorzystam z twojej gościnności.

- Rzeczywiście, Toni ma jeszcze kilka godzin roboty - mruknął Walter.

- No to razem spędzimy weekend - rzuciła lekko Babs, podnosząc się. - Rozumiem, że jestem już wolna?

Walter skinął głową, nie odrywając wzroku od rysowanej właśnie spirali.

Siedzieliśmy obaj w milczeniu, wsłuchani w odgłosy zamykania szuflad i ustawiania różnych przedmiotów na biurku, zakończonych chrobotem przekręcanego klucza w drzwiach sekretariatu. Dopiero gdy usłyszeliśmy cichnące kroki Babs na korytarzu, Walter odsunął od siebie kartkę i ułożył na niej starannie długopis.

- O co chodzi? - spytałem.

- Widzisz, jakoś nie mogę nawiązać dobrego kontaktu z tym twoim Jurkiem. Mam być jego prowadzącym i to mi nie wychodzi. On tu dzwoni, rozmawiamy. Jak ma coś ważnego, to ze mną o tym nie chce rozmawiać. Nie mogę go przyciskać, sam rozumiesz. Musisz mu przekazać, że jak wyjedziesz, ma kontaktować się ze mną.

- To nie jest nasz człowiek. Musisz zrozumieć, że będzie robił, co zechce. Nie możesz wyznaczać mu zadań - wyjaśniłem.

- Ale forszę od nas bierze.

- Bierze. I uważa, że mu się należy. Ty go nie kupujesz. Spłacasz doznane krzywdy.

- Jakie krzywdy?! Coś mu zrobiłem?! - wykrzyknął Walter.

- Ty osobiście nie. To taka tutejsza specyfika. Oni wszyscy uważają, że świat jest im coś winien.

- Za co?!

- Za wszystko. Za to, że byli przedmurzem chrześcijaństwa w Europie. Za Jaltę, bo uważają, że tam zostali sprzedani Stalinowi. Za to, że są męczennikami, a co ciekawsze, chcą nimi pozostać. Słyszałeś chyba, że Polska jest Chrystusem narodów? - rozwijałem swoją myśl, formułując ją tak wyraziście po raz pierwszy.

- No, owszem. I co z tego?

- Chrystus dla katolików to przede wszystkim męczennik - męczennik zbawiciel. Rozumiesz?

- Jestem protestantem. To znaczy byłem, ale chyba łapię, o co chodzi - mruknął, przyglądając mi się z uwagą.

- Oni sobie wyobrażają, że Polska jest takim męczennikiem i że przez to męczeństwo staje się zbawicielem. Dlatego wszystko, co dostają, uznają za należne.

- Poważnie mówisz? - zapytał zdumiony Walter. - Nie muszą zapracować, zarobić, tylko im się należy? Jakby za zasługi przodków?

- Właśnie. Dokładnie tak. Teraz mają jeszcze jeden powód: obalili komunizm. Rozwalili Związek Radziecki. Znowu ocalili świat.

Walter przyglądał mi się przez długą chwilę, w milczeniu kręcąc głową.

- Zupełnie do nich nie dociera, że to efekt dziesiątków lat pracy, wysiłków polityków, miliardów dolarów? - spytał w końcu. - Zupełnie nic?

- Nic. To wyłącznie ich zasługa. Koniec. Kropka. Jak zrozumiesz ten punkt widzenia, będziesz mógł swobodnie kierować Jurkiem. On służy wielkiej sprawie. Pieniądze bierze przy okazji. Rozumiesz?

- Jakiej sprawie? - spytał niepewnie.

- Obojętne. Pokój międzynarodowy, wolność, demokracja. Wszystko jedno. Może być patriotyzm. Każde hasło jest dobre. Musisz je tylko powiązać z aktualnym zadaniem. Wtedy zrobi, co trzeba. A pieniądze weźmie przy okazji.

- Ale przecież ślepy by zobaczył, że tu nie ma żadnej wielkiej sprawy. Czysty biznes.

- Nie rozumiesz. Zwykle zarabianie pieniędzy jest poniżej godności. To zwyczajne, nudne i na dodatek haniebane.

- Dlaczego?

- Bo wielcy ludzie nigdy nie parali się zwyczajną pracą. To ten twój anglosaski praktycyzm. Tutaj patrioci byli biedni, bo w walce tracili majątki. Bogactwo pochodzące z pracy zasługuje co najwyżej na pogardę. Jak to zrozumiesz, zrozumiesz wszystkich.

- A ja myślałem, że to socjalizm kazał im gardzić pieniądzem - powiedział lekko oszołomiony Walter.

- Oni nie gardzą pieniądzem. Oni gardzą ludźmi, którzy dorabiają się pieniędzy, składając grosz do grosza. Nawet wówczas, gdy w ten sposób wyrosnie fortuna. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Przemysł to sobie. Pójdę do lochu nagrać raport - zakończyłem, pozostawiając Waltera ze zdumieniem na twarzy.

- Zadzwoń do niego. Musicie być w stałym kontakcie - usłyszałem, zamykając drzwi.

Nagrywanie sprawozdań dla Firmy jest wyczerpujące, bo wymaga wzmożonej uwagi i pamiętania o wszystkim; jest także nużące, bo kolejny raz przeżywam wydarzenia i wypowiedzi. Bardzo, bardzo rzadko bywa odkrywczе. Tym razem przypomniałem sobie wtrąconą przez Arishana uwagę: „Al Hattab pomoże”. To Jordańczyk z ewidentną skłonnością do terroryzmu. Dobrze jest wiedzieć, z kim utrzymują kontakty nasi przyjaciele.

Skończyłem kilka minut przed dziesiątą. Wchodząc na górę, postanowiłem odwiedzić dziadka. Może jeszcze nie spał. Musiałem też zadzwonić do Jurka. Nie przewidywałem, żeby miał nowe wiadomości, ale powinien mi dać numer konta, bo przecież miał dostać te swoje pół miliona. Powinienem tego dopilnować. Dziadek nie spał. Siedział z Harrym przy śniadaniowym stoliku, na którym królowała opróżniona do połowy duża butelka walkera z czarną nalepką.

Wszystko wskazywało na to, że raczą się tym napojem od jakiegoś czasu. Entuzjazm, z jakim mnie powitali, potwierdził moje podejrzenie. Harry chciał się ze mną natychmiast podzielić wrażeniami z wycieczki do Lublina, a dziadek miał wiele własnych komentarzy. Z trudem udało mi się uspokoić ich na moment.

Pomysł telefonowania stąd do Jurka może nie był najlepszy, ale stało się. Z mojej dziupli nie mogłem dzwonić, a opuszczenie obu zaprzyjaźnionych teraz kompanów też nie było możliwe. Zażądałem szklaneczki i machając ręką, uspokajałem mniej i bardziej zabawne komentarze pod moim adresem, gdy wybierałem numer Jurka. I tym razem zgłosił się niemal natychmiast.

- Wszystko w porządku. Spotkajmy się jutro, to dasz mi numer. Jestem do twojej dyspozycji - rozpocząłem po powitaniu.

- Co mam ci dać? Jaki numer? - zapytał gorączkowo.

- Numer twojego konta - wyjaśniłem.

- Wiesz, to trochę inaczej, niż myślisz - powiedział Jurek niepewnie. - Musisz mi pomóc.

- Oczywiście. Przez cały jutrzejszy dzień jestem do twojej dyspozycji.

- Trzeba będzie wyjechać... i musisz mi pomóc...

- Chcesz opuścić ukochaną ojczyznę? Może musisz?

- Nie, to nie tak. Widzisz... ja jeszcze nie mam tego konta. Musisz mi pomóc - zajęczał.

- Co mam zrobić?

- Pojedziemy razem i założysz mi konto.

- Gdzie?

- Myślałem o Monaco... albo Luksemburgu... Może Irlandia - wyszeptał.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Dlaczego nie Kajmany? Musimy się jutro spotkać. Gdzie i kiedy?

- Zastanawiam się... Może w Łazienkach?

- Dla mnie może być. Tylko kiedy tam ostatnio byłeś? - spytałem.

- Dawno. Może dwa, może trzy lata temu. O co ci chodzi?

- To ma normalnie wyglądać. Spotkajmy się tam, gdzie zwykle bywasz.

- Zobaczą nas - wyjęczał.

- Widzieli nas już kilkakrotnie. Spotkamy się przypadkowo. Podejrzane byłyby nasze spacery po parku - uspokajałem go, zniecierpliwiony.

- Rzeczywiście. To może w kawiarni Forum? Umówiłem się tam z jednym gościem. O pierwszej. Dobrze będzie?

- Przyjdę pół godziny później. O wpół do drugiej. Znajdę cię.

- Będę czekał - pożegnał mnie Jurek konspiracyjnym szeptem.

Teraz mogłem oddać się świętowaniu uwolnienia Bolesława.

Harry był dumny z naszej wspólnej akcji uwolnienia dziadka Andrzeja i cieszył się wraz z nami ze zwolnienia z aresztu dziadka Bolesława. Beładnie przerzucaliśmy się wspomnieniami z nocnej akcji. Dziadek słuchał nas z uśmiechem radości, dopytywał o szczegóły. Razem z nami przeżywał inwazję komarów i zamierał przy podchodzeniu do domków. W pewnym momencie Harry zaczął zachwycać się urodą towarzyszącej mu przez

cały dzień Barbary. Musiał ją jednak skojarzyć ze znalezionym martwym kolegą, gdyż nagle odstawił pustą już szklankę i melancholijnie zapatrzył się w ciemność za oknem.

- Szkoda Dina - oznajmił poważnie. - Coś bym zrobił.

- Pomyślimy o tym jutro. Ja i ty przecież tu zostajemy. Widziałem ich prawie wszystkich. Chodźmy spać - zakończył wieczór dziadek.

Wróciłem do swojego pokoju. Dziś również nie musiałem zabezpieczać drzwi i świadomość tego faktu sprawiła, że czułem się rozluźniony. Zasypiałem inaczej niż dotychczas. Z poczuciem, że mogę spać dowolnie długo i nie muszę budzić się w pełnej mobilizacji.

Czwartek - dzień siedemnasty

Obudziłem się późno. Nie musiałem się nigdzie śpieszyć. Zastanawiałem się przez chwilę nad uporem dziadka. Pewnie nie chciał zostawić tej adwokatki, interesu i rodziny, z którą nawiązał kontakt po tylu latach. Czy ja w jego wieku przejąłbym się takim niekonkretnym zagrożeniem? Na pewno nie. Nie przekonam go.

Śniadanie zjadłem z dziadkiem; trochę się zasiedzieliśmy. Nie powiem, żebym musiał się śpieszyć na spotkanie z Jurkiem, ale ubierać się musiałem już w dobrym tempie. Nie mogłem liczyć na samochód ambasady, a swój zostawiłem pod hotelem. Zamówiłem taksówkę. W kawiarni hotelu Forum stawiałem się punktualnie o wpół do drugiej. Przy jednym ze stolików dostrzegłem Jurka z jakimś mężczyzną.

Ukloniłem się mu z daleka i usiadłem przy wolnym stoliku. Jego pieniądze, jego sprawa. Ja przyszedłem, jak obiecałem. Widziałem wyraźnie, że Jurek zaczął się śpieszyć. Przerzywał swemu rozmówcy, machał ręką na jakieś jego obiekcje. Słowem, dążył do szybkiego zakończenia rozmowy. Ostatecznie jego towarzysz odszedł od stolika wyraźnie niezadowolony. Jurek natychmiast przysiadł się do mnie.

- Musisz mi pomóc - rozpoczął.

- W czym, na litość boską?

- Ja nie mogę tu mieć konta. To znaczy w Polsce. I żadnych pieniędzy. Rozumiesz, takich, których oficjalnie nie dostałem. Myślałem - stęknął - myślałem, że mi pomożesz.

- Pomogę. Tylko powiedz, w czym mam ci pomóc - powiedziałem.

- Rozumiesz, ja - pochylił się do mnie - muszę sobie gdzieś konto założyć. I te pieniądze dla mnie tam mi przekażecie. Rozumiesz?

- Rozumiem. Gdzie byś chciał mieć to konto? - zapytałem spokojnie, chociaż Jurek zaczynał mnie denerwować.

- Nie wiem - odpowiedział bezzadnie. - W jakimś rajku podatkowym, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia gdzie.

- Trochę późno się namyśliłeś. Wyjeżdżam w sobotę lub w niedzielę.

- No pomóż mi!

To już zabrzmiało wręcz rozpaczliwie. Zrozumiałem, że wiedza Jurka o bankach, kontaktach i rajach podatkowych pochodzi z plotek przekazywanych szeptem.

- Wyspa Wright - powiedziałem.

- Jaka wyspa? I po co mi ona?

- Brytyjska wyspa, Wright się nazywa. Mają tam raj podatkowy. Polecieć tam musimy.

- Razem? - przeraził się Jurek.

- Razem. Konto mogę ci założyć, ale ty musisz złożyć podpisy i uzgodnić z bankiem inne rzeczy. Polecimy razem - wyjaśniłem.

- Kiedy?

- Najlepiej dzisiaj. Poczekaj. Sprawdź w recepcji, czy jest jakiś lot do Anglii. Paszport masz?

- Jasne! Dyplomatyczny - odpowiedział Jurek z dumą.

W recepcji dowiedziałem się, że tuż przed piątą odlatuje ostatni tego dnia samolot do Londynu. Aby nie tracić czasu, zabukowałem dla nas dwa miejsca i wróciłem do Jurka.

- Zarezerwowałem miejsca na lot za trzy godziny. Musisz się pospieszyć. Weź z domu lekki bagaż; spotkamy się na lotnisku - powiedziałem.

- Teraz? Zaraz? Dzisiaj? - zdumiał się Jurek.

- Dzisiaj. Wszystko załatwimy jutro i jutro wrócimy.

- Rany boskie! Nie zdążę! Poumawiany jestem! - wykrzykiwał w oszołomieniu.

- To przełożysz. Ja nie mam czasu. A stąd do domu i z domu na lotnisko spokojnie zdążysz w trzy godziny.

Z trudem oderwałem Jurka od stolika, którego kurczowo się trzymał i wywlokłem na zewnątrz. Dopiero gdy zagroziłem, że w niczym pomagać mu nie będę, wsiadł do taksówki. Ja pojechałem do ambasady.

Spakowałem małą walizeczkę i zostawiłem Walterowi wiadomość, że lecę do Anglii z Jurkiem. Celu wyprawy mógł się domyślić sam.

Pomijając to, że musiałem zajmować się nim jak niańka, specjalnych kłopotów nie miałem. Tylko pić wódkę zaczął natychmiast, jak tylko samolot oderwał się od ziemi. Wiedziałem już, że żadna ilość alkoholu nie robi na nim wrażenia, tym więc się nie przejąłem. Nie opuściliśmy londyńskiego lotniska. Przesiedliśmy się do mniejszej maszyny, również na ostatni w tym dniu lot na wyspę Wright. W tamtejszym hotelu zjedliśmy niespiesznie kolację i zarządziłem spanie. Jurek trochę protestował, ale uciszyłem go zamówieniem do kolacji polskiej wódki i argumentem, że jutrzejszy dzień będzie wymagał pewnego wysiłku. Ostatecznie powędrował do pokoju z resztką niedopitej przez nas wódki w butelce.

Byłem trochę na niego zły, gdyż przez całą podróż zachowywał się tak, jakby nie słyszał o istnieniu pieniędzy. Co prawda płaciłem za wszystko służbową kartą, ale cała

wyprawa była przecież przez niego spowodowana i w jego interesie. Mógł, a nawet powinien się zainteresować, kto za to wszystko płaci.

Piątek - dzień osiemnasty

Budzenie zamówiłem na siódmą, pamiętając, że weekend zaczyna się w piątkowe popołudnie.

Po śniadaniu poszliśmy do banku. W czasie rozmowy Jurek na przemian prezentował nuworyszowską hojność i skrajny brak zaufania. Z trudem przebrnęliśmy przez wszystkie formalności. Od razu zadzwoniłem do Waltera, podałem mu numer konta i poprosiłem o przesłanie pieniędzy Internetem. Jurek nie chciał opuścić banku, nie upewniwszy się, że obiecane pieniądze wpłynęły na założone konto. Ostatecznie wyszliśmy stamtąd dopiero po pierwszej, Jurek bowiem po uzyskaniu potwierdzenia stanu konta zapragnął wziąć trzydzieści tysięcy dolarów. Czasu wystarczyło nam na szybki lunch. Prawie biegiem dotarliśmy do lotniska. Na Heathrow dla odmiany musieliśmy czekać dwie godziny. Jurek spędził je, kupując rzeczy zbędne i zdecydowane buble. Potem rozdał tragarzom okazałą sumkę; uznał się widać za bogacza. Co mu nie przeszkodziło nie zauważyć kwestii zapłacenia za podróż. Mam nadzieję, że Firma zdyskontuje poniesione właśnie wydatki.

Im bliżej Polski byliśmy, tym nieznośniejsze stawało się zachowanie Jurka. Z prawdziwą ulgą pożegnałem go na Okęciu.

W ambasadzie ani Waltera, ani dziadka nie było. Telefon Babs nie odpowiadał. Poczulem się zbędny i opuszczony przez wszystkich. Poszedłem wcześniej spać. O świcie czekał mnie lot do Hamburga.

Sobota - dzień dziewiętnasty

W Hamburgu był mglisty ranek. Na płycie lotniska powitała mnie dwuosobowa delegacja. Potężny czarny major stał oparty o drzwiczki wojskowego samochodu. Obok niego również potężny cywil żuł wykałaczkę. Szczera anglosaska twarz, nieco zbyt długie blond włosy i zimne, bezwzględne niebieskie oczy należały bez wątpienia do pracownika mojej Firmy. Na powitania szkoda im było czasu. Tylko kierowca kaprał okazał się uprzejmiejszy i pomógł mi umieścić walizki w bagażniku.

Pojechaliśmy na wojskowe lotnisko.

Transportowiec grzał już silniki. Wokół niego na płycie stali żołnierze. Dużo żołnierzy z karabinami wycelowanymi w samolot. Najwidoczniej nasi pasażerowie byli już na pokładzie. Samochód zatrzymał się przy schodkach. Major nawet nie wysiadł, tylko wrzasnął: „Szybko” - ponaglając nas ręką. Kierowca złapał moje walizki i biegiem zaniósł je do samolotu. Równie szybko wyskoczył za nim blondyn. Gdy wszedłem do samolotu, wymijając na schodkach wracającego do samochodu kaprała, obsługa zamknęła włącz. Nikt nie czekał, aż usiądę. Z przodu zamontowano dwie grupy foteli. W samym środku siedzieli dwaj skuci mężczyźni, dodatkowo unieruchomieni zapiętymi pasami. Obaj w garniturach, obaj po pięćdziesiątce. Jeden zażywny i siwy, drugi szczuplejszy i szpakowaty. Wokół nich - z przodu, z tyłu, po bokach - siedzieli żołnierze z bronią.

Nieco dalej, w jednym z sześciu foteli w drugiej grupie, zajął już miejsce mój towarzysz z Firmy. Usiadłem obok niego. Samolot rozpoczął kołowanie.

Wojskowe transportowce pozbawione są niedocenianych wygód samolotów pasażerskich. Jednym z najbardziej dotkliwych braków jest brak izolacji od hałasu. Dlatego przy starcie nie można rozmawiać, a i w czasie lotu wymaga to znacznego wysiłku. Na razie musiałem zadowolić się obserwacją. W drodze do domu miałem być konwojentem. Wyglądało na to, że mocno symbolicznym.

Mój sąsiad nie przejawiał chęci do nawiązania rozmowy. Rzucił mi tylko krótkie, badawcze spojrzenia. Nie znaliśmy się wcześniej. Możliwe, że każdy z nas wracał do domu po wykonaniu własnego zadania. Nie był to dobry temat.

Ja też nie byłem w towarzyskim nastroju. Zastanawiałem się, czy dziadek wybaczy mi ten nagły wyjazd. Tym bardziej że to przecież dzisiaj miał spotkać się z adwokatką.

Rozmyślenia przerwał mi młodziutki żołnierz w roli stewardesy. Drinki były darmowe, ale bezalkoholowe. Tylko generałom wolno pić mocne napoje na pokładzie wojskowych samolotów.

Zauważyłem, że więźniom nic nie podano, mimo że eskorta otrzymała napoje. Znałem to. Żadnego jedzenia, żadnego picia. Głód i pragnienie potrafią być bardzo dokuczliwe. Szczególnie dla nieprzyzwyczajonych.

Wróciłem do własnych problemów. Tym razem mieszkanie nie będzie wymagało takiego gruntownego sprzątnięcia jak ostatnio. W końcu moja nieobecność nie trwała długo. Może dostanę trochę wolnego i będę mógł pojechać do rodziców. Na pewno są ciekawi polskiej rodziny. No i oczywiście tego, co działo się z dziadkiem i skąd ten alarm. Swoją drogą głupio, że nie znalazłem czasu, żeby do nich zadzwonić. Na pewno się niepokoją.

Więźniów wyprowadzano do toalety. Pojedynczo. Z pełnymi szykanami. Każdy w eskorcie dwóch strażników. Nie pozwalali zamknąć drzwi toalety. Jeszcze jedna forma nacisku. Upokorzenie. Konieczność załatwiania się w obecności obcego i jego pistoletu jest frustrująca. Dobrze, że tym razem to nie ja. Swoją drogą ostro ich traktują. Babs miałyby używanie. Już słyszę, jak wykrzykuje o amerykańskim humanizmie i humanitaryzmie.

Babs. Inny problem. Zastanawiałem się, czy chcę kontynuować tę, no, powiedzmy znajomość. Lubię ją. Potrafi być tak odświeżająco głupia. Może naiwna.

Myśli przepływały leniwie. Musiały być między nimi niedostrzeżone przedtem przerwy, bo nagle wylądowaliśmy w Waszyngtonie. No, prawie.

Więźniowie z eskortą mieli pierwszeństwo i zniknęli błyskawicznie. Na nas czekał cywilny samochód z wojskowym kierowcą. Z moimi walizkami pojechaliśmy na lotnisko. Kupiłem bilet do Chicago na najbliższy lot. Blondyn towarzyszył mi przez cały czas. Nie miał bagażu i nigdzie się nie wybierał. Po prostu był obok mnie.

Zniecierpliwiony niechcianym towarzystwem, poszedłem do baru. Należał mi się solidny drink. Poza tym chciałem go przycisnąć. Miałem na to prawie godzinę. Potem będę w samolocie do domu. Mam nadzieję, że sam.

W barze było cicho i spokojnie. Telewizor nastawiony na CNN nieustannie serwował wiadomości. Mówiła właśnie urodziwa ruda korespondentka z Niemiec. W hotelu w Hamburgu Niemcy aresztowali dwóch dyrektorów polskiej fabryki broni.

Pokazali ich zdjęcia. To ich właśnie przywieźliśmy! Moja fabryka w Radomiu!

Dziennikarka snuła właśnie przypuszczenia, jakie przestępstwo popełnili i co się z nimi stanie. Ja już wiedziałem. Odwróciłem się do mego milczącego towarzysza. Blondyn zniknął.